Wallace

Ben-Hur

# BEN-HUR

## OPOWIEŚĆ Z CZASOW CHRYSTUSA

przez

Lew Wallace.

Tłómaczyła z angielskiego

ZOFJA GRABOWSKA.

Tom II.

WARSZAWA

Wydanie Redakcji Wędrowca.

1889.

Дозволено Цензурою,

Варшава, Августа 22 дня 1889 года.

W Drukarni „Gospodarza i Przemysłowca“ Chmielna 30.

# BEN-HUR.

Dodatek do N-ru 36 „Wędrowca“.

## ROZDZIAŁ I.

Po bachanaljach w salonie pałacowym, rano, cała sofa była zajęta przez młodych patrycjuszów. Maxencjusz mógł przybyć, miasto mogło się tłoczyć na jego przyjęcie, legjon mógł zstąpić z góry Sulpius w blasku oręża i zbroi; od Nymphaeum do Omfalusu mogły się odbywać ceremonje tak świetne, że przewyższyłyby najwystawniejsze, jakie widziano, o jakich słyszano kiedykolwiek na wspaniałym wschodzie, a ta gromadka młodzików spała sobie bezwstydnie na sofie, gdzie jedni padli sami, drugich położyła obojętna służba. Żeby ci panicze zdołali wziąć udział w przyjęciu uroczystem, było to prawie takiem niepodobieństwem, jak modelom w pracowni nowoczesnego artysty podnieść się i w kaskach z piórami zatańczyć walca.

Ale nie wszyscy uczestnicy onej orgji byli w tak sromotnym stanie. Gdy zorza zaczęła zaglądać przez okienka umieszczone u góry salonu, Messala wstał

i zdjął wieniec z głowy, na znak, że zabawa skończona; potem obciągnął na sobie szatę, rzucił ostatnie spojrzenie na otaczające go grono i, nie powiedziawszy słowa, udał się do swego mieszkania. Cycero nie wyszedłby z większą powagą po całonocnych rozprawach senatorów.

We 3 godziny potem weszło 2-ch gońców do jego pokoju i z własnej jego ręki odebrali depeszę opieczętowaną w 2-ch egzemplarzach, złożoną z listu do Walerjusza Gratusa, prokuratora, który dotąd przebywał w Cezarei. Jeden z gońców miał podróżować lądem, drugi morzem; a obaj mieli się starać o jaknajwiększy pośpiech.

Jestto rzeczą wielkiej wagi, żeby czytelnik był wtajemniczony w zawartość listu tak pilnego; dlatego podajemy ją tu w całości.

Antjochja, XII Kal. Jul.

Messala do Gratusa.

*O mój Midasie!*

— Proszę cię, nie obrażaj się za adres, ze względu, że go dyktuje tylko miłość, wdzięczność i przekonanie żeś najszczęśliwszy z ludzi; a także i z tego względu, że uszy twoje są takie, jakieś otrzymał od matki, tylko stosowne do twoich dojrzałych lat.

— O, mój Midasie!

— Opowiem ci osobliwe zdarzenie, które, chociaż jest jeszcze poniekąd przypuszczeniem, nie wątpię, że je odczytasz z pilną uwagą.

— Pozwól mi przedewszystkiem rozbudzić twą pamięć. Przypomnij sobie, rodzinę księcia Jerozolimskiego, nieprawdopodobnie starożytną i ogromnie bogatą, imieniem Ben-Hur. Gdyby pamięć twoja chromała, lub miała jakie inne kalectwo, to, jeżeli się nie mylę, masz na głowie ranę, która ci może przypomnieć tę okoliczność.

— A teraz słówko dla obudzenia twej ciekawości. Karząc zamach na twe życie,—dla miłego spokoju sumienia, oby bogowie nie dopuścili, żeby się kiedykolwiek wydało, że byłto prosty traf,—rodzinę tę porwano, rozproszono, a majątek jej skonfiskowano. Co więcej, o mój Midasie! Ponieważ ten czyn pozyskał pochwałę naszego cezara, zarówno sprawiedliwego jak mądrego,—oby kwiecie pokrywało wiecznie jego ołtarz! można wspomnieć, bez wstydu, o sumach, które przeszły do rąk naszych z tego źródła, za co na zawsze pozostanę ci wdzięczny, ponieważ ciągle używam życia za przypadłą mi część.

Jako nowy przykład twej mądrości,—przymiotu, którym podobno syn Gorgjusza, z którym ośmieliłem się porównać ciebie, nie odznaczał się nigdy ani pomiędzy ludźmi, ani pośród bogów,—przypomnę ci w dalszym ciągu, jakeś rozporządził rodziną Hura, z przyczyny, iż obaj sądziliśmy wtedy, że jestto najlepszy sposób zachowania tajemnicy i spowodowania pewnej choć naturalnej śmierci głównego sprawcy. Przypomnij sobie, coś uczynił z matką i siostrą winowajcy. Jeśli zapytam, czy one żyją czy nie,—wiem

znając twoją łagodną naturę, o mój Gratusie, że wybaczysz mnie—prawie niemniej miłemu osobnikowi, jakim ty jesteś.

— Pozwolę tu sobie przypomnieć okoliczność, stanowiącą istotę tej sprawy, mianowicie to, iż rzeczywisty winowajca został skazany na dożywotnie galery — tak brzmiał wyrok. Zdarzenie, które chcę opowiedzieć, tem więcej cię zadziwi, że sam widziałem i czytałem rozkaz wydania jego osoby trybunowi, dowodzącemu jaką galerą.

— Możesz teraz natężyć jeszcze bardziej uwagę, o mój przezacny frygijczyku!

— Ze względu na zwykły przeciąg czasu, jaki się żyje przy wiośle, skazaniec ten musiał umrzeć, albo dokładniej mówiąc, jedna z 3,000 oceanid pojęła go pewno za męża, conajmniej 5 lat temu. Wiedząc, że mi wybaczysz tę chwilową słabość, o najcnotliwszy i najtkliwszy z ludzi! przyznam, żem go kochał w dzieciństwie, że wydawał mi się bardzo piękny i nazywałem go moim Ganimedem. Powinien on był paść w ramiona najpowabniejszej dziewicy oceanu. Tymczasem całe te 5 lat, w przekonaniu, że go już niema na świecie, żyłem swobodnie, korzystając z czystem sumieniem z fortuny, którą jemu poczęści zawdzięczam. Przyznając mu to, nie przeczę jednak, że i tobie dużo jestem winien.

— Teraz przystąpię do najciekawszego punktu opowiadania.

— Wczoraj wieczór, kiedym przewodniczył ucz-

cie wydanej dla kilku przyjaciół, tylko co przybyłych z Rzymu, którzy, jako bardzo młodzi i niedoświadczeni, budzili we mnie politowanie,—usłyszałem osobliwą opowieść. Konsul Maxencjusz, jak wiesz, przybywa dziś w celu poprowadzenia wojska przeciw partom. Pośród ochotników, mających mu towarzyszyć, znajduje się syn zmarłego duumwira, Kwintusa Arrjusza. Nie miałem sposobności wypytać o niego szczegółowo. Gdy Arrjusz wybrał się był w pogoń za piratami, których porażka okryła go chwałą, nie miał on rodziny; powróciwszy z wyprawy, przywiózł jednak z sobą spadkobiercę. Zachowaj teraz zimną krew, jak przystoi właścicielowi tak wielu talentów w sestersach! Syn i spadkobierca, o którym mówię, jestto ten, któregoś wysłał na galery, ten sam Ben-Hur, który powinien był umrzeć przy wiośle 5 lat temu, a teraz powrócił z majątkiem i wysokiem stanowiskiem; może nawet, jako obywatel rzymski, będzie... Tyś zbyt dobrze postawiony, żebyś się miał czego lękać, ale ja, o mój Midasie! ja, jestem w niebezpieczeństwie. Z jakiej przyczyny, nie potrzebuję mówić... Któżby to wiedział, jeśli nie ty? Cóż powiesz na to wszystko?

— Gdy Arrjusz, przybrany ojciec, walczył z rozbójnikami morskimi, okręt jego zatonął i cała załoga poszła na dno, wszyscy, prócz dwóch,— samego Arrjusza i jego spadkobiercy. Marynarze, co ich zabrali z deski, na której pływali, opowiadają, że to-

warzyszem trybuna był młodzieniec, którego przyniesiono na pokład w odzieży galernika.

— To powinno być, conajmniej, przekonywające; ale żebyś się nie uśmiechnął lekceważąco, powiem ci, o mój Midasie, że wczoraj, szczęśliwym trafem, spotkałem się twarz w twarz z synem Arrjusza, i twierdzę stanowczo, chociażem go nie poznał wtedy, że to ten sam Ben-Hur, towarzysz moich lat dziecięcych, ten sam Ben-Hur, który, jeśli ma męzką duszę, chociażby pochodził z najniższej klasy, w tej chwili, gdy to piszę, myśli o zemście—jabym to samo robił na jego miejscu—o zemście, którą tylko życie zadowolni; o zemście za kraj, za matkę, siostrę, za siebie samego, i—dodam w końcu, chociaż tybyś to postawił na początku—za utraconą fortunę.

— W tej chwili, o cny dobroczyńco mój i przyjacielu! mój Gratusie, ze względu na niebezpieczeństwo grożące twym sestersom, których utrata byłaby największem nieszczęściem dla człowieka na twojem stanowisku zaszczytnem, przestaję ci dawać imię szalonego starego króla frygijczyka, — w tej chwili, powiadam, jeśliś mię doczytał dotąd, mam głębokie przekonanie, żeś się przestał uśmiechać lekceważąco i zaczął zastanawiać jak postąpić w tej krytycznej okoliczności.

— Byłoby niewłaściwie pytać cię, co robić. Raczej pozwól mi powiedzieć, żem twoim klijentem, albo jeszcze lepiej, że jesteś Ulisesem, którego rolą jest dać mi dobry kierunek.

— Miło mi wyobrażać cię sobie w chwili, gdy odbierzesz ten list. Widzę, jak go czytasz z powagą rozlaną na twarzy, następnie odczytujesz z uśmiechem, potem przestajesz się wahać, wyrobiłeś sobie sąd; taki czy owaki, będzie on zawsze dowodem, żeś mądry jak Merkury, a stanowczy niby cezar.

Słońce wzejdzie za chwilę. Za 2 godziny dwóch gońców wyruszy z mojego domu, każdy z opieczętowaną kopją listu; jeden z nich podąży lądem, drugi morzem, tak mi wiele na tem zależy, byś został prędko i szczegółowo powiadomiony o ukazaniu się naszego wroga w tej części naszego świata rzymskiego.

— Będę tu oczekiwał twej odpowiedzi.

— Czy Ben-Hur pozostanie tu dłużej czy wyjedzie, rozumie się, że będzie to zależało od jego zwierzchnika, konsula, który chociaż czyni przygotowania dzień i noc, nie może się ztąd wydalić przed upływem miesiąca. Wszak wiesz, ile to pracy kosztuje zgromadzić i uzbroić wojsko, mające się bić w kraju tak pustym i niemającym miast.

— Widziałem wczoraj tego żyda w Gaju Dafny; jeśli go tam niema teraz, to jest z pewnością gdzieś w pobliżu, więc będę miał go na oku. Istotnie, gdybyś zapytał, gdzie się znajduje obecnie, odpowiedziałbym z zupełną pewnością, że możnaby go znaleźć w Gaju Palmowym, w namiocie zdrajcy szeika Ilderima, który musi wpaść niebawem w nasze silne ręce. Nie dziw się, że Maxencjusza systemem

wojennym jest araba przedewszystkiem na okręt wsadzić i wysłać do Rzymu.

Dlatego mi tak zależy na tem, żebyś wiedział, gdzie przebywa on żyd, że okoliczność ta będzie ważną dla ciebie, o mężu znakomity! gdy zechcesz rozważyć, co robić dalej; wiem już bowiem i pochlebiam sobie, że ta świadomość czyni mię mądrzejszym, że w każdem działaniu bierze się 3 względy na uwagę: czas, miejsce i środki.

— Jeśli postanowisz, że miejsce jest tutaj, to pozostaw rzecz tę, bez wahania, najwierniejszemu przyjacielowi i najzdolniejszemu z uczni swoich.

*„Messala.”*

Kiedy gońcy Messali oddalili się wczesnym rankiem z listami, w tejże chwili Ben-Hur wszedł do namiotu Ilderima. Orzeźwił on się przedtem w zatoce, zjadł śniadanie, a teraz przyszedł ubrany w krótką rzymską tunikę bez rękawów. Szeik, leżąc na sofie, powitał wchodzącego.

— Pokój z tobą, synu Arrjusza! Z podziwem przyglądał on się młodzieńcowi, gdyż jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć doskonalszego obrazu kwitnącego, krzepkiego i świadomego swej siły mężczyzny.—Bądź pozdrowion. Konie są gotowe; ja również, a ty?

— Z tobą także niechaj będzie pokój, cny szeiku. Dziękuję za twą dobrą wolę. I jam gotów.

Ilderim klasnął w ręce.

— Każę tu przyprowadzić konie. Usiądź.

— Czy już są ubrane?

— Nie.

— Pozwól, żebym je sam ubrał—rzekł Ben-Hur.—Jestto potrzebne, żebym się z twemi arabczykami zapoznał. Muszę je zwać po imieniu, o szeiku, i mówić do każdego zosobna; muszę też poznać ich charaktery, bo z końmi należy wychodzić jak z ludźmi: ze zbyt śmiałemi—ostro, z pokornemi lepiej uciekać się do pochwał i schlebiać miłości własnej. Każ przynieść uprząż.

— A rydwan?—zapytał szeik.

— Nie użyję dziś rydwanu; w jego miejscu daj mi 5-go konia, jeśli go masz. Niechaj będzie nieosiodłany i szybki jak tamte.

Ilderim, jeszcze bardziej zaciekawiony, przywołał natychmiast niewolnika.

— Przynieś uprząż na 4 konie—rzekł— uprząż na czwórkę i uzdę dla Syrjusza.

Ilderim rzekłszy to, podniósł się.

— Syrjusz jest moim ulubieńcem—mówił dalej, a ja jego, synu Arrjusza. Od 20-tu lat jesteśmy wciąż razem, w namiocie, na polu bitwy i we wszystkich przypadkach na pustyni. Pokażę ci go.

Odchylił zasłonę dzielącą namiot na 2 połowy i Ben-Hur wszedł do drugiego przedziału. Wszystkie konie zbliżyły się do wchodzących. Jeden z nich, z małą główką, błyszczącemi oczami, z szyją wygiętą w łuk, szeroką piersią i grzywą miękką i falistą

niby pukle młodego dziewczęcia, zarżał cicho a radośnie na widok swego pana.

— Poczciwy mój koniku,—rzekł szeik, klepiąc brunatną szyję zwierzęcia — dzień dobry, poczciwy koniku.—Zwróciwszy się potem do Ben-Hura, dodał: —To Syrjusz, ojciec mojej czwórki. Mira, jej matka, czeka w domu naszego powrotu. Nadto mi jest miła, żebym ją narażał na tutejsze niebezpieczeństwa. Prócz tego wątpię... bardzo wątpię, żeby się pokolenie obeszło bez niej. Ona jest jego chwałą; wszyscy ją czczą. Gdyby galopowała po nich, znieśliby to ze śmiechem. Dziesięć tysięcy jeźdźców, synów pustyni, zapyta dziś: Czy masz wiadomości o Mirze? a gdy odpowiesz „wiem, że jest zdrowa,—rzekną: Bóg jest dobry, chwała niech będzie Bogu!

— Mira, Syrjusz, to nazwy gwiazd,—nieprawda, szeiku?—zapytał Ben-Hur, przechodząc od jednego araba do drugiego. Do ojca ich wyciągnął rękę.

— Cóż w tem dziwnego? — odparł Ilderim. — Czyś był kiedy w nocy na pustyni?

— Nie.

— To nie możesz wiedzieć, do jakiego stopnia, my arabowie, zależni jesteśmy od gwiazd. Zapożyczamy od nich nazw przez wdzięczność, a nadajemy je, przez miłość. Każdy z moich przodków miał swoją Mirę, tak samo jak i ja mam, dzieci jej są także gwiazdami. Widzisz, ten to Rigel, tamten Antares, tamten oto Atair, a ten, do którego przystępujesz teraz, to Alderaban, najmłodszy z rodu, ale nie naj-

pośledniejszy, o nie. Będzie pędził przeciw wiatrom, aż ci zaszumią w uszach niby Akaba. Wszędzie pójdzie, gdzie każesz, o synu Arrjusza. Na chwałę Salomona, gotów cię nawet ponieść w samą paszczę lwa, jeśli się na to odważysz.

Przyniesiono uprząż. Ben-Hur własnemi rękami włożył ją na konie; własną ręką wyprowadził je z namiotu, uwiązał lejce.

— Sprowadźcie mi Syrjusza,—rzekł.

Arab nie skoczyłby lepiej na grzbiet konia.

— A teraz dajcie mi lejce.

Podano mu je, każdego z 4-ch rumaków osobno.

— Czcigodny szeiku — powiedział —jestem gotów. Każ przewodnikowi iść na pole i przyślij wody przez którego z twych ludzi.

Przy wyruszeniu nie było żadnego zamieszania. Konie wcale się nie lękały. Już było widać nieme porozumienie się pomiędzy niemi a nowym woźnicą, który wykonywał swą czynność z pewnością siebie, budzącą zawsze zaufanie. Trzymał on się tego porządku, w jakim konie miały wystąpić z rydwanem na arenie, z tą różnicą, że siedział na Syrjuszu nie na wozie. Ilderim ożywił się. Gładził sobie brodę, uśmiechał się i szepnął:—to nie rzymianin na chwałę Boga. — Przeszedł pieszo przez cały dowar, a mężczyzni, kobiety i dzieci biegli za nim, dzieląc jego niepokój, jeśli nie zaufanie.

Pole okazało się obszerne i całkiem odpowiednie do ćwiczeń, które Ben-Hur natychmiast rozpo-

czął. Zrazu oprowadził czwórkę zwolna i w prostej linji, a potem zakreślał coraz mniejsze koła. Następnie kazał iść koniom truchtem, potem znów galopować. W końcu prowadził je tu, tam, w prawo, w lewo, naprzód, bez wypoczynku. Tak przeszła godzina; nareszcie pokierował je ku Ilderimowi.

— Dzieło gotowe,—rzekł doń,—teraz potrzeba tylko wprawy. Winszuję ci, szeiku, takich sług. Patrz, — mówił dalej, zsiadł i przystąpił do koni,— patrz jak połyskuje ich czerwona skóra; oddychają tak lekko, jak przed jazdą. Tak, winszuję ci... —Zwrócił ku starcowi błyszczące oczy.—Źleby z nami było, gdybyśmy nie odnieśli zwycięztwa...

Umilkł, zarumienił się i skłonił głowę. Dopiero w tej chwili ujrzał przy szeika boku Baltazara opartego na kiju i 2 niewiasty w gęstych zasłonach. Na jedną z nich spojrzał powtórnie, mówiąc sobie z bijącem sercem:—To ona, egipcjanka.—Ilderim dokończył za niego:

— I nie zaspokoili zemsty.—Potem rzekł głośno:—Nie lękam się i zadowoliłeś mię, synu Arrjusza. Jesteś tym mężem, którego mi trzeba. Jeśli koniec równać się będzie początkowi, to się przekonasz, co kryje dłoń araba, który ma możność wywdzięczenia się.

— Dziękuję ci, dobry szeiku—skromnie odrzekł Ben-Hur.—Każ służbie przynieść wody dla koni.

Napoił je sam.

Wsiadł potem na Syrjusza i rozpoczął na nowo ćwiczenia. Jak przedtem tak i teraz jechał zrazu wolnym krokiem, potem kłusem, następnie coraz szybszym galopem. Ćwiczenia te zajmowały całe zgromadzenie; oklaskiwano zręczne trzymanie lejców, podziwiano czwórkę, zarówno gdy pędziła prosto, jak kiedy robiła przeróżne zwroty. Bieg jej był równy, żywy, pełen wdzięku. Araby budziły taki podziw bez politowania lub żalu, jakieby mógł wzniecić lot jaskółek wieczorną porą.

W chwili, kiedy ćwiczenia pochłaniały powszechną uwagę, pojawił się na polu Malluch i szukał szeika.

— Mam dla ciebie zlecenie, o szeiku, — rzekł upatrzywszy sposobny czas do rozmowy — zlecenie od Simonidesa, kupca.

— Od Simonidesa! — wykrzyknął arab. — Oby Abaddon odjął mu wszystkich wrogów!

— Kazał mi najprzód przynieść ci życzenie, by pokój Pana był z tobą, a potem oddać ten oto list, z prośbą, żebyś go przeczytał natychmiast po odebraniu.

Ilderim, nie ruszając się z miejsca, przełamał pieczęć i wyjął z dwóch osłon płóciennych list, który zaraz począł czytać.

(Nr. 1). *„Simonides do szeika Ilderima:"*

— O przyjacielu mój!

Przedewszystkiem, zapewnię cię, że zajmujesz miejsce w sercu mojem.

Następnie:

W namiotach twoich przebywa młodzieniec pięknej powierzchowności, który się mieni być synem Arrjusza i jest jego synem adoptowanym.

Jest on mi bardzo drogi.

Jego dzieje są nader osobliwe; przybądź tu dziś lub jutro, żebym ci je mógł opowiedzieć i zasięgnąć twej rady. Tymczasem zadawalniaj wszystkie jego życzenia, o ile się nie sprzeciwiają honorowi. Jeśli poniesiesz jakie wydatki, zwrócę ci je chętnie. Zachowaj to w tajemnicy, że mię tak żywo obchodzi ten młodzieniec. Drugiego gościa swego pozdrów odemnie. On, córka jego i ktokolwiek towarzyszyć ci będzie, wszyscy możecie liczyć na to, że zastaniecie mię w cyrku na igrzyskach. Zamówiłem już miejsca.

Oby pokój był z tobą i z twoimi.

Czemże mógłbym być, o przyjacielu, jeśli nie przyjacielem twoim? *„Simonides."*

(Nr. 2). *„Simonides do szeika Ilderima:"*

— O przyjacielu mój!

Przesyłam ci przestrogę płynącą z doświadczenia.

Jest pewien znak, który wszyscy, prócz rzymian, mający pieniądze lub majątek nieruchomy uwa-

żają za przestrogę,—znakiem tym jest przybycie dostojnika rzymskiego dla objęcia wysokiego stanowiska.

Dziś nadjedzie konsul Maxencjusz.

Miej się na baczności!

Jeszcze jedna rada.

Ażeby spisek przeciw tobie, o przyjacielu, udał się, Herodowie muszą wziąć w nim udział. Masz wielkie włości pod ich panowaniem.

Strzeż się!

Wyślij dziś rano zaufanych ludzi na drogi wiodące z Antjochji ku południowi i każ, by mieli oko na każdego gońca, tak jadącego w tamte strony, jak i powracającego. Jeśli znajdą depesze tyczące ciebie albo twoich spraw, *to powinieneś je widzieć.* Należało, żebyś jeszcze wczoraj odebrał niniejszą wiadomość, ale niema nic straconego, jeśli będziesz śpiesznie działał.

Jeżeli gońcy wyjechali dziś rano z Antjochji, to twoi posłańcy, znając boczne drogi, mogą ich wyprzedzić z twemi rozkazami.

Nie zwlekaj.

Spal to pismo.

O przyjacielu, twój przyjaciel.

„*Simonides.*"

Ilderim odczytał oba listy, obwinął je napowrót płótnem i włożył za pas.

Ćwiczenia na polu wyścigowem niedługo już trwały,—wszystkiego może około 2-ch godzin. Gdy

się skończyły, Ben-Hur poszedł zwolna z czwórką ku Ilderimowi i rzekł:

— Pozwól, szeiku, żebym odprowadził twoje araby do namiotu i ćwiczył je raz jeszcze po południu.

Ilderim przystąpił do Ben-Hura, gdy tenże wsiadł na Syrjusza i powiedział:—Powierzam ci je na cały czas igrzysk, o synu Arrjusza. Zrobiłeś z niemi więcej w przeciągu tych 2-ch godzin, aniżeli rzymianin,—oby szakale obgryzły jego kości! zdołałby uczynić w tyleż tygodni. Zwyciężymy, na chwałę Bozką, zwyciężymy.

Ben-Hur pozostał w namiocie z końmi, dopóki służba krzątała się około nich. Potem wykąpał się w zatoce, napił się araku z szeikiem, który był w doskonałym humorze, włożył na siebie zwykły swój ubiór żydowski i wyszedł z Malluchem pod palmy.

Rozmowa ich trwała długo. Powtórzymy tu jeden jej ustęp.

— Dam ci jedno zlecenie — rzekł Ben-Hur, — odbierzesz moje rzeczy, które zostawiłem w gospodzie, po tej stronie rzeki, przy moście seleucjańskim. Dostaw mi je dziś, jeśli będziesz mógł. Dobry Malluchu, jeśli to nie będzie nadużyciem z mej strony...

Malluch zapewnił go, że jest gotów na usługi.

— Dziękuję ci, mój Malluchu, dziękuję ci—powiedział Ben-Hur.—Weźmę cię za słowo, przez pamięć, żeśmy braćmi z jednego pokolenia i że naszym wspólnym wrogiem jest Rzym. Najprzód więc, po-

nieważ jesteś człowiekiem praktycznym, a przypuszczam, że szeik Ilderim nie jest nim...

— Arabowie rzadko bywają praktyczni—odparł Malluch z powagą.

— Nie odmawiam im bystrości, mój Malluchu, ale zawsze lepiej być z nimi ostrożnym, żeby zapobiedz wszelkim wybiegom i zawadom w wyścigach. Zrób to dla mego spokoju i przekonaj się w cyrkowem biurze, czy szeik dopełnił wszystkich formalności. Gdybyś mógł skopjować przepisy gonitw, oddałbyś mi wielką przysługę. Chciałbym wiedzieć, jakie barwy mam przywdziać, a w szczególności z pod jakiego numeru rozpocznę wyścigi. Jeśli z prawej lub też lewej strony będę sąsiadował z Messalą, to dobrze; jeżeli nie, a będziesz mógł to uczynić, żebym stał obok niego, zobowiążesz mię tem bardzo. Dobrą masz pamięć, Malluchu?

— Czasem mi nie dopisuje, synu Arrjusza; ale tym razem serce przyjdzie jej w pomoc.

— Kiedy tak, to się ośmielę poprosić cię o jedną jeszcze przysługę. Widziałem wczoraj, że Messala był dumny ze swego rydwanu i słusznie, bo nawet najwspanialszy wóz cezara, nie przewyższa go ozdobnością. Czy nie mógłbyś dowiedzieć się pod jakimbądź pozorem, czy ten wóz jest lekki czy ciężki. Chciałbym mieć zupełnie taki sam, pod względem wagi i wielkości. Gdyby ci się nie udało zasięgnąć innych wiadomości, to przynieś mi przynajmniej wymiar, jak wysoko jest oś od ziemi. Rozumiesz, Mal-

luchu? Idzie mi o to, żeby nie miał nademną jakiej materjalnej wyższości. O świetność jego nie dbam; jeśli go pokonam, tem sromotniejszy będzie jego upadek, tem zupełniejszy mój tryumf. Ale jeśli będzie miał po swej stronie jaką rzeczywistą przewagę, to chciałbym o niej wiedzieć.

— Rozumiem, rozumiem,—odpowiedział Malluch —żądasz, żebym wymierzył wysokość osi od środkowego jej punktu do ziemi.

— Odgadłeś, mój Malluchu; ciesz się, bo to już ostatnie zlecenie. Wróćmy teraz do dowaru.

U drzwi namiotu zastali niewolnika, napełniającego okopcone flaszki świeżo przygotowanym zimnym napojem. Przystanęli, żeby się orzeźwić, i Malluch powrócił niebawem do miasta.

Podczas ich nieobecności został wyprawiony z 2 rozkazami goniec na dobrym koniu, stosownie do rady Simonidesa. Byłto arab. Nie wziął on z sobą żadnego pisma.

## ROZDZIAŁ II.

— Przychodzę od Iras, córki Baltazara, z ukłonem i zleceniem—rzekł sługa do Ben-Hura, wypoczywającego w namiocie.

— Jakież to zlecenie?

— Czy nie zechciałbyś pływać z nią po jeziorze?

— Ja sam zaniosę odpowiedź -- powtórz swej pani te słowa.

Niewolnik przyniósł obuwie i w kilka minut wybrał się Ben-Hur do pięknej egipcjanki. Góry rzucały cienie na Gaj Palmowy. Poprzez drzewa dochodził dźwięk dzwonków u szyi owiec, ryk bydła i głosy pasterzy, odprowadzających stada do domu. Należy pamiętać, że w Gaju życie było tak pasterskie pod każdym względem, jak na uboższych błoniach pustyni.

Szeik Ilderim znajdował się na igrzyskach popołudniowych, które były powtórzeniem rannych. Następnie udał się do miasta, wskutek zaproszenia, otrzymanego od Simonidesa. Mógł on powrócić w nocy; ale ze względu na to, że miał wiele do mówienia z przyjacielem, nie było to prawdopodobne. Ben-Hur, pozostawszy sam jeden, udał się do koni, któremi zajmowała się służba. Orzeźwił on się, obmył w jeziorze, włożył na siebie codzienne szaty, całe białe, jak przystało saducejczykowi czystej krwi,—zjadł wieczerzę i dzięki siłom młodzieńczym, przyszedł całkiem do siebie po gwałtownem zmęczeniu porannem.

Nie jest ani rozsądnem ani szczerem twierdzenie, że piękność nie jest przymiotem. Delikatna dusza nie może być obojętną na jej wpływ. Historja Pygmaljona i jego posągu jest zarówno naturalna jak poetyczna. Piękność sama przez się jest po-

tęgą, a piękność właśnie pociągała teraz ku sobie Ben-Hura.

Egipcjanka była w jego oczach przecudnej urody dziewoją, tak z twarzy jak i z kształtów. Zawsze ukazywała mu się w myśli taką, jak ją zobaczył u źródła; czuł wpływ jej głosu, tem słodszego, że przez wdzięczność mówiła doń przez łzy, wpływ jej oczu—tych wielkich, łagodnych, czarnych oczu w podłużnej oprawie, charakteryzującej jej rasę,—oczu, które tak wiele wyrażały, że najbogatsza mowa nie zdołałaby tego oddać. Raz poraz stawała mu na myśli jej postać wyniosła, szczupła, kształtna, wykwintna, otulona w sute spływające draperje. Gdyby chciała, mogła ona, jak sulamitka, i w tem samem znaczeniu, być dla mężczyzn tak straszną, jak całe wojsko z chorągwiami. Innemi słowy, gdy się nasunęła jego wyobraźni, przypomniał mu się wraz z nią namiętny śpiew Salomona, natchniony jej obecnością. Z tem wrażeniem i tem uczuciem szedł się przekonać, czy ona usprawiedliwi takowe. To, co uczuwał na jej widok, nie było miłością; nie, było to raczej uwielbienie i zaciekawienie,—może zwiastuny miłości.

Debarkader był bardzo prosty; składał on się tylko ze wschodów i platformy otoczonej słupami, na których lampy stały. U szczytu wschodów zatrzymał Ben-Hura zachwycający obraz.

Na przezroczu wód spoczywała szalupa, lekka niby skorupa od jajka. Etjopczyk, ten sam, co był poganiaczem wielbłądów u źródła kastalskiego, zaj-

mował miejsce wioślarza. Wydawał się on tem czarniejszy, że miał na sobie olśniewająco białą liberją. Cała łódź była wyłożona poduszkami i jaskrawym kobiercem styryjskiej barwy czerwonej. Przy sterze siedziała sama egipcjanka, otulona szalami indyjskiemi i niby mgłą cienkiemi zasłonami. Ręce miała obnażone do ramion, a nie były one piękne jedynie pod względem kształtów, ale przykuwały do siebie oko układem swym, ruchami i wyrazem. Ręce, nawet palce zdawały się mieć wdzięk i znaczenie; każdy zosobna tworzył piękną całość. Na ramiona i szyję zarzuciła ona lekki szal, który ich jednak nie zasłaniał.

Ben-Hur, spojrzawszy na nią, nie dostrzegł tych szczegółów. Doznał on poprostu wrażenia, które, jak silne światło, jest tylko sensacją, nie przyglądaniem się drobiazgowem lub wyszczególnianiem.— Usta twoje są jako nić szkarłatna, skronie twoje jako kwiat granatu pomiędzy zwojami włosów. Podnieś się moja ukochana, moja piękna, i odejdź ztąd, bo zima minęła, deszcze przeszły, kwiaty ukazały się na ziemi, nastaje pora śpiewu ptasząt, zdaleka dochodzi gruchanie gołąbków... Tak to wyglądało wrażenie młodzieńca, oddane słowami.

— Zbliż się, — powiedziała, zobaczywszy, że przystanął, — zbliż się, bom gotowa myśleć, że zły z ciebie wioślarz.

Na jego różową twarz wystąpiły żywe rumień-

ce. Miałażby co wiedzieć o jego życiu na morzu? Zeszedł natychmiast na platformę.

— Lękałem się, — powiedział, zajmując wolne miejsce naprzeciwko niej.

— Czego?

— Żeby łódź nie zatonęła – odpowiedział z uśmiechem.

— Zaczekaj, aż wody będą głębsze,—odezwała się znowu, dając znak murzynowi, który uderzył wiosłem.

Odbili od brzegu.

Jeśli miłość i Ben-Hur byli wrogami, to ten ostatni nigdy jeszcze nie był tak dalece na łasce swego nieprzyjaciela. Egipcjanka siedziała tak, że musiał ją widzieć, ją, ów wymarzony ideał. Oczy jej rzucały taki blask, że choć gwiazdy zgasły, on tego nie spostrzegł. Mogły go otoczyć ciemności, bo jej spojrzenie było dlań światłem. Każdemu wiadomo, że młodzieniec, mający taką towarzyszkę, nigdy tak dalece nie ulega wpływowi wyobraźni, jak letnią porą, na cichych nurtach wód, pod spokojnem niebem wieczornem Tak łatwo wtedy niespostrzeżenie przejść od rzeczywistości do ideału!

— Daj mi ster,—rzekł młodzian.

— Nie—odpowiedziała- toby zmieniło nasz stosunek. Alboż nie ja zażądałam, żebyś popłynął ze mną? Zaciągnęłam dług względem ciebie, chcę się więc z niego zacząć wypłacać. Ty możesz mówić, a ja słuchać będę; albo ja będę mówiła, a ty słuchaj.

Wybór zależy od ciebie, ale tylko co do tego, dokąd podążymy i którędy.

— Jakiż ma być cel naszej wycieczki?

— Znowu się lękasz?

— O piękna egipcjanko, ja ci tylko zadałem pierwsze pytanie każdego niewolnika.

— Nazywaj mię Egiptem.

— Wolałbym nazywać cię: Iras.

— Możesz mi dawać to imię w myśli, ale głośno nazywaj mię Egiptem.

— Egipt jest krajem i służy za miano narodowi całemu.

— Tak, tak! I jakim krajem!

— Rozumiem; jedziemy do Egiptu.

— Ach, gdybyż tam! Jakże byłabym rada! Westchnęła.

— Więc o mnie ci nie chodzi—powiedział.

— Ach, poznaję po tem, żeś tam jeszcze nie był.

— Nigdy nie byłem.

— O, to jest kraina, w której niema nieszczęśliwych; kraina pożądana przez ludzkość całą; matka wszystkich bogów, a tem samem najwyższe dobro. Tam, o synu Izraela, szczęśliwy znajduje większą szczęśliwość, a upośledzeni od losów, gdy raz tylko napiją się słodkiej wody z rzeki świętej, śmieją się i śpiewają, weseli jak dzieci.

— Czy u was niema nędzarzy?

— Nędzarzami w Egipcie są ci, co mają skromne potrzeby i chęci,—odpowiedziała.—Oni poprze-

stają na tem; co niezbędne, a jak to mało znaczy, nie może tego wiedzieć ani grek ani rzymianin.

Roześmiała się.

— Mam ogród róż, a pośród niego znajduje się jeden krzew najsuciej obsypany kwiatem. Zkąd on pochodzi? Jak sądzisz?

— Z Persji, ojczyzny róż.

— Nie.

— A więc z Indyj...

— Nie.

— Z jednej z wysp greckich...

— Słuchajże — powiedziała, — pewien podróżny znalazł go usychającym w dolinie Refaima.

— W Judei!

— Zasadziłam ten krzew w wilgotnej ziemi; po odpływie Nilu łagodny wiatr południowy wiał po pustyni i wyżywił go, a słońce całowało go z litości. Teraz stoję pod cieniem tego krzewu, a on mi dziękuje swą wonią. Jak z różami, tak i z izraelitami: gdzież oni mogą dojść do najwyższej doskonałości, jeśli nie w Egipcie?

— Mojżesz był tylko jednym z miljonów.

— To był marzyciel... Zapomnij o nim.

— Przyjaźni Faraonowie pomarli.

— Ach tak! Rzeka, nad którą leżą, śpiewa im w grobach. Ale to samo słońce łagodzi to samo powietrze dla tych samych ludzi.

— Aleksandrja jest tylko rzymskiem miastem.

— Zmieniła tylko rodzaj panowania. Cezar ode-

brał jej miecz, a pozostawił w jego miejscu berło nauki. Chodź ze mną do Bruchejum, a pokażę ci akademją narodów; pójdź do Serapejum, a zobaczysz doskonałość architektury; idź do bibljoteki, a będziesz tam czytał nieśmiertelnych; pójdź do teatru, a zobaczysz przedstawianych bohaterów greckich i hinduskich; zejdź do portu i oblicz zdobycze handlu; zejdź ze mną na ulice, o synu Arrjusza, a gdy się filozofowie rozpierzchną i zabiorą z sobą mistrzów sztuk, gdy wszyscy bogowie odbiorą już ofiary i ludziom pozostanie tylko myśleć o uciechach, do końca dnia, posłyszysz opowieści, które bawiły człowieka od początku wieków, i pieśni, co nigdy, nigdy nie zamilkną.

Słuchając, przeniósł się Ben-Hur myślą w tę noc, kiedy w letnim domku, w Jerozolimie, matka jego z taką samą poezją, z takim samym patrjotyzmem deklamowała utraconą chwałę Izraela.

— Rozumiem teraz, dlaczego żądasz, bym cię nazywał Egiptem. Czy zaśpiewasz mi, jeśli cię nazwę tem imieniem? Słyszałem cię wczorajszej nocy.

— Byłto hymn o Nilu, — odpowiedziała — śpiewam go zawsze, gdy sobie chcę wyobrazić, że oddycham powietrzem pustyni i słyszę szmer mojej drogiej rzeki; ale wolę ci zaśpiewać indyjską pieśń. Gdy będziemy w Aleksandrji, zaprowadzę cię do córy Gangesu, która mię jej nauczyła. Pieśń ta opiewa kapilę, jednego z najbardziej czczonych mędrców hinduskich.

Tu, jak gdyby śpiew był jej naturalną mową zaczęła nucić rzewną pieśń.

Ben-Hur nie miał czasu wyrazić wdzięczności za śpiew, kiedy dno łodzi zgrzytnęło na piasku podwodnym i po chwili dziób jej uderzył o brzeg.

— Krótka podróż, o Egipcie!—zawołał.

— I krótszy jeszcze przystanek!—odpowiedziała, gdy murzyn pchnął silnie łódź na wodę.

— Oddaj mi teraz ster.

— O nie,—odezwała się ze śmiechem.—Dla ciebie rydwan, dla mnie łódź. Przypływamy po prostu do brzegu jeziora, a nauka ztąd taka, żem nie powinna więcej śpiewać. Kiedyśmy już byli w Egipcie, udajmyż się teraz do gaju Dafne.

— Bez pieśni?—zapytał błagalnie.

— Powiedz mi co o tym rzymianinie, od którego wybawiłeś nas dzisiaj,—rzekła piękność.

Żądanie to niemile dotknęło Ben-Hura.

— Chciałbym, żeby to były nurty Nilu—odpowiedział wymijająco, — królowie i królowe, którzy śpią od tak dawna, wyszliby może ze swych grobów i popłynęliby z nami.

— Byłyto kolosy, więc zatopiłyby naszą łódź: wolałabym raczej pigmejów. Ale mówże o rzymianinie.

— Czy to bardzo zły człowiek?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy pochodzi ze szlachetnego rodu? Czy bogaty?

— Nie mogę mówić o jego bogactwie.

— Piękne ma konie i wóz ze złota na kołach z kości słoniowej. A jaki jest odważny! Przechodnie śmieli się, gdy przejeżdżał, oni, co o mało nie legli pod jego kołami.

Wspomnienie to pobudziło ją do śmiechu.

— To był sam motłoch,—odezwał się Ben-Hur z goryczą.

— Musi on być jednym z tych potworów, o których powiadają, że wyrastają w Rzymie,—Apollo, wściekły jak cerber. Czy on stale mieszka w Antjochji?

— Podobno przybył tu ze wschodu.

— Egipt byłby dlań odpowiedniejszem miejscem, aniżeli Syrja.

— Wątpię,—odpowiedział Ben-Hur,—niema już Kleopatry.

W tej chwili ukazały się lampy, płonące u drzwi namiotów.

— Oto dowar,—zawołała.

— Ach, więc nie byliśmy w Egipcie: nie widziałem Karnaku, Philae ani Abydos, a te wody nie są Nilem. Słyszałem tylko pieśń indyjską i pływałem we śnie.

— Philae, Karnak... Żałuj raczej, żeś nie widział Ramezesu w Aboo Simbel, na który patrząc, łatwo jest myśleć o Bogu, stwórcy nieba i ziemi. Ale na co się zda żałować czegokolwiek? Płyńmy dalej... Śpiewać nie będę—rzekła ze śmiechem—bom ci

to zapowiedziała, ale mogę zastąpić śpiew opowieścią egipską.

— O mów do świtu... do wieczora... do jutrzejszego ranka.—zawołał namiętnie.

— O czem mam opowiadać, czy o matematykach?

— O, nie.

— O filozofach?

— Nie, nie.

— O magikach i genjuszach?

— Jeśli chcesz...

— O wojnie?

— Tak.

— O miłości?

— Tak.

— Opowiem ci o uleczeniu z miłości. Jestto historja pewnej królowej. Słuchaj z poszanowaniem... Papyrus, na którym kapłani wyczytali tę historją, został wyrwany z rąk samej bohaterki. Jest ona skreślona w bardzo pięknej formie i musi być prawdziwą.

## Ne-ne-hofra.

### I.

— Każdemu z ludzi życie inaczej się układa.

Niczyje życie nie płynie w prostej linji.

Najdoskonalszy nawet żywot rozwija się w postaci koła: nie wiadomo, gdzie jego początek, a gdzie koniec.

Uczciwe życie, to klejnot Boga. Nosi je w uroczyste dni na serdecznym palcu.

II.

Ne-ne-Hofra mieszkała w domu nieopodal Essuanu, a jeszcze bliżej pierwszej katarakty— tak blizko, że siedziba jej zdawała się uczestniczyć w wiecznej walce pomiędzy rzeką a skałami.

Z każdym dniem przybywało jej urody. Mówiono więc, jak o makach w ogrodzie jej ojca: Co to będzie w porze kwitnięcia? Każdy rok jej życia był początkiem nowej pieśni, jeszcze rozkoszniejszej od poprzednich.

Dziewica ta była owocem związku Północy, graniczącej z morzem, oraz Południa, stykającego się z górami Księżycowemi. Południe dało jej namiętność, a Północ genjusz swój; patrząc na nią, śmieli się rodzice, i żadne z nich nie mówiło: ona jest moją, lecz—ona jest naszą.

Wszystkie doskonałości natury składały się na doskonałość tej dziewoi i radowały się jej obecnością. Gdy przechodziła, ptaki trzepotały skrzydłami na powitanie, ostry wiatr zmieniał się w łagodny powiew zefiru, biały lotus wyłaniał się z toni wód i żeby ją zobaczyć, poważna rzeka ustawała w biegu, palmy pochylały się. Jedna zdawała się mówić: jam jej dała mój wdzięk; inna—ja użyczyłam blasku: jeszcze inna—odemnie wzięła czystość. Każda miała jakiś skarb dla niej.

W 12-stym roku życia, Ne-ne-hofra była rozkoszą

Essuanu; w 16-stym zasłynęła z piękności na całym świecie; w 20-tym, nie było dnia, żeby przed domem jej książęta z pustyni nie zsiadali z szybkonogich wielbłądów, a władcy egipscy nie przypływali złoci stemi czółny. Jedni i drudzy, zawiedzeni w nadziejach, głosili wszędzie: Widziałem ją... to nie kobieta, to sama Athor.

III.

Z pomiędzy 320-tu następców króla Menesa, 18 było etjopczykami; z tych Oraetes, mający sto trzynaście lat, panował od lat 76-ciu. Za jego rządów ludność mnożyła się a kraj obfitował we wszelkie płody ziemi. Był to król mądry, bo wielce doświadczony. Mieszkał on stale w Memfis, gdzie miał główny pałac, arsenały i skarbce, ale bywał często w Butor, żeby się zobaczyć z Latoną.

Dobry król stracił żonę. Chociaż była tak stara, że nie dało się ją dobrze zabalsamować, on ją kochał i był niepocieszony w żalu. Jeden z niewolników, widząc to, ośmielił się pewnego dnia powiedzieć doń:

O, Oraetesie, mocno mię to dziwi, że tak wielki i rozumny mąż nie potrafi się wyleczyć z podobnego zmartwienia.

— Daj mi jaki sposób,—rzecze król.

Niewolnik ucałował trzykrotnie ziemię, poczem wiedząc, że zmarła nie może go słyszeć, powiedział:

„W Essuanie mieszka Ne-ne-hofra, tak piękna jak Athor, co słynęła z urody. Poślij po nią. Odrzuciła rękę wielu książąt i królów, ale któżby odpowiedział „nie“ Oraetesowi?

IV.

Ne-ne-hofra płynęła po wodach Nilu tak wspaniałą barką, jakiej oko ludzkie nigdy nie oglądało za nią zaś mknęły mało co skromniejsze łodzie, napełnione wojskiem. Cała Nubja, Egipt. mirjady z Libji, mnóstwo troglodytów i wielka liczba makrobów z poza gór Księżycowych,—wszyscy wylęgli na brzegi, żeby zobaczyć orszak, party przez wonne powiewy wiatrów i złociste wiosła.

Ne-ne-hofrę, urodzoną pomiędzy szeregami sfinksów i lwów skrzydlatych, poprowadzono przed Oraetesa, siedzącego na tronie, umyślnie dlań zbudowanym na rzeźbionym pylonie pałacowym. Posadził on dziewicę obok siebie, włożył jej *uraeus* na ramię, pocałował ją, i Ne-ne-hofra została królową nad królowemi.

Ale to nie wystarczało rozumnemu Aertesowi: on pragnął miłości i królowej, którąby jego miłość uszczęśliwiła. Obchodził się więc z nią tkliwie, pokazywał jej swoje posiadłości, miasta, pałace, luly, i okręty. Własną ręką oprowadzał po swym skarbcu. mówiąc: O, Ne-ne-hofro, daj mi tylko gorący pocałunek, a wszystko to będzie twojem.

W nadziei, że pozyska nieznane jej dotąd szczęście, pocałowała go raz, dwa, trzy razy... trzy razy pocałowała, mimo jego stu trzynastu lat.

W pierwszym roku była szczęśliwą i ten rok szybko upłynął; w drugim odbiegło ją szczęście... rok ten ciągnął się bardzo długo. Wtedy to otworzyły się jej oczy, że nie kochała Oraetesa, lecz była tylko olśniona jego wielkością. Czemuż to olśnienie nie trwało dłużej! Odtąd wesołość jej znikła; wciąż tylko roniła łzy; służebnice zapomniały, kiedy się rozlegał jej śmiech. Z róż, co kwitły na jej licu, pozostały tylko popioły; nikła ona i więdła zwolna lecz bez przerwy. Niektórzy utrzymywali, że ją prześladują furje za srogą obojętność względem młodziana, który ją miłował; inni, że ją urzekł któryś bóg, zazdrosny o Oraetesa. Cokolwiek bądź było przyczyną tego zamierania, zaklęcia czarodziejów nie uzdrawiały jej, przepisy lekarzy pozostawały również bez skutku. Ne-ne-hofra była skazaną na śmierć.

Oraetes obrał już dla niej kryptę w grobowcach królowych. Sprowadził najznakomitszych rzeźbiarzy i malarzy do Memfisu i kazał im tak ozdobić kryptę, żeby przewyższała wszystkie, znajdujące się w wielkich galerjach zmarłych królów.

— O, tyś piękna jak sama Athor, królowo moja! rzekł król, który pomimo stu trzynastu lat życia, gorąco ją kochał.—Powiedz, zaklinam cię, jaki ból cię zabija w mych oczach.

— Przestaniesz mię kochać, jeśli ci powiem,— odrzekła drżącym głosem.

— Możnaż cie nie kochać! Miłość moja wzrosłaby. Przysięgam na duchy Amente! Na oczy Ozyrysa, przysięgam! Mów! wykrzyknął namiętni e jako kochanek i rozkazująco—jako król.

— A więc wysłuchaj mię,—powiedziała,—w pieczarze, opodal Essuanu, osiadł pustelnik najstarszy i najświętobliwszy ze wszystkich. Na imię mu Menofa Był on mistrzem i opiekunem moim. Poślij po niego o Oraetesie: on ci odpowie na to, o coś pytał przed chwilą i pomoże ci uleczyć mię.

Uradowany Oraetes podniósł się i odszedł, odmłodzony o sto lat.

V.

— Mów!—zawołał Oraetes do Menofy w pałacu w Memfis.

— Wielki królu,—rzecze pustelnik,—gdybyś był młody, nie mógłbym odpowiedzieć, ale że wiek twój podeszły, wyznam, że królowa, tak jak inni śmiertelnicy, pokutuje za popełnioną zbrodnię.

— Za zbrodnię!—gniewnie wykrzyknął król.

— Tak, za zbrodnię względem siebie samej.

— Nie chcę zagadek,—rzecze Oraetes

— To, co mówię, nie jest zagadką, jak się zaraz przekonasz, o królu. Ne-ne-hofra wzrosła pod mojem okiem i zwierzała mi się ze wszystkiem; wiem

przeto, że się zakochała w Barbeku, synu ogrodnika swego ojca.

Zachmurzona twarz Oraetesa zaczęła się rozjaśniać.

Z tą miłością w sercu, o królu, przybyła do ciebie i ta miłość ją zabija.

— Gdzie się znajduje obecnie ten syn ogrodnika?— zapytał Oraetes.

— W Essuanie.

Król wyszedł i wydał dwa rozkazy. Do jednego z niewolników rzekł: Spiesz do Essuanu i przyprowadź mi tu młodzieńca, imieniem Barbek. Znajdziesz go wogrodzie ojca królowej. Do drugiego powiedział: zgromadź robotników, bydło i narzędzia. Niechaj powstanie na jeziorze Chemmis wyspa, która chociaż dźwigać będzie świątynie, pałac, ogród, przeróżne drzewa owocowe i wina wszelkiego gatunku, ma pływać na falach, parta powiewem wiatrów. Wyspa ta koniecznie musi być gotową, zanim nastanie nów księżyca.

Następnie rzekł do królowej:

— Pociesz się... Wiem o wszystkiem i posłałem po Barbeka.

Ne ne-hofra ucałowała mu ręce.

— Będziesz go miała dla siebie wyłącznie i on żyć będzie dla ciebie jednej: nikt i nic wam nie przeszkodzi przez rok cały.

Ucałowała mu nogi. On ją podniósł i także uca-

łował. Róże powróciły na jej lica, purpura na usta, a wesołość do serca.

## VI.

Rok cały Ne-ne-hofra i ogrodnik Barbek pływali na wyspie Chemmis, jednym z cudów świata. Nigdy miłość nie miała piękniejszego gniazdka. Cały rok nie widzieli nikogo, prócz siebie i cały rok żyli tylko jedno dla drugiego. Po upływie tego czasu, powróciła ona, z wielką okazałością, do pałacu w Memfis.

— Którego z nas kochasz teraz więcej?—zapytał król.

Ucałowała mu twarz i rzekła: weź mię napowrót, o dobry królu,—jestem uleczona.

Oraetes roześmiał się wesoło pomimo swych stu czternastu lat.

— A więc Menofa prawdę powiedział: ha! ha! ha! prawdę powiedział. Miłość leczy się miłością.

— Tak jest—rzekła.

Nagle starzec zmienił się na twarzy; wzrok jego stał się straszny.

— Ja myślę inaczej,—powiedział.

Cofnęła się przerażona.

— Zbrodniarko!—mówił dalej. — Zniewagę twą względem Oraetesa jako człowieka wybaczam, ale względem Oraetesa króla—muszę ukarać.

Padła mu do nóg.

— Umrzesz! wykrzyknął.

Klasnął w ręce i rozpoczął się straszny pochód! Byli to *parachistesi*, balsamujący zmarłych. Każdy z nich niósł w ręku jaki przyrząd lub substancję do swego okropnego rzemiosła.

Król wskazał na Ne-ne-hofrę, mówiąc:

— Ona już nie żyje, weźcie się do dzieła.

## VII.

Po upływie dni 72-ch, piękną Ne-ne-hofrę zaniesiono do krypty, wybranej przed rokiem i złożono obok królowych, jej poprzedniczek; ale wzdłuż świętego jeziora nie było pochodu pogrzebowego na jej cześć.

Gdy egipcjanka skończyla swą opowieść, Ben-Hur siedział u jej nóg, trzymając swą rękę na rączce, która sterowałą.

— Menofa mylił się, — powiedział.

— Dlaczego?

— Miłość żyje miłością.

— Więc niema na nią lekarstwa?

— Owszem, Oraetes je znalazł.

— Jakież to lekarstwo?

— Śmierć.

— Dobrze słuchasz, o synu Arrjusza.

Kilka godzin jeszcze pływali po toniach jeziora. Przybiwszy do brzegu, piękna egipcjanka rzekła:

— Jutro udamy się do miasta.

— Będziesz na igrzyskach? –zapytał.
— O, będę. Przyślę ci moje barwy.
Z temi słowy rozstali się oni.

.........................

## ROZDZIAŁ III.

Następnego dnia powrócił Ilderim do dowaru około 3-ej godziny. Gdy zsiadł z konia, zbliżył się doń człowiek, w którym poznał członka swego pokolenia—i rzekł: O szeiku, polecono mi oddać ci tę posyłkę i prosić, byś jej zawartość zaraz przejrzał. Jeśli będzie odpowiedź, to na nią poczekam.

Szeik obejrzał pakiet, pieczęć była złamana, podpis zaś opiewał: Walerjusz Gratus w Cezarei.

— Niech czarci porwą—zawołał Ilderim, widząc że list skreślony jest w obcej dla niego łacinie. Gdyby pismo było greckie lub arabskie, to byłby je przeczytał, a tak mógł rozpoznać tylko adres napisany rzymskiemi dużemi literami.—Ale cóż to... podpis złożony z takich samych liter, „Messala“. Oczy mu zabłysły.

— Gdzie jest młody izraelita?—zapytał.

— Z końmi na polu gonitw—odpowiedział jeden ze sług.

Szeik obwinął list w płótno, włożył go za pas, i wsiadł na koń. W tejże chwili ukazał się obcy jakiś człowiek, który, jak się zdawało, przybywał z miasta.

— Szukam szeika Ilderima, zwanego dobrotliwym, — rzekł.

Mowa i ubiór zdradzały rzymianina.

Ilderim nie umiał czytać rzymskiego pisma, ale potrafił się rozmówić: odpowiedział więc z godnością,

— Jam jest szeik Ilderim.

Nieznajomy spuścił oczy, potem podniósł je, i widocznie siląc się na spokój, przemówił:

— Słyszałem, że potrzebujesz woźnicy na czas igrzysk.

Usta Ilderima ściągnęły się pod białą brodą do wzgardliwego uśmiechu.

— Odejdź...—rzekł,— mam już woźnicę.

Zawrócił konia, żeby pojechać w dalszą drogę, ale nieznajomy, stojąc wciąż w miejscu, odezwał się znowu:

— Szeiku, ja mam zamiłowanie do koni, a ty podobno posiadasz najpiękniejsze w świecie.

Starzec zmiękł i ściągnął lejce, jak gdyby chciał się dać skusić pochlebstwu; ale się rozmyślił i odpowiedział. „Nie dziś, nie dziś. Kiedyindziej pokażę ci je. W tej chwili nie mam czasu.

Pojechał na pole igrzysk, a przybysz z uśmiechem odwrócił się ku wsi. Spełnił swą misją.

Odtąd, codzień aż do uroczystego dnia igrzysk,

przychodził jeden człowiek, a czasami dwóch lub trzech, do Gaju Palmowego pod pozorem, że chcieliby przyjąć obowiązki woźnicy u szeika.

W taki to sposób Messala czuwał ustawicznie nad Ben-Hurem.

---

## ROZDZIAŁ IV.

Szeik, bardzo zadowolony, czekał, dopóki Ben-Hur nie sprowadził koni z pola gonitw po przedpołudniowych ćwiczeniach,—bardzo zadowolony, powiadamy, bo widział, że araby jego, wyprzedziwszy inne konie, biegły jak jeden, i żaden nie zdawał się ani szybszy od reszty, ani powolniejszy.

— Dziś po południu, o Szeiku, oddam ci Syrjusza,—odezwał się Ben-Hur, klepiąc starego konia po szyi.—Zwrócę ci go a wezmę wóz.

— Tak prędko?—Zapytał Ilderim.

— Z takiemi końmi jeden dzień wystarcza, dobry Szeiku. Nie lękają się, inteligentne są jak człowiek i lubią ćwiczenia. Ten oto jest najszybszy—ściągnął lejc na grzbiecie najmłodszego z czwórki.—Zdaje mi się, żeś go nazwał Alderabanem. W jednym biegu dokoła pola wyprzedziłby inne dwa lub trzy razy.

Ilderim pogłaskał brodę i z oczu iskry sypiąc, rzekł:

— Alderaban jest najszybszy... a który najpowolniejszy?

— Oto ten.—Ben-Hur ściągnął znów lejce na Antarsie.—Oto ten.. ale on wygra, bo widzisz, szeiku, będzie szedł cały dzień... cały dzień, a gdy słońce zajdzie, będzie biegł najszybciej.

— Prawdę mówisz,—rzekł z uniesieniem starzec.

— Jednego się tylko lękam, szeiku.

Ilderim natężył uwagę.

— Gdy rzymianin chce odnieść tryumf, nie cofa się on przed hańbą. Uważaj... oni wszyscy uciekają się, przy igrzyskach, do nieprzeliczonych wybiegów. Podczas wyścigów wozowych, ich chytrość rozciąga się do wszystkiego: od konia do woźnicy, od woźnicy aż do jego pana. Dlatego to, o dobry szeiku, czuwaj nad wszystkiem, co posiadasz. Nie dozwól, żeby ktoś obcy oglądał twe konie od tej chwili do końca ćwiczeń. Jeśli chcesz być zupełnie bezpieczny, to uczyń więcej—pilnuj ich z bronią w ręku i z niezmrużonem okiem. W takim razie nie będę się obawiał rezultatu.

U wejścia do namiotu zsiedli z koni.

— Życzenie twoje zostanie spełnione. Na chwałę Boga, niczyja ręka ich nie dotknie, prócz moich zaufanych sług. Na dzisiejszą noc postawię straż. Ale o synu Arrjusza.. Ilderim wydobył list i otwierał go zwolna, podczas gdy szli do sofy i siadali na niej. Synu Arjusza, spojrzyj na to i dopomóż mi swoją łaciną

Podał pismo Ben-Hurowi.

— Masz, czytaj, czytaj głośno i tłómacz na język ojczysty. Łacina jest wstrętna.

Ben-Hur, dosyć wesół w tej chwili, zaczął czytać z niechcenia: „*Messala do Gratusa*". Zawiesił głos; opanowało go przeczucie, pod wpływem którego fala krwi przypłynęła mu do serca, Ilderim zauważył jego wzburzenie.

— Cóż?... czekam.

Ben-Hur przeprosił go za przerwę i wziął się znów do czytania. Pismo to było kopją listu, wysłanego z takiemi ostrożnościami do Gratusa, przez Messalę, następnego ranka po bankiecie, wyprawionym w pałacu.

Początkowe ustępy odznaczały się tylko tem, że piszący nie odzwyczaił się od żartów. Gdy Ben-Hur doszedł do miejsca, w którem tenże starał się odświeżyć pamięć Gratusa, głos mu zadrżał i dwa razy przerywał czytanie, żeby zapanować nad wzruszeniem. Przypomnę ci jeszcze i to,—ciągnął dalej z wielkim wysiłkiem—żeś tak postąpił z rodziną Hurów,—tu młodzieniec odetchnął głęboko,—jak się nam zdawało wtedy najskuteczniej dla osięgnięcia celu, to jest pokrycia wszystkiego tajemnicą i wyprawienia chłopca na nieunikniona lecz naturalną śmierć.

Ben-Hur umilkł, wypuścił papier z rąk i zakrył sobie twarz.

— One nie żyją—nie żyją! Zostałem sam jeden.

Szeik był milczącym ale nie obojętnym świadkiem

cierpień młodzieńca. Podniósł się po niejakiej chwili i rzekł: Synu Arrjusza, winienem cię przeprosić. Przeczytaj sam na sam to pismo. Gdy się będziesz czuł na siłach doczytać mi resztę, przyślij po mnie, a stawię się natychmiast.

Wyszedł z namiotu. W całem jego życiu nie było tak szlachetnej chwili.

Ben-Hur rzucił się na sofę i dał swobodny bieg swym uczuciom. Gdy ochłonął nieco, przypominało mu się, że część listu, jeszcze nie przeczytana; wziął go więc znowu do ręki. Przypomnij sobie, —pisał Messala,—coś zrobił z matką i siostrą złoczyńcy; ale jeśli zapytam, czy żyją lub nie"—Ben-Hur, zadrżał; czytał i odczytywał te słowa, a nakoniec wykrzyknął: On nie wie? Błogosławione niech będzie imię Pana! Jeszcze jest nadzieja!". Dokończył zdanie; dodało mu ono otuchy, śmiało więc doczytał list do końca.

— Nie umarły,—rzekł po chwili zastanowienia,—nie umarły, bo on wiedziałby o tem.

Drugie, uważniejsze odczytanie utwierdziło go w tem przekonaniu. Posłał po szeika.

— Skorom przybył do twego gościnnego namiotu, o Szeiku,—rzekł spokojnie, gdy arab usiadł i pozostali sami,—miałem zamiar powiedzieć ci o sobie to tylko żem już dosyć odbywał gonitw, byś mi mógł powierzyć konie swoje. Nie chciałem ci opowiadać moich dziejów, ale jest to tak szczególny traf, że pismo to doszło do moich rąk i żem je mógł

przeczytać, iż czuję się obowiązany zwierzyć ci się ze wszystkiem. Tem skłonniejszy jestem uczynić to, że, jak się tu dowiaduję, obu grozi nam jeden wróg, przeciw któremu powinniśmy bronić się wspólnie. Przeczytam ci list i objaśnię go: przestaniesz się dziwić, żem był tak wzburzony. Jeślim ci się wydał słaby lub dziecinny, to mię teraz uniewinnisz.

Szeik siedział cicho, słuchając pilnie, dopóki Ben-Hur nie doszedł do słów: „Widziałem wczoraj żyda tego w Gaju Dafne. Jeśliby go tam nie było, to z pewnością musi być w sąsiedztwie, więc będzie mi łatwo mieć go na oku. Gdybyś mię zapytał, gdzie się znajduje obecnie, odpowiedziałbym z największą pewnością: w starym Gaju Palmowym:

— Ach!—zawołał Ilderim takim tonem, że trudnoby odgadnąć, czy jest bardziej zdziwiony, czy gniewny. Jednocześnie chwycił się za brodę.

— W starym Gaju Palmowym,—czytał Ben-Hur, —w namiocie zdrajcy Ilderima.

— Zdrajca!—Ja!—zawołał starzec swym krzykliwym głosem; broda mu się trzęsła, usta skurczył gniewnie, a na czole i szyi żyły tak wezbrały i pulsowały, jak gdyby miały pęknąć.

— Jeszcze chwilę, Szeiku, – rzekł Ben-Hur z błagalnym gestem.—Taki jest sąd Messali o tobie, wysłuchaj teraz jego groźby: Pod namiotem zdrajcy, szeika Ilderima,—czytał dalej—który nie może już długo uchodzić naszej silnej ręki. Nie dziw się temu, że

Masencjusz kazał przedewszystkiem wsadzić araba na okręt i wyprawić go do Rzymu.“

— Do Rzymu! Mnie, Ilderima—Szeika 10,000 konnicy z włóczniami—mnie do Rzymu!

Skoczył raczej aniżeli wstał, wyciągnął ramiona, palce rozstawił zgięte w kabłąk niby szpony, oczy jego nabrały wyrazu oczu węża.

— O Boże!—nie, na wszystkich bogów, prócz rzymskich!—Kiedyż się skończy to zuchwalstwo? Jam wolny człowiek i ludzie też moi wolni, mamyż umierać niewolnikami? Lub, co gorsza, miałżebym żyć jak pies, czołgając się u nóg pana? Miałżebym lizać rękę, która mię chłoszcze? To, co moje, nie jest mojem... ja sam nie należę do siebie! Za każde tchnienie mam być obowiązany rzymianinowi? Ach czemuż nie jestem młody! Ach, czemuż nie może mi ubyć ze 20—albo 10—albo 5 lat!

Zgrzytał zębami i rękami wstrząsał nad głową. Potem, pod wpływem innej myśli, odszedł, znowu spiesznie wrócił do Ben-Hura i porwał go silnie za ramię.

Gdybym był jak ty, synu Arrjusza,—taki młody taki silny, taki wyćwiczony w sztuce wojennej,—gdybym miał pobudkę, podżegającą mię do zemsty,—pobudkę taką, jak twoja,—dosyć ważną, by uświęciła nienawiść, krzyknąłbym: precz z maską — twoją i moją! Synu Hnra, Synu Hura, powiadam..,

Na to imię, krew zastygła w młodzieńcu, zdu-

miony, odurzony, patrzył arabom w oczy, iskrzące się tuż przed jego źrenicami.

Synu Hura, powiadam, gdybym doznał połowę tych krzywd co ty, gdybym dźwigał ciężar takich wspomnień jak twoje, nie chciałbym, nie mógłbym znaleźć spokoju. — Słowa starca płynęły bez przerwy, niby potok. — Do własnych cierpień dodałbym cierpienia świata i poświęciłbym się zemście. Przechodząc z kraju do kraju, podżegałbym ludzkość całą. Nie byłoby wojny o wolność, w którejbym nie wziął udziału; nie byłoby bitwy przeciw Rzymowi, do którejbym się nie przyłączył. Przystałbym do partów, gdybym sobie nie mógł poradzić inaczej. Jeśliby mi zbrakło ludzi, nie zrzekłbym się i wtedy walki — ha, ha, ha! Na chwałę boską! Gromadziłbym wilki i kojarzyłbym je z tygrysami i lwami, w nadziei poprowadzenia ich przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, Uciekałbym się do wszelakiej broni. Ofiarami mojemi byliby rzymianie, dlatego radowałbym się tą rzezią. Nie żądałbym, żeby mnie oszczędzano i sam nie oszczędzałbym nikogo. Wszystko, co rzymskie, oddawałbym na pastwę płomieni; głowa każdego urodzonego rzymianina szłaby pod miecz. Po nocach modliłbym się do bogów, tak złych jak i dobrych, żeby mi pożyczyli największych plag, burz, suszy, upałów, mrozów i wszelkiej nienazwanej trucizny, jaką z nich czerpie powietrze, wszystkich tysiącznych rzeczy, od których ludzie umierają, na morzu i lądzie. O, jabym nie mógł usnąć. Ja, ja.,.

Szeik umilkł, bo zbrakło mu tchu, dyszał i załamywał ręce. Dziwna rzecz, z tego namiętnego wybuchu Ben-Hur wyniósł tylko niewyraźne wrażenie, że starzec ciskał z oczu błyskawice gniewu, że krzyczał przeraźliwie i był zbyt rozwścieczony, żeby słowa jego logicznie się z sobą wiązały.

Po raz pierwszy od dawnych lat, osierocony młodzieniec usłyszał, że go ktoś nazwał po imieniu. Znalazł się nareszcie człowiek, który go zna, który nie żąda dowodów tożsamości, by mu zaufać, a człowiekiem tym jest—arab z pustyni!

Jakim sposobem dowiedział się o jego imieniu? Z listu? Nie. Był w nim opis okropności, cierpianych przez jego rodzinę, był opis jego smutnych kolei życia, ale nie powiedziano, że on sam jest ofiarą, której ocalenie było przedmiotem naigrawającego się opowiadania. Ten-to punkt chciał on objaśnić po przeczytaniu listu Ilderimowi. Był on uradowany, ożywiony nową nadzieją, ale poskramiał swe uczucia.

— Dobry szeiku, powiedz mi, jakim sposobem dostał ci się ten list?

— Moi ludzie, rozstawieni na drogach pomiędzy miastami, odebrali go gońcom—odpowiedział Ilderim otwarcie.

— Jestże to wiadome, że oni są twoimi ludźmi?

— Nie. Dla świata, są-to rozbójnicy, których mam schwytać i śmiercią ukarać.

— Szeiku, nazwałeś mię synem Hura, imieniem

moich przodków. Sądziłem, że nikt na świecie całym nie wie, jak się nazywam. Zkądżeś się ty dowiedział?

Ilderim zwlekał z odpowiedzią; nakoniec rzekł: —znam cię, więcej nie mogę powiedzieć.

— Czy cię kto zobowiązał do milczenia?

Szeik zamknął usta i odszedł, ale zauważywszy zawód Ben-Hura, powrócił i rzekł: — Dosyć tego na teraz. Jadę do miasta, gdy powrócę, to będę mógł dopowiedzieć resztę. Oddaj mi list.

Ilderim złożył starannie papyrus, obwinął go znowu płótnem i w jednej chwili odzyskał zwykłą energją.

— Cóż mi odpowiesz?—zapytał, czekając na konia.—Mówiłem ci, co ja bym zrobił na twojem miejscu, a tyś mi nie dał na to odpowiedzi.

— Mam zamiar odpowiedzieć ci, szeiku, i odpowiem, — rzekł Ben-Hur, a głos i wyraz twarzy zmieniły mu się pod wpływem wywołanego uczucia. —Wszystko, coś powiedział, uczynię i ja, przynajmniej wszystko, co jest w mocy człowieka. Dawno już poświęciłem się zemście. Przez ostatnie 5 lat, jednej godziny nie było, w którejbym żył z inną myślą. Nie miałem spoczynku, uciechy młodości były mi nieznane, pokusy Rzymu nie istniały dla mnie. Chciałem, żeby mię Rzym wykształcił po to, bym się umiał zemścić na nim. Uczęszczałem do najsłynniejszych mistrzów i profesorów—nie retoryki lub filozofji: niestety, nie miałem czasu na te przedmioty.

Mnie chodziło o sztukę, potrzebną wojownikowi. Przyłączyłem się do gladjatorów i do zwycięzców cyrkowych: oni byli moimi nauczycielami. Instruktorowie wojskowi w wielkim obozie przyjęli mię za ucznia i dumni byli z moich postępów w ich sztuce. O szeiku, jam żołnierz, ale cel moich marzeń wymaga, żebym był dowódcą. Z tą myślą zapisałem się w poczet wyprawy przeciw partom. Gdy się to skończy a Pan użyczy mi wtedy życia i sił, to — wzniósł do góry zaciśnięte pięści i zawołał gwałtownie—to wtenczas będę wrogiem wyćwiczonym we wszystkiem w szkole rzymskiej, wtenczas Rzym będzie musiał powetować mi krzywdy moje rzymianami. Oto odpowiedź moja, szeiku.

Ilderim zarzucił mu ręce na ramiona i ucałował go, mówiąc z uniesieniem:—Jeśli ci twój Bóg nie pobłogosławi, Ben-Hurze, to chyba dlatego, że nie żyje. Przyjmij odemnie obietnicę, lub przysięgę, jeśli wolisz, że oddam ci ręce moje i wszystko, czem one władną, ludzi, konie, wielbłądy i pustynię do przygotowań. Przysięgam ci na to. Dosyć tego na teraz. Zobaczymy się jeszcze, albo posłyszysz o mnie, zanim noc zapadnie.

Szeik odwrócił się szybko i podążył z pośpiechem do miasta.

Przejęty list miał, z niejednego względu, wielką wagę dla Ben-Hura. Było to wyznanie, że piszący brał udział w rozproszeniu jego rodziny z morderczym zamiarem, że uznał plan przedsięwzięty

w tym celu, że otrzymał część skonfiskowanego majątku i teraz korzysta z niej, że się lęka niespodzianego pojawienia się tego, kogo nazywał głównym złoczyńcą i widzi w nim groźbę, że rozmyśla nad tem, jak postąpić, żeby zabezpieczyć swą przyszłość i gotów jest pójść, w tym względzie, za radą swego wspólnika z Cezarei. I oto list ów dostał się teraz do rąk tego, o którym pisano, zawiera ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem i przyznanie się do winy. Gdy Ilderim wyszedł z namiotu, Ben-Hur zatonął w rozmyślaniu, w jakiby sposób przystąpić niezwłocznie do dzieła. Nieprzyjaciele jego byli tak zręczni i potężni, jak nikt inny na wschodzie. Jeśli oni się jego obawiali, to on miał jeszcze większy powód być w strachu. Usiłował rozważyć szczegółowo stan rzeczy, ale daremnie, gdyż wciąż zostawał pod wpływem gwałtownych uczuć. Wiadomość, że matka i siostra żyją, sprawiała mu pewną przyjemność, chociaż była pozbawiona poważnej podstawy. To, że istnieje ktoś, co może mu powiedzieć, gdzie się one znajdują, robiło na Ben-Hurze takie wrażenie, jak gdyby odnalezienie drogich mu osób miało nastąpić lada chwili. Miał on przeczucie, że Bóg zamierza opiekować się jego sprawą i doprowadzić ją do pożądanego rozwiązania. Ta właśnie przesądna wiara kazała mu zachowywać się spokojnie.

Przypomniały mu się słowa Ilderima: zaczął więc rozważać, zkąd arab powziął wiadomość o nim. Z pewnością nie od Mallucha, nie od Simonidesa,

któremu przeciwne interesa kazały milczeć. Czyżby go objaśnił Messala? Nie, niewyjawienie to mogło być szkodliwe dla niego. To przypuszczenie było mylne, a jednak czuł Ben-Hur, że ten, kto posiada tę tajemnicę, jest jego przyjacielem i we właściwym czasie da się poznać jako taki. Jeszcze chwilę musiał czekać, jeszcze chwilę być cierpliwym. Może szeik jest właśnie na drodze do rozwiązania zagadki; może ten list przyspieszy odkrycie prawdy.

Byłby on cierpliwy, gdyby tylko mógł wiedzieć, że matka jego i Tirza czekają nań wśród okoliczności, pozwalających im mieć tak silną nadzieję, jaką on sam jest ożywiony; gdyby, innemi słowy, sumienie nie wyrzucało mu win względem nich.

Chcąc się otrząsnąć z tych myśli, poszedł daleko w gaj; to się zatrzymywał przy ludziach zbierających daktyle, którzy, pomimo swego zajęcia, znajdowali jednak dosyć wolnego czasu, żeby go uprzejmie poczęstować owocem i pogawędzić z nim, to stawał pod wielkiemi drzewami, żeby się przyjrzeć ptaszętom w gniazdach, albo przysłuchać pszczołom, co, krążąc dokoła jagód, sączących z siebie słodkie soki, zapełniały zielono-złocistą gąszcz harmonijnem brzęczeniem.

Przy jeziorze zabawił dłużej. Gdy się wpatrzył w wodę i jej połyskującą powierzchnię — tak podobną do życia zmysłowego, stanęła mu na oczach przecudna egipcjanka w ową noc, kiedy pływając z nim, śpiewała i opowiadała mu dzieje królowej egipskiej.

Nie mógł zapomnieć jej uroczego obejścia, jej śmiechu wesołego, czarującej uprzejmości i ciepłej rączki, co sterowała łodzią; od pięknej dziewicy krótka była droga dla jego myśli do Baltazara i osobliwych, nadnaturalnych rzeczy, jakich on był świadkiem. Po Baltazarze nasunął mu się na myśl król żydowski, którego tenże oczekiwał z taką wzruszającą cierpliwością i niezachwianą wiarą w spełnienie obietnicy. Tu zatrzymały się jego myśli, gdyż w tajemnicy, otaczającej króla żydowskiego, znajdował tak upragniony wypoczynek. Może z przyczyny, że nic łatwiejszego, jak przeczyć idei, nieodpowiadającej naszym życzeniom, odrzucił on pogląd Baltazara na królestwo, które ma założyć oczekiwany król. Królestwo dusz, chociaż nie sprzeczne z jego saducejską wiarą, wydawało mu się tylko abstrakcją, mającą źródło w marzycielstwie i zbytniej uczuciowości. Z drugiej strony, królestwo judzkie było dlań więcej niż zrozumiałe: istniało już niegdyś, więc choćby tylko z tej przyczyny, mogło powstać na nowo. Dogadzało to jego dumie wyobrażać sobie nowe królestwo rozleglejsze, potężniejsze i o wiele wspanialsze, aniżeli dawne—króla mędrszego i silniejszego od Salomona,—nowego króla, pod którym przedewszystkiem mógłby służyć i zemścić się. W takim nastroju umysłu powrócił on do namiotów.

Po spożyciu południowego posiłku, Ben-Hur kazał wytoczyć rydwan na światło słoneczne, żeby go obejrzeć. Wyraz ten słabo maluje staranne zbada-

nie, jakiemu podległ wehikuł. Ani jedna cząstka nie uszła jego uwagi. Z przyjemnością, którą czytelnik dopiero później zrozumie, zobaczył, że wóz ma kształt grecki, jego zdaniem, o wiele lepszy od rzymskiego: był szerszy pomiędzy kołami, niższy i mocniejszy; wprawdzie był też i cięższy, ale równoważyła to większa wytrzymałość jego arabczyków. W ogóle, powoźnicy rzymscy budowali rydwany niemal specjalnie do gonitw, poświęcając bezpieczeństwo dla ozdobności, podczas kiedy wozy Achillesa, przeznaczone do wojny, przypadały jeszcze do smaku ubiegającym się o wieńce olimpijskie.

Następnie przyprowadził konie, zaprzągł je do wozu i pojechał na pole ćwiczeń, gdzie godzina po godzinie wprawiał je w robienie obrotów w uprzęży. Powrócił on wieczór do namiotów z odświeżonym umysłem i silnem postanowieniem rozprawienia się z Messalą dopiero po gonitwach. Nie mógł sobie odmówić przyjemności zmierzenia się z nieprzyjacielem swym w oczach całego wschodu. Zdawało się, że mu to nawet nie przyszło do głowy, iż inni współzawodnicy wystąpią także do walki. Miał nieograniczoną wiarę w pomyślny rezultat, licząc na swą umiejętność i na pomoc dzielnej czwórki.

— Niech się nas strzeże, niech się strzeże! Prawda, Antaresie. Alderabanie i ty poczciwy Riglu! Powiedz i ty, Atairze, królu rumaków, czy on się nie ma czego obawiać z naszej strony? Ha, ha!

Tak-to przechodząc od konia do konia, przemawiał do nich nie jako pan, ale niby starszy brat.

Gdy noc zapadła, Ben-Hur siedział u wejścia do swego namiotu, oczekując Ilderima, który jeszcze nie powrócił z miasta. Ani się niecierpliwił, ani niepokoił, nie popadał też w zwątpienie. W każdym razie szeik nadeśle wiadomość. Bądź że go zadowoliły ćwiczenia czwórki arabów, bądź że kąpiel w zimnej wodzie orzeźwiła go po znużeniu fizycznem, lub że spożył wieczerzę z wybornym apetytem, albo może wskutek reakcji, jaką przezorna przyroda wywołuje po zgnębieniu, młodzieniec nasz wpadł w dobry humor, graniczący z upojeniem i pychą. Czuł, że jest teraz w rękach Opatrzności a nie wroga swego.

Nakoniec dał się słyszeć szybki tentent konia, i pojawił się Malluch.

— Synu Arrjusza, — rzekł wesoło, powitawszy go — przywożę ci pozdrowienie od szeika Ilderima; prosi, żebyś siadł na koń i pojechał do miasta. Czeka na ciebie.

Ben-Hur, nie pytając o nic, poszedł do koni, które się posilały. Alderaban zbliżył się doń i ofiarował mu swe usługi. Popieścił go, ale wybrał innego, nie z czwórki, którą uważał za nietykalną ze względu na gonitwy. Po chwili obaj jechali drogą szybko i w milczeniu.

Nieopodal mostu seleucyjskiego przeprawili się oni promem przez rzekę; potem znowu promem przepłynęli na prawy jej brzeg i dostali się do miasta

od strony zachodniej. Zboczyli oni wprawdzie kawał drogi, ale przez ostrożność, do której Ben-Hur miał ważne powody.

Gdy zajechali do wielkiego składu Simonidesa, pod mostem, Malluch zatrzymał konia.

— Przybyliśmy na miejsce,—rzekł.

Ben-Hur poznał tę miejscowość.

— Gdzie jest szeik?—zapytał.

— Chodź ze mną, wskażę ci.

Sługa zabrał konie i prawie zanim się Ben-Hur spostrzegł, znalazł się już u drzwi domu, stojącego na dużym placu, i usłyszał odpowiedź z wnętrza: —„Wejdźcie w imię Boże.“

---

## ROZDZIAŁ V.

Malluch pozostał przy drzwiach. Ben-Hur wszedł sam.

Była-to ta sama komnata, w której się widział poprzednio z Simonidesem. Nic się w niej nie zmieniło, prócz tego, że przy fotelu znajdował się wielki postument drewniany, na nim zaś stał, przewyższając wzrost wysokiego mężczyzny, świecznik z mosiądzu polerowanego, u którego paliło się, na ruchomych podstawkach, kilka lamp srebrnych. Blask ich wydobywał z ciemności rzeźbione z drzewa ściany, gzymsy

z szeregiem złoconych gałek i sklepienie, połyskujące miką fioletową.

Ben-Hur postąpił 3 kroki i stanął.

Osoby, znajdujące się w tej komnacie patrzyły nań badawczo! Było ich trzy: Simonides, Ilderim i Estera.

Rzucił szybko okiem na wszystkich po kolei, jak gdyby chciał znaleźć w nich odpowiedź na zapytanie, co zaczęło powstawać w jego głowie: czego oni mogą chcieć odemnie? Silił się na zimną krew i czujność, po pierwszem bowiem pytaniu nasunęło się drugie: czy to są przyjaciele, czy wrogi?

Nakoniec oczy jego spoczęły na Esterze.

Mężczyźni odpowiedzieli na jego spojrzenie uprzejmie, jej twarz wyrażała coś więcej, aniżeli uprzejmość, coś zbyt *duchowego*, żeby się dało określić, co jednak ugodziło go w samo serce.

Mamyż ci to powiedzieć, czytelniku? Poza tem spojrzeniem nasunęło mu się porównanie, w którem egipcjanka przyćmiła uroczą izraelitkę; ale tylko na chwilę; jak zwykle bywa z porównaniami, rozwiało się ono bez ostatecznej konkluzji.

— Synu Hura...

Gość zwrócił się ku mówiącemu.

— Synu Hura, — rzekł Simonides, powtarzając te słowa powoli i z naciskiem, jak gdyby mu szło o to, żeby młodzieniec napewno zrozumiał ich znaczenie. — Przyjmij życzenie, żeby pokój Pana, Boga ojców naszych, był z tobą. Przyjmij je odemnie.

—Umilkł i po chwili dopiero dodał: — odemnie i od moich.

Starzec siedział w fotelu swoim; na widok jego królewskiej głowy, śmiertelnie bladej twarzy i majestatycznej powagi, przybysze zapomnieli o jego bezwładnych członkach i połamanem ciele. Duże czarne oczy patrzyły z pod białych brwi stanowczo ale nie surowo. Chwilkę to trwało, poczem skrzyżował ręce na piersiach.

Ruch ten i pozdrowienie były pełne znaczenia i zostały zrozumiane przez Ben-Hura.

— Simonidesie, — odrzekł on z wielkiem wzruszeniem, — przyjmuję twe życzenie świętego pokoju, i jak syn ojcu, oddaję ci je nawzajem. O to jedno mi tylko chodzi, żebyśmy przyszli do porozumienia.

W taki-to delikatny sposób starał się on w miejscu stosunku sługi do pana postawić wyższy i świętszy.

Simonides opuścił ręce, zwrócił się do Estery i rzekł: — Podaj krzesło naszemu panu.

Pospieszyła przynieść krzesło, poczem stanęła zarumieniona, przenosząc oko z Ben-Hura na Simonidesa, z Simonidesa na Ben-Hura. Obaj lękali się wskazać, gdzie krzesło ma być postawione, żeby to nie wyglądało na chęć wywyższenia się nad drugiego. Gdy milczenie nazbyt długo trwało, Ben-Hur przystąpił do dzieweczki, wziął ostrożnie krzesło z jej rąk i postawił je u stóp kupca, mówiąc:

— Ja tu usiądę.

Oczy jego spotkały się z jej wzrokiem—na chwilę tylko, a jednak porozumieli się z sobą: on wyczytał jej wdzięczność, ona jego szlachetność i względność.

Simonides skinął głową na znak przyzwolenia.

— Estero, dziecię moje, przynieś mi papyrusy,— rzekł i odetchnął głęboko, jak gdyby mu ciężar spadł z serca.

Wyjęła zwój, z szafy będącej w ścianie, i podała go ojcu.

— Dobrze mówisz, synu Hura,—musimy się porozumieć,—powiedział Simonides, rozwijając karty. —W przewidywaniu tego żądania, które byłbym sam wywołał, przygotowałem to sprawozdanie—obraz twego stanu majątkowego i naszego wzajemnego do siebie stosunku. Chcesz je przeczytać teraz?

Ben-Hur wziął od niego papyrusy, lecz spoglądając przytem na Ilderima.

— Nie, szeik nie powinien cię wstrzymywać od przeczytania,—rzekł Simonides.—Przekonasz się, że to sprawozdanie jest tego rodzaju, iż wymaga zaświadczenia. Jeśli je doczytasz do końca, to znajdziesz podpis świadka, Ilderima szeika. On wie wszystko. To przyjaciel twój. Czem był dla mnie, tem będzie i dla ciebie.

Simonides spojrzał na araba i skłonił przyjaźnie głową, na co tamten odpowiedział poważnem skinieniem i dodał:

— Dobrze mówisz.

— Wiem już, co warta przyjaźń twoja i pragnę okazać się jej godnym, — odezwał się Ben-Hur i dodał: — Później, o Simonidesie, przeczytam te rachunki staranniej a teraz odbierz je i, jeśli nie jesteś nadto zmęczony, to powiedz mi ich treść.

Simonides wziął zwój z jego ręki.

— Stań tu, Estero, tuż obok mnie i odbieraj karty, żeby się nie pomieszały.

Stanęła przy ojcu, lekko oparła rękę na jego ramieniu, tak, że gdy mówił, zdawało się, iż oboje zdają rachunki.

— To wykazuje — rzekł Simonides, wyciągając pierwszą kartę,—ile miałem pieniędzy twego ojca, oraz jaką sumę skryłem przed rzymianami. Żadnej posiadłości nie udało mi się uratować, oprócz pieniędzy, i te zagarnęliby rabusie, gdyby nie nasz żydowski system wekslowy. Ocalona fortuna składająca się z sum, jakie zdobyłem na drodze handlu, zdobyłem w Rzymie, Aleksandrji, Damaszku, Kartaginie, Walencji, jakoteż na innych rynkach handlowych, wynosi 120 talentów monety żydowskiej.

Oddał kartę Esterze, a wziął drugą.

— Z sumą 120 talentów przystąpiłem do interesów. Wysłuchaj teraz, jakie zyski osiągnąłem przypomocy tych pieniędzy.

Czytał z przeróżnych kart zsumowania, które po odrzuceniu ułamków, brzmiały, jak następuje:

| | | |
|---|---|---|
| W okrętach | . . . . . . . . | 60 tal. |
| towarach zapasowych | . . . . | 110 „ |

| | |
|---|---|
| transportowych ....... | 75 tal. |
| wielbłądach i koniach i t. p. . | 20 „ |
| składach towarów ..... | 10 „ |
| rachunkach bieżących .... | 54 „ |
| gotówce ......... | 224 „ |
| Ogółem | 553 tal. |

— Do tych 553-ch talentów zarobionych dodaj pierwotną sumę, jaką miałem od twego ojca, a będziesz miał sześćset siedemdziesiąt trzy talenty! Wszystko to twoje, synu Hura! jesteś więc najbogatszym człowiekiem na świecie.

Wziął papyrusy od Estery: zatrzymawszy jeden, zwinął resztę i oddał Ben-Hurowi. Duma, co się przebijała w jego obejściu, nie była obrażającą: mogła ona wypływać z poczucia dobrze spełnionego obowiązku; mogła się też odnosić do Ben-Hura, bez zwrotu do niego samego.

— Niema rzeczy—dodał cichszym głosem, patrząc mu w oczy,—niema rzeczy, którejbyś teraz niemógł dokonać.

Była-to ważna chwila dla wszystkich obecnych, Simonides skrzyżował znowu ręce na piersiach, Estera była strwożona, Ilderim zgorączkowany.

Ben-Hur wziął do ręki zwój papyrusa, podniósł się i rzekł ze wzruszeniem:

— Wszystko to jest dla mnie jakoby światłem z nieba, zesłanem dla rozproszenia ciemności, które tak długo trwały, żem się lękał, czy nie pozostaną na zawsze, i były tak gęste, żem stracił nadzieję

przejrzenia kiedykolwiek.—I przytłumionym głosem dodał:—Składam dzięki Panu za to, że mię nie opuścił, a potem tobie, o Simonidesie... Twoja wierność przeciwważy okrucieństwo innych i okupuje naszą ludzką naturę. Powiadasz, że niema rzeczy, którejbym nie mógł dokonać... miałżeby mię ktokolwiek, w tej chwili, kiedym się stał tak potężnym, przewyższyć w hojności... Służ mi teraz za świadka, szeiku Ilderimie... wysłuchaj, co powiem i zapamiętaj. I ty, Estero, dobry aniele tego zacnego człowieka, słuchaj mię także.

Wyciągnął rękę ze zwojem do Simonidesa.

— Przedmioty wyliczone na tych kartach, jako-to: okręty, domy, towary, wielbłądy, konie, pieniądze, wszystkie rzeczy: wielkie i małe, zwracam ci, o Simonidesie, i oddaję na wieczystą własność twoją i rodziny twojej.

Estera uśmiechała się przez łzy; Ilderim szarpał nerwowo brodę, a oczy błyszczały mu niby żarzące się węgle. Jeden tylko Simonides zachował zwykły spokój.

— Oddaję na wieczystą własność tobie i rodzinie twojej,—ciągnął Ben-Hur, panując już bardziej nad sobą, — ale z jednym wyjątkiem i pod jednym warunkiem.

Całe grono słuchało z zapartym oddechem.

— One sto dwadzieścia talentów, któreś otrzymał od ojca mego, zwrócisz mi...

Ilderima twarz rozjaśniła się.

— Będziesz mi dopomagał w szukaniu matki mojej i siostry, i w razie potrzeby poświęcisz temu celowi całe mienie, tak samo, jak ja swoje poświęcę.

Simonides był bardzo wzruszony. Wyciągnąwszy rękę, rzekł: — Zrozumiałem twą duszę, o synu Hura, i wdzięczny jestem Panu, że mi cię zesłał takim, jaki jesteś. Jeślim wiernie służył ojcu twemu, dopóki żył, a potem jego pamięci, to nie lękaj się, żebym się tobie sprzeniewierzył; ale na warunek twój nie mogę się zgodzić.

Wskazał następnie na zatrzymaną kartę i mówił dalej:

— Nie wysłuchałeś jeszcze całego sprawozdania. Weź je i przeczytaj—czytaj głośno.

Ben Hur wziął do rąk suplement i czytał:

— Spis sług Hura, dokonany przez Simonidesa, zarządzającego majątkiem.

1. Amra, egipcjanka, dozorująca pałac w Jerozolimie.

2. Simonides, zarządzający w Antjochji.

3. Estera, córka Simonidesa.

Ben-Hurowi nie przyszło to nigdy do głowy, gdy myślał o Simonidesie, że według prawa, córka niewolnika jest także niewolnicą. W marzeniach swych widział on tylko w słodkiej Esterze współzawodniczkę egipcjanki, istotę, którą mógłby ukochać. To nagłe odkrycie niemile go dotknęło i spojrzał na nią, rumieniąc się; ona się także zaczerwieniła i spuściła oczy. Wtedy młodzieniec zwinął papyrus i rzekł:

— Człowiek posiadający 600 talentów, jest rzeczywiście bogatym i może spełnić każde swe życzenie; ale rzadszym od pieniędzy, cenniejszym od bogactwa jest umysł, który zgromadził ten majątek, i serce, którego ta fortuna nie zepsuła... O Simonidesie, i ty, nadobna Estero, nie lękajcie się. Szeik Ilderim będzie świadkiem, że w tej samej chwili, kiedym się dowiedział, żeście moimi niewolnikami, obdarzyłem was wolnością. To co mówię, powtórzę piśmiennie. Jestże to dostateczne? Czy mogę uczynić co więcej?

— Synu Hura,—rzekł Simonides—zaprawdę lekką czynisz niewolę. Ale źlem powiedział: są rzeczy, których nie zdołasz zrobić, nie możesz n. p. uwolnić nas wobec prawa. Jestem twym niewolnikiem na zawsze, poszedłem pewnego dnia z ojcem twoim do drzwi i dotąd noszę na uchu znak szydła.

— Mój ojciec to uczynił!

— Nie sądź go, — zawołał żywo Simonides.— Jam go sam prosił, żeby mię przyjął pomiędzy swe sługi tej klasy i nie pożałowałem nigdy tego kroku. Był to okup za Rachelę, matkę tego oto dziecięcia; Rachela bowiem nie chciała zostać żoną moją, jeśli nie będę należał do tej samej klasy, co ona.

— Czy była niewolnicą?

— Tak.

Ben-Hur rozdrażniony swą bezwładnością, zaczął chodzić po komnacie.

— Byłem już i przedtem bogaty—rzekł, zatrzy-

mując się nagle—byłem bogaty dzięki darom szczodrego Arrjusza; teraz pozyskałem tę oto większą jeszcze fortunę, a nadto umysł, co ją potrafił zgromadzić. Nie jestże to zrządzeniem Opatrzności? Wesprzyj mię radą, Simonidesie. Pomóż mi poznać, co mi wypada uczynić i jak mam spełnić to, co do mnie należy. Dopomóż mi być godnym mego imienia, a to, czem ty według prawa jesteś względem mnie, tem w rzeczywistości ja względem ciebie będę—sługą twoim do końca życia.

— O synu mego zmarłego pana! Nietylko dopomogę ci, ale oddam na twe usługi wszystkie władze umysłu i serca. Przysięgam to na ołtarz Boga naszego i ofiary na tym ołtarzu składane... Tylko, proszę cię, nadaj formę urzędową temu, czego pragnę.

— O cóż ci chodzi?

— Chciałbym i nadal zarządzać twojem mieniem.

— Uważaj siebie od tej chwili za pełnomocnika mego... ale może chciałbyś mieć to na piśmie?

— Twoje słowo wystarczy. Tak z ojcem twoim było, i od syna więcej nie wymagam. A teraz, jeśliśmy się już dostatecznie porozumieli...—tu Simonides zawiesił głos.

— Ja nie mam już nic do nadmienienia.

— A ty, córko Racheli? Odezwij się...—rzekł starzec, zsuwając jej rękę ze swego ramienia.

Estera stała chwilę zmieszana, to blednąc, to czerwieniąc się; potem zbliżyła się do Ben-Hura i rze-

kła z kobiecym wdziękiem:—nie znaczę więcej, aniżeli znaczyła moja matka; ponieważ jej już niema, pozwól, panie mój, żebym ja miała staranie o ojcu.

Ben-Hur ujął jej rękę i poprowadził do krzesła, mówiąc: — Dobre z ciebie dziecko. Niechaj się stanie według twej woli.

Starzec objął ją znowu za szyję i przez niejaką chwilę panowała cisza w komnacie.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Simonides podniósł oczy: w tej chwili był on tak samo panem, jak przedtem.

— Estero, — przemówił spokojnie,—noc szybko zapada; każ podać przekąskę, żebyśmy nabrali sił dla załatwiania tak ważnej sprawy.

Zadzwoniła, a służebnica ukazała się zaraz z chlebem i winem i obniosła je dokoła.

— Mojem zdaniem, o dobry mój panie, nie porozumieliśmy się jeszcze dostatecznie,—ciągnął dalej Simonides, gdy się wszyscy posilili.— Odtąd żywoty nasze będą płynęły pospołu niby rzeki, co się spotkały i toczą razem swe nurty. Sądzę, że będą lepiej płynęły, gdy usuniemy wiszące nad niemi chmury. Przed kilku dniami opuściłeś mój dom z tem przekonaniem, że ci zaprzeczam praw, które ci dziś przyznaję w jaknajszerszych granicach; ale tak nie

było, wierzaj mi. Estera jest świadkiem, żem cię uznał za syna mego pana, a Malluch, żem cię nie wypuścił z opieki.

— Malluch!—wykrzyknął Ben-Hur.

— Kto, jak ja, przykuty jest do fotelu, musi mieć wiele rąk sięgających daleko, jeżeli chce wstrząsać światem, od którego jest tak niemiłosiernie odciętym. Ja mam dużo takich rąk, a najlepszą z nich jest Malluch. Czasami,—dodał spoglądając z wdzięcznością na szeika, — czasami zapożyczam od innych dobroć serca, jak naprzykład od szlachetnego Ilderima, dobrego i odważnego. Niechaj on powie, czym nie uwierzył twym słowom, czym zapomniał o tobie.

Ben-Hur spojrzał na araba.

— Więc to on, czcigodny Ilderimie, więc to on mówił ci o mnie?

Ilderimowi oczy zabłysły i skinął głową potwierdzająco.

— Panie mój,—rzekł Simonides, —alboż można poznać człowieka, jeśli się go nie wystawi na próbę? Jam znał ciebie; widziałem ojca twego w tobie, alem nie wiedział, jaki z ciebie gatunek człowieka. Są ludzie, dla których bogactwo jest klątwą zamaskowaną. Chcąc wiedzieć, czy należysz do ich liczby, wysłałem na zwiady Mallucha; on mi był okiem i uchem. Nie potępiaj go za to. Dał mi o tobie jaknajpochlebniejsze świadectwo.

— Nie mam mu tego bynajmniej za złe. Co do ciebie zaś to okazałeś się w tym razie zarówno

rozumny jak dobry,—odezwał się Ben-Hur serdecznym głosem.

— Słowa twoje sprawiają mi wielką, wielką przyjemność,—rzekł Ilderim z uczuciem. — Przestaję się lękać nieporozumienia. Niechaj rzeki płyną teraz razem w kierunku, jaki im Bóg wskaże.

Po chwili milczenia ciągnął on dalej:

— Poczucie prawdy każe mi coś jeszcze dodać: tkacz pracuje przy swym warsztacie i w miarę, jak się obraca jego czółenko, przybywa sukna, figury rosną, on zaś marzy tymczasem; tak samo było ze mną: fortuna wzmagała się w moich rękach, a ja przyglądałem się ze zdumieniem jej wzrostowi. Widziałem, że jakaś obca siła zajmuje się mojemi przedsięwzięciami. Palący piasek pustyni, który niweczył wszystko, co napotka, moją własność oszczędzał zawsze. Burze, co zapełniały wybrzeża rozbitkami, moje okręty wiodły tylko prędzej do portów. Co dziwniejsza jeszcze, to że mnie, tak zależnemu od innych, i żywioły służyły i wszyscy słudzy byli wierni.

— To bardzo osobliwe,—powiedział Ben-Hur.

— Ja tak samo mówiłem i dotąd mówię. W końcu, o panie mój, doszedłem do tego przekonania, co ty, że jestto dziełem Boga, i tak samo jak ty, zapytywałem siebie, jaki być może Jego cel,—gdyż Bóg zawsze działa celowo.

— Od wielu już lat przechowywałem to pytanie w sercu, czekając na odpowiedź. Byłem tego pewien, że jeśli to jest dziełem Boga, nastąpi dzień,

kiedy w oznaczonym przez się czasie, Bóg objawi mi swój cel, który stanie się tak widoczny, jak pobielony dom na wzgórzu. Zdaje mi się, że już to uczynił.

Ben Hur słuchał z natężoną uwagą.

— Wiele już lat temu, pewnego dnia, kiedym siedział przy drodze, na północ od Jerozolimy, nieopodal grobów królewskich, wraz z rodziną moją,—matka twoja, Estero, była też ze mną, piękna jak poranek nad górą Oliwną,—naraz pojawiło się 3-ch mężów na dużych białych wielbłądach, jakich nie widziano jeszcze nigdy w świętem mieście. Ludzie ci przybywali z dalekich krajów. Pierwszy, zatrzymawszy się, zapytał: — Gdzie jest Ten, co się urodził Królem żydowskim?—I jak gdyby mię chciał jeszcze bardziej zadziwić, dodał: — Widzieliśmy Jego gwiazdę na wschodzie i przybywamy po to, żeby Mu oddać pokłon.—Nie mogłem tego zrozumieć, alem podążył za nimi do Bramy Damaszku. Kogo tylko spotkali na drodze, nawet strażnika u wrót, zapytywali o to samo. Wszyscy zdumiewali się, tak samo, jak ja. Z czasem zapomniałem o tej okoliczności, chociaż mówiono o niej wiele, jako o przepowiedni Mesjasza. Niestety, niestety! Wszyscy ludzie, nawet najrozumniejsi, są jako dzieci. Gdy Bóg chodzi po świecie, to pomiędzy jednym krokiem a drugim upływają nieraz wieki. Widziałeś Baltazara?

— Widziałem i sam opowiedział mi swoją historję.

— To cud! To prawdziwy cud! — wykrzyknął

Simonides. — Gdy mi to opowiadał, o dobry panie! zdawało mi się, iż słyszę odpowiedź, której tak dawno wyczekiwałem. W jednej chwili cel Boga stał się dla mnie jasnym. Ten król przyjdzie biedny, opuszczony; nie będzie miał ani stosunków, ani wojska, ani miast i zamków obronnych. Założy jednak nowe królestwo, a wpierwej jeszcze zniweczy Rzym. Rozumiesz, rozumiesz, o panie mój! Ty, kwitnący zdrowiem,—ty, wyćwiczony w broni,—ty, obciążony bogactwy,—rozumiesz, jakie ci Bóg zsyła zadanie? Otwórz oczy na sposobność, daną ci przez Boga. Czyżby Jego cel nie miał być twoim celem? Mógłżeby się człowiek zrodzić do większej chwały?

Simonides włożył cały swój zapał w te słowa.

— Ale królestwo, królestwo!—zawołał Ben-Hur gorączkowo.- Baltazar mówił, że to będzie królestwo dusz.

Simonides był bardzo dumny ze swego rodu, odrzekł więc ze wzgardliwem nieco wykrzywieniem ust:

— Baltazar widział niezwykłe rzeczy, patrzył na cuda, o panie mój! Gdy o nich mówi, uchylam czoło z wiarą, bo je widział i słyszał... Ale to syn Mzraima, nawet nie prozelita. Zkąd on może wiedzieć, co Bóg przeznacza dzieciom Izraela? Prorokom dane było światło wprost z nieba, tak samo jak i jemu; ale proroków było dużo a on jest sam jeden. Ja muszę wierzyć prorokom. Estero, podaj mi księgę Tory.

Nie czekając powrotu córki, ciągnął on dalej:

— Czy świadectwo całego narodu może być lekceważone, o panie? Chociażbyś szedł od Tyru, co leży nad morzem na północy, aż do stolicy Edomitów, znajdującej się na południu, pośród pustyni, nie napotkałbyś nikogo z pomiędzy modlących się i rozdających jałmużnę w świątyniach, z pomiędzy tych, co jadają baranka paschalnego, coby ci powiedział, że to królestwo, które nowy król ma założyć dla nas, dzieci przymierza, nie jest z tego świata, tak samo jak królestwo ojca naszego, Dawida. Co w nich budzi tę wiarę? zapytasz. Zaraz zobaczymy.

Estera powróciła, niosąc zwoje pargaminu ze złotemi napisami, starannie obwinięte w brunatne płótno.

— Trzymaj, córko, te karty; będziesz mi je podawała w miarę, jak zażądam, — powiedział starzec tkliwym głosem, jakim zwykle do niej przemawiał,— poczem ciągnął dalej:—Musiałbym przytoczyć długi, zbyt długi, jak na mnie, szereg świętych mężów, którzy pisali i opowiadali o Bogu, po śmierci proroków. Byli-to apostołowie, co nauczali nasz lud od czasów niewoli,—mędrcy, którzy zapożyczali światła u lampy Malachjasza, ostatniego z ich liczby. Hillel i Szamai wciąż głoszą w szkołach ich wielkie imiona. Chcesz, żebym ich zapytał o to królestwo? Kim był np. Pan owczarni w księdze Enocha? Kim, jeśli nie tym Królem, o którym mówimy? Tron jest już wzniesiony dla Niego; on wstrząśnie ziemię i zrzuci in-

inych królów z tronu, a prześladowców Izraela strąci do otchłani, płonącej słupami ognia. To samo opowiada piewca psalmów Salomona: — „Spójrz, o Panie, i zbudź Izraelowi króla, Syna Dawidowego, w czasie przygodnym, o Boże, by rządził Izraelem, swemi dziećmi... A on podda pod jarzmo ludy pogańskie, by służyły tobie... I będzie sprawiedliwym królem; będzie panował całej ziemi przez słowo swoje po wieczne czasy."

Nakoniec, posłuchaj Ezdrasza, który jak drugi Mojżesz miewał widzenia nocne. Zapytaj go, kto jest ów lew z głosem ludzkim, mówiący do orła, którym jest Rzym: „Kochałeś się w kłamcach, niszczyłeś miasta pracowite i ze ziemią równałeś ich mury, chociaż ci nic nie zawiniły. Giń więc, by ziemia się odnowiła i miała nadzieję w sprawiedliwości tego, który ją uczynił."

— Orzeł nie ukazał się więcej. Zaiste, o panie mój, świadectwa te chyba wystarczą! Ale droga do głównego źródła już otwarta. Idźmy do niego. Estero, podaj nam wina, a później przyniesiesz księgę Thory.

— Czy ty wierzysz w proroków, o panie?—zapytał, napiwszy się wina. — Wiem, że w nich wierzysz, bo wszyscy twoi wierzyli. Podaj mi, Estero, księgę Izajasza, w której są opisane jego widzenia.

Wziął jeden ze zwojów, który wyjęła dłań z płótna i czytał:

„Bo lud on, który chodzi w ciemności, ujrzy światłość wielką, a tym, którzy mieszkają w ziemi cienia i śmierci, światłość świecić będzie. Rozmnożyłeś ten na-

ród, aleś nie uczynił wesela wielkiego; wszakże weselić się będą przed tobą, jako się radują, którzy łupy dzielą. Albowiem dziecię narodziło się nam, a syn dany jest nam; i będzie panowanie na ramieniu jego, a nazwią imię jego: Dziwny, Radny, Bóg mocny, Ojciec wieczności, Książę pokoju. A ku rozmnożeniu tego państwa i pokoju, któremu końca nie będzie, usiądzie na stolicy Dawidowej i na królestwie Jego, aż je postanowi i utwierdzi w sądzie i sprawiedliwości, odtąd aż na wieki. Uczyni to zawistna miłość Pana zastępów."

— Czy ty wierzysz w proroków, o panie? Estero, daj mi teraz Słowa Pana, które nas doszły przez Micheasza.

Podała mu zwój, którego żądał.

„Ale ty Betleemie,—czytał,—acześ najmniejszy między tysiącami Judzkimi, z ciebie mi jednak wyjdzie Ten, który będzie panującym w Izraelu, a wyjścia jego są zdana ode dni wiecznych."

— A był to Ten, którego Baltazar widział dzieciątkiem w jaskini i cześć Mu oddawał. Wierzysz prorokom, panie? Podaj mi, Estero, słowa Jeremjasza.

Wziął do rąk zwój i czytał dalej:

„Oto idą dni, mówi Pan, których wzbudzę Dawidowi latorośl sprawiedliwą i będzie królował król, a poszczęści im się, sąd zaiste i sprawiedliwość będzie czynił na ziemi. Za dni Jego Juda zbawiony będzie, a Izrael bezpiecznie mieszkać będzie; a toć jest imię jego, którem go zwać będą: Pan sprawiedliwość nasza."

— Jako król panować będzie, jako król, o mój panie! Czy wierzysz prorokom? A teraz córko, podaj mi kartę o synu Judy, który był bez zmazy.

Podała mu księgę Daniela.

— Słuchaj, panie mój.

„Widziałem też w widzeniu nocnem, a oto przyszedł w obłokach niebieskich, podobny Synowi człowieczemu, a przyszedł aż do Starodawnego i przywiedziono go przed oblicze jego. I dał mu władzę i cześć i królestwo, aby mu wszyscy ludzie, narody i języki służyli; władza jego, władza wieczna, która nie będzie odjęta, a królestwo jego nie będzie skażone."

— Czy wierzysz prorokom, panie mój?

— Dosyć tego... wierzę!—wykrzyknął Ben-Hur.

— A więc, kiedy król przybędzie ubogi, czy pan mój, który posiada niezliczone skarby, nie wspomoże go?

— Czy go nie wspomogę? Oddam mu ostatniego szekela, będę mu służył do ostatniego tchnienia! Ale dlaczego powiadasz, że przyjdzie ubogim?

— Estero, przynieś mi Słowa, które Pan wyrzekł do Zacharjasza,—powiedział Simonides.

Podała mu jeden ze zwojów.

— Posłuchaj, jak król wejdzie do Jeruzalem.

I czytał:

„Wesel się bardzo, córo Sjońska; wykrzykuj, córo Jeruzalemska! Oto Król twój przyjdzie tobie sprawiedli-

wy i zbawiciel ubogi i siedzący na ośle, to jest na oślęciu, źrebiątku oślicy."

Ben-Hur odwrócił wzrok.

— Co widzisz, o panie?

— Widzę Rzym! — odpowiedział posępnie, — Rzym i jego legjony. Przebywałem z rzymianami w ich obozach. Znam ich.

— Ach,—rzekł Simonides, -ty stać będziesz na czele legjonów królewskich i wybierać ich z miljonów.

— Z miljonów!—zawołał Ben-Hur.

Simonides siedział chwilę zamyślony.

— O siłę nie potrzebujesz się troszczyć—rzekł znowu.

Ben-Hur spojrzał nań badawczo.

— Widziałeś po swej prawicy tego ubogiego Króla, a po lewicy świetne legjony cezara i zapytywałeś siebie: Co on im może uczynić?

— Dobrze czytasz w mych myślach.

— O panie mój, — ciągnął Simonides, — ty nie wiesz, jak potężnym jest nasz Izrael. Wyobrażasz go sobie jako strapionego starca, który płacze nad rzekami Babilonu... Ale udaj się do Jerozolimy na przyszłą paschę i stań na placu świątyni lub na targowisku i przyjrzyj się, jakim on jest. Obietnica Pana, dana ojcu naszemu, Jakóbowi, gdy powracał z Padan-Aram, była prawem, pod którem lud nasz nie przestawał się mnożyć, nawet w niewoli. Wzrastaliśmy pod stopami Egipcjan i teraz jesteśmy rzeczy-

wiście narodem i zbiorem narodów. Nietylko to, o mój panie! Aby zmierzyć potęgę Izraela, lub, innemi słowy, potęgę króla,—należy brać w rachubę nietylko wzrost ludności, ale wiary jej, a pod tym względem dotarliśmy aż do krańców znanej ziemi. Jest też zwyczajem, gdy się mówi o Izraelu, mieć na myśli tylko Jerozolimę. Jest to tak, jak gdybyśmy, znalazłszy kawałek haftowanej materji, uważali go za całą wspaniałą szatę cezara. Jeruzalem jest tylko kamieniem świątyni, albo sercem w ciele. Odwróć oczy od legjonów, jakkolwiek mogą być silne, a policz hufce wiernych, co oczekują dawnego hasła: Do namiotów, o Izraelu! Przelicz w Persji mnogie dzieci tych, co nie chcieli wrócić z niewoli. Przelicz braci naszych, którzy się roją na rynkach Egiptu i dalekiej Afryki; przerachuj hebrajskich kolonistów, szukających zarobku na zachodzie— w Londinum i na targowiskach hiszpańskich; przerachuj izraelitów czystej krwi w Grecji, oraz na wyspach morza, tam za Pontusem i tu w Antjochji, i tych, co muszą przebywać w cieniu wieczystych murów Rzymu; przerachuj czcicieli Pana, mieszkających w namiotach pustyni, poza Nilem, i w krajach zakaspijskich, a nawet i w starych krainach Goga i Magoga. Odłącz tych wszystkich, którzy co rok ślą dary do świątyni Pańskiej —oddziel ich, żeby także mogli być policzeni. A gdy ich przeliczysz, o panie będziesz wiedział, ile uzbrojonych rąk czeka na ciebie. Oto jakie będzie królestwo Tego, który ma

przyjść, aby wymierzać sprawiedliwość na całej ziemi—w Rzymie zarówno jak i w Sjonie. Masz odpowiedź: co Izrael może uczynić, to może uczynić i jego król.

Obraz ten tchnął ogniem.

Na Ilderima oddziałał on niby dźwięk trąby bojowej.—Ach czemuż nie jestem młody!—zawołał, zrywając się.

Ben-Hur siedział milczący. Zrozumiał on, że celem tej mowy było pobudzić go do poświęcenia życia i mienia owej tajemniczej Istocie, w której Simonides i pobożny egipcjanin pokładali tak wielkie nadzieje. Myśl ta, jak wiemy, nie była nową dla niego; pierwszy raz nasunęła mu się w Gaju Dafny, gdy słuchał opowiadania Mallucha; potem zarysowała się jaśniej, gdy Baltazar mówił, jak sobie wyobraża przyszłe królestwo; później, podczas przechadzki po starym Gaju palmowym, przemieniła się prawie w postanowienie. Przedtem myśl ta pojawiała się i znikała, wywołując tylko uczucie, mniej lub więcej silne; tym razem było inaczej. Mistrz zapanował nad nią, mistrz przyoblekł ją w ciało i uczynił z niej sprawę możliwą do uskutecznienia, sprawę świętą.

Skutek tego był taki, że Ben-Hurowi zdało się, iż nagle otworzyły się jakieś drzwi, dotąd niewidzialne, oblewając go światłem i dopuszczając go do służby—celu jego marzeń, do służby, która sięgała w daleką przyszłość, obiecywała mu nagrodę za spełniony obowiązek, i powodzenie, które zaspokoi jego

ambicją. Potrzeba mu jednak było jeszcze jednego objaśnienia.

— Przypuśćmy, że tak jest, jak powiadasz, Simonidesie,—rzekł Ben-Hur,—przypuśćmy, że król przyjdzie i że królestwo jego będzie takiem, jak Salomonowe, żem ja gotów oddać siebie i mienie swoje Jemu i Jego sprawie, przypuśćmy nawet, że spełnię to, co było celem Boga, gdy mnie kazał przechodzić takie koleje życia, a tobie szybko zgromadzić tak kolosalną fortunę, — cóż dalej? Mamże tak postępować, jak ślepy, co buduje dom? Mamyż czekać, żeby nadszedł król, lub żeby przysłał po mnie? Masz po swej stronie wiek i doświadczenie... Odpowiedz.

Simonides odrzekł bez namysłu:

— Nie mamy wyboru. Ten list,—rzekł, wskazując na pismo Messali, — ten list jest hasłem do działania. Nie jesteśmy dosyć silni, żeby stawić opór zamierzonemu przymierzu Gratusa z Messalą, nie mamy wpływu w Rzymie, ani siły tutaj. Oni cię zabiją, jeśli będziemy zwlekali. Czy mają litość w sercu, spojrzyj na mnie i osądź.

Przeszły go dreszcze na to wspomnienie.

— O, dobry mój panie, — ciągnął dalej, ochłonąwszy,—czy silny jesteś, pod względem woli?

Ben-Hur nie zrozumiał go.

— Pamiętam, jak miły był mi świat za młodu, —mówił dalej Simonides.

— Jednakże byłeś zdolny do wielkiego poświęcenia.

— Prawda, przez miłość.

— Czy życie nie ma innych, równie silnych podniet?

— Simonides potrząsnął głową.

— Żądza chwały...

— Ta żądza jest wzbroniona synowi Izraela.

— A zemsta?

Iskra padła na zapalną namiętność. Simonidesowi zabłysły oczy; ręce mu zadrżały, odpowiedział żywo:—Zemsta, to prawo żyda.

— Wielbłąd, a nawet pies, pamięta doznaną krzywdę—wykrzyknął Ilderim.

Simonides zaczął znowu snuć wątek swych myśli

— Mamy dzieło do spełnienia dla króla, dzieło które należy wykonać, zanim On przyjdzie. Nie możemy wątpić, że Izrael będzie jego prawą ręką, ale, niestety, jestto ręka pokoju, nie wyćwiczona w sztuce wojennej. Pośród miljonów niema ani jednego należytego hufca, ani jednego przywódcy. Najemników Herodowych nie rachuję, bo oni są na to trzymani, żeby nas gnębić. Stan rzeczy jest taki, jakiego mógł pragnąć rzymianin; jego polityka sprzyjała jego tyranji; ale niezadługo nastąpi chwila przewrotu, kiedy pasterz przywdzieje zbroję, chwyci za dzidę i miecz, a pasąca się trzoda przemieni się w walczące lwy. Ktoś, o mój synu, musi zająć miejsce po prawicy króla; któżby mógł nim być, jeśli nie ten, co się może dobrze wywiązać z tego dzieła?

Ben-Hur zarumienił się na tę myśl, chociaż po-

wiedział: Rozumiem cię, ale wytłómacz się jaśniej: mieć coś do wykonania jest co innego, a wiedzieć, jak wykonać, także co innego.

Simonides napił się trochę wina, przyniesionego przez Esterę, i odrzekł:

— Szeik i ty, mój panie, staniecie na czele i każdy z was będzie miał swój zakres działania. Ja tu pozostanę, żeby pracować jak dotąd, i czuwać nad tem, by źródło nie wyschło. Ty, udaj się do Jerozolimy, a ztamtąd do pustyni, i zacznij obliczać, ilu izraelitów można powołać do broni; podziel ich na dziesiątki i setki, wybierz dowódców i wyćwicz ich, a w ukryciu trzymaj broń, której ja ci dostarczać będę. Poczynając od Perei, podąż do Galilei, zkąd już jeden krok tylko do Jerozolimy. W Perei będziesz miał za sobą pustynię, a Ilderima pod ręką, tak, że nic się tam nie stanie bez twojej wiedzy. On ci będzie pomocny z różnych względów. Dopóki nie nastąpi chwila działania, nikt się nie dowie, co się tu postanowiło. Moją rzeczą jest tylko być sługą waszym. Z Ilderimem rozmówiłem się już, a ty co powiesz?

Ben-Hur spojrzał na szeika.

— Tak jest, jak on powiada, synu Hura,—odpowiedział arab. Jemu dałem słowo i to dlań wystarczy, ale tobie przysięgnę, że nietylko swoją osobą służyć ci będę, ale całem mojem pokoleniem i wszystkiem co posiadam.

Wszyscy troje: Simonides, Ilderim i Estera, bacznie wpatrywali się w Ben-Hura.

— Każdy człowiek,—mówił on, zrazu smutno, — ma nalaną dłań czarę rozkoszy, prędzej czy później dostaje ją do rąk i pije,—każdy oprócz mnie. Rozumiem, Simonidesie i ty, szlachetny szeiku, rozumiem, do czego wasze słowa zmierzają. Jeśli pójdę za waszą namową, przyjdzie mi pożegnać się ze spokojem i przywiązanemi do niego nadziejami. Podwoje, któremi mógłbym wejść i bramy do spokojnego życia zamkną się za mną na zawsze, bo Rzym stoi na ich straży. Jego szpiegi i siepacze będą mię ścigali; aby odpocząć i spożyć kawałek chleba, będę musiał chronić się w grobach podmiejskich i w ciemnych jaskiniach dalekich gór...

Mowę młodzieńca przerwało łkanie: wszyscy zwrócili się ku Esterze, która skryła twarzyczkę na ramieniu ojca.

— Zapomniałem o tobie, Estero, — odezwał się Simonides łagodnie, bo sam był silnie wzruszony.

— Miło mi to widzieć, Simonidesie,—rzekł Ben-Hur,—łatwiej znieść ciężki los, gdy wiemy, że ktoś z nami współczuje. Ale dajcie mi dokończyć...

Dali mu znowu ucha.

— Chcę jeszcze dopowiedzieć to, że nie mam wyboru i muszę spełnić zadanie, jakie mi wskazujecie, i że, ponieważ pozostając tu, naraziłbym się na hańbiącą śmierć, natychmiast wezmę się do dzieła.

— Czy spiszemy umowę?—zapytał Simonides, przywykły do praktycznego załatwiania spraw.

— Polegam na twojem słowie,—rzekł Ben-Hur.

— Ja także,—odpowiedział Ilderim.

W taki to prosty sposób została zawiązana ugoda, mająca wpłynąć na całą przyszłość Ben-Hura.

— A więc umowa stanęła, — dodał po chwili tenże.

— Oby nam dopomógł w niej Bóg Abrahama! —zawołał Simonides.

— Jeszcze jedno słowo, moi przyjaciele,—rzecze Ben-Hur nieco weselej.—Pozwólcie, żebym rozporządzał sobą do końca igrzysk. Nie grozi mi chyba niebezpieczeństwo ze strony Messali, dopóki nie odbierze odpowiedzi od prokuratora; a może ona przyjść dopiero w 7 dni po wyprawieniu jego listu. Spotkanie się z nim w cyrku będzie rozkoszą, której muszę zaznać bądź co bądź!

Ilderim chętnie się zgodził, a Simonides, biorący rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:—Bardzo dobrze, panie mój; skorzystam z tej zwłoki, żeby ci oddać pewną przysługę. Wspomniałeś o spadku po Arjuszu... Czy to posiadłość ziemska?

— Willa pod Mizenum i domy w Rzymie.

— Radziłbym to sprzedać, a pieniądze ulokować dobrze. Gdy mi pan mój da spis majętności swoich i upoważnienie, to wyślę zaufanego człowieka, który załatwi tę sprawę. Choć raz wyprzedzimy rabusiów cezarowych.

— Jutro dostarczę ci potrzebnych wiadomości.

— Jeśli żaden z was nie ma już nic do nadmienienia, to na dziś skończyliśmy swoją robotę,—rzecze Simonides.

— I skończyliśmy ją dobrze, — dodał Ilderim, z zadowoleniem głaszcząc brodę.

— Estero, chleba i wina, szeik Ilderim zaszczyci nas może do jutra swoją obecnością, a ty, o panie...

— Ja proszę o konia, — odpowiedział Ben-Hur. —Powrócę do Gaju. Jeśli teraz pojadę, to będę bezpieczny od mego wroga a i twoje araby ucieszą się, gdy mię zobaczą,—dodał, zwracając się do Ilderima.

Świtało już, gdy Ben-Hur i Malluch stanęli przed namiotami szeika Ilderima.

---

## ROZDZIAŁ VII.

Następnego wieczoru, około godziny 4-ej, Ben-Hur stał z Esterą na tarasie domu jej ojca. U stóp ich, w przystani, panował wielki zgiełk. Ludzie, którzy ładowali paki i skrzynie, wyglądali przy świetle dymiących pochodni niby pracujące duchy ze wschodnich bajek fantastycznych.

Ładowano galerę, która miała niezwłocznie od-

płynąć. Simonides wydawał ostatnie zlecenia dowódcy okrętu. Miał on popłynąć jaknajspieszniej do Ostji, portu rzymskiego, wysadzić tam na ląd jednego pasażera, a potem wolniej już dążyć do Walencji, na wybrzeżu hiszpańskiem.

Podróżnym tym był pełnomocnik, któremu poruczono sprzedaż spadku po Arrjuszu, duumwirze. Gdy lina, na której uwiązany jest statek, zostanie przecięta, i okręt odbije od brzegu, Ben-Hur będzie musiał nieodwołalnie przystąpić do dzieła, nad którem naradzali się poprzedniego wieczoru. Gdyby żałował iż zawarł, ugodę z Ilderimem, to ma jeszcze chwilę czasu do odwołania jej. Wszakże jest panem; dosyć będzie, gdy powie jedno słowo.

Takie to myśli mógł snuć młodzieniec w tej chwili. Przyglądał on się ze skrzyżowanemi rękami pełnej ruchu przystani, widocznie pasując się z sobą. Młody był, piękny, bogaty, niedawno jeszcze należał do patrycjuszowskich kół towarzystwa rzymskiego,— nie dziw zatem, że powaby życia szeptały mu, by się nie narażał na niebezpieczeństwo i wygnanie dla ciężkich obowiązków a nawet i celów ambicji. Łatwo też odgadnąć, że myślał o beznadziejnej walce z Cezarem, o mgle niepewności, przysłaniającej wszystko co się odnosiło do króla i jego przyjścia, o spokoju, sławie, zaszczytach,—tych wszystkich skarbach, które mógł nabyć, niby towar na targowisku,—a nadewszystko o tem, że odzyskał ojczyznę i mógłby w niej pędzić życie pośród przyjaciół.

Dodajmy teraz, że świat, który zawsze podszeptuje słabemu: zaczekaj, nie spiesz się,—świat, który zawsze przedstawia słoneczną stronę życia,—miał sprzymierzeńca w towarzyszce Ben-Hura.

— Czyś była kiedy w Rzymie?—zapytał Ben-Hur

— Nigdy.

— Dlaczego?

— Lękam się Rzymu,—odpowiedziała dziewczyna, drżącym nieco głosem.

Spojrzał na nią, ale z powodu słabego światła nie mógł zobaczyć twarzy; nawet jej drobna, prawie dziecięca postać wyglądała niby cień. Znowu przypomniała mu ona Tirzę, przejęło go to więc nagle żałością. Tak samo właśnie postradana siostra stała przy nim na dachu, tego nieszczęsnego ranka, kiedy miał miejsce ów wypadek z Gratusem. Biedna Tirza! Gdzie ona? Uczucia wywołane tem wspomnieniem, wyszły na dobre Esterze.—Chociaż nie była jego siostrą, nigdyby nie mógł uważać jej za sługę; to zaś, że w rzeczy samej była jego sługą, czyniło go tem względniejszym i łagodniejszym względem niej.

— Nie mogę sobie wyobrażać Rzymu jako miasto, zawierające pałace, świątynie i roje ludzi,—rzekła pewnym już i spokojnym głosem.—Dla mnie to potwór, który zawładnął jednym z pięknych krajów i leży tam, czyhając na zgubę i śmierć ludzką; potwór, któremu niepodobna oprzeć się, drapieżny zwierz, krwią przesycony. Dlaczego...

Zawahała się, spuściła oczy, milczała.

— Mów dalej, — odezwał się Ben-Hur takim głosem, że nabrała odwagi.

Przysunęła się doń bliżej, spojrzała znowu w górę i rzekła: „Dlaczego masz sobie robić z niego nieprzyjaciela? Nie lepiejże pojednać się i żyć spokojnie? Przecierpiałeś już tak wiele, tak smutną miałeś młodość, a teraz masz i resztę dni swoich przebyć wśród ciężkich strapień i niebezpieczeństw..

Twarz dziewczęcia zdawała się coraz bardziej zbliżać i blednąć w miarę, jak mówił młodzieniec. Pochyliwszy się ku niej, zapytał on łagodnie:

— Jakżebyś mi radziła postąpić, Estero?

Po chwilce wahania, zapytała nawzajem: Czy w tej posiadłości pod Rzymem jest dom mieszkalny?

— Jest.

— Czy ładny?

— Bardzo piękny. Jest to pałac pośród ogrodów i alej wysadzonych muszlami, pośród wodotrysków i posągów w cienistych ustroniach, wzgórz obrośniętych winem i tak wysokich, że widać z nich Neapol i Wezuwjusz, z widokiem na morze—ogromną purpurowo-lazurową przestrzeń, zasianą ruchliwemi żaglami. Cezar ma wiejską rezydencją opodal, ale powiadają w Rzymie, że starożytna willa Arrjusza jest piękniejsza.

— Czy życie w niej spokojne?

— Ani dzień letni ani noc księżycowa nie mogą być spokojniejsze, prócz tych dni, kiedy przybywa kto z gości. Teraz, kiedy dawny właściciel umarł

a ja tu jestem, nic nie przerywa tam ciszy, tylko szept służby, świegot radującego się ptactwa i szmer wodotrysków. Jedyne zmiany tam—to, że stare kwiaty więdną i opadają, nowe wypuszczają pączki i rozwijają się, a światło słoneczne przysłaniają niekiedy cienie przechodzącej chmury. Życie było tam dla mnie za spokojne, Estero. Sumienie wyrzucało mi próżniactwo, bo mając tak wiele do wykonania, dałem się oplątać jedwabnym sidłom bezczynności. Niebawem zniedołężniałbym zupełnie...

Estera z zadumą w patrywała się w rzekę.

— Dlaczego zapytałaś mię o to?

— Dobry panie mój...

— Nie, nie, Estero—nie mów tak. Nazywaj mię przyjacielem, bratem jeśli chcesz; ja nie jestem panem twoim i nie chcę nim być. Nazywaj mnie bratem.

Nie mógł widzieć radości, co okryła rumieńcem jej twarzyczkę i błysnęła w oczach, zapatrzonych w dal ponad rzeką.

— Nie mogę tego zrozumieć,—rzekła, —że wybierasz życie...

— Gwałtów i może rozlewów krwi,—dopowiedział Ben-Hur.

— Tak...—ciągnęła dalej,—zamiast spokojnego życia, jakiebyś mógł pędzić w swej pięknej willi.

— Mylisz się, Estero... ja nie mam wyboru. Rzymianin nie raczy mi go zostawić. Ja idę z konieczności... Gdybym tu pozostał, przypłaciłbym to życiem, gdy pójdę tam, czeka mię taki sam koniec:

zatruta czara, sztylet morderczy, albo na krzywoprzysięstwie oparty wyrok. Messala i prokurator Gratus wzbogacili się rozgrabieniem majątku mego ojca i więcej im chodzi o to, żeby dziś utrzymać ten łup, aniżeli wtedy, żeby go sobie przywłaszczyć. O zgodnem załatwieniu sprawy nie może być mowy, gdyż musielibyśmy się przyznać do winy. Zresztą, moja Estero, gdybym nawet mógł ich przekupić, nie wiem, czybym chciał. Nie wierzę w możliwość spokoju dla siebie; nie, nawet w usypiającym cieniu i rozkosznem powietrzu marmurowych portyków starej willi, nawet przy boku cierpliwej i kochającéj istoty, któraby dzieliła ze mną i starała się osładzać mi troski. Nie mogę używać spokoju, dopóki nie znajdę moich ukochanych; jeśli zaś znajdę je, a doznały krzywdy, czyż nie jest moim obowiązkiem ukarać winowajców? Jeżeli je pozbawiono życia, mogęż nie zgładzić ze świata ich zabójców? O, sny nie dałyby mi spać! Nie, nawet najświętsza miłość nie zdołałaby żadnemi wybiegami utulić mię do snu, bo wyrzuty sumienia ciągleby mię budziły.

— Czy jest tak źle? Zapytała ze wzruszeniem, niema żadnej rady?

Ben-Hur ujął jej rękę.

— Czy cię tak bardzo obchodzę?

— Bardzo,—odpowiedziała szczerze.

Rączka jej była ciepła i maleńka. Czuł, że drży w jego męzkiej dłoni. W tej chwili, obok tej małej stanęła mu na oczach egipcjanka, taka wysmukła,

taka śmiała, taka zalotna, taka dowcipna, tak przedziwnie piękna, tak urocza w obejściu.. Puścił rączkę, którą niósł do ust.

— Ty będziesz dla mnie drugą Tirzą, Estero.

— Kto to jest Tirza?

— Siostrzyczka, którą mi wykradł rzymianin i którą muszę znaleźć, zanim sobie pozwolę spocząć lub być szczęśliwym.

Właśnie w tej chwili padł blask na taras i oświecił tych dwoje. Obejrzawszy się, zobaczyli oni sługę, toczącego Simonidesa w krześle przed dom, poszli więc do starca i w dalszej rozmowie on brał główny udział.

Niezadługo przecięto linę. Galera zakołysała się, zrobiła pół obrotu, i pośród zapalonych pochodni oraz wesołych okrzyków żeglarzy, wypłynęła na morze, zostawiając Ben-Hura, nieodwołalnie związanego ze sprawą *króla, który miał nadejść.*

## ROZDZIAŁ VIII.

W przeddzień igrzysk, popołudniu, cały wyścigowy tabor Ilderima został poprowadzony do miasta a następnie umieszczony w pobliżu cyrku. Ponieważ szeik wiódł z sobą także znaczną część swego mie-

nia innego rzędu, jako to: służbę, adherentów konnych i zbrojnych, konie zaprzęgowe, bydlęta juczne, wielbłądy obarczone pakunkami, jego wyjście z Gaju wyglądało niby wychodztwo całego pokolenia. Ludzie śmieli się na widok tej pstrej procesji, ale Ilderim, pomimo drażliwego usposobienia, jakoś nie okazywał urazy. Jeśli był śledzony, co miał powód przypuszczać, to szpiegi rozgłoszą, że dąży na wyścigi z przepychem nawpół barbarzyńskim. Rzymianie będą się śmieli, miasto zrobi sobie igraszkę, ale cóż mu to szkodzi? Nazajutrz rano, cały ten korowód, całe jego ruchome mienie, przedstawiające większą wartość, będzie już daleko na drodze do pustyni,— zostanie tylko to, co potrzebne do powodzenia jego czwórki. Powracał on do ziemi ojczystej: namioty zostały zwinięte, dowar znikł. Za 12 godzin daremnieby go chciano ścigać. Człowiek jest najbezpieczniejszym, gdy się zeń śmieją, a stary sprytny arab wiedział o tem.

Tak on jak i Ben-Hur nie przeceniali wpływu Messali, lecz byli przekonani, że wystąpi przeciwko nim dopiero po igrzyskach cyrkowych; gdyby jednak tam doznał porażki, zwłaszcza też od Ben-Hura, mogli się lękać najgorszych skutków i to niezwłocznie, może by nawet nie czekał wiadomości od Gratusa; ułożyli więc plan zabezpieczający ich możliwie od złej przygody. Teraz jechali razem, w bardzo dobrem usposobieniu, ufni, że odniosą nazajutrz zwycięztwo.

Po drodze spotkali Mallucha, który na nich cze-

kał. Wierny ten druh nie zdradził niczem swego udziału w nowym stosunku, tak niedawno zawiązanym pomiędzy Ben-Hurem a Simonidesem, ani też umowy z Ilderimem.

Po zamianie zwykłych pozdrowień, podał szeikowi papier, mówiąc: Mam tu program igrzysk. Wyczytasz w nim swoje konie i porządek gonitw. Z góry winszuję ci zwycięztwa, czcigodny szeiku.

Oddał papier i zwrócił się do Ben-Hura:

— Tobie także, synu Arrjusza, składam powinszowania. Już nic nie stoi na przeszkodzie twemu spotkaniu się z Messalą. Wszystkie przedwstępne formalności są dopełnione. Kierownik igrzysk mi to powiedział.

— Dziękuję ci, przyjacielu,—rzekł Ben-Hur.

Malluch mówił dalej.

— Twoja barwa jest biała a Messali szkarłatna ze złotem. Dobre skutki wyboru dają się już widzieć. Dziś chłopcy sprzedają na ulicach białe wstążki, a jutro każdy arab i żyd przybierze się w nie. Zobaczysz, że w cyrku będzie na galerjach tyle barwy białej, ile szkarłatnej.

— Na galerjach, ale nie na trybunie nad Porta Pompae.

— O, tam weźmie górę szkarłat ze złotem. Ale jeśli wygramy,—Malluch zadrżał z radości na tę myśl— jeśli wygramy, dostojnicy ci struchleją. Przez wzgardę dla wszystkiego, co nie jest rzymskiem, będą naturalnie robili zakłady--dwa, trzy, pięć przeciw je-

dnemu za Messalą, dlatego że jest rzymianinem. Zniżywszy głos, dodał jeszcze: nie uchodzi żydowi, zajmującemu pewne stanowisko w świątyni, robić tak ryzykowny użytek z pieniędzy, ale przyznam ci się poufnie, że jeden z moich przyjaciół umieści się za konsulem, żeby przyjmować zakłady trzech przeciw jednemu, albo pięciu, albo i dziesięciu—bo szał może zajść tak daleko. Oddałem mu do rozporządzenia, w tym celu 6000 szekelów.

— Pamiętaj, mój Malluchu,—odezwał się Ben-Hur,—że rzymianin będzie robił zakłady tylko o swoją rzymską monetę. Wyszukaj lepiej swego przyjaciela dziś wieczór i wręcz mu tyle sestersów, ile uznasz za potrzebne. Tylko zastrzeż sobie, żeby wywoływał zakłady z Messalą i jego stronnikami,—za czwórką Ilderima przeciw czwórce Messali.

Malluch zamyślił się, a po chwili rzekł:

— Skutek tego będzie taki, że wasze wyścigi ściągną uwagę całej publiczności.

— Właśnie mi o to chodzi, mój Malluchu.

— Rozumiem, rozumiem.

— Drogi Malluchu, jeśli chcesz mi oddać przyjacielską usługę, to dopomóż mi w tem, żeby moje zapasy z Messalą przykuły do siebie wszystkie oczy.

Malluch szybko odrzekł.

— To się da zrobić.

— A więc liczę na ciebie,—powiedział Ben-Hur.

— Będę namawiał do wysokich zakładów... jeśli będą przyjmowane—tem lepiej.

Malluch wpatrzył się badawczo w twarz Ben-Hura.

— Miałżebym nie powetować sobie ich grabieży? —rzekł młodzieniec, jakby do siebie samego.—Może się nie nadarzy druga sposobność. Ach gdybym mógł nietylko dumę jego upokorzyć, ale i zniszczyć go doszczętnie! Nasz ojciec Jakób nie wziąłby mi tego za złe...

Na jego pięknej męzkiej twarzy odbiła się silna wola, podnosząc znaczenie dalszych jego słów;

— Tak być musi. Słuchaj Malluchu... ofiaruj nietylko sestersy ale nawet talenty, jeśli się kto odważy na tyle... Pięć, dziesięć, dwadzieścia talentów, choćby pięćdziesiąt, jeśli to będzie zakład z samym Messalą.

— To ogromna suma,—rzekł Malluch.—Muszę mieć koniecznie poręczenie.

— Będziesz je miał. Pójdź do Simonidesa i powiedz mu, że sobie życzę, by załatwił tę sprawę. Powiedz, że tu idzie o zgubę mego wroga i że prawdopodobieństwo wygranej jest wielkie, mogę więc ryzykować nawet tak znaczną sumę. Bóg naszych ojców nie odmówi nam pomocy. Idź, dobry Malluchu... Trzeba korzystać z czasu.

Malluch, widocznie rozradowany, pożegnał młodzieńca i poszedł wsiąść na koń, lecz po chwili wrócił i rzekł:

— Przepraszam... jeszczem zapomniał o czemś. Ja sam nie mogłem przejść dosyć blizko koło wozu Messali, ale ktoś inny wziął jego wymiar dla mnie; otóż oś jest u niego osadzona o całą dłoń wyżej nad ziemię, niż u twojego.

— O całą dłoń! Tak wiele!—zawołał Ben-Hur z radością,

— Pochylił się nad Malluchem i szepnął:

— Jeśliś prawdziwy syn Judy i wierny swemu rodowi, to postaraj się o miejsce na galerji nad bramą Tryumfu, naprzeciwko filarów i uważaj pilnie, jak będziemy zawracali... Patrz dobrze, zależy mi na tem, bo jeśli mi szczęście posłuży... wolę nie dopowiedzieć reszty... Bądź tam tylko i uważaj pilnie...

W tej chwili z piersi Ilderima wyrwał się okrzyk.

— Ha! na chwałę Boską! Co to jest?

Przysunął się do Ben-Hura i pokazał palcem na końcowy ustęp programu.

— Czytaj!—rzecze Ben-Hur.

— Przeczytaj lepiej sam.

Młodzieniec wziął papier, podpisany przez prefekta prowincji, jako zarządzającego igrzyskami. Program ten podawał do wiadomości publicznej, że najsampierw będzie miał miejsce wspaniały pochód, następnie składane będą zwykłe ofiary bożkowi Konzusowi, poczem dopiero rozpoczną się: wyścigi piesze, skakanie, zapasy atletów, walka na pięści a to podług wskazanego porządku. Dalej szło wyszczegól-

nienie nazwisk zapaśników, ich narodowości, szkół, w których się kształcili, gonitw, w jakich brali udział, nagród, już zdobytych i obecnie przeznaczonych. Cyfry tych ostatnich były jaskrawemi literami wypisane, wskazując, że minęły dni, kiedy skromny wieniec z wawrzynu wystarczał zwycięzcy, żądniejszemu sławy, aniżeli bogactwa.

Powyższą część programu Ben-Hur przebiegł szybko oczami; dopiero ustęp o gonitwach przeczytał powoli: Miłośnicy bohaterskich igrzysk zobaczą coś zupełnie nowego, mianowicie:—Orestesową walkę, jakiej jeszcze nigdy nie widziano w Antjochji. Miasto urządza to widowisko na cześć konsula. Nagrodę stanowić będzie 100,000 sestersów i wieniec wawrzynowy. Wejść będzie 6; z tych 4 tylko dla publiczności. Dla większego zainteresowania widzów, wszyscy zapaśnicy wystąpią jednocześnie. Tu nastąpił opis wszystkich czwórek.

I. Czwórka Lyzyppusa z Koryntu: dwa szpaki, jeden gniadosz, jeden kary. Zwyciężyły w zeszłorocznych gonitwach w Aleksandrji, potem w Koryncie. Woźnica—Lyzyp. Barwa żółta.

II. Czwórka Messali z Rzymu: dwa siwki, dwa kare. Zwyciężyły zeszłego roku w cyrku Maksencjusza. Woźnica—Messala. Barwa szkarłatna i złota.

III. Czwórka Kleanta, ateńczyka: trzy siwki, eden gniadosz. Zwyciężyły zeszłego roku na igrzyskach Istmijskich. Woźnica—Kleantes. Barwa zielona.

IV. Czwórka Dikeusa z Byzancjum: dwa kare jeden siwosz, jeden gniady. Woźnica - Dikeus. Barwa czarna.

V. Czwórka Admetusa, Lydończyka—same siwki; trzy razy występowały w Cezarei, a zawsze zwycięzko. Woźnica—Admetus. Barwa błękitna.

VI. Czwórka Ilderima, szeika z pustyni: wszystkie gniadosze. Pierwszy występ, Woźnica Ben-Hur żyd. Barwa biała.

— *Woźnica—Ben-Hur*, *żyd*!

— Dlaczego jest to imię zamiast Arrjusza?

Ben-Hur spojrzał w oczy Ilderimowi... i odrazu zrozumiał jego wykrzyk. Obaj wpadli na jedną myśl.

Była-to ręka Messali.

---

## ROZDZIAŁ IX.

Zaledwie nastał wieczór w Antjochji, Omfalus, stanowiący prawie środek miasta, stał się mętnem źródłem, z którego płynęły potoki ludzi w różnych kierunkach, a głównie do Nymfeum oraz na wschód i zachód wzdłuż kolumnady Heroda; był-to bowiem czas poświęcony Bachusowi i Apollinowi.

Cizba ta nie mogłaby znaleźć dogodniejszej drogi, jak te wielkie ulice, kryte dachem, na których ciągnęły się kilka mil portyki marmurowe, pięknie

wypolerowane. Portykami temi obdarzyli wspaniałe miasto hojni książęta, chcąc się w ten sposób uwiecznić. Wszędzie było pełno światła. Ustawiczne śpiewy, śmiech, krzyki zlane z sobą, brzmiały niby huk wody, wdzierajacej się szczelinami do grot, pomieszane z licznemi echami.

Ten tłum, złożony z rozmaitych narodowości, mógł dziwić cudzoziemców, lecz dla samej Antjochji nie był osobliwością. Jednem z mnogich zadań wielkiego cesarstwa było zgromadzanie i zapoznawanie z sobą cudzoziemców. Ztąd-to całe ludy dążyły tam dobrowolnie, zanosząc z sobą ubiór, zwyczaje, mowę i bogów. Gdy się pielgrzymom podobało jakie miejsce, zatrzymywali się, rozpoczynali jakie zatrudnienie, budowali domy, stawiali ołtarze i żyli tak, jak we własnym kraju.

Ale owego wieczoru Antjochja miała odrębny wygląd: prawie wszyscy jej mieszkańcy nosili barwę którego z woźniców, zapowiedzianych na wyścigi następnego dnia. Były to szarfy, wstążki albo pióra,— a każda z tych form wskazywała, komu sprzyja przystrojona nią osoba. I tak: zielona barwa oznaczała stronników Kleantesa ateńczyka, czarna zaś przyjaciół byzyntyjczyka. Zwyczaj ten sięgał prawdopodobnie czasów Orestesa,—zwyczaj,—mówiąc nawiasem,—godzien studyj, jako osobliwość historyczna, jako objaw, do jakich smutnych krańcowości głupota doprowadza niekiedy ludzi.

Łatwo było dostrzedz przy tej sposobności, że przeważają barwy: zielona, biała i szkarłat ze złotem, Ale przejdźmy z ulicy do pałacu na wyspie.

W sali tylko co zajaśniały płomienie pięciu wielkich świeczników. Zebrało się tam prawie to samo grono, które widzieliśmy przed kilku dniami. Na sofie i dziś także drzemie kilku młodzieńców obok ciśniętej odzieży, a na stołach rozlega się brzęk kości. Ale większa część przybyłych nie jest niczem zajętą. Jedni, znudzeni chodzą z kąta w kąt i ziewają; inni krzyżując się z gromadkami znajomych, stają, żeby zamienić kilka błahych słów: Jaka też będzie jutro pogoda? Czy wszystko gotowe do igrzysk? Czy w Antjochji inne sę prawa cyrkowe, aniżeli w Rzymie? i t. p. Prawdę mówiąc, przykrzyło się tym młodzieńcom. Skończyli oni swą ciężką pracę, na ich tabliczkach zapisane już są przeróżne zakłady wyścigów: piesze, zapasy atletów, walka na pięści,—brakuje tylko zakładów gonitw na wozach.

Czemu to przypisać?

Oto nie mogą znaleźć nikogo, coby się odważył na zakład przeciw Messali.

W całej sali widać tylko jego barwy.

Nikt nie przypuszcza jego porażki.

Wszakże to najlepszy szermierz, uczeń cesarskiego *lanisty*,—mówiono.—Konie jego zwyciężyły na igrzyskach w wielkim cyrku. Zresztą, nie jestże on rzymianinem!

Jeden róg sofy zajmuje Messala; dokoła niego

siedzą lub stoją jego stronnicy i wielbiciele, zarzucając go pytaniami. Rozumie się, że wyścigi są jedynym przedmiotem wszystkich rozmów.

Wchodzą Druzus z Cecyljuszem.

— Ach,—zawołał młody książe, rzucając się na dywan u nóg Messali.—Ach, na Bachusa, jestem zmęczony!

— Zkądże przychodzisz?—zapytał Messala.

— Z ulicy... z za Omfalu, z końca miasta... Wszędzie mnóstwo ludzi. Nigdy jeszcze nie widziano takich tłumów w naszem mieście. Podobno cały świat wybiera się na jutrzejsze igrzyska.

Messala roześmiał się wzgardliwie.

— Idjoci! *Perpol!* Pewnie jeszcze nigdy nie widzieli cezara, występującego w cyrku. Ale cóżeś ty widział, mój Druzusie?

— Nic.

— Zapominasz o czemś,—odezwał się Cecyljusz.

— O czem?

— O korowodzie białych.

— Prawda!—wykrzyknął Druzus, podnosząc się do połowy.—Spotkaliśmy oddział białych. Nieśli sztandar, ale ha-ha-ha!

Pokładał się ze śmiechu na sofie.

— Okrutny Druzusie, cóż więcej? — Zapytał Messala.

— Były-to same szumowiny z pustyni,—kochany Messalo,—i zjadacze wnętrzności zwierzęcych z Ja-

kóbowej świątyni w Jerozolimie... Cóż mię oni mogli obchodzić?

Druzus boi się być wyśmianym. ja bym się tego nie lękał.

— A więc opowiadaj.

— Otóż zatrzymaliśmy korowód i...

— Zaproponowali zakład, — przerwał Druzus,— i ha-ha-ha! jeden z nich, który nie miał na twarzy nawet tyle skóry, ileby trzeba na robaka, służącego na przynętę dla karpia, wystąpił i, ha-ha-ha! przyjął zakład.—Wydobyłem tabliczki i zapytałem: Za kim trzymasz?—Za Ben-Hurem, żydem,—odpowiedział.— Jak wysoki zakład? Ile stawiasz? pytam.—Ha-ha-ha! Daruj, Messalo—na pioruny Jowisza, nie mogę mówić ze śmiechu... Ha-ha-ha!

Messala spojrzał na Cecyljusza.

— Szekela,—rzekł tenże.

— Szekela! Szekela!

Słowa te wywołały ogólny a wzgardliwy śmiech.

— Jakże się znalazł Druzus?—zapytał Messala

W tej chwili powstała wrzawa przy drzwiach i wszyscy podążyli zobaczyć, co się stało. Gdy hałas nie ustawał a nawet wzmagał się, Cecyljusz także się zerwał i dorzucił już tylko: Szlachetny Druzus, kochany Messalo, schował swe tabliczki i—stracił szekela.

— Biały! Biały!

— Niechaj wejdzie!

— Tędy! Tędy!

Takie i tym podobne okrzyki, zapełniły salę i przerwały wszystkie rozmowy. Ci, co grali w gości porzucili grę: kto drzemał, obudził się, przetarł oczy, i wydobył swe tabliczki. Całe towarzystwo skupiło się w jednym punkcie komnaty.

— Ja trzymam zakład!

— Ja także...!

— I ja...

Tak gorąco przyjmowanym przybyszem był ów sędziwy żyd, który towarzyszył Ben-Hurowi w drodze z Cypru. Wszedł on poważny, spokojny pewien siebie, — w białej szacie i białym turbanie. Kłaniając się i uśmiechając na powitanie, kroczył zwolna do stołu, będącego na środku sali. Tam ściągnął pieknie fałdy swej szaty usiadł i raz jeszcze skinieniem ręki powitał zebranych.

Zapanowała cisza, do czego niemało się przyczynił blask brylanta na palcu.

— Rzymianie, szlachetni rzymianie.—przyjmijcie moje pozdrowienie!—przemówił nieznajomy.

— Śmiały jest, na Jowisza! któż-to taki?—zapytał Druzus.

— Pies izraelski, imieniem sanballat; dostawca wojsk, mieszkaniec Rzymu. Wzbogacił się dostawami, których nigdy nie dostawia; żyje na to, żeby ludziom szkodzić, i w tym celu tka nici cieńsze, aniżeli sieci pajęcze. Idźmy, załapiemy, go na Wenerę!

Mówiąc to, wstał z sofy i obaj z Druzusem przyłączyli się do ciżby, otaczającej dostawcę.

— Na ulicy usłyszałem,—rzekł przybysz, rozkładając swe tabliczki na stole,—że w pałacu jest wielkie niezadowolenie, z powodu, iż nikt nie robi zakładu przeciw Messali. Bogowie, jak wiadomo, potrzebują ofiar, dlatego przychodzę... Widzicie moją barwę... przystąpmy od razu do rzeczy. Ile mi ofiarujecie?

Jego śmiałość zdawała się zdumiewać całe zgromadzenie.

— Spieszcie się!—rzekł,—za chwilę muszę być u konsula.

Słowa te odniosły skutek.

— Dwa przeciw jednemu,—odezwało się kilka głosów.

— Jakto!—wykrzyknął dostawca ze zdumieniem,—tylko dwa przeciw jednemu, gdy robicie zakład o rzymianina!

— Niechaj będzie trzy.

— Trzy, powiadacie,—nie więcej jak trzy, kiedy idzie tylko o psa żydowskiego! Dajcie mi cztery.

— A więc cztery,—odezwał się jakiś młodzieniaszek, zadraśnięty drwinami.

— Pięć, ofiarujcie pięć,—nalegał dostawca.

Głęboka cisza zaległa salę.

— Konsul, wasz i mój pan czeka na mnie.

Wszyscy milczeli zakłopotani.

— Dajcie mi pięć, dla honoru Rzymu, pięć.

— Ja ofiaruję pięć,—odezwał się jakiś głos.

Powstał ruch, ozwały się okrzyki i wystąpił z ciżby sam Messala.

— Zgoda na pięć!—powtórzył.

Sanballat z uśmiechem zabrał sie do zapisania.

— Gdyby cezar umarł jutro—rzekł,—Rzym nie byłby osierocony, bo jest choć jeden człowiek, któryby go umiał zastąpić. Daj mi sześć.

— A więc sześć.—odpowiedział Messala.

Rozległ się znowu okrzyk, głośniejszy jeszcze od pierwszego.

— Zgoda, sześć, — powtórzył Messala, — sześć przeciw jednemu, taka właśnie jest różnica pomiędzy rzymianinem a żydem. Kiedyś się już o tem dowiedział, o zbawco mięsa wieprzowego, spiesz ze spisaniem umowy, bo konsul może przysłać po ciebie, a wtedy stracę zakład.

Sanballat, nie zwracając uwagi na to naigrawanie się, spisał ugodę, i tabliczki podał Messali.

— Przeczytaj, przeczytaj!—wołano zewsząd.

Messala czytał.

„*Mem*:—wyścigi na wozy, Messala, rzymianin—zakłada się z Sanballatem, także z Rzymu, że zwycięży Ben-Hura, żyda. Zakład wynosi 20 talentów. Messala stawia sześć przeciw jednemu.

Świadkowie:

*Sanballat*“.

Nikt się nie odezwał, ani ruszył z miejsca. Każdy pozostał w tej pozie, w jakiej go zaskoczyło czyta-

nie. Messala wpatrzył się w memorandum, a oczy całego otoczenia w niego były wlepione. On czuł te spojrzenia i myślał szybko. Stał ciągle w tej samej postawie, i nadrabiał miną, ze względu na otaczających go ziomków. Oni to zapamiętają. Jeśli odmówi podpisu, to straci wszelki urok; a podpisać nie mógł, bo nie miał nietylko stu talentów, ale nawet 5-tej części tej sumy. Nagle stracił przytomność umysłu; stał niemy, milczący i strasznie blady. Nakoniec przyszła mu do głowy myśl, której się uchwycił.

— Ty, żydzie! — rzekł, — 20 talentów? pokaż mi gdzie są?

Sanballat uśmiechnął się jeszcze złośliwiej.

— Tu, — odpowiedział, podając Messali pargamin.

— Czytaj! czytaj! wołano dokoła.

Messala znowu czytał.

Antjochja, dnia 16, Tammuz.

„Okaziciel, Sanballat z Rzymu, ma u mnie teraz do rozporządzenia 50 talentów w monecie Cezara.

*Simonides*".

— Pięćdziesiąt talentów! Pięćdziesiąt talentów! Powtarzali wszyscy ze zdumieniem.

Tu Druzus przyszedł w pomoc.

— Na Herkulesa!—zawołał—ten papier kłamie i żyd jest kłamcą. Kto, prócz Cezara, może rozporządzać 50-ma talentami? Precz z białym zuchwalcem!

Okrzyk ten był gniewny i gniewnie został powtórzony; Sanballat siedział jednak wciąż, i im dłu-

żej czekał, tem uśmiech jego stawał się bardziej wyzywającym. Nakoniec Messala odezwał się:

— Cicho! przez szacunek dla naszego starożytnego imienia rzymian!

Słowa te przywróciły mu przewagę.

— Ach, ty obrzezany psie,—mówił on dalej do Sanballata,—ofiarowałem ci sześć przeciw jednemu, nieprawda?

— Tak,—odrzekł żyd spokojnie.

— Teraz ja z kolei naznaczę wysokość zakładu.

— Zgadzam się, byleby suma nie była zbyt nizką, odpowiedział sanballat.

— A więc napisz 5 zamiast 20-stu.

— Czy posiadasz tyle?

— Na matkę bogów pokażę ci kwit.

— To zbyteczne—słowo tak czcigodnego rzymianina musi wystarczyć. Tylko żeby cyfra była parzysta, daj 6 zamiast 5-ciu, a zapiszę.

— Zgoda, zapisz.

Zamienili z sobą tabliczki. Wtedy podniósł się Sanballat i rozejrzał się dokoła, już nie z uśmiechem, lecz z szyderczym wyrazem twarzy. Znał on dobrze tych ludzi, z którymi miał do czynienia.

— Rzymianie,—rzekł znowu,—proponuję wam drugi jeszcze zakład, jeśli się odważycie! Pięć talentów przeciw pięciu talentom, że biały zwycięży! Wyzywam was wszystkich, ilu was tu jest.

Znowu opanowało ich zdumienie.

— Jakto!—zawołał głośniej—Mająż mówić jutro w cyrku, że pies izraelski wszedł do sali pałacowej, pełnej szlachetnych rzymian—pomiędzy którymi znajdował się potomek cezarów—i proponował zakład o 5 talentów, a ten kwiat rzymskiej młodzieży nie odważył go się przyjąć!

Tego już nadto było.

— Milcz, zuchwalcze!—krzyknął Druzus,—spisz umowę i połóż ją na stole, a jutro, jeśli się przekonamy, że istotnie masz dosyć pieniędzy, żeby tak wiele ryzykować, to ja—Druzus, zaręczam ci, że ten zakład będzie przyjęty.

Sanballat znowu zapisał swe tabliczki i podnosząc się, rzekł ze zwykłym spokojem: Zostawiam tu, Druzusie, spisane warunki, przyślij mi je, z podpisem, przed rozpoczęciem się gonitw. Będę siedział za konsulem nad Porta Pompae. Pokój z tobą, pokój z wami wszystkimi.

Skłonił się i odszedł, nic sobie nie robiąc, z tego, że krzyki i drwiny towarzyszyły mu aż do drzwi.

W nocy wieść o bajecznym zakładzie przebiegła po całem mieście. Ben-Hur, który legł na spoczynek przy swej czwórce, dowiedział się o niej, zarówno jak i o tem, że Messala stawił na hazard całe mienie swoje.

Nigdy jeszcze nie spał tak smacznie.

## ROZDZIAŁ X.

Cyrk Antjochijski stał na południowym brzegu rzeki, prawie naprzeciwko wyspy, niczem nie różniąc się od innych budynków tego rodzaju.

Igrzyska były darem dla publiczności, dlatego każdy mógł się im przyglądać. Chociaż miały się odbywać w murach kolosalnego gmachu,—tłumy, z obawy, by nie zbrakło miejsc, jeszcze w przeddzień rozłożyły się, niby obozem, na okolicznych placach.

O północy otworzono w cyrku wszystkie wejścia na oścież, a ciżba wtłoczyła się, by zająć przeznaczone dla niej miejsca, z których nic nie zdołałoby jej wyrugować, chyba trzęsienie ziemi, albo dzidy żołnierstwa.

Tam przespali ci ludzie na ławkach resztę nocy, tam zjedli rano śniadanie, tam ich także zastał koniec gonitw, cierpliwych i tak żądnych widowiska, jak przed jego rozpoczęciem. Wyższe klasy, mające miejsca zapewnione, zaczęły dążyć do cyrku około 1-szej godziny dnia. Lektyki i świetna liberja służby odznaczały pośród nich dostojników i bogaczy.

O 2-giej godzinie zaczęły napływać z miasta niezliczone tłumy.

W chwili, kiedy kompas rządowy wskazywał godzinę 2½, legjon w pełnem uzbrojeniu, z rozwiniętemi sztandarami, schodził z góry Sulpiusa. Gdy wrzawa ostatniej kohorty znikła na moście, Antjochja

opustoszała zupełnie. Cyrk nie mógł w prawdzie pomieścić tej ciżby, ale niemniej płynęła ku niemu potokiem.

Na brzegu rzeki, gromady ludzi przyglądały się konsulowi, który się przeprawiał z wyspy przepyszną łodzią. Wylądowanie wielkiego męża i honory wojskowe, jakie mu oddawał legjon, odwróciły na chwilę uwagę widzów od cyrku.

O godzinie 3-ciej, cała publiczność była już zgromadzona. Trąby zagrzmiały nakazując milczenie, i krocie ludzi zwróciły oczy ku wschodniej części budynku.

Na środku wysokiego podmurowania, znajdowało się obszerne sklepione przejście, zwane Porta Pompae, nad którem konsul zajmował honorowe miejsce, zdobne w insygnia i chorągwie legjonu. Po obu stronach owego przejścia znajdowały się w podmurowaniu stalle dla koni, zwane *Carceres*. Przedziały te, o ciężkich masywnych wrotach, podparte były z frontu olbrzymiemi słupami, u góry zaś ciągnął się gzyms, uwieńczony nizką balustradą. Za tą balustradą były amfiteatralnie ustawione krzesła dla grona dostojników we wspaniałych szatach. Przez całą szerokość cyrku szły słupy. Na bokach tychże były wieżyczki, służące nietylko dla ozdoby, ale i do podtrzymywania purpurowego *velarium*, które zasłaniało całą tą przestrzeń cyrku od żaru słonecznego. Zbliżało się już południe, cień był więc bardzo pożądany.

Niechaj sobie czytelnik wyobrazi, że siedzi na

trybunie konsula, zwróconej ku zachodowi, zkąd może objąć wzrokiem całe wnętrze cyrku.

Na prawo i na lewo zobaczy on główne wejścia bardzo szerokie i zaopatrzone w podwoje dębowe.

U stóp ma on rozległą płaszczyznę czyli arenę, wysypaną drobnym białym piaskiem,—na której mają się odbyć wszystkie ćwiczenia, oprócz gonitw. Na zachód od wysypywanej piaskiem areny, piedestał marmurowy podtrzymuje 3 nizkie stożkowate słupy z szarego kamienia. Niejedno oko spocznie dziś na nich, zanim się dzień skończy, stanowią one bowiem pierwszą metę—początek i koniec wyścigów. Za podstawą tą jest miejsce na ołtarz i przejście do niego, a dalej zaczyna się mur 10—12 stóp szeroki, 5—6 wysoki, a długi na 200 łokci, czyli na *stadjum* olimpijskie. Na zachodnim krańcu muru stoi drugi piedestał, a na nim są dwa słupy, oznaczające drugą metę.

Wozy miały wjeżdżać na arenę na prawo od pierwszej mety, zostawiając ciągle mur na lewo. Punkt, gdzie się zapasy miały zaczynać i kończyć, znajdował się naprzeciw konsula, po drugiej stronie areny: dlatego miejsce to było najlepsze w całym cyrku.

Jeśli czytelnik—którego sobie wciąż wyobrażamy w loży konsula, nad Porta Pompae, przyjrzawszy się już dolnemu urządzeniu, zechce spojrzeć w górę, to przedewszystkiem ściągnie jego uwagę zewnętrzny obwód placu wyścigowego, to jest gruby mur, na 20 stóp wysoki, z taką balustradą na szczycie,

jaka się wznosi od wschodniej strony, nad *carceresami* albo stallami. Balkon ten ma 3 wejścia: 2 od północy a jedno od zachodu. To ostatnie, bogato przyozdobionne, nosi nazwę Bramy Tryumfu, z tej przyczyny, że po skończonych gonitwach, zwycięzcy przechodzą tamtędy z wieńcami na głowie, w licznym orszaku.

Na zachodnim krańcu balkonu, wprost trybuny, balustrada, zagięta w półkole, podpiera dwie wielkie galerje.

Tuż za balustradą, na daszku balkonu, zaczyna się rzęd ław, nad któremi inne wznoszą się amfiteatralnie, przedstawiając zajmujący widok zarumienionych, ożywionych twarzy i różnobarwnych strojów.

Gmin zajmuje miejsca w stronie zachodniej, gdzie się kończy budynek, przeznaczony wyłącznie dla klas uprzywilejowanych.

Nareszcie ozwały się trąby, tłum siedzi cichy, nieruchomy, z natężoną uwagą.

Poza Porta Pompae, od strony wschodniej dochodzą dźwięczne głosy z towarzyszeniem instrumentów muzycznych. Po chwili odzywa się i chór w korowodzie, rozpoczynającym widowisko. Pretor igrzysk, cywilne władze miejskie idą na czele w kosztownych szatach i wieńcami na skroniach. Dalej, niektórych bogów niosą kapłani, inni jadą w dużych i wspaniałych wozach 4-ro kołowych. W końcu cisną się zapaśnicy, każdy w tym stroju, w jakim wystąpi

w gonitwach, walkach atletów, skakaniu, mocowaniu się, albo wyścigach rydwanowych.

Zwolna krocząc przez arenę, procesja obchodzi plac igrzysk dokoła. Jest to widok piękny i wspaniały. Zachwycona nim publiczność wydaje okrzyki, co się wznoszą i opadają, niby woda, uderzająca o boki płynącego statku. Tylko bogowie pozostają niemi, kierownik igrzysk i jego towarzysze nie są tak skryci.

Powitanie atletów jest jeszcze burzliwsze, bo niema jednego człowieka w tym tłumie, któryby nie zrobił na nich zakładu, choćby o obola. W miarę, jak się przesuwają, publiczność okrzykuje swych ulubieńców i rzuca im z balkonów bukiety i wieńce.

Co w tych igrzyskach budzi najwięcej zajęcia, teraz już łatwo zauważyć. Wspaniałe wozy, szczególnie piękne rumaki pociągają wszystkie oczy. Do zachwytu tego przyczynia się i wygląd woźniców— w krótkich tunikach bez rękawów, z najcieńszej białej wełny, w kolorze panów, którym służą. Każdemu z nich towarzyszy jezdny; tylko Ben-Hur wolał jechać sam jeden, przez nieufność, lub może z innej przyczyny. Wszyscy też oprócz niego mają hełmy na głowie. Korowód zbliża się do drugiej mety: widzowie stają na ławach, wrzawa się wzmaga; słuchając uważnie, można w niej wyróżnić piskliwe głosy kobiet i dzieci. Jednocześnie z balkonów pada deszcz z kwiatów na ludzi i wozy, napełniając je po brzegi. Nawet konie mają udział w tej owacji;

zdawałoby się, iż są zarówno z panami swymi świadome składanych hołdów.

Niebawem okazuje się, że nietylko zapaśnicy, ale także ich woźnice mają stronników, że na każdej ławie kobiety i dzieci, zarówno jak mężczyzni, noszą barwę jakąś—najczęściej kokardę na piersiach, lub we włosach: zieloną, żółtą albo błękitną; większość przybrała jednak kolor biały lub szkarłatny ze złotem.

Na dzisiejszych wyścigach robią się zakłady o zalety i ćwiczenia koni, ale wtedy na pierwszym planie była narodowość. Jeśli byzantczyk i sydończyk znajdowali mało poparcia, to dlatego, że ich miasta miały niewielu przedstawicieli na ławach. Grecy znów, chociaż licznie zebrani, rozpadali się na koryntjan i ateńczyków, czyli na zielonych i żółtych. Messali szkarłat ze złotem miałby także szczupłą garstkę zwolenników, gdyby nie to, że obywatele antjochijscy, znana rasa dworaków, przywdziali barwy rzymianina, żeby mu się przypodobać. Pozostawała jeszcze wiejska ludność: syryjczycy, żydzi i arabowie; ci, przez ufność w krew czwórki szeika, połączoną w znacznej części z nienawiścią do rzymian, dla których nadewszystko pragnęli porażki i upokorzenia, nosili kolor biały i stanowili najkrzykliwszą, a prawdopodobnie i najliczniejszą frakcją, ze wszystkich.

W miarę, jak rydwany wjeżdżają w głąb koła, zgiełk wzmaga się; przy drugiej mecie, gdzie—zwła-

szcza na galerjach biała barwa góruje, publiczność więcej jeszcze sypie kwiatów i zapełnia powietrze okrzykami:

— Messala! Messala!

— Ben-Hur! Ben Hur!

Gdy procesja znikła z oczu, widzowie zajęli napowrót swe miejsca i rozpoczęły się rozmowy.

— Ach, na Bachusa! jakiż on piękny!—zawołała stronniczka rzymianina, jak to wskazywała szkarłatno-złota przepaska we włosach.

— A jaki ma wspaniały rydwan!—odpowiedziała sąsiadka, sprzyjająca także Messali. Cały z kości słoniowej i złota. Oby mu Jowisz pozwolił zwyciężyć!

— Na ławie za niemi objawiały się inne sympatję.

— Sto szekelów na żyda!—odezwał się jakiś przykry i przenikliwy głos.

— Nie spiesz się,—szepnął przyjaciel mówiącemu, chcąc go poskromić,—dzieci Izraela nie mają wielkiego powodzenia w tych pogańskich zabawach, na które Pan niechętnem okiem patrzy.

— Prawda, ale czyś kiedy widział zapaśnika, coby miał taką zimną krew, pewność siebie, i by tak silny?

— Ale jakie ma konie!—zawołał trzeci.

— Pododno w sztuce powożenia równa się rzymianom.

— Ale jest piękniejszy, aniżeli rzymianin,—dorzuciła jedna z kobiet.

Podniecony temi pochwałami, zapaleniec ów krzyknął znowu:

— Sto szekelów na żyda!

— Szaleńcze! — szepnął pewien antjochijczyk z przedniej ławy balkonu,—czy nie wiesz, że istnieje zakład o 50 talentów, sześć przeciw jednemu, na Messalę przeciw temu żydowi? Zatrzymaj swoje szekele, bo ojciec Abraham gotów cię ukarać.

— Ha, ha, ha! ty ośle antjochijski! Przestań ryczeć, wszakże-to się założył sam Messala,—odpowiedział ktoś z boku.

Spory szły tak wciąż, przybierając nawet niekiedy ostry charakter.

Gdy nakoniec korowód znikł za Porta Pompae, Ben-Hur wiedział już, że jego życzenie zostało spełnione. Jego walka z Messalą zwróciła ku sobie oczy całego wschodu.

---

## ROZDZIAŁ XI.

Około godziny 3-ciej, mówiąc po dzisiejszemu, igrzyska były skończone, oprócz gonitw na rydwany. Ze względu na wygodę publiczności nastąpiła pauza. Naraz *vomitoria* otworzyły się na oścież, i kto tylko

mógł, spieszył do zewnętrznego portyku, aby się posilić lub ochłodzić. Pozostali ziewali, gwarzyli, przeglądali swe tabliczki. Wszystkie różnice zatarły się niejako; były tylko 2 klasy—wesołych, zadowolonych, kwaśnych lub opryskliwych, stosownie do tego, czy wygrali lub przegrali. Trzecia klasa widzów, złożona z obywateli, którzy pragnęli widzieć tylko gonitwy na rydwany, korzystając z przerwy w widowisku, weszło, żeby zająć zamówione z góry miejsca. Umyślnie wybrali oni tę chwilę, żeby nie zwrócić na siebie uwagi i nikomu się nie narazić. Wśród tej gromadki znajdował się także Simonides ze swojem otoczeniem. Miejsca ich były w północnej stronie, nieopodal głównego wejścia, naprzeciw trybuny konsula.

Gdy 4-ch rosłych ludzi niosło kupca na krześle, przez portyk, obudziło to ogólną ciekawość. Naraz powiedział ktoś głośno jego imię, sąsiedzi powtórzyli je i w ten sposób przebiegło po całem cyrku. Wskakiwano na ławy, żeby zobaczyć człowieka, o którego bogactwie i wielkich nieszczęściach chodziły takie osobliwe wieści.

Ilderim, którego także poznano, był gorąco witany; ale nikt nie znał Baltazara i towarzyszących mu 2-ch niewiast w gęstych zasłonach.

Publiczność z poszanowaniem ustępowała im z drogi, a odźwierni umieścili ich przy balustradzie powyżej areny. Dla większej wygody siedzieli na poduszkach i mieli stołeczki pod nogi.

Owemi kobietami były Iras i Estera.

Gdy usiedli, ta ostatnia rozejrzała się lękliwie po cyrku i szczelniej zasłoniła twarz; egipcjanka zaś spuściła zasłonę na ramiona, ukazując oblicze i zdawała się być obojętną na to, że wszystkie oczy zwracają się ku niej,—co bywa zwykle skutkiem obycia się ze światem.

Grono przybyłych nie zdążyło przyjrzeć się wielkiemu zgromadzeniu, a w szczególności konsulowi wraz z jego orszakiem, kiedy wpadło na arenę kilku sług cyrkowych i zaczęli rozciągać linę pomazaną kredą, od balkonu do balkonu, przed słupam pierwszej mety.

W tymże czasie 6-ciu ludzi przeszło Bramą Pompejańską i stanęli przed stallami. W całym cyrku powstał szmer.

— Patrz, patrz! zielony idzie do numeru 4-go na prawo; to ateńczyk.

— Messala jest także,.. przed nrem 2-gim.

— I koryntyjczyk...

— Widzisz białego? Patrz, przechodzi przez arenę... Zatrzymuje się; on ma numer 1-szy—numer 1-szy jest na lewo.

— Nie, czarny tam staje, a biały przed numerem 2-gim.

— Tak, tak.

Uwagi powyższe odnosiły się do dozorców w tunikach takiej barwy, jaką nosili zapaśnicy, Z miejsc, jakie pozajmowali, każdy odgadywał, w któ-

rej stalli wybraniec jego wyczekuje rozpoczęcia się gonitw,

— Czyś ty kiedy widziała Messalę?—zapytała egipcjanka Estery.

— Nie,—odrzekła żydówka, i dreszcz ją przeszedł, bo wszakże rzymianin był wrogiem, wprawdzie nie jej ojca, ale—Ben-Hura.

— Piękny jest, jak Apollo!

Gdy Iras mówiła te słowa, duże jej oczy zabłysły i zaczęła się chłodzić wachlarzem, wysadzanym drogiemi kamieniami... Estera patrzyła na nią, myśląc sobie: Czy może być piękniejszy od Ben Hura. Po chwili usłyszała, jak Ilderim rzekł do jej ojca:

— Tak, jego stalla jest pod nrem 2-gim, na lewo od Bramy Pompae.

Myśląc, że jest mowa o Ben-Hurze, zwróciła oczy w tę stronę, ale natychmiast spuściła je i wyszeptała krótką modlitwę:

W tej chwili Sanballat przyłączył się do ich gromadki.

— Przychodzę ze stall, o szeiku,—rzekł, oddając poważny ukłon Ilderimowi, który zaczął gładzić swą siwą brodę i błyszczącem okiem wpatrzył się weń ciekawie.—Konie są w doskonałym stanie.

— Jeśli mają być pobite, proszę Boga o to tylko, żeby zwycięzcą nie był Messala,—odpowiedział Ilderim.

Sanballat zwrócił się potem do Simonidesa i wydobywszy jedną tabliczkę, rzekł:

— Tobie także przynoszę ciekawą wiadomość: przypominasz sobie pewno, żem ci mówił o zakładzie, jaki zrobiłem wczoraj wieczór z Messalą. Otóż zostawiłem także spisaną propozycją drugiego: w razie przyjęcia, miano mi go przysłać z podpisem przed rozpoczęciem gonitw, Patrzcie, oto jest.

Simonides wziął tabliczkę i przeczytał uważnie memorandum.

— Wiem o tem,.. przysyłali do mnie z zapytaniem, czy masz tak dużo pieniędzy u mnie. Schowaj dobrze tę tabliczkę: jeśli przegrasz, wiesz, gdzie pójść po pieniądze; jeżeli wygrasz—pilnuj się, przyjacielu, gdyż podpisani gotowi uciec. Wydobądź z nich do ostatniego szekela... Oniby tak samo postąpili z nami.

— Bądź spokojny,—odpowiedział dostawca.

— Nie usiądziesz tu, pomiędzy nami?—zapytał Simonides.

— Jesteś bardzo łaskaw,—odparł tamten,—ale jeśli się oddalę od konsula, to młody Rzym weźmie górę. Pokój z tobą, pokój wam wszystkim.

Nakoniec trąby dały hasło rozpoczęcia gonitw. Wszyscy cisnęli się do swych miejsc. Kilku niewolników weszło na *spinę*, będącą na zachodnim krańcu areny, nieopodal drugiej mety i położyli na niej siedem drewnianych kul; następnie wróciwszy do pierwszej mety, postawili siedem delfinów, wyrobionych z drzewa.

— Co oni będą robili z temi kulami i temi rybami, szeiku? Zapytał Baltazar.

— Czyś nigdy nie był na wyścigach?

— Nigdy, i dziś sam nie wiem, po com tu przyszedł.

— Widzisz, te znaki są potrzebne do obliczania. Każdy raz, co rydwan objedzie dokoła arenę, jedna kula i jedna ryba spadną na dół.

Przygotowania były skończone. Trębacz w świetnym stroju stanął przy pretorze, gotów na jego rozkaz dać hasło rozpoczęcia. W jednej chwili ucichły wszelkie rozmowy. Wszystkie twarze zwróciły się ku wschodowi, wszystkie oczy spoczęły na wrotach, 6-ciu stall, w których znajdowali się zapaśnicy.

Z zarumienionej twarzy Simonidesa widać było że i on bierze udział w ogólnem podnieceniu. Ilderim szarpał gniewnie srebrzystą brodę.

— Uważaj teraz na rzymianina,—odezwała się piękna egipcjanka do Estery.—Ta nie usłyszała, gdyż przez gęstą zasłonę, z bijącem sercem, upatrywała Ben-Hura.

Stalle były w jednakowej odległości od pierwszej mety i od sznura pomazanego wapnem, o którym wspominaliśmy wyżej.

Trąba znowu zagrała i odźwierni otworzyli *carceresy*.

Najpierw pojawili się jezdni, przydani do rydwanów; było ich tylko pięciu, gdyż Ben-Hur odrzucił tę pomoc. Spuszczono linę, żeby ich prze-

puścić, poczem znowu została podniesioną. Siedzieli oni na wspaniałych rumakach, ale mało kto im się przyglądał: cały czas dochodziło rżenie koni i niecierpliwe głosy woźniców: wszystkie spojrzenia były więc zwrócone ku otwartym wrotom.

Lina znowu poszła w górę, odźwierni wywołali imiona woźniców, a dozorcy na balkonach zaczęli wymachiwać rękami i krzyczyć co sił: Siadać! Siadać! Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś gwizdaniem chciał uśmierzyć burzę.

Ze stall wypadło 6 czwórek, niby szrut z tyluż wielkich strzelb. Zelektryzowani widzowie powskakiwali na ławy, zapełniając cyrk krzykiem i rykami. Była to chwila, na którą tak cierpliwie czekali, o której z najżywszem przejęciem gwarzyli i śnili, odkąd zapowiedziano gonitwy.

— Patrz, oto on!—wykrzyknęła Iras, wskazując na Messalę.

— Widzę go,—odrzekła Estera, a patrzyła na Ben-Hura.

Odsłoniła twarz. Na chwilę zdobyła się młoda izraelitka na odwagę. Zrozumiała rozkosz dokonania czynu bohaterskiego w oczach tłumu; pojęła to, że szermierze porwani szałem, drwią ze śmierci, lub zgoła o niej zapominają.

Zapaśnicy byli teraz widzialni dla całego cyrku, ale gonitwy nie rozpoczęły się: jeszcze nie opuszczono sznura.

Był on rozciągnięty w tym celu, aby wszyscy

stali w jednym rzędzie przy wyruszeniu. Szermierzom groziło to niebezpieczeństwo, że jeśli w rozpędzie natrafią na tę przeszkodę, to ich ominie upragnione miejsce przy murze, przecinającym stadjon, czyli przy *spinie*.

Widzowie doskonale wiedzieli, jaką ma doniosłość ta chwila. Długość sznura wynosiła około 250 stóp, potrzeba więc było bystrego oka, pewnej ręki i zimnej krwi. Zapaśnicy zbliżyli się jednocześnie do szrank. Trąba zagrała, tłum wydał okrzyk radości.. sznur opadł. I w samą porę: dotknęło go bowiem kopyto jednego z rumaków Messali. Rzymianin, bynajmniej nie zalękniony, zaciął długim biczem, puścił lejce, pochylił się naprzód i z okrzykiem tryumfu zajął miejsce pod murem.

— Jowisz z nami! Jowisz z nami!—wrzasnęli rzymianie w szale radości.

Zawracając zahaczył Messala łbem bronzowego lwa swojej osi o przednią nogę orczykowego konia ateńczyka; zwierzę skoczyło w bok i zaczepiło o konia jarzmowego. Oba zachwiały się, wspięły, i cała czwórka pozostała w tyle. Przerażony tłum przyglądał się z zapartym oddechem, tylko w loży konsula powstała wrzawa.

— Jowisz z nami!—wrzasnął Druzus.

— On wygra! Jowisz z nami!—zawołali jego towarzysze, widząc, że rzymianin pędzi dalej.

Tak podstępnie zatrzymany ateńczyk miał tyl-

ko koryntczyka po prawej stronie i chciał tam właśnie skierować swą rozerwaną czwórkę; tymczasem nieszczęście chciało, że koło byzantczyka, który był po jego lewej ręce, uderzyło o tył rydwanu, przetrącając nogi biednego Kleatesa. Usłyszano łoskot, krzyk wściekłości, przerażenia i nieszczęśliwy grek padł pod kopyta swych koni.

Estera zasłoniła sobie oczy.

Koryntczyk, Byzantyjczyk i Sydończyk pomknęli na arenę.

Sanballat poszukał okiem Ben-Hura i zwróciwszy się następnie do Druzusa i jego towarzyszy, zawołał:

— Sto sestersów na żyda!

— Zgoda!—odrzekł Druzus.

— Jeszcze sto na żyda!—krzyknął Sanballat.

Zdawało się, że go nikt nie słyszy; zawołał więc powtórnie, ale napróżno: wszyscy byli zajęci areną i okrzykami: Messala! Messala. Jowisz z nami!

Gdy młoda żydówka odważyła się spojrzeć, jedni niewolnicy uprzątali części strzaskanego rydwanu, drudzy wyprowadzali konie, inni jeszcze wynosili ateńczyka. Na każdej ławie, gdzie siedział grek, rozlegały się klątwy i złorzeczenia. Esterze opadły nagle rączki na kolana: Ben-Hur pędził przodem obok rzymianina. Za nimi podążali: Sydończyk, Koryntczyk i Byzantczyk.

Zaczęły się gonitwy. Zapaśnicy oddali im się

całą duszą, a tłum śledził ich ruchy z zapartym oddechem.

---

## ROZDZIAŁ XI.

Gdy się zaczęła walka o posterunek, Ben-Hur jakeśmy widzieli, był ostatni po lewej stronie. Na chwilę, zarówno jak innych tak i jego olśnił niemal blask, bijący od areny; wysilił jednakże wzrok, żeby się przyjrzeć zapaśnikom i wyrozumieć ich fizjonomje. Na Messalę, w którym widział więcej niż zapaśnika, rzucił badawcze spojrzenie; jego piękna patrycjuszowska twarz tchnęła beznamiętną dumą. Izraelita wyczytał z niej duszę przebiegłą, okrutną, raczej przejętą żelazną wolą, aniżeli zapałem.

Ta krótka chwila, kiedy Ben-Hur zawracał swą czwórkę, wzmogła w rzymianinie niezłomne postanowienie. Poprzysiągł sobie, bądź co bądź upokorzyć wroga, choćby mu przyszło okupić to życiem. Młody izraelita miał taki sam cel. Nagrody, przyjaciele, zakłady, tryumfy, wszystko bladło wobec głównego zadania. Nawet wzgląd na życie nie zdołałby go powstrzymać. Jednakże nie był roznamiętniony, nie biła mu oślepiająca krew od serca do głowy i od głowy do serca; nie spuszczał się na szczęśliwy traf, przeciwnie. Ułożył sobie plan i przy-

stąpił do dzieła ufny w siebie, czujny i zupełnie przytomny.

Zanim przebył połowę areny, widząc rozpęd Messali, powiedział sobie, że jeśli nie nastąpi zderzenie rydwanów i sznur opadnie, to rzymianinowi dostanie się miejsce przy murze. Po chwili nie wątpił już, że lina zostanie spuszczoną i błysnęła mu myśl: Messala wie, iż sznur opadnie, gdy jego czwórka dobiegnie. Musiał się porozumieć z pretorem, który zechce zapewnić zwycięztwo ziomkowi, ze względu na jego popularność i na wysoki zakład, jaki zrobił Czemże miał sobie tłómaczyć pewność siebie Messali, podczas kiedy inni zapaśnicy ostrożnie hamowali swe konie przed przeszkodą, jeśli nie zmową, albo szaleństwem?

Sznur opadł. Wszystkie konie prócz czwórk Ben-Hura, popędziły naprzód, podżegane głosem i biczem. Zwrócił się w prawo i z całą szybkością swych arabów przebiegł wpoprzek śladów kół przeciwników, przyjmując taki kąt ruchów, żeby w jaknajprędszym czasie przebyć jaknajwiększą przestrzeń.

Tak więc podczas kiedy widzowie z bijącem sercem wpatrywali się w ateńczyka, a sydończyk, byzantyjczyk i koryntczyk usiłowali jaknajostrożniej ominąć powikłane konie, Ben-Hur okrążył swych przeciwników i czwórka jego znalazla się tuż przy rumakach Messali, chociaż biegły po zewnętrznej stronie muru. Osobliwa ta zręczność, z jaką przeszedł szybko z krańca lewej strony na prawą, nie

uszła bystrych oczu publiczności, siedzącej na ławach. Cyrk zdawał się wstrząsać na swych podwalinach od przeciągłych oklasków.

Estera, uradowana i zdumiona, złożyła rączęta. Sanballat, uśmiechając się, zaproponował powtórnie sto sestersów, ale nikt nie chciał przyjąć zakładu. Rzymianie zaczęli przypuszczać, że Messala znalazł równego sobie, jeśli nie wyższego—a mistrzem tym był żyd!

Dwaj współzawodnicy, sunąc obok siebie, z małym tylko przedziałem pośrodku, dotarli do 2-giej mety.

Piedestał 3-ch słupów, widziany z zachodu, był półokrągłym murem kamiennym, dokoła którego, zarówno jak i naprzeciwko, ciągnęły się galerje. Zawrót ten był uważany za najlepsze świadectwo o biegłości woźnicy, był to bowiem szkopuł o który rozbił się sam Orestes. Taka cisza zapanowała w cyrku, że poraz pierwszy, od chwili zaczęcia się gonitw, słychać było wyraźnie dudnienie wozów i tentent rumaków. Naraz, zdawało się, że Messala zauważył Ben-Hura i poznał go: śmiałość jego w tej chwili rozpłomieniła się w zdumiewający sposób.

— Precz z Erosem! Górą Mars!—krzyknął, rozpuszczając bicz wprawną ręką.—Precz z Erosem! Górą Mars! powtórzył i uderzył rozpieszczone araby Ben-Hura.

Brutalny czyn Messali pogrążył całą publiczność w osłupienie.

Zapanowała jeszcze głębsza cisza. W górze, na ławkach nad konsulem, nawet najśmielsi powstrzymywali oddech, oczekując, co nastąpi. Trwało to jednak tylko chwilę; naraz okrzyk oburzenia spadł z galerji, niby grom.

Wystraszone araby skoczyły naprzód... Dotąd ręka ludzka dotykała się ich tylko z miłością, były wychowywane tak pieczołowicie,—a gdy wyrosły, tak były ufne względem człowieka!... Jakże się miały ratować te rozpieszczone stworzenia?

Spłoszone, rzuciły się jak jeden naprzód, a za niemi skoczył w górę i rydwan.

Zdobyte doświadczenie zawsze się na coś przyda człowiekowi. Ben-Hur wyzyskał w tej chwili siłę i pewność ręki, nabytą przy wiośle, którem tak długo chłostał morze.

Ale cóż znaczyło to wstrząśnienie wozu w porównaniu z miotaniem się okrętu na wzburzonych falach! Stał więc niezachwiany; zwolnił tylko lejce i nawoływał konie łagodnym głosem, usiłując skręcić je umiejętnie na niebezpiecznym zawrocie. Zanim się wzburzona publiczność uspokoiła, zdołał już opanować swą czwórkę. Co większa, zbliżając się do pierwszej mety, zrównał się znowu z Messalą, zjednywając sobie sympatję i uwielbienie wszystkich, oprócz rzymian. Uczucia te objawiały się tak wyraźnie, że Messala, pomimo śmiałości, posuniętej do szaleństwa, lękał się już drażnić araby.

Gdy rydwany okrążyły metę, Esterze udało się

dojrzeć twarz Ben-Hura cokolwiek bladą, trochę wyżej wzniesioną, ale spokojną, nawet obojętną.

W tej chwili niewolnik wszedł na zachodni kraniec *spiny* i zdjął jedną z kul drewnianych, na wschodnim zaś końcu zrzucony został delfin.

W taki sam sposób zepchnięto drugą kulę i drugiego delfina.

Następnie znikły—trzecia kula i trzeci delfin.

Byłto koniec trzeciego obiegu, ale wrzawa nie ustawała, okrzyki szły wślad za zapaśnikami.

W piątym obiegu udało się sydończykowi zająć miejsce obok Ben-Hura, ale je zaraz postradał.

Szósty obieg rozpoczął się bez zmiany w stanowiskach szermierzy.

Stopniowo wzmagał się pośpiech i rozgrzewała krew współzawodników. Zdawało się, że nietylko ludzie, ale i konie świadome są blizkiej a krytycznej chwili, kiedy się okaże, kto zwycięzcą.

Sympatja, z jaką ścigano Ben-Hura od początku gonitwy z Messalą, zaczynała się przemieniać w obawę o jego losy. Na wszystkich ławach widzowie siedzieli pochyleni, nieruchomi, z twarzą zwróconą ku szermierzom. Ilderim przestał gładzić sobie brodę, Estera otrząsnęła się z niepokoju.

— Sto sestersów na żyda!—zawołał Sanballat do rzymian, siedzących w loży konsula.

Nikt nie odpowiedział:

— Jeden talent—albo pięć talentów—albo dziesięć, ile chcecie!

Pokazywał im wyzywająco swe tabliczki.

— Ja wezmę twoje sestersy,—odezwał się jakiś młody rzymianin, biorąc się do zapisania umowy.

— Daj pokój,—rzekł jeden z jego przyjaciół.

— Dlaczego?

— Messala nie może już prędzej pędzić, Patrz, stoi wsparty o przedpiersień rydwanu; lejce puścił wolno, niby wstęgi. A teraz spojrzyj na żyda...

— Na Herkulesa!—zawołał pierwszy, widocznie tracąc fantazją.—Ten pies całą siłą wstrzymuje lejce. Widzę! Widzę! Jeśli bogowie nie dopomogą naszemu przyjacielowi, to go pokona ten izraelita. Nie, jeszcze nie.. Patrz! Jowisz z nami! Jowisz z nami!

Okrzyk ten, powtórzony we wszystkich językach łacińskich, wstrząsnął *velarium* nad głową konsula.

Jeśli Messala rzeczywiście pędził, jak mógł najprędzej, to wysiłek jego odniósł skutek; zwolna lecz wytrwale wysuwał się naprzód. Jego konie biegły, spuściwszy łby. Z galerji, ich korpusy zdawały się dotykać ziemi, nozdrza miały czerwone jak krew, oczy wychodziły im prawie z oprawy. Słowem, spełniały jaknajlepiej swe zadanie. Ale jak długo będą mogły biedz z taką szybkością? Wszak to dopiero początek 6-go obiegu. Mknęły wciąż dalej. Zbliżywszy się do 2-giej mety, Ben-Hur skręcił swą czwórkę za wóz rzymianina.

Radość stronników Messali dochodziła do szału;

krzyczeli, wyli, powiewali jego barwami, a Sanballat ciągle zapisywał zakłady na swych tabliczkach.

Malluch, siedzący na niższej galerji, nad Bramą Tryumfu, z trudnością poskramiał wybuchy swej radości. Pokładał on wielkie nadzieje w słówku, rzuconem tajemniczo przez Ben-Hura, że w chwili skręcania za słupy zachodnie, nastąpi coś ważnego. Byłto piąty obieg a jednak nic nie zaszło. Może szósty coś przyniesie. Niestety, Ben-Hurowi było coraz trudniej utrzymać się za wozem nieprzyjaciela.

Siedząca na wschodnim krańcu gromadka Simonidesa zachowywała się spokojnie. Kupiec opuścił głowę na piersi; Ilderim szarpał brodę i marszczył brwi, tak że, tylko niekiedy przedzierał się blask jego oczu. Jedna Iras zdawała się zadowolona.

W powrotnej drodze szóstego obiegu Messala pędził przodem, a tuż za nim sunął Ben-Hur. Dotarli tak do 1-wszej mety i objechali ją do koła. Messala, żeby nie stracić swego miejsca, trzymał się kamiennego muru. Gdyby się posunął o jedną stopę na lewo, rydwan jego roztrzaskałby się w kawały. Gdy obiegli metę w około, niktby nie zdołał rozróżnić, które są ślady wozu Messali, a które żyda: po jednym i drugim jeden tylko zostawał.

Gdy się przemykali koło galerji, Estera znowu ujrzała twarz Ben-Hura—była bledszą niż poprzednio.

W chwili kiedy zapaśnicy zawracali, Simonides, bystrzejszy od Estery, rzekł do Ilderima:

— Jeśli się nie mylę, cny szeiku, to Juda knuje coś ważnego. Widzę to z jego twarzy,

Ilderim zajęty swą czwórką, odpowiedział: Widziałeś, jakie są rzeźwe, silne? Na chwałę Boga, drogi przyjacielu, nie znać na nich najmniejszego zmęczenia. Ale patrzno!

Jedna kula i jeden delfin pozostawały na *spinie*. Ze wszystkich piersi wyrwało się głębokie westchnienie, bo zbliżał się początek końca.

Najwpierw sydończyk zaciął biczem swe konie, które pod wpływem przestrachu pomknęły chyżo, budząc chwilową nadzieję, że wyprzedzą czwórkę Messali; skończyło się jednak na wysiłkach. Następnie byzantczyk i koryntczyk sprobowali sił, ale daremnie —musieli się wycofać z wyścigu,

Wszyscy, prócz rzymian zwrócili swe nadzieje ku Ben-Hurowi i objawiali to, krzycząc:

— Ben-Hur! Ben-Hur!

Pomieszane ich głosy odbijały się potężnem echem w loży konsula,

Gdy mijał galerje, rzucano mu gorączkowe przestrogi:

— Spiesz się, żydzie!

— Do muru! do muru! !

— Puść araby! Zatnij biczem!

Nie daj się już wyprzedzić. Teraz albo nigdy!

Wychylali się za balustradę, wyciągając doń błagalnie ręce.

Albo nie słyszał tych rad, albo nie mógł ich przyjąć, bo choć ubiegli połowę drogi, ciągle zostawał za Messalą: Dotarli do 2-giej mety, a żadna zmiana nie nastąpiła.

Teraz, Messala, chcąc zawrócić, zaczął ściągać lewe konie, — co, rozumie się, zwolniło ich bieg. Był on pełen otuchy: wszakże niejeden ołtarz wzbogacił darami. Rzym wciąż jeszcze górował. Na 3-ch słupach, oddalonych o 600 stóp, była sława, fortuna zaszczyty i tryumf, tem słodszy, że straszną nienawiść czuł w sercu, — a wszystko to czekało na niego. W tej chwili zobaczył Malluch z galerji, jak Ben-Hur pochylił się nad arabczykami i zwolnił im cugle. Rozwinął potem długi bicz i świstał nim a świstał nad grzbietami rumaków. Chociaż ich nie uderzył ani razu, strwożone i podniecone, pomknęły, jak wicher. Spokojny dotąd izraelita przeobraził się nagle: twarz jego oblała sie purpurą, oczy zabłysły; ściągnął z dziką energją lejce i—nie jeden koń, ale cztery jak jeden—dały skok, który je zrównał z rydwanem rzymianina. Messala usłyszał to, ale właśnie w chwili niebezpiecznego skręcania, lękał się więc odwrócić głowę, żeby zobaczyć, co wróży to ocknienie się. Publiczność nie dodawała mu odwagi ani jednem słowem. Obwoływano tylko imię Ben-Hura.

W starym aromaickim języku, jakiego sam szeik używał do swych arabów, przemawiał on:

— Dalej, Atair! Dalej, Rigel! Cóż-to, Antares, ociągasz się? Dobry mój konik, Alderaban! Zwycięzny!

Słyszę, jak w namiotach śpiewają,—słyszę, jak śpiewają,—słyszę, jak śpiewają o gwiazdach, o Atairze, Antaresie, Rigelu, Alderabanie. Zwyciężmy, a ich pieśni nie ustaną nigdy. Dobre koniki moje! Jutro będziecie w domu, pod czarnym namiotem. Całe plemię czeka na nas i pan nasz także czeka! Ha, ha! zwalczyliśmy pyszałka. Ręka, co nas chłostała, leży w pyle! Chwała jest naszą! Ha, ha! Śmiało! Dokonaliśmy dzieła! Stójcie!

Rzadko kiedy rzecz tej doniosłości odbywa się w tak prosty sposób i tak szybko.

Zderzenie miało nastąpić w chwili objeżdżania mety przez Messalę. Żeby go wyprzedzić, musiał Ben-Hur przejechać arenę wpoprzek, a dobra strategja nakazywała ruch w prostym kierunku, dla skrócenia przestrzeni... Tłum, zajmujący ławy, odgadł odrazu cały plan. Zrozumiał zaczepkę i—odpowiedź; widział, jak wewnętrzne koło u wozu Ben-Hura zaczepiło w rozpędzie o zewnętrzne koło rydwanu rzymianina. W tejże chwili, w całym cyrku rozległ się głośny trzask i szybciej niż myśl bieży, rozleciały się błyszczące, białe i żółte drzazgi. Rydwan Messali runął na piasek; on sam zaplątał się w cugle i padł także. Widok ten był tem straszniejszy, że sydończyk nie mógł utrzymać swych koni ani ich skręcić, i rzuciły się jak wściekłe pomiędzy szczątki rydwanu, na rzymianina, w środek jego czwórki, oszalałej z przestrachu. Usiłując wydobyć się z kłębów piasku i pyłu, Messala, mógł jeszcze widzieć, jak Lizyp-

pus i Dikeas pędzili za Ben-Hurem, którego to nie powstrzymało ani na chwilę w biegu,

Widzowie zerwali się, powskakiwali z krzykiem na ławy, zapełniając cyrk grzmotem oklasków. Tymczasem Messala leżał nieruchomy na szczątkach swego wozu, pod kopytami swej czwórki, wierzgającej z przestrachu, Myślano, że już nie żyje. Wszystkie oczy zwracały się ku Ben-Hurowi. Mało kto zauważył, jak zręcznie skręcił nieco konie na lewo, jak żelaznym końcem swej osi zaczepił o koło u rydwanu Messali i zmiażdżył je, ale wszyscy dostrzegli w nim nagłą zmianę, wszyscy odczuwali jego zapał, jego bohaterską siłę ducha i szaloną energję, którą w jednej chwili wlał w swych arabów spojrzeniem, słowem i gestem. Jakże pędziły! Ich bieg wyglądał raczej na długi skok wprzęgniętych lwów. Gdyby nie ciężki rydwan, mogłoby się zdawać, że to czwórka, lecąca w powietrzu. Gdy byzantyjczyk i koryntczyk byli w połowie drogi, Ben-Hur okrążył pierwszą metę.

*Wyścig był wygrany!*

Konsul podniósł się, widzowie aż ochrypli z krzyku, a pretor wieńczył zwycięzców.

Wybrańcem z pomiędzy siłaczy był żółtowłosy saksończyk o nizkiem czole. Jego rozbestwiona twarz zwróciła uwagę Ben-Hura; poznał w nim szermierza, mistrza, którego był ulubionym uczniem w Rzymie. Następnie młody żyd spojrzał na galerję, gdzie siedział Simonides z towarzyszącą mu gromadką. Dawali mu oni znaki rękami. Estera siedziała niepo-

ruszona, ale Iras podniosła się i przesłała mu uśmiech i skinienie wachlarzem. Łaski te uradowały go, bo wiedział, że przypadłyby w udziale Messali, gdyby on był zwycięzcą. Procesja wyszła przez Bramę Tryumfu, pośród okrzyków tłumu.

Tak się zakończył ów pamiętny dzień.

---

## ROZDZIAŁ XII.

Ben-Hur i Ilderim przeprawili się przez rzekę, stanęła bowiem między nimi umowa, że o północy puszczą się tą samą drogą, którą karawana wyruszyła przed 30-ma godzinami.

Szeik był uradowany i chciał z królewską hojnością obdarzyć młodzieńca. Ben-Hur jednak nic nie przyjął: wystarczało mu to, że upokorzył swego wroga.

— Pomyśl, jeno, — mówił szeik,—coś uczynił dla mnie. We wszystkich czarnych namiotach aż do Akaby, do Oceanu, za Eufratem i dalej jeszcze za morzem Scytów—zasłynie imię mojej Miry i jej potomstwa, a ci, co o nich śpiewać będą, wsławią mnie także, chociażem na schyłku życia. Wszystkie zbrojne

hufce, nie mające teraz panów, przejdą pod moje dowództwo i własnego wojska mieć będę bez liku. Ty nie wiesz nawet, co to jest taka władza na pustyni, jaką ja teraz posiądę. Odtąd konsul będzie mi opłacał ogromne haracze i u królów będę miał przywileje. Na miecz Salomona! gdybym zażądał przyjaźni samego cezara, nie śmiałby mi jej odmówić. I cóż nie przyjmiesz nic, nic?

Ben-Hur odpowiedział:

— Alboż to mało, żem pozyskał twe serce i pomocną rękę, szeiku? Rośnij w potęgę i bogactwo dla tego króla, co nadejdzie. Któż wie, czy ci nie zostały dane dla niego. W dziele, do którego mam przystąpić, możesz mi być bardzo pożyteczny. Dziś odrzucam twe szczodre dary, kiedyś może cię poproszę o jeszcze większe.

Podczas tego sporu przybył nieznajomy wysłaniec i Malluch, którego, wprzód wpuszczono.

Zacny ten człowiek nie taił swej radości z powodu rezultatu gonitw.

— Ale ja przychodzę z wieścią, od pana mego, Simonidesa, —rzekł—niektórzy rzymianie podnoszą głosy przeciw wypłaceniu ci nagrody.

Ilderim zerwał się i zawołał krzykliwym głosem:

— Na chwałę Boga! Niechaj wschód zaświadczy, że wyścig został uczciwie wygrany!

— Dobry szeiku—rzecze Malluch,—pretor wypłacił już pieniądze.

— Tak, to rozumiem.

— Gdy wspomnieli, że Ben-Hur zahaczył o koło Messali, pretor roześmiał się i przypomniał zacięcie biczem twoich arabczyków na zakręcie u mety.

— Cóż się stało z ateńczykiem?

— Umarł.

— Umarł!—wykrzyknął Ben-Hur.

— Umarł! — powtórzył Ilderim. — Te potwory rzymskie mają szczególne szczęście. A Messala czy ocalał?

— Ocalał, o szeiku, ale życie będzie dlań odtąd ciężarem. Doktorowie mówią, że pozostanie przy życiu; lecz nie odzyska już władzy w nogach.

Ben-Hur wzniósł w milczeniu oczy ku niebu. Wyobraził sobie Messalę przykutego do krzesła, jak Simonides, i jak on, noszonego na barkach niewolników. Szlachetny mąż nie upadł na duchu, ale ten, taki ambitny i dumny, jakże cierpieć będzie!

— Simonides kazał mi jeszcze powiedzieć, — ciągnął dalej Malluch,—że Sanballat jest w kłopocie. Druzus i ci, co wraz z nim podpisali zakład o 5 talentów, odnieśli się ze sprawą do konsula Maxencjusza, który zwrócił się po wyrok do samego Cezara. Messala także nie chce zapłacić przegranej, a Sanballat, tak samo jak Druzus, zaskarżył go przed konsulem. Wyrok jeszcze nie zapadł. Uczciwsi z pomiędzy rzymian odzywają się za sprawą Sanballata. Wszystkie inne stronnictwa są tego samego zdania. W całem mieście tylko o tem mówią.

— Cóż powiada Simonides?—zapytał Ben-Hur.

— Pan mój śmieje się i zadowolony ze stanu rzeczy. Jeśli rzymianin zapłaci, będzie to dlań ruiną, a jeśli odmówi zapłaty, to się okryje hańbą. Polityka królewska rozstrzygnie tę sprawę. Obraza, wyrządzona wschodowi, znaczyłaby zaczepkę względem partów, a zadarcie z szeikiem Ilderimem poruszyłoby całą pustynię, której konsul właśnie potrzebuje do swych działań wojennych. Simonides, rozważywszy to wszystko, kazał mi uspokoić cię, że Messala będzie musiał zapłacić.

Ilderim w jednej chwili odzyskał dobry humor.

— Dosyć tego,—rzekł, zacierając ręce,—rozejdźmy się teraz. Możemy być pewni wygranej, kiedy nasza sprawa jest w rękach Simonidesa. Każę podać konie.

— Zaczekajcie,—rzekł Malluch, — zostawiłem przed namiotem jakiegoś wysłańca,—chcecie się z nim zobaczyć?

— Na chwałę Boga! zapomniałem o nim.

Malluch wyszedł, a po chwili pojawił się urodziwy młodzieniaszek, który przykląkł na jedno kolano i rzekł z przymileniem: Iras, córka Baltazara, dobrze znana cnemu szeikowi Ilderimowi, przesyła mu przezemnie powinszowania z powodu zwycięztwa jego czwórki.

— Córka mego przyjaciela jest bardzo łaskawą,—rzekł Iderim i radość błysnęła w jego oczach.— Oddaj jej ten klejnot na pamiątkę tak miłej dla mnie chwili.

Zdjął pierścień z palca.

— Stanie się według twej woli, o szeiku,—odpowiedział chłopiec, poczem rzekł jeszcze: córka egipcjanina dała mi i drugie zlecenie: prosi czcigodnego szeika, żeby zawiadomił młodego Ben-Hura, że jej ojciec osiadł na pewien czas w pałacu w Ildernee, gdzie chciałaby się zobaczyć z tym młodzieńcem jutro po 4-tej godzinie dnia. Jeśli szeik Ilderim, wraz z powinszowaniem, zechce przyjąć jej dzięki i za tę drugą łaskę, sprawi jej to wielką przyjemność.

Szeik spojrzał na Ben-Hura, który zarumienił się z radości.

— Cóż myślisz zrobić?—zapytał.

— Jeśli nie będziesz miał nic przeciw temu, to chciałbym się zobaczyć z piękną egipcjanką.

Ilderim odrzekł ze śmiechem: korzystaj z młodości.

— Powiedz tej, co cię przysłała,—odezwał się młodzieniec do przybysza,—że ja, Ben-Hur, zobaczę się z nią jutro w południe, w pałacu Ildernee, gdziekolwiekby się on znajdował.

Chłopiec podniósł się, oddał nizki pokłon i odszedł.

O północy, Ilderim puścił się w drogę, pozostawiwszy konia i przewodnika dla Ben-Hura, który miał go dogonić.

## ROZDZIAŁ XIII.

Ben-Hur, idąc następnego dnia, podług umowy, do Iras, skręcił około Omfalusa, stanowiącego środek miasta, przeszedł kolumnadę Heroda i niezadługo przybył do pałacu Ildernee.

Z ulicy wszedł najwpierw do przedsionka, po bokach którego wschody kryte wiodły do portyku. Przy wschodach siedziały lwy skrzydlate, w pośrodku był olbrzymi ibis, a z dzioba jego tryskała woda na posadzkę. Lwy, ibis, ściany i posadzka pochodziły ze starożytnego Egiptu. Wszystko, nawet poręcze u wschodów, było z masywnego kamienia szarego.

Nad przedsionkiem, niby dach nad wschodami, wznosił się portyk na słupach tak pięknych, tak lekkich, tak symetrycznych, że mogły być dziełem tylko greka. Te śnieżno-białe marmury wyglądały niby lilja, rzucona z niechcenia na wielką szarą skałę.

Młodzieniec stanął w cieniu portyku, żeby się przyjrzeć jego pięknym linjom, misternym rzeźbieniom i białości marmuru, a po chwili wszedł do pałacu. Wielkie podwoje stały otworem na jego przyjęcie. Najpierw przechodził wysoki lecz nieco wązki korytarz, w którym czerwone cegły stanowiły posadzkę, a ściany były pomalowane tąż samą barwą. Skromność ta miała zapewne podnosić przepych apartamentów.

Postępował naprzód zwolna, zupełnie spokojny.

Za chwilę znajdzie się w obecności Iras; ona czeka nań; czeka z pieśnią, baśnią, żarcikami,—błyskotliwa, oryginalna, kapryśna; czeka z uśmiechem, który podnosi znaczenie spojrzenia i ze spojrzeniami, co nadają rozkoszne znaczenie jej szeptom. Przysłała po niego owego wieczoru, kiedy pływali po jeziorze w Gaju Palmowym; teraz wezwała go znowu... Za chwilę zobaczy się z nią w tym pięknym pałacu w Ildernee. Był szczęśliwy i rozmarzony raczej, aniżeli wesół.

Korytarzem tym doszedł do zamkniętych drzwi, przed któremi zatrzymał się; w tejże chwili szerokie podwoje zaczęły się otwierać same przez się, bez łoskotu, bez zgrzytu klucza w zamku lub zasuwki, bez dotknięcia nogą albo palcem. Było w tem coś osobliwego, ale po chwili, zatarło się w jego duszy doznane wrażenie.

Stojąc w ciemnościach cichego korytarza, zobaczył przez otwarte drzwi obszerne i bajecznie bogate *atrium* domu rzymskiego.

Gdy przystanął, żeby się rozejrzeć, spostrzegł pod stopami swemi Ledę, pieszczącą łabędzia,—gdyż cała posadzka była ułożona z mozaiki, przedstawiającej sceny mitologiczne. Były tam stołki i krzesła, każde odmiennego kształtu i misternie wykonane, bogato rzeźbione stoły i gdzieniegdzie sofy, wabiące ku sobie. Wszystkie sprzęty, ustawione pod ścianami, odbijały się tak wyraźnie w posadzce, jak gdyby pływały po gładkiej szybie wody. Nawet malowane i wypukło rzeźbione postacie na ścianach i freski

na sklepieniu, odbijały się także w onej posadzce. Przez otwór w sklepieniu, wygiętem w środku, wpadał snop światła, a błękitne niebo zdawało się tak blizko, że możnaby je dosięgnąć ręką. *Impluvium* pod otworem zabezpieczone było kratą bronzową. Złocone filary, podpierające strop dokoła otworu, wyglądały jak płomienie ognia, gdy słońce na nie padało i blask jego, odbity na posadzce, zdawał się wydobywać z głębin. Były tam także świeczniki wytwornej roboty i posągi i wazy. Wszystko to zdawało się godne pałacu na wzgórzu Palatyńskiem, który Cycero kupił od Krasusa lub tego drugiego, co jeszcze bardziej słynął z przepychu—Tuskulańskiej willi Skaurusa.

Ben-Hur, wciąż rozmarzony, obchodził salę dokoła, przyglądał się z zachwytem wszystkiemu i wyczekiwał. Nie ciężyła mu ta krótka chwila zwłoki. Gdy się Iras przestanie stroić,myślał,—to przyjdzie, lub przyśle po mnie służalca. W każdym dobrze urządzonym domu rzymskim, *atrium* jest przeznaczone do przyjmowania gości.

Kilkakrotnie obszedł komnatę dokoła i za każdym razem stawał pod otworem w stropie, żeby się spojrzeć w niebo, w jego głębie lazurowe; potem, wsparty o kolumnę, wpatrywał się w światła i cienie oraz wywołane przez nie efekta; tu przedmioty malały, jakby przysłonięte mgłą,-tam, oblane blaskiem, przybierały większe rozmiary. Nikt nie przychodził. Zaczęło mu się dłużyć; zastanawiał się, dla-

czego nie widać Iras. Znowu oko jego padło na posadzkę mozaikową, ale przedstawione na niej postaci już mu się mniej podobały. Często przystawał, natężając słuch; niecierpliwość gorączkowała go coraz bardziej. Naraz głucha cisza, zalegająca pałac, obudziła w nim obawę, nieufność. Starał się jednak uspokoić uśmiechem i nadzieją, że Iras podmalowywa jeszcze oczy, albo wplata dlań perły w warkocze,— ale przyjdzie zaraz i wyda mu się tem piękniejszą, im dłużej na nią czekał. Usiadł nareszcie, żeby się przyjrzeć jednemu z kandelabrów. Była to bronzowa podstawa na kółkach, podtrzymująca ołtarz. Przed ołtarzem składała ofiary niewiasta; lampy zawieszone były na cienkich łańcuszkach, u końców spuszczonych gałęzi palmowych.

Ale cisza niepokoiła go coraz więcej. Nawet przyglądając się temu cacku, nadsłuchiwał, ale niedochodził go żaden dźwięk, żaden szmer. Pałac był głuchy, jak grób.

Mogła zajść pomyłka... Ale nie, wysłaniec przyszedł od egipcjanki... i ten budynek, to z pewnością pałac Ildernee. Przypomniał sobie, że się drzwi otworzyły jakoś tajemniczo, cicho, jakby same przez się.

— Muszę się przekonać, co to wszystko znaczy, powiedział sobie.

Zwrócił się do tych samych drzwi, któremi był wszedł. Chociaż kroki jego były lekkie, tak się rozlegały, że opanował go przestrach. Wpadł w dziwny rozstrój. Sprobował szarpnąć drzwi, ale ciężki

zamek rzymski nie otworzył się, wytężając wszystkie siły, szarpnął powtórnie: drzwi ani drgnęły. Śmiertelna bladość pokryła mu lica; zrozumiał nakoniec, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nie wiedząc, jak się ratować, stanął zamyślony.

Kto, w Antjochji, ma powody, żeby mu szkodzić?

Messala!

Co znaczy ten pałac w Idernee? W przedsionku widział Egipt, w śnieżno-białym portyku Ateny, a tu, w *atrium*—Rzym.

Wszystko dokoła zdradza, że właściciciełem rzymianin. Prawda, że gmach ten stał na wzgórzu, w środku miasta, gdzie trudno dopuścić się gwałtu; ale to właśnie dowodziło zuchwalstwa jego wroga. *Atrium* uległo zmianie—pomimo całej elegancji i wykwintu, było ono tylko pułapką. Trwoga wszystko maluje w czarnych barwach.

Ta myśl rozjątrzyła Ben-Hura.

W *atrium* jest dużo drzwi na prawo i na lewo; muszą prowadzić do pokojów sypialnych. Probował jedne po drugich, ale były szczelnie zamknięte. Gdyby się dobijał, możeby kto przyszedł. Wstydząc się hałasować, legł na sofie i usiłował zebrać myśli.

Było to aż nazbyt widoczne, że jest więźniem ale z jakiej przyczyny i czyim?

Może to dzieło Messali? Usiadł, rozejrzał się dokoła i uśmiechnął wyzywająco. Na każdym stole mógł znaleźć narzędzie do obrony. Ale nieraz już

morzono ptaków w złoconych klatkach. Z nim tak być nie może. Sofy będą mu służyły za tarany; on ma siły, a wściekłość i rozpacz jeszcze je spotęgują.

Sam Messala nie mógł przyjść. On już nigdy nie będzie mógł chodzić; jest takim kaleką, jak Simonides; ale może się posługiwać innymi. A gdzież są ci, coby mu się nie oddali na usługi? Ben-Hur podniósł się i znowu sprobował otworzyć drzwi. Odważył się zawołać. W sali rozległo się takie echo, że się aż przeraził. Pomimo zimnej krwi, postanowił zaczekać jeszcze, zanim wytęży wszystkie siły, żeby się wydobyć.

W takim stanie rzeczy, umysł miewa ujście w trwodze, przerywanej chwilowym spokojem. Po namyśle, którego trwania nie mógłby określić, Ben-Hur powziął przekonanie, że padł ofiarą przypadku albo pomyłki. Pałac ten musi przecież mieć właściciela; ktoś czuwa nad nim, ma o nim staranie, a więc nadejdzie... sprowadzi go wieczór lub noc. Cierpliwości!

Postanowił czekać.

Minęło półgodziny; Ben-Hurowi czas ten zdawał się znacznie dłuższym.—Naraz drzwi, któremi był wszedł, otworzyły się i zamknęły tak cicho, że nie spostrzegł tego.

Siedział on w przeciwnym końcu komnaty, kiedy dały się słyszeć czyjeś kroki.

Nakoniec nadchodzi, pomyślał; serce—uderzyło mu żywiej z radości, odetchnął wolniej.

Kroki te były ciężkie i zdradzały stąpanie grubych sandałów. Złocone kolumny stały pomiędzy nim a drzwiami; zbliżył się z cicha i oparł znowu o jednę z nich. Po chwili usłyszał głosy mezkie —jeden z tych głosów był gruby, chrapliwy. Co ci ludzie mówili; nie mógł zrozumieć, gdyż język ich nie był ani ze wschodu ani z południa Europy.

Rozejrzawszy się po sali, przybysze przeszli na lewo. Ben-Hur zobaczył wtedy 2-ch rosłych mężczyzn, z których jeden był bardzo barczysty. Obaj mieli na sobie krótkie tuniki. Nie wyglądali na panów tego domu, ani na niewolników. Wszystko, co widzieli, zadziwiało ich, wszystkiego się dotykali. Widocznie byli to ludzie z najniższej klasy, *Atrium* zdawało się znieważone ich obecnością. Zarazem jednak ich swoboda i pewność, z jaką kroczyli, wskazywała, że mają prawo znajdować się tutaj, że ich sprowadza jakiś interes

Do kogo mogliby tu mieć interes?

Gwarząc pomiędzy sobą, zbaczali wciąż w tę lub ową stronę i coraz bardziej zbliżali się do filaru, za którym stał Ben-Hur. Nieopodal, gdzie skośny promień słońca oświetlał mozaikową posadzkę, znajdował sie posąg, który zwrócił ich uwagę. Gdy się zatrzymali, żeby go obejrzeć, oblał ich blask słoneczny.

Tajemniczość, otaczająca Ben-Hura w tym pałacu, doprowadziła go, jakeśmy widzieli, do rozstroju nerwowego; gdy więc poznał w rosłym, barczy-

stym przybyszu owego człowieka z północy, którego znał w Rzymie, a w przeddzień widział uwieńczonego w cyrku, jako zwycięzcę w walce na pięści; gdy zobaczył jego twarz pełną blizn, pozostałych po zapasach arenowych i zbydlęconą dzikiemi namiętnościami; gdy się przyjrzał jego obnażonym muskularnym członkom i barkom herkulesowym,—zmiarkował, że mu grozi niebezpieczeństwo. Przeszły go dreszcze. Była to zbyt przyjazna sposobność do zamordowania go, żeby ją mógł przypisywać przypadkowi. Ci ludzie przyszli po to, żeby go zgładzić ze świata. Spojrzał trwożliwie na towarzysza saksończyka: byłto chłopiec młody, czarnooki, czarnowłosy, o żydowskich rysach twarzy. Zauważył także, iż obaj mieli na sobie zupełnie taki sam ubiór, w jakim ta klasa ludzi występuje zwykle na arenie. Zestawiając te wszystkie okoliczności, Ben-Hur nie mógł wątpić dłużej: zwabiono go umyślnie do pałacu. Pozbawiony wszelkiego ratunku, miał skończyć życie wśród tego przepychu.

Nie wiedząc, co począć, spoglądał z jednego siłacza na drugiego, a w umyśle przesuwały mu się straszne szczegóły jego życia. Przyglądał się tym obrazom, które niewidzialna ręka zdawała się wydobywać z głębin niewidzialnych. Nagle otworzyły mu się oczy na to, że wchodzi w nowe życie, odmienne od dawnego; przedtem był ofiarą gwałtów, odtąd zaś winien stać się napastnikiem. Wczoraj pokonał już pierwszą ofiarę! Na to wspomnienie natura czysto chrześcjańska zmiękłaby, doznałaby wyrzutów snmie-

nia, ale w duszy Ben-Hura nie zrodziło slę to uczucie. On działał pod wpływem nauk pierwszego i największego prawodawcy; on nie pokrzywdził Messalę, lecz tylko ukarał. Za dopuszczeniem Pana odniósł tryumf nad nim. Fakt ten zrodził w sercu jego wiarę—to źródlo wszelkiej siły w niebezpieczeństwie.

Doznany przezeń wpływ nie skończył się na tem. W rozpoczynającem się życiu widział misją tak świętą, jak świętym był król, który miał nadejść i tak pewną, jak pewnem było jego nadejście — misję, w której siła była uprawiona, choćbytylko jako nieodzowny warunek powodzenia. Miałżeby się poddać trwodze, nim zacznie spełniać swe posłannictwo?

Rozwiązał na sobie pas, zerwał z głowy turban, zrzucił białą szatę żydowską i stanął w spodniej tunice, podobnej do tych, jakie wrogi jego mieli na sobie; poczem gotów był duchem i ciałem do walki. Skrzyżował ręce, oparł się o kolumnę i czekał spokojnie.

Przyglądanie się posągowi krótko trwało. Saksończyk odwrócił się niebawem i powiedział coś w nieznanym języku; potem obaj spojrzeli na Ben-Hura. Zamieniwszy jeszcze parę słów, podeszli ku niemu.

— Kto wy jesteście?—zapytał po łacinie.

Rudowłosy zdobył się na uśmiech, mimo którego twarz jego tchnęła wciąż dzikością i odpowiedział:

— Barbarzyńcy.

— To jest pałac Ildernee. Kogo szukacie? Stójcie i odpowiadajcie.

Słowa te brzmiały surowo. Atleci zatrzymali się i z kolei saksończyk zapytał.

— A ty coś za jeden?

— Rzymianin.

Olbrzym przechylił głowę na bok.

— Ha, ha, ha! Słyszałem wprawdzie, że kiedyś bóg wyszedł z krowy, co lizała słony kamień; ale w to nigdy nie uwierzę, by jaki bóg mógł żyda uczynić rzymianinem.

Roześmiał się znów szyderczo, zamienił z towarzyszem swym parę słów i obaj przystąpili bliżej.

— Stójcie! zawołał Ben-Hur, odsuwając się od kolumny. Jedno słowo!

Zatrzymali się znowu.

— Dobrze, jedno słowo!—odrzekł saksończyk, zakładając na piersiach żylaste ręce; przyczem zawiesił niejako groźbę, co złowrogo zaczęła już występować na jego oblicze.—Jedno słowo, nie więcej! Mów.

— Jesteś Thord, normand.

Olbrzym otworzył szeroko błękitne oczy.

— Byłeś *lanistą* w Rzymie.

Thord skinął głową.

— Jam był uczniem twoim.

— Nie,—rzekł Thord, kręcąc głową przecząco, —Na brodę Irmina, nie probowałem nigdy żyda wyrobić na szermierza.

— Ja ci dowiodę prawdy mych słów.

— W jaki sposób?

— Przyszedłeś tu po to, żeby mię zamordować·

— Prawda.

— Pozwól mi zmierzyć się z tym człowiekiem, to zobaczysz dowód na jego ciele.

Twarz saksończyka rozjaśniła się. Przemówił coś do towarzysza, który mu odpowiedział; poczem, prostodusznie jak dziecko, które się spodziewa przyjemności, rzekł:

— Zaczekaj, póki ci nie pozwolę zacząć.

Pchnął nogą sofę na środek sali, rozciągnął się wygodnie i powiedział: zaczynaj teraz.

Ben-Hur, przystąpił natychmiast do swego przeciwnika.

— Broń się!—rzekł.

Nie mając nic przeciw temu, siłacz wyciągnął ręce.

Gdy ci dwaj stanęli naprzeciw siebie w wyzywającej postawie, zdawali się równi sobie, jak bracia. Urągającemu uśmiechowi siłacza Ben-Hur przeciw stawiał powagę. Gdyby przeciwnik znał jego zręczność, lękałby się jej, jako zapowiedzi niebezpieczeństwa. Obaj wiedzieli, że to będzie walka śmiertelna,

Ben-Hur wyciągnął prawą rękę; siłacz zaś, chcąc się, zasłonić, wyciągnął zlekka lewą. Zanim się jednak zdążył obronić, młodzieniec schwycił jego pięść, z siłą wyćwiczoną kilkoletnią służbą przy

wiośle. Niespodziany ten ruch zaskoczył atletę. Juda w jednej chwili rzucił się nań, porwał za gardło, objął prawe ramię i obrócił go na lewo, żeby uderzyć tem pewniej lewą ręką, która pozostała wolna. Następnie dał mu potężny raz w kark pod uchem. Drugie uderzenie było zbyteczne. Myrmidon padł całym ciężarem, nie wydawszy krzyku, i leżał nieruchomy.

Ben-Hur zwrócił się do Thorda.

— Zuch z ciebie! Na brodę Irmina!—wykrzyknął ten ostatni z zadziwieniem i siadł na sofie. Potem wybuchnął śmiechem.

— Ha, ha, ha! Ja sam nie sprawiłbym się lepiej.

Z zimną krwią zmierzył Ben-Hura od stóp do głów, podniósł się i wpatrzył weń z widocznym zachwytem.

— To był mój cios; cios, którego uczyłem 10 lat w szkołach rzymskich. Ty nie jesteś żydem! Coś ty za jeden?

— Znałeś Arrjusza, duumwira?

— Kwintusa Arrjusza? On był moim patronem.

— Kwintus Arrjusz miał syna.

— Tak,—rzekł Thord, i jego nikczemna twarz rozjaśniła się trochę.—Znałem onego chłopca; byłby z niego świetny gladjator. Cezar ofiarowywał mu swój patronat. Nauczyłem go właśnie uderzenia, którem powaliłeś tego człowieka,—uderzenia, na które może

się zdobyć tylko taka ręka, jak moja. Zawdzięczam mu niejeden wieniec.

— Ja jestem synem tego Arrjusza.

Thord przybliżył się, i wpatrzył weń bacznie; w oczach zabłysła mu szczera radość i wyciągnął rękę ze śmiechem.

— Ha, ha, ha! On mi powiedział, że zastanę tu żyda—żyda, psa żydowskiego; a zabić psa żydowskiego, jest zasługą w oczach bogów.

— Kto ci to powiedział? — zapytał Ben-Hur, ujmując wyciągniętą rękę.

— On—Messala—ha, ha, ha!

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

— Myślałem, że jest ranny.

— Nie będzie już mógł chodzić. Powiedział mi to na łożu, wśród jęków.

Ben-Hur wiedział, że jeśli rzymianin żyć będzie, nie przestanie być niebezpiecznym i ścigać go nielitościwie. Pozostawała mu tylko zemsta na osłodę po fortunie, straconej przez zakład z Sanballatem. Ben-Hur przebiegał myślą wszystkie środki, jakiemi wróg mógłby szkodzić dziełu jego, podjętemu dla oczekiwanego króla. Dlaczego nie miałby i on chwycić się tego sposobu, co rzymianin? Człowiek wynajęty, żeby zabić jego—Ben-Hura,—za pieniądze, zamordowałby też i Messalę. Przecież może mu dać jeszcze większą sumę.—Była to silna pokusa. Miał jej już uledz, kiedy spojrzał przypadkiem na zwycięzo-

nego przeciwnika, który leżał jeszcze nawznak, tak podobny do niego z twarzy. Nagle zabłysnęła mu w głowie nowa myśl i zapytał: Thord, ile ci obiecał Messala za to, żebyś mię zabił?

— Tysiąc sestersów.

— Dostaniesz je; a jeśli uczynisz to, czego zażądam od ciebie, gotów jestem dodać jeszcze 3,000.

Olbrzym zaczął obliczać głośno:

— Zarobiłem wczoraj 5,000, rzymianin zapłacił mi 1,000 razem czyni to 6,000. Dodaj mi, czcigodny Arrjuszu, 4,000—jeszcze cztery, to będę ci służył, chociażby nawet mój imiennik, Thor, miał młotem swym roztrzaskać mi głowę. Daj 4,000 sestersów, a zamorduję leżącego patrycjusza. Zatkam mu usta w taki tylko sposób.

Pokazał ten ruch na sobie.

— 10,000 sestersów, to majątek,—rzekł Ben-Hur. — Będziesz mógł powrócić do Rzymu, założyć sobie winiarnię obok wielkiego cyrku i żyć, jak przystoi pierwszemu z *lanistów*.

Wobec tego obrazu, nawet szramy na twarzy olbrzyma zarumieniły się z radości.

— Niechajże będzie 4,000; a to, co zrobisz za te pieniądze, nie zakrwawi ci rąk.

— Słuchajże teraz... Czy widzisz podobieństwo pomiędzy tym oto przyjacielem twoim a mną?

— Wyglądacie, jak dwa jabłka z jednego drzewa.

— A więc, jeśli ja przywdzieję na siebie jego tunikę, a własną jego przykryję i wyjdę razem z to-

bą, on zaś tu pozostanie,—to przecie będziesz mógł otrzymać swoje sestersy od Messali. Chodzi tylko o to, żebyś go zapewnił, żem zgładzony ze świata.

Thorda opanował taki śmiech, że aż łzy spływały mu do ust.

— Ha, ha, ha! Jeszcze nikt nie zdobył z taką łatwością 10,000 sestersów... I winiarnia obok wielkiego cyrku! A to wszystko za kłamstwo bez przelania kropli krwi! Ha, ha, ha! Podaj mi rękę, o synu Arrjusza. A więc ugoda stanęła. Ha, ha, ha! jeśli kiedy będziesz w Rzymie, przyjdźże do zakładu Thorda normanda.—Na brodę Irmina! dam ci najlepsze wino, chociażby mi przyszło pożyczyć je od Cezara!

Uścisnęli się znowu za ręce, poczem nastąpiła zamiana szat. Wieczorem wysłaniec miał przynieść Thordowi, do domu, 4,000 sestersów. Gdy byli gotowi do drogi, olbrzym zapukał do głównych drzwi. Otworzyły się zaraz, wyszedł więc z *atrium* i poprowadził Ben-Hura do przyległej komnaty, gdzie ten ostatni zarzucił na siebie pozostawiony tam płaszcz zabitego atlety. Rozstali się z sobą zaraz w Omfalusie.

— Pamiętaj tylko, o synu Arrjusza, wstąpić do winiarni obok wielkiego cyrku! Ha, ha, ha! Na brodę Irmina, nikt jeszcze nie zdobył tak lekko fortuny. Oby cię bogowie strzegli!

Wychodząc z *atrium*, Ben-Hur spojrzał raz jeszcze na myrmidona, leżącego w ubiorze żydowskim i był zadowolony. Podobieństwo było uderzające.

Byleby Thord dochował tajemnicę, to podejście mogło się udać.

. . , . . . . . .

Wieczorem, Ben-Hur udał się do domu Simonidesa i opowiedział mu wszystko, co zaszło w pałacu Idernee. Uradzili następnie, po upływie kilku dni dochodzić urzędową drogą, gdzie się podziewa syn Arrjusza. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa sprawa ta byłaby wniesiona przed Maxencjusza. Jeśli się tajemnica nie wyda, Gratus i Messala będą spokojni i zadowoleni, a Ben-Hur będzie mógł bezpiecznie udać się do Jerozolimy, celem odszukania utraconej rodziny.

Gdy miał się już oddalić, Simonides siedział na tarasie nad rzeką. Pobłogosławił go na drogę, z ojcowską czułością. Estera wyszła z młodzieńcem do wschodów.

— Jeśli odnajdę mòją matkę, Estero, to przyjedziesz do Jerozolimy i będziesz siostrą dla Tirzy.

Rzekłszy te słowa, pocałował ją.

Byłże to tylko bratni pocałunek?

Przepłynął rzekę nawprost ostatnich zabudowań Ilderima; czekał tam arab, który miał mu służyć za przewodnika. Przyprowadzono konie.

— Ten jest twoją własnością,—powiedział arab.

Ben-Hur spojrzał,—O dziwo! byłto Alderaban, najlotniejszy, z synów Miry, i po Syrjuszu największy ulubieniec szeika. Wiedział, że starzec obdarzył go tem, co mu najmilsze było.

Zwłoki, leżące w *atrium*, pochowano tejże nocy i zgodnie z planem Messali, został wysłany goniec do Gratusa z pożądaną wieścią, że Ben-Hur już nie żyje, tym razem na pewno.

Niezadługo pojawiła się winiarnia nieopodal cyrku Maximusa, z napisem nad drzwiami: *Thord normand.*

---

## ROZDZIAŁ XVI.

Upłynęło 30 dni od owej nocy, kiedy Ben-Hur opuścił Antjochję, żeby się udać z szeikiem Ilderimem na pustynię.

Zaszły odtąd wielkie zmiany—wielkie, ze względu na losy naszego bohatera.

*W miejscu Walerjusza Gratusa, prokuratorem Judei został Pontus Piłat!*

Zmiana ta kosztowała Simonidesa okrągłą sumę 5-ciu talentów monetą rzymską, wypłaconą Sejanusowi, który miał wtedy wielką władzę, jako ulubieniec Cezara. Simonides chciał w ten sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo Ben-Hura w Jerozolimie, gdy tam będzie poszukiwał swą rodzinę. Temu to celowi poświęcił wierny sługa pieniądze, otrzymane od Druzusa i jego towarzyszy. Wszyscy oni, przegrawszy

zakłady, stali się naturalnie wrogami Messali, którego porażka była już wiadoma w całym Rzymie.

Chociaż niewiele czasu jeszcze upłynęło, żydzi wiedzieli już, że zmiany, zaszłe u steru rządu, nie wyjdą im na dobre.

Kohorty, wysłane dla zluzowania załogi Antonii, weszły do miasta nocną porą; nazajutrz rano okoliczna ludność ujrzała na murach starej baszty wojskowe godła, składające się, na nieszczęście, z orłów i sztandarów rzymskich. Rozjątrzony tłum podążył do Cezarei, gdzie przebywał chwilowo Piłat i błagał go o zdjęcie nienawistnych insygnij. Pięć dni i pięć nocy oblegali żydzi bramy pałacowe; nakoniec obiecał dać im posłuchanie w cyrku. Gdy się zgromadzili, otoczył ich wojskiem. Zamiast stawiać opór, zdali się na łaskę wielkorządcy. Zmiękł wtedy i kazał odstawić orły i proporce do Cezarei, gdzie względniejszy odeń Gratus przechowywał te ohydne dla żydów oznaki przez całe 11 lat swych rządów.

Nawet najgorsi ludzie okupują niekiedy swe zdrożności chlubnemi czynami. Tak samo było i z Piłatem. Nakazał on przegląd wszystkich więzień w Judei, jako też wykaz nazwisk więźniów i przestępstw, za jakie są karani. Niewątpliwie, jako nowo-mianowany zarządca, uczynił to przez obawę odpowiedzialności; ale lud, bacząc tylko na błogosławione skutki tego postanowienia, ufał mu i był na jakiś czas uspokojony. Odkryły się niesłychane rzeczy. Uwolniono setki osób, na których nie ciężyły zarzuty. Zna-

leziono wielu takich, co uchodzili za zmarłych; co dziwniejsza, otwierano podziemia, o których nietylko ludność nie wiedziała, ale nawet i zarząd więzienny. Jedno z takich odkryto w samej Jerozolimie.

Baszta Antonia, która jak sobie może czytelnik przypomina, zajmowała większą część świętej góry Moriah, była pierwotnie zamkiem, zbudowanym przez macedończyków. W późniejszych czasach Hirkanus przerobił zamek ten na fortecę dla obrony świątyni, która uchodziła też swego czasu za niedostępną. Gdy się pojawił Herod, tak zuchwały w pomysłach, wzmocnił on i rozszerzył jej mury; zarazem przeznaczył jeden duży budynek na pomieszczenie baraków, broni, składów, cystern i więzień wszelakich stopni. Kazał wygładzić skałę, na której wznosiła się twierdza i wyrąbać w niej wielkie otwory, aby je pokryły budowle. Wszystko to łączyła ze świątynią piękna kolumnada, z dachu której był widok na dziedziniec świętego przybytku. W takim to stanie baszta przeszła z jego rąk w ręce rzymian. Ci, oceniwszy odrazu jej warowność i inne strategiczne zalety, zrobili z niej odpowiedni użytek. Przez cały czas rządów Gratusa służyła za garnizonową cytadelę z podziemnemi więzieniami —postrachem dla buntowników.

Po tem objaśnieniu przechodzimy do toku naszej opowieści.

Rozkaz nowego prokuratora doszedł i do twierdzy Antonia, gdzie szybko został spełniony. Dwa

dni upłynęły od czasu, kiedy ostatniego więźnia powołano do śledztwa. Sprawozdanie gotowe już do wysłania, leży na stole trybuna. Za 5 minut będzie na drodze do Piłata, przebywającego na górze Syon.

Urzędowa komnata tego dostojnika jest obszerna, chłodna i urządzona odpowiednio do jego wysokiego stanowiska.

Zbliża się 7-ma godzina dnia. Trybun wchodzi do swej pracowni, widocznie znużony i zniecierpliwiony. Gdy wyśle raport, będzie mógł wyjść na dach kolumnady, żeby użyć powietrza i ruchu, a przytem rozerwać się widokiem żydów na dziedzińcach świątyni. Jego podwładni chcieliby już także wypocząć po całodziennej pracy.

Podczas tego oczekiwania ukazał się jakiś człowiek we drzwiach, wiodących do przyległej sali. Brzęk kluczy ciężkich jak młoty, które trzymał w ręku, zwrócił nań uwagę trybuna.

— Aa, to ty, Gezjuszu! wejdź, — powiedział tenże.

Gdy nowoprzybyły zbliżył się do stołu, przy którym zwierzchnik jego siedział w fotelu, wszyscy obecni, zauważywszy na jego twarzy jakiś frasunek i niepokój, wpatrzyli się w niego ciekawie i milczeli, żeby usłyszeć, co powie:

— O trybunie,—rzekł, kłaniając się nizko,—lękam się powiedzieć, z czem przychodzę do ciebie.

— Pewnie znowu jaka pomyłka?

— Gdybym mógł wierzyć, że to tylko pomyłka, nie trwożył bym się...

— A więc to zbrodnia, lub cogorsza—niespełnienie obowiązku... Możesz wyśmiewać cezara i przeklinać bogów: nie przypłacisz tego życiem; ale jeżeli orły zostały znieważone, a ty wiesz o tem... Mów...

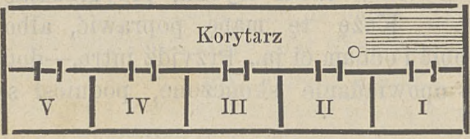
— Jest temu blizko 8 lat, jak Walerjusz Gratus ustanowił mię nadzorcą więzień w tej baszcie,—rzecze przybysz.—Pamiętam ów ranek, kiedym objął mój urząd. Poprzedniego dnia były zamieszki i bójki na ulicach. Zabiliśmy dużo żydów, ale z naszej strony padł także niejeden. Mówiono, że powodem do tego był zamach na życie Gratusa, w którego ktoś rzucił cegłą z dachu, gdy przejeżdżał konno. Zastałem go z obwiązaną głową na tem samem miejscu, gdzie ty siedzisz teraz, czcigodny trybunie. Oznajmił, że mianuje mię dozorcą więziennym i oddał mi te oto klucze, zaopatrzone w numera cel, które mają otwierać. Są to oznaki mej władzy: zalecił mi nie rozstawać się z niemi ani na chwilę. Na stole leżał zwój pergaminu; rozwinąwszy go, rzekł: Masz tu plan cel więziennych: są 3 mapy—2-ch piętr i podziemia, które jest najważniejsze. Powierzam ci je z zaufaniem.—Gdym wziął te karty do rąk,—ciągnął dalej,—masz teraz klucze i mapy, idź więc natychmiast i rozpatrz się w całem urządzeniu, zbadaj stan wszystkich cel. Jeśli zauważysz, że brakuje czego dla zabezpieczenia więźniów, to zaprowadź odpowiednie zmiany

Jesteś tu panem. Mnie jednemu będziesz zdawał sprawę ze swoich czynów.

Oddałem mu pokłon i miałem już odejść, ale zatrzymał mię, mówiąc: omało nie zapomniałem... Daj plan podziemia.—Podałem mu żądaną kartę. Rozłożył ją na stole i wskazując palcem na nr. 5, rzekł: W tej celi jest 3-ch ludzi: podpatrzyli oni tajemnicę stanu i pokutują teraz za swą ciekawość. Pamiętaj, —dodał, patrząc na mnie srogo,—że ciekawość w takich razach jest gorszą od zbrodni. Wyłupiono im oczy, wyrwano języki i wrzucono na całe życie do lochu. Będziesz im podawał tylko jeść i pić przez otwór, jaki znajdziesz w murze. Słyszysz, Gezjusz? Gdym go zapewnił, że rozkaz jego będzie spełniony, spojrzał mi groźnie w oczy, wskazał palcem na celę nr 5, jak gdyby chciał mi wbić w pamięć ten szczegół i rzekł: pamiętaj, że te drzwi nie powinny być otwarte nigdy—pod żadnym pozorem.—Nikomu niewolno ani wyjść z tego więzienia, ani do niego wejść. Nawet tobie nie służy to prawo.—A gdy umrą?—zapytałem.—Gdy umrą,—odrzekł,—cela ta będzie dla nich grobem. Po to są tam wtrąceni, żeby pomarli. Ta cela jest zarażona trądem. Rozumiesz? Po tych słowach pozwolił mi nareszcie odejść.

Gezjusz umilkł i z zanadrza swej tuniki wyjął 3 pergaminy — wszystkie zużyte i pożółkłe ze starości. wybrawszy jeden, rozłożył go na stole przed trybunem i rzekł tylko: Oto jest podziemie.

Całe grono wpatrzyło się w tę oto mapę:




— Otrzymałem ją od Gratusa w takim stanie. Patrz, to jest cela nr. 5,—rzekł Gezjusz.

— Widzę;--mów dalej. Powiedział ci, że ta cela jest zarażona trądem.

— Chciałbym cię o coś zapytać,—skromnie odezwał się dozorca.

Trybun skinął głową na znak zezwolenia.

— Czy wobec tych okoliczności nie miałem wierzyć, że ta mapa jest wierna?

— Owszem... Koniecznie...

— A jednak, nie jest wierną.

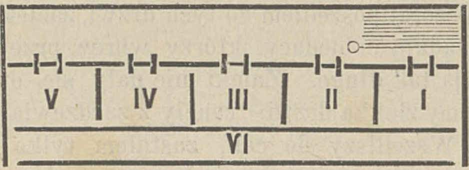
Trybun spojrzał z zadziwieniem.

— Nie jest wierną,—powtórzył dozorca. Wykazuje tylko 5 cel, a było ich 6.

— 6, powiadasz?

— Wyrysuję ci to podziemie, jakiem jest, a raczej jak mi się przedstawia.

— Na jednej ze swych tabliczek nakreślił Gezjusz następujący plan i podał go trybunowi.



— Dobrze,—rzekł trybun, przyglądając się rysunkowi. — Każę tę mapę poprawić, albo nawet nową zrobić i oddam ci ją.., Przyjdź jutro,—dodał i myśląc, że opowiadanie skończone, podniósł się, żeby odejść.

— Posłuchaj jeszcze, o trybunie.

— Jutro, Gezjuszu—jutro.

— To co mam powiedzieć, nie cierpi zwłoki.

Trybun siadł cierpliwie.

— Będę się spieszył,—rzekł pokornie dozorca.— Pozwól mi tylko zapytać jeszcze o coś... Czy nie miałem prawa wierzyć w to, co mi później powiedział o więźniach w celi nr. 5?

— Owszem; obowiązkiem twoim było wierzyć, że się znajdowało 3-ch więźniów w tej celi, — więźniów stanu—ślepych i bez języków.

— A jednak i to także nie było prawdą.

— Czy to być może!...—odezwał się trybun z żywem przejęciem.

— Wysłuchaj mię, a sam osądzisz, o trybunie. Stosownie do otrzymanego rozkazu, zwiedziłem wszystkie cele, od 1-go piętra aż do podziemia. Zakaz otwierania drzwi do nru 5 był uszanowany; przez całe 8 lat pożywienie, podawano przez otwór w murze, dla 3 ch ludzi. Wczoraj poszedłem do tych drzwi, zaciekawiony, jak wyglądają ci biedacy, którzy wbrew przewidywaniom, żyją tak długo. Zamki nie dały się otworzyć. Pchnęliśmy zlekka drzwi: runęły z zardzewiałych zawiasów. Wszedłszy do celi, zastałem tylko jednego

człowieka; był on stary, ślepy, bez języka i nagi. Sztywne kosmyki włosów spadały mu na piersi. Skóra jego przypominała pergamin. Ręce miał wyciągnięte, a paznokcie zgięte w kabłąk, niby szpony u ptaka. Zapytałem, gdzie są jego towarzysze; kręcił głową przecząco. Myśląc, że ich znajdziemy, obszukaliśmy celę. Podłoga była sucha, ściany również. Gdyby tam zamknięto 3-ch ludzi, a 2-ch z nich zmarło, to pozostałyby conajmniej ich kości.

— Myślisz zatem...

— Myślę, o trybunie, że tam był jeden tylko więzień przez całe 8 lat.

Zwierzchnik spojrzał surowo na dozorcę i rzekł: Ostrożnie.., oskarżasz Walerjusza o coś gorszego, aniżeli kłamstwo.

Gezjusz pochylił głowę, ale obstając przy swojem, odpowiedział: mógł być wprowadzony w błąd.

— Nie, on miał słuszność,— odparł żywo dostojnik,—przekonywają mię o tem twoje własne zeznania. Wszakże wspomniałeś przed chwilą, że przez 8 lat dawano pożywienie i napój dla 3-ch osób?

Wszyscy obecni zdawali się podziwiać bystrość swego zwierzchnika,—wszyscy, prócz Gezjusza, który rzekł:

— Wysłuchałeś dopiero połowy opowiadania, o trybunie! Gdy się dowiesz wszystkiego, to zgodzisz się zemną. Wiadomo ci, com zrobił z tym człowiekiem: posłałem go do kąpieli, kazałem ostrzydz i przyodziać, wyprowadziłem za bramę baszty i puściłem go tam na wolność. Zdawało mi się, że już więcej nie będę miał

z nim do czynienia; tymczasem powrócił dziś i przyprowadzono go do mnie. Ze znaków, jakie dawał i z łez pomiarkowałem, że chce wrócić do swej celi: kazałem go tam więc zawieść, Gdy go przyprowadzono, wrócił jeszcze, ucałował mię w nogi i z niemą prośbą nalegał, żebym z nim poszedł. Poszedłem. Dręczył mię niepokój o losy 3-ch owych ludzi. Jakże się cieszę teraz, żem uległ jego błaganiom.

Obecni słuchali z zapartym oddechem.

— Gdyśmy weszli do celi, więzień, poznawszy ją schwycił mię gwałtownie za rękę i zaprowadził do otworu tak wielkiego, jak ten, przez który podawano mu pożywienie. Chociaż jest tak duży, iż mógłby się w nim pomieścić twój hełm, nie spostrzegłem go wczoraj. Trzymając wciąż mą rękę, wydał krzyk przeraźliwy, zwierzęcy. Odpowiedział mu jakiś słaby głos. Zdumiony, odsunąłem go i zawołałem: Kto tam? Nie odpowiedziano. Zawołałem znowu. Tym razem doszły mię słowa: Chwała ci, o Panie! Jeszcze bardziej zdumiałem, o trybunie, byłto bowiem głos kobiecy. Kto jesteś? pytam. — Kobieta izraelska, pogrzebana tu żywcem z córką. Ratujcie... umieramy! — odpowiedziano. Obudziwszy w nich nadzieję, pospieszyłem po twe rozkazy.

Trybun podniósł się szybko.

— Miałeś słuszność, Gezjuszu,—rzekł, — widzę to teraz. I mapa kłamała i opowieść o owych 3-ch ludziach. Ale nie wszyscy rzymianie są tacy, jak Walerjusz Gratus.

— Tak... Jeślim dobrze zrozumiał znaki nieszczęśliwego więźnia, to udzielał on stale swego pożywienia owym niewiastom.

Trybun rozejrzał się po fizjonomjach swych przyjaciół, chcąc z nich wyczytać wrażenia. Naraz przyszło mu na myśl, że lepiej mieć świadków tego, co zamyśla zrobić, dodał więc: Idźmy uwolnić te niewiasty: chodźcie wszyscy.

Gezjusz był uradowany.

— Wypadnie wybić mur, — rzekł,—widziałem wprawdzie drzwi, ale są zamurowane.

— Wyślij za nami mularzy — rozkazał trybun jednemu z podwładnych. Spiesz się, ale raportu nie wyprawiaj jeszcze, bo trzeba go będzie przerobić.

Po chwili już ich nie było.

---

## ROZDZIAŁ XVII.

---

„Kobieta izraelska, pogrzebana tu żywcem z córką. Ratujcie... umieramy!“

Taką odpowiedź otrzymał Gezjusz z celi, która na poprawionej mapie naznaczona była nrem 6-tym. Czytelnik musiał się domyślić, kto były te kobiety i powiedział sobie: Nareszcie... to matka Ben-Hura i Tirza, jego siostra.

Rzeczywiście były to one.

Owego ranka, kiedy je porwano, przed 8-miu laty, zaprowadzone zostały do baszty, z woli Gratusa. Wybrał on basztę z tej przyczyny, że mógł nad nią rozciągać osobiście nadzór a celę nr. 6, najpierw dla tego, że mogła być najłatwiej odciętą od innych, powtóre, że była zarażona trądem. Chodziło mu bowiem o takie miejsce, w któremby nietylko były uwięzione ale też musiały i pomrzeć. Dlatego niewolnicy zaprowadzili je w nocy, żeby ich nikt nie widział. Na domiar okrucieństwa, ci sami niewolnicy zamurowali drzwi, poczem każdego z osobna wysłano w dalekie strony i nikt już o nich nie słyszał. Chcąc się zabezpieczyć od zarzutu podwójnego morderstwa, w razie gdyby się sprawa wykryła, wolał Gratus skazać swe ofiary na naturalną śmierć—niechybną, ale powolną; w ten sposób bowiem czyn jego miał pozór prostego wymiaru kary. Ażeby mogły żyć dłużej, wybrał więźnia pozbawionego oczu i języka i wtrącił go do jedynej przyległej celi żeby im podawał pożywienie i napój. Biedak ten niemógłby nawet pod największym naciskiem zdradzić nazwisk uwięzionych kobiet, ani tego, co je zamknął w grobie za życia. Przezorność ta była pomysłem Messali, rzymianina, który, pod pozorem ukarania zbrodniczej rodziny, sobie i prokuratorowi utorował drogę do zawładnięcia mieniem rodziny Hurów. Do skarbca cezara nie wpłynął ani jeden szekel.

Chociaż dozorca więzienia nie wiedział o niczem, został jednak natychmiast wydalony. Znał on rozkład

podziemia, nie możnaby więc ukryć przed nim uwięzionych kobiet. Z przebiegłością, doprowadzoną do mistrzostwa, kazał Gratus sporządzić inną mapę, z pominięciem celi nr. 6 i doręczył ją nowemu dozorcy. Gdy prócz tego zakazał otwierać drzwi, prowadzące do niej, dokonał swego dzieła i wtrącone do niej męczennice zginęły dla świata.

Ażeby mieć wyobrażenie o cierpieniach matki i siostry Ben-Hura, czytelnik musi wziąć pod uwagę więcej jeszcze ich żywą inteligencję i wrażliwość, aniżeli warunki, co je otaczały w więzieniu. Warunki te były straszne, ale potęgował je sposób odczuwania.

Przypomnijmy sobie ich swobodne, szczęśliwe i zbytkowne życie w książęcym domu i zestawmy je z egzystencją w lochu baszty Antonia... Co za sprzeczność!

Cela nr 6 była tak położona, jak ją Gezjusz przedstawił. Przez jedyny mały otwór w zewnętrznym murze dochodziło trochę świeżego powietrza. Za dnia wdzierał się także promyk światła, tak słabego, że tylko cokolwiek rozpraszał zmrok.

A teraz nie przerażaj się, czytelniku!

Opis ofiary z wyłupanemi oczami i uciętym językiem, tylko co wypuszczonej z celi nr 5, powinien cię przygotować do obrazu, jaki ci się przedstawi.

Dwie niewiasty są przytulone do siebie nieopodal otworu; jedna z nich siedzi, druga jest wsparta o nią, w nawpół leżącej podstawie. Nic ich nie zabezpiecza od nagiej skały. Przy bladem świetle, co tam

wpada z ukosa, wyglądają, jak mary. Nie mają na sobie ani odzieży, ani żadnego okrycia. Ale widzimy, że miłość ich jeszcze nie wygasła, gdyż są złączone uściskiem. Bogactwa ulatują niby na skrzydłach, przyjemności życia znikają, nadzieje rozpraszają się, ale miłość zostaje. Miłość to Bóg.

Tam, gdzie się ugrupowały te dwie niewiasty, skała, stanowiąca podłogę, była świecąca i wygładzona. Któż może powiedzieć, ile czasu spędziły w ciągu 8-miu lat przy tym otworze, czerpiąc nadzieję ratunku w tym słabym ale przyjaznym promyku światła? Gdy się zaczynało wkradać, wiedziały, że nastaje świtanie; gdy bladło, miarkowały, że świat zalegną cienie nocne, które nigdzie nie mogły być tak gęste i długotrwałe, jak w ich lochu. Świat! Przez tę wązką szczelinę, niby przez szerokie i wysokie wrota królewskie wybiegały myślą w świat, i jak duchy krążyły po nim, wypytując jedna o syna, druga o brata. Szukały go na morzach i na wyspach tych mórz... Dziś znajdował się w jednym mieście, jutro w drugiem; a wszędzie i zawsze zmijali się, bo jak one wciąż go wyczekiwały, tak i on wyszukanie ich postawił sobie za cel życia. Jakże często ich myśli krzyżowały się z sobą w tem poszukiwaniu bez końca! Na pociechę powtarzały jedna drugiej: Dopóki on żyje, nie będziemy całkiem zapomniane; a dopóki pamięta o nas, możemy mieć nadzieję!

Gdyśmy stanęli w progu celi, przejęci czcią dla ich przeszłości, dla cierpień, jakie przebyły, uderzyła

nas zmiana w ich wyglądzie, zmiana,—której nie można przypisywać ani działaniu czasu, ani długiemu zamknięciu. Matka była niegdyś piękną,jako niewiasta—córka, jako dziewczę. Dziś nawet miłość nie mogłaby tego powiedzieć. Ich włosy były długie, poplątane i dziwnej białości. Jakiś nieokreślony wstręt przejął nas dreszczem; może ich cera miała tak chorobliwy wygląd z powodu łamania się słabego światła na wilgotnych murach, albo też męki głodu i pragnienia wypiętnowały się na ich obliczach, gdyż ani jadły, ani piły, odkąd wypuszczono na wolność więźnia, który im posługiwał,—a więc od wczoraj.

Tirza, nawpół leżąc w objęciach matki, jęczała żałośnie.

— Uspokuj się, oni nadejdą, Bóg jest dobry. Pamiętałyśmy o Nim, zanosiłyśmy do Niego modły ile razy zatrąbiono nad świątynią. Patrz, światło jeszcze jest jasne; słońce nie zaszło, musi być dopiero 7-ma godzina. Jeszcze kto przyjdzie do nas. Miejmy nadzieję. Bóg jest dobry!

Tak mówiła matka. Proste jej słowa uspokoiły Tirzę. Nie była ona już dzieckiem: do 13-tu lat, które miała, gdyśmy ją poznali, przybyło jej 8.

— Postaram się nie upadać na duchu, matko,—rzekła.—Wszakże i ty cierpisz, a jabym tak chciała żyć dla ciebie i dla brata! Ale język mię piecze, usta mam spalone... Gdzie też on jest? Czy nas kiedy znajdzie?

Głosy ich są szczególnie przykre: jakieś ostre, suche, metaliczne, nienaturalne.

Matka, tuląc do swej piersi Tirzę, mówi: Śniłam dziś o nim i widziałam go tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę. Powinnyśmy wierzyć w sny, bo ojcowie nasi wierzyli w nie. Pan przemawiał do nich często w ten sposób. Zdawało mi się, że stoimy w kobiecym przedsionku świątyni przed Bramą Piękną; było tam dużo kobiet, prócz nas. On przyszedł i stanął w cieniu wrót, rozglądał się dokoła i spojrzał po kolei na wszystkie niewiasty. Serce biło mi, jak młotem... Wiedziałam, że nas szuka, wyciągnęłam doń ręce i podbiegłam, wołając. Usłyszał mię i zobaczył, ale nie poznał. Po chwili już go nie było.

— Czyżby inaczej było, matko, gdybyśmy się rzeczywiście spotkali? Myśmy takie zmienione!

— Mogłoby tak być, ale... Matce głowa spadła na piersi i boleść wykrzywiła jej twarz. Otrząsnąwszy się nieco z wrażenia, dodała: ale mogłybyśmy dać mu się poznać.

Tirza znowu jęczała:

— Wody, matko... wody, choćby jedną kropelkę!

Matka oglądała się wkoło z ponurą rozpaczą. Tyle razy wspominała Boga, tak często daremnie czyniła obietnice w Jego imieniu, że ponawianie ich zaczynało dla niej samej wyglądać na urągowisko.

Jakiś cień zasłania słabe światło wdzierające się przez otwór. Biedna matka myśli, że to śmierć nadchodzi właśnie w chwili, kiedy wiara zamiera,

w jej sercu. Nie wiedząc prawie, co robi, mówiąc bezcelowo, dlatego tylko, że musi mówić, ciągnie dalej:

— Cierpliwości, Tirzo. Oni przyjdą—tylko co ich nie widać.

Zdało jej się, że słyszy jakiś słaby szmer przy otworze, tym jedynym jej łączniku ze światem. I nie omyliła się. Po chwili krzyk więźnia rozległ się w celi. Tirza także go usłyszała; obie więc zerwały się, wciąż splecione uściskiem.

— Chwała niechaj będzie Panu!—zawołała matka z zapałem wznowionej nadziei i wiary.

Usłyszały wołanie: Kto tam! a potem: Kto jesteście?

Byłto obcy głos, ale niemniej dusze ich napełnił radością. Wszakże od 8-miu lat usłyszały pierwsze słowa, prócz swoich własnych. Jakież to było gwałtowne i szybkie przejście od życia do śmierci!

— Kobieta izraelska, zagrzebana tu żywcem z córką. Ratunku... umieramy!

— Uspokujcie się! Wrócę do was!

Niewiasty załkały głośno. Znaleziono je nareszcie. Pomoc już nadchodzi. Do serc ich nadzieja wleciała, niby świegocąca jaskółka, Zostały znalezione! Wydobędą się na wolność! Odzyskają wszystko! Odnajdą wszystko, co utraciły: ojczyznę, ognisko domowe, majątek, syna i brata. Blade światło, wkradające się przez ciasny otwór, wydawało im się całym snopem promieni słonecznych. Zapominając o męczar-

niach głodu i pragnienia, o obawie śmierci, padły na kolana i płakały, wciąż objęte uściskiem.

Nie potrzebowały długo czekać. Dozorca Gezjusz prowadził zwolna swą opowieść, lecz skończył ją nareszcie; wtedy trybun wybrał się niezwłocznie do więzienia.

— Gdzie jesteście?—zawołał przez otwór.

— Tutaj! odrzekła matka, podnosząc się.

Wnet usłyszała inny dźwięk i w innem miejscu. Zdawało jej się, że słyszy raz po raz głośne uderzenia w mur, jak gdyby go rozwalano żelaznemi narzędziami. Tak ona, jak i Tirza nie mówiły nic, przysłuchiwały się tylko, rozumiejąc, że to wszystko znaczy otwieranie im drogi do wolności. Uderzenia były coraz wyraźniejsze; od czasu do czasu kamień padał z łoskotem na ziemię, wyzwolenie wciąż się zbliżało. Zaczęły je dochodzić głosy robotników. Potem—o szczęście! przez szczelinę zabłysło czerwone światło pochodni. Wydało się ono w ciemnościach olśniewającem jak blask djamentów, pięknem niby zorza poranna.

— To on, matko, to on! Nakoniec znalazł nas! —wykrzyknęła Tirza z żywością wyobraźni młodzieńczej.

Matka odrzekła z rozrzewnieniem: Bóg jest dobry!

Jeden kamień wpadł do celi, potem drugi, potem cała masa i drzwi stanęły wnet otworem. Człowiek zawalany wapnem i pyłem wszedł i stanął

trzymając pochodnię nad swą głową. Po nim 2-ch czy 3-ch także z pochodniami w ręku ustawiło się szeregami, zostawiając miejsce dla trybuna.

Poszanowanie dla kobiet ma źródło w naturze ludzkiej. Trybun przystanął, gdyż uciekły od niego, nie z obawy, lecz ze wstydu; i nie z samego wstydu, o czytelniku! Z pośród ciemności ich ukrycia usłyszał te słowa, najsmutniejsze, najrozpaczliwsze. jakie wypowiedział kiedykolwiek język ludzki:

— Nie przybliżaj się, nieczyste, nieczyste!

Pochodnie zachwiały się w rękach robotników: spoglądali jeden na drugiego.

— Nieczyste, nieczyste!—rozległ się znowu głos drżący, rozpaczliwy. Z takim wykrzykiem odchodziłby duch od wrót raju, oglądając się za nim.

Takto wdowa i matka spełniła swój obowiązek. W tej chwili, kiedy się urzeczywistniła wolność wymodlona, wyśniona, która zdaleka wydawała się jej owocem szkarłatnym i złotym, w ręku była tylko jabłkiem sodomskiem.

*Obie z Tirzą były zarażone trądem*!

Może czytelnik nie zna całej doniosłości tego wyrazu; objaśnimy go zatem, że ówczesne prawo, czyli talmud, mówiło:

Tych czworo zalicza się do umarłych: ślepy, trędowaty, ubogi i bezdzietny.

Znaczyło to, że trędowaty, uważany za trupa, jako taki był wyrzucany z pomiędzy zdrowych ludzi do najukochańszych i najbardziej kochających osób;

mógł przemawiać tylko z oddalenia; przemieszkiwał pośród samych trędowatych; był wyjęty z pod prawa, niedopuszczany do świątyń i synagog; chodził w łachmanach i otwierał usta po to tylko, żeby wołać: Nieczysty, nieczysty! Krył się na pustyni, albo w grobach opuszczonych; stawał się upiorem z Himmonu i Gehenny; budził w innych postrach, a w sobie większy jeszcze wstręt; lękał się umrzeć, chociaż jeno w śmierci mógł pokładać nadzieję.

Pewnego dnia—nie wiedziała w którym roku, straciwszy w swej ciemnicy miarę czasu, — matka uczuła pieczenie dłoni prawej ręki; nic sobie z tego nie robiąc, zwilżała ją tylko wodą. Niezadługo wystąpił liszaj, ale nie zwraeała na niego uwagi, dopóki Tirza nie zaczęła narzekać na to samo. Chociaż wydzielano im skąpo wody, używały jej jako lekarstwo, odmawiając sobie napoju. Nakoniec liszaj rozszerzył się na całej ręce: skóra popękała, paznokcie odstawały od ciała. Ból nie był dotkliwy, ale dokuczało im coraz większe swędzenie. Potem usta zaczęły je palić i krwawić się. Pewnego dnia, matka, która przestrzegała schludności nawet w tem podziemiu, jakby tknięta przeczuciem, poprowadziła Tirzę do światła, żeby się przekonać, czy nie ma trądu na twarzy.

Rzęsy dziewczęcia były białe, jak śnieg!

Cóż za bolesne odkrycie!

Siedziała chwilę niema, nieruchoma, jakby zdrętwiała, zdolna myśleć to jedno tylko: trędowata, trędowata!

O siebie nie troszczyła się: szło jej tylko o córkę. W miłości macierzyńskiej czerpiąc odwagę, uzbroiła się do ostatniego poświęcenia, do bohaterstwa. Pogrzebała prawdę w swem sercu. Utraciwszy nadzieję, tem czulej poświęcała się Tirzie, i ze zdumiewającą zręczności ukrywała wciąż przed nią własny i jej stan; uspakajała ją nawet, że to nic ważnego. Wymyślała dla niej różne gry i rozrywki; opowiadała historje stare i nowe; słuchała piosenek Tirzy, śpiewała sinemi usty psalmy króla, piewcy swego rodu. Wszelkiemi sposobami starała się zagłuszyć, choćby chwilowo, ból serdeczny i ożywić pamięć o Bogu, który zdawał się je opuszczać tak samo, jak ludzie.

Zwolna lecz ustawicznie szerzyła się choroba: niezadługo przypruszyła im włosy siwizną, powyżerała dziury w ustach i powiekach, ciało pokryła strupami. Rzuciła się potem na gardło, czyniąc ich głosy ostre i krzykliwe; przeszła do stawów, skutkiem czego stężały w nich tkanki i chrząstki; naruszyła płuca, muskuły i kości, coraz bardziej wzmagając cierpienia. Miały one trwać aż do śmierci — a więc może lata całe.

Nastał nareszcie straszny dzień — dzień, w którym matka uznała za potrzebne nazwać Tirzie chorobę, co je nękała. Zrozpaczone, modliły się obie o prędki koniec.

Oswoiwszy się jednak z tem nieszczęściem, mówiły o niem spokojnie i pomimo swej wstrętnej prze-

miany, były przywiązane do życia. Jeden węzeł je łączył z ziemią: w osamotnieniu swem marzyły wciąż o Ben Hurze... Matka obiecywała połączenie się z nim Tirzie, ona zaś matce; obie nie wątpiły, że jest im wierny i na równi z niemi pokrzepia się nadzieją, iż się spotkają kiedyś. W tkaniu i przetykaniu tego wątłego wątku czerpały osłodę życia i pociechę, że się z niem jeszcze nie rozstają. W taki to sposób, jakeśmy widzieli, koiły jedna drugą, po całodziennych męczarniach głodu i pragnienia.

Pochodnie zapłonęły czerwono w więzieniu: wolność nadeszła nareszcie.

— Bóg jest dobry!—wykrzyknęła wdowa, przejęta wdzięcznością nie za przeszłość, o czytelniku, lecz za obecną chwilę. Przebyte męczarnie puściła w niepamięć.

Trybun wszedł do celi.

Starsza niewiasta, z kąta, w którym się skryły, rzuciła to straszne ostrzeżenie: Nieczyste, nieczyste!

Ileż ją kosztowało spełnienie tego obowiązku! Ale radość z odzyskanej wolności nie zaślepiała ją na następstwa trądu. Dawne szczęśliwe życie nie mogło już powrócić. Gdyby się nawet udała do tego domu, co był niegdyś jej własnem ogniskiem, mogłaby tylko stanąć w progu i zawołać: Nieczysta, nieczysta! Na widok syna, o którym marzyła z takiem utęsknieniem, musiałaby się cofnąć. Jeśliby wyciągnął do niej ręce i zawołał: Matko, matko! wol-

noby jej było odpowiedzieć to jedno: Nieczysta, nieczysta! To drugie dziecię, którego nagość usiłuje zasłonić swym długim, splątanym i nienaturalnie białym włosem, może mieć z niej jednej tylko towarzyszkę nędznego życia. Jednakże dzielna niewiasta, poddając się swemu losowi, wydała okrzyk, który od niepamiętnych czasów wyłączał z pomiędzy ludzi. Odtąd, nawet najdroższe sercu istoty będzie witała tylko ostrzeżeniem: Nieczysta, nieczysta!

Trybun zadrżał, lecz nie cofając się, zapytał:

— Kto wy jesteście?

— Dwie kobiety, umierające z głodu i pragnienia. Ale nie zbliżaj się do nas! —rzekła mężna matka.—Nie dotykaj ściany, ani podłogi!... Nieczyste, nieczyste!

— Opowiedz mi swoje dzieje, kobieto! Jak się nazywacie, jak dawno jesteście tutaj, kto was uwięził i za co?

— Żył niegdyś w tem mieście, Jerozolimie, książę z rodu Hurów, Ben-Hur. Był on przyjacielem wszystkich szlachetnych rzymian i z samym cezarem łączyła go przyjaźń. Jestem wdową po tym księciu, a to jest dziecię nasze! Jakże ci powiem, za cośmy się tu dostały... Sama tego nie wiem... Chyba za bogactwa nasze. Walerjusz Gratus może ci powiedzieć, kto był naszym wrogiem i kiedy nas wtrącono do więzienia. Dla mnie to wszystko jest tajemnicą... Patrz, co się z nas zrobiło... Spojrzyj i ulituj się!

Pomimo duszącego więziennego powietrza i swę-

du od pochodni, rzymianin kazał się zbliżyć jednemu ze sług, niosących światło i zapisał odpowiedź prawie dosłownie. Była ona zwięzła a jasna i zawierała zarazem przebyte koleje, oskarżenie i prożbę. Pospolita kobieta nie umiałaby dać tak treściwego objaśnienia: trybun mógł tylko litować się i wierzyć.

— Będziecie uwolnione, kobieto,—rzekł, chowając tabliczki. Wpierwej jeszcze przyślę wam pożywienie i napój.

— Prosimy cię także o odzież i wodę do obmycia się, o szlachetny trybunie!

— Życzenie twoje zostanie spełnione.

— Bóg jest dobry!—zawołała wdowa ze łkaniem. Oby pokój Jego był z tobą!

— Już was więcej nie zobaczę,—dodał.—Przygotujcie się. Dziś wieczorem każę was wyprowadzić za bramę baszty i puścić na wolność. Znasz prawo. Żegnam cię, czcigodna kobieto.

Trybun wydał rozkazy niewolnikom i wyszedł. Niebawem kilku sług przyniosło do więzienia wodę w dużem naczyniu, miskę i ręczniki, chleb i mięso na talerzu i kilka sztuk odzieży kobiecej. Położywszy to wszystko przy samych drzwiach, uciekli czemprędzej.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy się zmienia pierwsza straż, wyprowadzono ofiary Gratusa na ulicę. Były więc wolne, pośród miasta ojców swoich. Na niebie gwiazdy migotały tak wesoło, jak niegdyś.

Dwie męczennice przyjrzały im się, a potem zapytała jedna drugą:

— Co robić? Gdzie się obrócić?

## ROZDZIAŁ XVIII.

W tej samej prawie chwili, kiedy dozorca Gezjusz pojawił się przed trybunem w baszcie Antonia, jakiś wędrowiec wspinał się po wschodniem zboczu góry Oliwnej. Droga ta przykra, pełna kurzawy, ciągnęła się pośród roślinności spalonej, była to bowiem sucha pora w Judei. Ale podróżny był młody i silny; zresztą, miał na sobie lekką i przestroną odzież.

Szedł powoli, rozglądając się często w prawo i w lewo. Snać nie szukał drogi, lecz nawpół uradowany, nawpół ciekawy, wracał po długiej nieobecności do znanych już miejsc. Zdawał się mówić: Rad jestem, że was widzę... Jakie też znajdę zmiany?

Gdy się wzniósł wyżej, przystawał czasami, żeby rzucić okiem na rozszerzający się stopniowo widnokrąg pośród gór Moabickich. Im bliżej był wierzchołka, tem więcej przyspieszał kroku. Pomimo znużenia, biegł pod górę, nie odpoczywając, nie obracając nawet głowy. Skręcił nareszcie na prawo z ubitej ścieżki, dostał się na szczyt i stanął, jakby przytrzymany silną ręką. Oczy mu zabłysły, twarz

oblała się rumieńcem i z zapartym oddechem zatopił oczy w roztaczającym się przed nim widoku.

Wędrowcem był Ben-Hur, a u stóp jego leżała — Jerozolima.

Nie dzisiejsze miasto święte, lecz takie, jakiem je zostawił Herod, święte miasto Chrystusowe. Jest ono piękne i teraz, gdy się na nie patrzy ze starej góry Oliwnej, ale jakiemże musiało być wtedy!

Ben-Hur siadł na kamieniu i przykrywszy głowę białą chustką, wodził okiem dokoła.

Wielu przyglądało się potem miastu świętemu pośród niezwykłych okoliczności: zwycięzcy—syn Wezpazjana, islamita, krzyżowiec—i pielgrzymi z Nowego-Świata,—ale pewno nikt z tak silnem wrażeniem, tak smutno słodkiem, tak dumnie gorzkiem, jak Ben-Hur. Podniecały go wspomnienia tryumfów i porażek jego ziomków, dziejów ich: dziejów Boga. Miasto było ich dziełem, trwałym pomnikiem ich zbrodni, cnót, słabości i geniuszu, wiary i bezbożności. Chociaż znał Rzym zblizka, był zadowolony. Widok ten napełniał go dumą, która przeszłaby łatwo w pychę, gdyby nie myśl, że to królewskie miasto przestało należeć do jego narodu. W świątyni składano ofiary jedynie za zezwoleniem obcych władców; na wzgórzu, dawnej siedzibie Dawida, stanął pałac marmurowy, w którym wybrańców Pana obciążano podatkami i prześladowano nawet za wiarę nieśmiertelną.

Ale to były radości i troski wspólne wszystkim żydom ówczesnym, a Ben-Hur przyniósł z sobą oso-

biste cierpienia, których nic nie zdołało zagłuszyć; owszem, roztaczający się przed nim widok jeszcze je spotęgował.

Okolica górzysta mało się zmienia; tam, gdzie góry są skaliste, pozostaje zawsze jednaką. Krajobraz, co otaczał Ben-Hura, jest taki sam i dzisiaj, z wyjątkiem grodu świętego, którego upadek jest dziełem człowieka.

Cisza, panująca dokoła, zrodziła tęsknotę w sercu Ben-Hura. Sięgał on okiem coraz wyżej, aż nad dachy świątyni, do Syonu, siedliska pamiątek świętych po królach, pomazańcach Bożych. Wiedział, że dolina Cheesemonger leży pomiędzy górami Moriah i Syonem; że ją oblewa Xystus; że zawiera ona w swem łonie piękne ogrody i pałace. Lecz myśl jego zajmowały głównie gmachy sterczące, u stóp wzgórza królewskiego:, dom Kaifasza, środkowa synagoga, Pretorium rzymskie, nieśmiertelny Hippicus i smutne lecz potężne grobowce Fazaclus i Mariamne—wszystko to oblane purpurą. Gdy pośród nich dojrzał pałac Heroda, o czemże mógł myśleć, jeśli nie o tym królu, co miał nadejść, któremu on sam poświęcił się, przed którym miał prostować ścieżki, którego chciał wesprzeć bogactwy swemi. Wyobraźnia jego wybiegała do dnia, kiedy nowy ten król przyjdzie zawładnąć mieniem: górą Moriah i jej świątynią; Syonem i jego wieżami i pałacami; Antonią, szarzejącą tam, na prawo od świątyni; nowem, nieobwarowanem miastem Bezetha; miljonami izraelitów,

którzy się zbiegną z gałązkami palmowemi i chorągwiami, śpiewając i radując się, że Pan zwyciężył i dał im świat w posiadanie.

Słońce zniżyło się na nieboskłonie. Chwilę jeszcze jego płomienna tarcza zdawała się spoczywać na dalekich szczytach gór na zachodzie, zapalając cały horyzont nad miastem, oblewając jego mury i wieże jaskrawem złotem.

Nagle schowało się słońce, zapanował półzmrok. Ben-Hur mógł jednak widzieć maleńki punkcik na niebie, cokolwiek na półn›c od świętego przybytku. Pod tym to punktem stoi dom jego ojców, jeśli jeszcze nie zburzony.

Pod wpływem uroku przyrody uczucia Ben-Hura zmiękły: odwrócił myśl od celów swej ambicji ku obowiązkowi, który go sprowadził do Jerozolimy.

Tam, na pustyni, gdzie wraz z Ilderimem wybierał miejsca obronne i obeznawał się z okolicą, jak wódz, badający strony, w których ma stoczyć bitwę, pewnego wieczoru przybył goniec z wieścią o upadku Gratusa i wyniesieniu w miejsce jego Pontusa Piłata.

Messala był kaleką i miał go za zmarłego; Gratus—pozbawiony władzy nad Judeą i wydalony.

Czemużby Ben-Hur nie miał skorzystać z tej chwili, żeby rozpocząć poszukiwania? Nie groziło mu już żadne niebezpieczeństwo. Jeśliby nie dotarł sam do więzień judzkich, to mógł je przeszukać cudzemi oczami. A gdyby odnalazł te, których szukał,

Piłat nie miałby powodu trzymać je w ciemnicy. W każdym razie możnaby go ująć złotem.

Oswobodziwszy ukochane istoty, osadziłby je w bezpiecznem miejscu, poczem ze swobodnym umysłem i spokojnem sumieniem, po spełnieniu najpierwszego obowiązku oddałby się cały temu Królowi, Który Miał Nadejść.

W jednej chwili powziął postanowienie i naradził się tejże nocy z Ilderimem, który zgodził się na jego plan. Trzech arabów udało się z nim do Jerycho, gdzie zostali wraz z końmi, on zaś puścił się w dalszą drogę. Malluch miał się z nim spotkać w Jerozolimie.

Ben-Hur ułożył sobie dotąd tylko ogólny plan. Ze względu na przyszłość, wypadało mu kryć się przed władzą, a w szczególności przed rzymianami: Malluch był oględnym człowiekiem i wiernym sługą, jemu więc umyślił poruczyć poszukiwania.

Lecz gdzie je zacząć, sam nie wiedział. Możeby od baszty Antonii? Ponury ten gmach miał stać na sieci cel więziennych, które były dla wyobraźni żydów większym postrachem, aniżeli silna załoga wojskowa. Takie pogrzebanie żywcem, jakiemu właśnie uległy matka jego i siostra, było tam możliwe. Prócz tego, w niepewności, zradza się naturalny pociąg do rozpoczęcia poszukiwań w miejscu, gdzie nastąpiła strata, a Ben-Hur pamiętał, że gdy ostatni raz objął wzrokiem matkę i Tirzę, straż rzymska prowadziła je w stronę baszty. Jeśliby ich tam już nie

było, zawsze musiał pozostać ślad, któryby ułatwił poszukiwania.

Prócz tego instynktu, miał jeszcze i pewną nadzieję w sercu. Oto wiedział od Simonidesa, że Amra, egipcjanka, pozostała przy życiu. Czytelnik pewnie pamięta, że wierna ta istota, po nieszczęściu, co spadło na rodzinę Hurów, wyrwała się straży i uciekła do pałacu, w którym ją opieczętowano. Przez całe 8 lat Simonides dostarczał jej pożywienia; była więc jedyną mieszkanką tego wielkiego domu, którego Gratus nie mógł sprzedać. Dzieje prawych właścicieli tak odstręczały od tego pałacu, że nietylko nikt go nie chciał nabyć, ale nawet i zamieszkać. Ludzie mijali go, szepcąc. Chodziły pogłoski, że się w nim pokazują duchy, prawdopodobnie widywano; czasem biedną starą Amrę na dachu, albo w oknie zakratowanem.

Ben-Hur postanowił zobaczyć się z nią bądź co bądź. Miał nadzieję—wprawdzie słabą—że się od niej dowie czego o losach swych ukochanych; przytem pociągało go ku sobie miejsce tak pełne pamiątek.

Przedewszystkiem więc chciał pójść do starego pałacu i wyszukać Amrę.

Uczyniwszy tu postanowienie, zaraz po zachodzie słońca zaczął się spuszczać z góry, drogą, która z wierzchołka skręca się nieco ku wschodowi. Gdy zszedł prawie na sam dół, tuż przy łożysku Cedronu zboczył na południe do wioski Silaam i sa-

dzawki tejże nazwy. Tam napotkał pasterza, pędzącego trzodę na targ; wszczął rozmowę i minąwszy wraz z nim Gethsemane, wszedł przez Rybią Bramę do miasta Świętego.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

---

Ciemno już było, gdy Ben-Hur, rozstawszy się w Bramie Rybiej z pasterzem, skręcił wązką uliczką, prowadzącą na południe. Garstka ludzi, których spotykał, witała go ukłonem. Bruk był bardzo przykry. Po obu stronach uliczki stały domy nizkie, ciemne i ponure. Wszystkie drzwi były zamknięte: z dachów dochodził go niekiedy jednostajny śpiew matek, usypiających niemowlęta. Osamotnienie, ciemności nocne, niepewność skutku poszukiwań —wszystko to uspasabiało Judę coraz rzewniej. W takim to smętnym nastroju zaszedł do głębokiej sadzawki Bethezda, w której wodach odbijały się migocące gwiazdy. Spojrzawszy w górę, zobaczył młodzieniec basztę Antonia, której szare mury odbijały od sinego nieba.

Stanął, jak gdyby go zatrzymała groźna straż.

Baszta była tak wysoka, zdawała się tak rozległa i wsparta na tak mocnych fundamentach, że widok jej pogrążył go w rozpaczy. Jeśli matka jest

zagrzebaną w tych murach, cóż on może uczynić? Zbrojną ręką, nic. Strzały i piki nie naruszyłyby skały. Przebiegłość nie zawsze dopina celu; a Bóg, ta ostatnia ucieczka bezsilnych—Bóg, niekiedy tak długo każe czekać na swą pomoc!

Opanowany zwątpieniem i smutnemi przeczuciami, puścił się Juda ulicą, przy której sterczała baszta, i powolnym krokiem zmierzał ku zachodowi.

Wiedział on, że w Bezetha jest khan, w którym chciał zamieszkać na czas pobytu w mieście; ale w tej chwili nie mógł się oprzeć chęci ujrzenia rodzicielskiego domu. Serce ciągnęło go do tych drogich miejsc.

Dawno nie słyszane słowa, jakiemi go pozdrawiali nieliczni przechodnie, brzmiały w jego uchu, niby muzyka.

Księżyc srebrnym blaskiem oblał całe to wschodnie niebo i przedmioty, przedtem niewidzialne na zachodzie. Wysokie wieżyce góry Syon wyłoniły się niby z ciemnej otchłani i zawisły nad czarną czeluścią doliny: istne zamki napowietrzne.

Nakoniec doszedł Juda do pałacu swego rodzica.

Kto utracił dom rodzinny, w którym szczęśliwie przeżył zaranie życia,—raj, do którego wciąż tęskne myśli zwraca, z którym nie mogą się równać radości i zaszczyty późniejszego wieku, ten z łatwością odgadnie, jakie uczucia miotały w tej chwili duszą Ben-Hura.

Stanął on przed północną bramą starego domu. Na rogach jego można jeszcze było widzieć przyłożoną wtedy pieczęć, a na podwojach istniała dotąd tablica z napisem; „Własność Cezara.“

Nikt nie przestąpił tej bramy od strasznego dnia, kiedy go rozłączono z ukochanemi istotami,

Czy zapukać po dawnemu? Wiedząc, że to będzie daremne, nie zdołał jednak oprzeć się pokusie. Amra może usłyszeć i wyjrzy którem oknem z tej strony.

Wziął kamień, wszedł po szerokich kamiennych wschodach i trzykrotnie uderzył nim w drzwi. Odpowiedziało mu tylko głuche echo.

Znowu sprobował: tym razem głośniej i nadsłuchując po każdem uderzeniu.

Nic nie przerywało ciszy.

Cofnął się na ulicę i wpatrywał w okna, ale i tam nie było śladu życia.

Balustrada na dachu rysowała się wyraźnie na jaskrawym firmamencie, żaden ruch na niej nie mógłby ujść jego oka; niestety, nikogo tam nie było.

Z północnej strony przeszedł do zachodniej. Były tam 4 okna: wpatrywał się w nie długo, z natężeniem, ale również bez skutku. Chwilami serce mu wzbierało od bezsilnych pragnień, to znowu złudzony wyobraźnią, drżał cały.

Amra nie dawała znaku; nie ukazał się nawet żaden duch.

Przeszedł po cichu na stronę południową. Brama

i tam była zamknięta i opieczętowana. Sierpniowy księżyc oblał grzbiet góry Oliwnej łagodnym blaskiem, przy którym Juda przeczytał napis z wściekłością. Zerwał tablicę wraz z gwoździem i cisnął ją do ścieku.—Nic więcej nie mógł uczynić. Potem siadł na wschodach i modlił się za Nowego Króla; zanosił prośby do Jehowy, by go zesłał jaknajprędzej.

Gdy ochłonął nieco po doznanych wrażeniach, znużony całodzienną wędrówką przy palących promieniach słońca, usnął nareszcie.

W tym samym czasie dwie kobiety szły ulicą od baszty Antonii w kierunku pałacu Hurów. Skradały się niejako nieśmiałym krokiem, przystając często, żeby nadsłuchiwać. Na rogu szarego gmachu, matka szepnęła:

— Tutaj, Tirzo,..

Tirza, uchwyciwszy ją za rękę, oparła się na niej całym ciężarem i łkała, nie mówiąc ani słowa.

— Idźmy ztąd, moje dziecię, bo...—rzekła matka urywanym, drżącym głosem; a po chwili, o ile mogła najspokojniej, dokończyła:—bo... gdyby nas kto zobaczył jutro, wygnanoby nas za bramy miasta— i nigdy już, nigdy nie powróciłybyśmy tutaj...

Tirza o mało nie padła na kamienie.

— Ach, prawda...—rzekła, zanosząc się od płaczu,—zapomniałam! Zdawało mi się, żem wróciła do domu... Ale myśmy trędowate, nie mamy domu... My należymy do zmarłych...

Matka pochyliła się i podniosła ją z czułością, mówiąc: Nic nam nie grozi. Odejdźmy ztąd.

Rzeczywiście nic im nie groziło. Samem podniesieniem próżnych rąk rozproszyłyby całe hufce wojska.

Przytulone do muru, posuwały się, jak cienie, aż do bramy. Zatrzymawszy się tam raz jeszcze, spostrzegły tablicę. Weszły po kamiennych wschodach, po których tylko co stąpał Ben-Hur i przeczytały napis: „Własność Cezara.“

Matka załamała ręce, wzniosła oczy ku niebu i zapłakała na głos.

— Co to znaczy, matko? Przestraszasz mię...

— Ach, Tirzo droga, ubogi zalicza się do zmarłych! On już jest zmarłym...

— Kto, matko?

— Twój brat! Odebrano mu wszystko, nawet ten dom!

— Ubogi...—powtórzyła Tirza nawpół przytomna.

— Już nigdy nie będzie mógł wyrwać nas z nieszczęścia...

— Cóż się z nami stanie, matko?

— Od jutra, od jutra, drogie dziecię, jedyne miejsce dla nas będzie przy gościńcach... Pośród innych trędowatych będziemy tam żebrały... Musimy żebrać, lub...

Tirza, tuląc się znowu do matki, rzekła zcicha: Umrzyjmy matko!.. umrzyjmy...

— Nie!—rzekła matka stanowczo.—Pan nazna-

czył kres dni naszych... powinnyśmy się poddać jego woli. Chodźmy ztąd.

Schwyciła Tirzę za rękę, i trzymając się wciąż muru, pobiegły do zachodniego węgła domu. Nie bybyło widać nikogo, zatrzymały się więc na następnym rogu i skryły przed blaskiem księżyca, który zalewał całą południową stronę pałacu i przyległą część ulicy.

Wdowa Hura była kobietą silnej woli.—Przyjrzawszy się wszystkim oknom, wychodzącym na zachód, wysunęła się na światło, ciągnąc Tirzę za sobą. Wtedy uwidoczniła się nurtująca je choroba: ślady jej były na ustach i licach, w oczach nabiegłych krwią, na popękanej skórze u rąk, a większe jeszcze na długich kosmykach włosów, zesztywniałych od strupów i tak samo osobliwie białych, jak rzęsy. Niktby nie odgadł, która z nich jest matka, a która córka; obie zdawały się nienaturalnie stare.

— Cicho!—rzekła półgłosem matka.—Ktoś leży na progu... Jakiś mężczyzna... Obejdźmy go...

Przebiegły na drugą stronę ulicy i przemknąwszy się, w cieniu, do bramy,—stanęły.

— On śpi, Tirzo.

Człowiek ten leżał nieruchomo.

— Zostań tu; ja sprobuję otworzyć bramę,—powiedziała matka.

Postąpiwszy kilka kroków, odważyła się dotknąć podwoi. Czyby się otworzyły, nie wiedziała, gdyż w tej chwili ów człowiek westchnął, poruszył się

i odwrócił twarz na lewo, tak, że padło na nią światło księżyca.

— Spojrzała i drgnęła; spojrzała znowu, pochyliwszy się nieco, wyprostowała się, załamała ręce, wzniosła oczy ku niebu z niemą proźbą, stała chwilę, potem pobiegła do Tirzy.

— Jak Bóg na niebie, ten człowiek, to mój syn — twój brat — rzekła jakimś przerażającym szeptem.

— Mój brat? Juda?

Matka schwyciła ją za rękę.

— Chodź! szepnęła znowu nienaturalnym głosem. Idźmy razem spojrzeć na niego—ostatni raz—ostatni—a potem niech się dzieje wola Bozka...

— Przeszły na drugą stronę ulicy, ręka w rękę, szybko i cicho, jak mary. Gdy ich cienie padły na młodzieńca, stanęły. Ręka jego leżała na progu, dłonią obrócona do góry. Tirza uklękła, żeby ją ucałować, ale matka odsunęła ją żywo, szepcąc:

— Nie dotykaj go, niedotykaj! Nieczysta, nieczysta!

— Dziewczę odskoczyło, jak gdyby to on był trędowatym.

— Męzka piękność Ben-Hura była w pełnym rozkwicie. Lica i czoło miał ogorzałe od słońca i powietrza pustyni; z pod wąsa wychylały się purpurowe usta i lśniące białe zęby. Jedwabisty zarost, otaczający okrągły podbródek, nie zakrywał kształtnej szyi.

— Jakże pięknym wydawał się matce! Jak gorąco pragnęła wziąć go w objęcia, przytulić jego głowę do swej piersi i całować go, jak niegdyś, kiedy był jeszcze szczęśliwem chłopięciem.

Gdzie zaczerpnęła siłę do przezwyciężenia tego popędu? Gdzie, czytelniku? W silnej miłości macierzyńskiej, która tem się różni od każdej innej miłości, że będąc tkliwą dla dziecięcia, dla siebie potrafi być tyranką.

Ani za odzyskanie zdrowia i mienia, ani za szczęście życia, ani nawet za samo życie nie przyłożyłaby swych trędowatych ust do jego lica! Ale mósi dotknąć się go w tej chwili rozstania się na zawsze! Jaka boleść szarpała jej duszę, łatwo odgadnąć każdej matce.

Przyczołgała się na klęczkach do jego stóp i dotknęła ustami podeszwy sandała, zabrukanej pyłem ulicznym, całując ją raz po raz i całą duszę wlewając w te pocałunki.

Poruszył się i rękę przesunął.

Zerwały się obie i cofnęły; ale je doszły słowa jego, wyszeptane przez sen: Matko! Amro! Gdzie jest...?

Znowu zapadł w głęboki sen.

Tirza pochłaniała go oczami, a nieszczęsna matka tarzała twarz w pyle, tłumiąc łkanie z takiem wysileniem, że zdawała się, że jej serce pęknie. Nieomal pragnęła, żeby się Juda obudził.

Pytał o nią: nie zapomniał.... nawet we śnie o niej myśli. Czyto nie dosyć?

Nakoniec skinęła na Tirzę; podniosły się, raz jeszcze spojrzały, jakby dla wrażenia w pamięć jego rysów i trzymając się za ręce, przeszły na drugą stronę ulicy. Ukryte tam w cieniu muru, uklękły i przyglądały mu się zdaleka, czekając, żeby się obudził, czekając jakiego wypadku, same zresztą nie wiedząc, czego czekają.

Po dość długiej chwili, kobieta wyszła z za węgła pałacu; widziały ją wyraźnie, oblaną światłem, same skryte w cieniu. Była ona maleńka, zgarbiona, śniada, siwa; z ubioru wyglądała na służącą i niosła koszyk pełen jarzyn.

Na widok mężczyzny, leżącego w progu, zatrzymała się. Potem powzięła widać jakieś postanowienie: pocichu okrążyła go, przystąpiła do bramy, odsunęła z łatwością rygiel i włożyła rękę do będącego tam otworu. Jedna z szerokich desek, niby furtka w lewem skrzydle bramy, otworzyła się bez łoskotu. Staruszka wstawiła kosz i miała wejść sama, lecz przez ciekawość rzuciła jeszcze okiem na twarz nieznajomego, oblaną blaskiem księżyca.

Niewiasty, siedzące po drugiej stronie ulicy, usłyszały jej cichy wykrzyk i zobaczyły, że przeciera sobie oczy, jak gdyby nie dowierzała temu, co widzi; potem nachyliła się, ręce załamała, rozejrzała się wkoło obłąkanem okiem, porwała rękę śpiącego, i czule ją całowała.

Obudzony nagle Ben-Hur, cofnął machinalnie rękę i robiąc ten ruch, spotkał się ze wzrokiem staruszki.

— Amra! ach, Amro! Tyżeśto to? — Zawołał. Zlekka wysunął się z jej objęć, podniósł jej śniadą twarz zalaną łzami, i pocałował ją, mało co mniej uradowany, aniżeli ona.

Kobiety, siedzące po drugiej stronie ulicy, usłyszały, jak zapytał:

— A matka... Tirza. — O Amro, powiedz mi co o nich! Mów, mów, błagam cię!

Amra znowu się rozpłakała.

— Tyś je widziała, Amro! Ty wiesz, gdzie się znajdują! Powiedz mi, że są w domu.

Tirza poruszyła się, ale matka, odgadując jej zamiar, chwyciła ją żywo za rękę.

— Co robisz!... Szepnęła... Nieczysta, nieczysta!

Jej miłość była srogą. Gdyby im nawet serca miały pęknąć, Juda nie może stać się takim, jakiemi one są.

Miłość jej odniosła zwycięztwo.

Tymczasem Amra słuchała jego błagania, zanosząc się jeszcze bardziej od płaczu.

— Chciałaś wejść? Zapytał, widząc otwartą furtkę. — Idźmy.... Ja także pójdę z tobą. Mówiąc te słowa, podniósł się. — Rzymianie — niechaj klątwa Pana zacięży nad nimi! rzymianie skłamali... Ten dom jest moją własnością... Wstań, Amro, wejdziemy oboje.

Po chwili już ich nie było.

Matka z córką, pozostawszy w cieniu, wpatrywały się w pustą już bramę, do której wstęp był im nazawsze wzbroniony.

Siedziały wśród pyłu ulicznego, przytulone do siebie.

Spełniły swój obowiązek.

Wyprobowały swą miłość.

Nazajutrz rano znaleziono je i wygnano z miasta kamieniami.

— Precz! Należycie do zmarłych! Idźcie zpomiędzy żyjących!

Z tym wyrokiem, brzmiącym w uszach, rozpoczęły tułacze życie.

.........................

## ROZDZIAŁ XX.

---

Podróżnik po Ziemi Swiętej, chcący zwiedzić słynną miejscowość, pięknie nazwaną ogrodem królewskim, idzie wzdłuż łożyska Cedronu, albo przez Gihon i Hinnom, aż do starej studni En-Rogel, orzeźwia się jej czystą wodą i pozostaje chwilę, gdyż ostatni to ciekawy punkt w tym kierunku. Przygląda się wielkim kamieniom, któremi studnia jest obmurowana; pyta, jak ona głęboka; z uśmiechem patrzy na pierwotny sposób wydobywania wody i może rzuci litościwie datek obdartemu posługaczowi. Potem z zachwytem rozgląda się po górach Moriah i Syon. W dali widzi Haram z kształtną kopułą,

majestatyczne zwaliska Hippicusa, groźne jeszcze, nawet jako ruina.

Gdy się nacieszy tym widokiem i wrazi go sobie w pamięć, zwróci potem oczy ku wspaniałej górze Gniewu z prawej strony i górze Złej Rady — z lewej, — które są wielce ciekawe dla badaczy Pisma Ś-go i starożytności.

Dolina ta od setek lat jest miejscem pogrzebowem izraelitów, zamieszkujących Jerozolimę. Pochyłe ściany skał są pełne grobów — ręką przyrody lub człowieka porobionych jaskiń. — Za czasów Chrystusa przemieszkiwali w nich trędowaci, którzy, wyparci z miasta, tworzyli tam pewnego rodzaju społeczeństwo.

Następnego ranka po zdarzeniach opisanych powyżej, Amra wybrała się do studni En-rogel i siadła nieopodal na kamieniu. Ktoś obeznany z życiem Jerozolimy odgadłby, rzuciwszy na nią okiem, że to musi być stara i ulubiona sługa z jakiegoś zamożnego domu. Przyniosła z sobą dzbanek do wody i koszyk przykryty płótnem śnieżnej białości. Jedno i drugie postawiła obok siebie na ziemi, rozwiązała chustkę na głowie, tak, że opadła na ramiona, splotła ręce na kolanach i z natężeniem wpatrzyła się w dal, tam, gdzie góry skłaniały się ku Polu-Garncarza, zwanemu później Aceldama.

Wcześnie jeszcze było, i ona pierwsza znalazła się u studni. Niebawem jednak pojawił się człowiek jakiś z pękiem postronka na plecach i wiadrem skórzanem. Pozdrowił staruszkę, rozwinął sznur i przy-

wiązał go do wiadra. Kto chciał, mógł sobie zaczerpnąć wody, ale on był tam posługaczem stałym i za jedno *gerah* napełniał tak wielki dzban, że tylko szczególnie silna kobieta mogła go udźwignąć.

Amra siedziała cicho, nie mając nic do powiedzenia. Zobaczywszy dzbanek, człowiek ten ofiarował jej swe usługi. Odpowiedziała grzecznie: Później cię poproszę. — Nie zwracał więc już na nią uwagi.

Gdy się zorza ukazała nad górą Oliwną, ludność zaczęła się schodzić tak tłumnie, że posługaczowi trudno było zaspokoić wszystkie żądania.

Stara egipcjanka siedziała wciąż, nie odwracając wzroku od góry.

Już słońce zeszło, a ona ciągle wpatrywała się czekała.

Wypada objaśnić czytelnika, na kogo, lub na co ona czeka.

Zazwyczaj wykradała się o zmroku, szła niespostrzeżenie na rynek Tyropeon, albo za bramę Rybią we wschodniej części miasta, i zaopatrzona w mięso i jarzyny, zamykała się znowu.

Można sobie wyobrazić, jak ją radowała obecność Ben-Hura w starym domu! Ale o swej dawnej pani i Tirzie nie miała mu nic do powiedzenia,—nic a nic.

Namawiał ją w ciągu gawędy, żeby się wyniosła z tego pustkowia, lecz nawet słuchać nie chciała. Ona znowu pragnęła, żeby „panicz“ zamieszkał swój pokój, który dlań zachowała w dawnym stanie, ale że w razie odkrycia groziłoby wielkie niebezpieczeń-

stwo, Juda zaś nadewszystko lękał się śledztwa, — obiecał tylko odwiedzać staruszkę jaknajczęściej, a przez ostrożność, zawsze nocną porą. Wierna Amra, poddając się konieczności, chciała mu przynajmniej posługiwać podawnemu. Odtąd myślała tylko o tem, czemby mu uprzyjemnić te odwiedziny. Zapomniała, że wyrosł już na mężczyznę, że to, w czem miał niegdyś upodobanie, może mu już dziś nie smakować. Ponieważ lubił dawniej słodycze, umyśliła przygotować zawsze jaki przysmak na jego przybycie. Jak że ją to uszczęśliwiało! Zaraz następnego wieczoru wcześniej niż zwykle wymknęła się z koszykiem, aby pójść na rynek za Rybią bramę. Krążąc po placu dla wyszukania najlepszego miodu, usłyszała przypadkiem ważne wieści. Jeden z tych robotników, co towarzyszyli trybunowi do podziemia baszty Antonia, opowiadał wszystkie szczegóły uwolnienia dwóch niewiast, zagrzebanych żywcem. Amra dowiedziała się nadto, kto były owe męczennice i co wdowa mówiła o swej przeszłości.

Z jakiemże wzruszeniem słuchała wierna sługa tego opowiadania! Porobiwszy zakupy, biegła co tchu do domu, żeby udzielić ukochanemu paniczowi szczęśliwej wieści. Wszakże odnalazła jego matkę!

Rzuciła koszyk z pośpiechem, śmiała się, płakała. Lecz naraz stanęła, jak wryta. Uderzyła ją myśl, że byłoby to niechybną zgubą dla Judy, gdyby się dowiedział, że matka i Tirza uległy trądowi. Pośpieszyłby z pewnością przez tę straszną dzielnicę

na wzgórze Złej Rady, wchodziłby do zarażonych grobów, szukając drogich sobie istot, a wtedy spotkałby go takiż sam los. Załamała ręce... Co tu robić? Natchnęło ją serce.

Wiedziała, że trędowaci schodzą co rano ze swych grobowych mieszkań w łonie góry, do studni En-Rogel, żeby się zaopatrzyć na cały dzień w wodę. Stawiali oni dzbany na ziemi; poczem czekali zdaleka, żeby je ktoś napełnił z litości.

Pani jej i Tirza musiały przyjść wraz z innymi, gdyż nieubłagane prawo nie robiło różnicy pomiędzy bogatym a ubogim, dotkniętym tą straszną chorobą.

Amra postanowiła zatem, nie mówiąc Ben-Hurowi, co doszło jej uszu, pójść do studni i czekać. Wiedziała, że i te nieszczęsne kobiety przyjdą, parte głodem i pragnieniem; a zdawało jej się, że je pozna, lub przynajmniej przez nie będzie poznana.

Niebawem nadszedł Ben-Hur i mieli z sobą długą rozmowę. Nazajutrz oczekiwał on Mallucha i mieli zaraz przystąpić do poszukiwań. Niecierpliwiła go zwłoka, postanowił więc, dla skrócenia sobie czasu, zwiedzić pamiątkowe miejsca w okolicy.

Biednej Amrze bardzo ciężyła tajemnica, ale ją zamknęła w głębi serca.

Jak tylko Juda odszedł, zajęła się przygotowaniem zapasów dla swej ukochanej pani, a gdy gwiazdy zaczęły blednąć, napełniła koszyk, wzięła dzban i wyruszyła ku En-Rogel, za bramę Rybią, wiedząc, że ją wcześnie otwierają.

Wkrótce po wschodzie słońca, kiedy panował największy ruch przy studni i kilkanaście wiader czerpało jednocześnie wodę, gdyż wszystkim było pilno wrócić do domu przed upałem, mieszkańcy góry zaczęli się roić przed wrotami grobów. Nieco później można było ich widzieć podzielonych na gromadki. Kobiety niosły dzbany na barkach, starcy i bezsilni mężczyzni wlekli się o kiju lub na kulach. Niektórzy szli wsparci na towarzyszach; innych, całkiem wyniszczonych, niesiono jak bezkształtne masy na marach; bo nawet i w tem zgromadzeniu największych nędzarzy i wyrzutków społeczeństwa znajdowały się miłosierne dusze, które dawały pomoc jeszcze nieszczęśliwszym od siebie. W oddaleniu nie było widać, do jakiego stopnia byli obdarci.

Siedząc przy studni, Amra przyglądała się tym mieszkańcom grobów. Lękała się prawie poruszyć, żeby ich nie stracić z oczu. Nieraz jej się zdawało, że spostrzega swą biedną panią i jej córkę. Nie wątpiła, że się znajdują na tej górze; wiedziała, że muszą nadejść i to blizko; że się pojawią na pewno, gdy wszyscy zaopatrzą się już w wodę.

U samego prawie podnóża góry był grób, który zwrócił nieraz uwagę Amry szerokim otworem. Duży kamień leżal przy samem wejściu. Słońce wnikało tam nawet w najgorętsze chwile dnia. Zdawało się, że żadna żyjąca istota nie mogłaby zamieszkać w tej jaskini, chyba tylko dziko żyjący pies schroniłby się do niej, powracając z obfitej uczty w Gehennie. Jednakże cierpliwa egipcjanka zobaczyła wychodzące

ztamtąd właśnie dwie niewiasty: jedna z nich podtrzymywała, prawie niosła drugą. Obie były siwe, obie zgrzybiałe, ale nie obdarte. Rozglądały się dokoła; miejscowość ta była im widocznie obcą. Staruszka dostrzegła nawet, że się wzdrygnęły na widok odrażającej drużyny, do której przecież należały.

Nic nie wskazywało poczciwej słudze, że to są jej ukochane panie, a jednak wpatrzyła się w nie z natężeniem i serce jej żywo zabiło.

Stanęły na chwilę przy kamieniu; potem zbliżały się do studni powoli i trwożliwie.

Zaczęto wołać: Precz, precz! One jednak szły dalej. Posługacz zamierzał się kamykami, chcąc je odstraszyć. Złorzeczenia, klątwy rozlegały się wkoło. Nawet trędowaci krzyczeli: Nieczyste, nieczyste!

One wciąż się zbliżały.

Egipcjanka, nie spuszczając ich z oczu, myślała: Pierwszy raz tu przychodzą, bo im są obce zwyczaje trędowatych. To muszą być one.

Podniosła się i szła ku nim, niosąc koszyk i dzban.

U studni zapanowała cisza na chwilę.

— Szalona! daje zmarłym dobry chleb! zawołał ktoś ze śmiechem.

— I z tak daleka go przynosi. Mogła przynajmniej kazać im przyjść do bramy miasta.

Zacna Amra szła dalej. A gdyby się myliła! Serce biło jej coraz gwałtowniej. Im bardziej zbliżała się, tem mniej była pewna, tem więcej zmieszana.

O kilkanaście kroków od miejsca, gdzie stanęły, czekając jej nadejścia, zatrzymała się.

Byłażby to jej ukochana pani, której rękę tyle razy całowała z wdzięcznością, której piękne oblicze przechowywała tak wiernie w pamięci! A ta druga, miałażby to być Tirza, którą pielęgnowała i bawiła w dzieciństwie... owa uśmiechnięta, śliczniutka, śpiewająca Tirza, promyk słońca dla całego domu, jej nadzieja na stare lata... Jej pani, jej pieszczoszka — one? Wierna sługa była blizka omdlenia.

— To są zgrzybiałe kobiety, — pomyślała, — pierwszy raz je widzę.

Zawróciła się, żeby siąść znowu przy studni i czekać.

— Amro, — przemówiła jedna z trędowatych

Egipcjanka wypuściła z ręki dzbanek i obejrzała się, drżąc całem ciałem.

Kto mię woła? Zapytała.

— Amro...

Z zadziwieniem wpatrując się w twarz niewiasty, zapytała:

— Kto wy jesteście?

— Jesteśmy te, których szukasz.

Amra padła na kolana.

— O moja pani, moja pani! Niechaj będzie chwała Bogu twojemu, który się stał moim Bogiem,— za to, że mię tu przywiódł do was!

I wciąż klęcząc, nawpół przytomna, czołgała się do nich.

— Stój, Amro! Nie przybliżaj się! Nieczyste, nieczyste!

Słowa te były rozkazem dla wiernej sługi. Padła na twarz, łkając tak głośno, że ją słyszano przy studni.

Nagle, zerwała się żywo.

— O pani moja, gdzie Tirza?

— To ja jestem, Amro... to ja... Czy nie przyniosłabyś mi trochę wody?

Amra odrazu przyszła do siebie: odgarnęła włosy, co jej spadły na twarz, chwyciła koszyk i odsłoniwszy go, rzekła:

— Patrzcie, przyniosłam wam chleba i mięsa.

Chciała rozesłać obrus na ziemi, ale jej pani odezwała się znowu:

— Nie rób tego, Amro. Tamci gotowiby ciebie ukamienować, a nas nie dopuścić do wody... Zostaw mi tu koszyk, a sama pójdź ze dzbankiem do studni. Weźmiemy to z sobą do jaskini. Prawo nie pozwala ci uczynić nic więcej. Spiesz się, Amro!

Ludzie, w oczach których działo się to wszystko, rozstąpili się przed sługą i nawet pomogli jej napełnić dzban. Jej strapiona twarz budziła we wszystkich współczucie.

— Coto za jedne? spytała jedna z kobiet.

Amra odpowiedziała tylko: Doznałam od nich niegdyś wiele dobrego.

Postawiła dzban na kamieniu i śpieszyła z powrotem, o ile jej siły pozwalały. Przez zapomnienie chciała do nich przystąpić, ale ją powstrzymały słowa:

Nieczyste, nieczyste! Postawiła więc wodę przy koszyku, cofnęła się i stanęła nieopodal.

— Dziękuję ci, Amro, — rzecze jej pani, biorąc kosz i dzban, — poczciwe masz serce.

— Czy nie mogę niczem więcej służyć? Zapytała niewolnica.

Matka rękę wyciągnęła do dzbana, bo ją paliło pragnienie, ale nie poniosła go do ust i powstając z klęczek, rzekła stanowczym głosem: — Owszem, mam do ciebie prożbę: wiem, że Juda powrócił do starego domostwa. Widziałam go wczoraj, gdy spał na progu. Widziałam i to, żeś go obudziła.

Amra załamała ręce.

— O pani moja, widziałaś i nie przybliżyłaś się! Zabiłabym go! Ja już nigdy nie wezmę w objęcia mego drogiego syna, nigdy go nie ucałuję! Ale wszak i ty go kochasz, Amro?

— O tak, kocham go! 'odpowiedziała niewolnica, zalewając się znowu łzami i padając na kolana. Oddałabym życie za niego.

— Dowiedź mi tego...

— Jestem gotowa.

— A więc nie mów mu, żeś nas widziała; tego jednego żądam.

— Ależ on was szuka. Po to przyjechał z dalekich stron, żeby was odnaleźć.

— Nie powinien nas odnaleźć; nie może stać się takim, jakiemi nas widzisz. — Będziesz zaspokajała nasze skromne potrzeby... niedługo... niedługo będziesz chodziła... Codzień rano i wieczór przyjdziesz

tu i.... i.... głos jej drżał, silna wola zaczynała się chwiać, — i.... będziesz nam o nim mówiła... Ale jemu nie wspominaj o nas. Słyszysz?

— Ciężko mi będzie słuchać, jak was z utęsknieniem wspomina, patrzeć na jego poszukiwania, widzieć jego miłość dla was, i nie powiedzieć mu nawet tego, że żyjecie!

— Czy mogłabyś zataić, żeśmy trędowate?

Amra ukryła twarz w rękach.

— To niemożliwe, — ciągnęła jej pani,— a więc musisz milczeć. Wracaj teraz do domu, a wieczorem przyjdź tu znowu. Będziemy czekały. Do widzenia.

— Ciężko mi będzie dochować tej tajemnicy o ciężko, — rzekła Amra, padając na twarz.

— O ileż byłoby ci ciężej, widzieć go takim jakiemi my jesteśmy. — Przyjdź dziś wieczór, — powtórzyła wdowa Hura.

Podawszy córce koszyk, sama wzięła dzban i podążyły do swego grobowca.

Amra śledziła je wzrokiem na klęczkach, dopóki nie znikły w jaskini; poczem zwróciła się ku domowi, srodze strapiona.

Wieczorem znowu przyszła i odtąd zaopatrywała ich potrzeby dwa razy dziennie, więc się już o nic nie kłopotały. Chociaż ich grobowiec był także skalisty i nagi, był mniej smutny, aniżeli cela w baszcie. Światło dzienne ozłacało otwór i otaczał go piękny Boży świat, a patrząc na słońce i gwiazdy, z większą wiarą oczekuje się śmierci.

## ROZDZIAŁ XIX.

Rano pierwszego dnia 7-go miesiąca, zwanego u hebrajczyków Tishri, a u nas październikiem, Ben-Hur podniósł się z posłania swego w Khanie, zrażony do całego świata.

Mało czasu stracili na narady po przybyciu Mallucha, który przystąpił zaraz do poszukiwań. Zaczął je od baszty Antonia, śmiało udając się wprost do dowodzącego trybuna. Opowiedział mu przeszłość Hurów i wszystkie szczegóły wypadku Gratusa, wykazując niewinność tej rodziny. Dodał, że jeśli wykryje, że ci nieszczęśliwi żyją, poda prożbę do Cezara o przywrócenie im mienia i praw obywatelskich; że wskutek tej prożby z pewnością zostanie zarządzone śledztwo dla wyświecenia sprawy, ale przyjaciele Hurów nie lękają się go, choćby miało być najsurowsze.

Gdy młodzieniec usłyszał te straszne wieści, boleść jego była zbyt głęboka, żeby ją objawiał łzami, lub namiętnym wykrzykiem. Siedział długo, jak skamieniały, z bladą twarzą i bijącem sercem. Od czasu do czasu zdradzał tylko jakie myśli najgwałtowniej nim miotają, — mówiąc półgłosem:

— Trędowate, trędowate! One.... moja matka i Tirza. One trędowate!

Zrazu opanowała go szalona rozpacz, potem wściekła żądza zemsty.

Nakoniec zerwał się.

— Muszę je szukać...! Może są umierające.

— Gdzież myślisz szukać? zapytał Malluch.

— Jedno jest tylko miejsce, do którego wolno im się schronić.

Malluch odwodził młodzieńca od zamiaru, lękając się o jego życie; ale to tylko wymógł, że sam pokieruje jego krokami. Udali się razem do bramy, znajdującej się naprzeciw góry Złej Rady; tam bowiem, od niepamiętnych czasów schodzili się trędowaci, żeby żebrać. Przesiedzieli cały dzień, rozdając jałmużnę, wypytując o dwie niewiasty, za odnalezienie których obiecywali sutą nagrodę. Dzień po dniu chodzili tam do końca 5-go miesiąca i przez cały 6-ty miesiąc. Wchodzili nieraz do stojącego otworem grobu niepodal studni i rozpytywali zawsze o to samo, ale jego mieszkanki nie zdradziły tajemnicy. Poszukiwania pozostawały bez skutku. Dopiero pierwszego dnia 7-go miesiąca rano, dowiedzieli się, że przed niedawnym czasem, dwie trędowate, z rozkazu władzy, zostały wygnane kamieniami za bramę Rybią. Zestawiwszy daty, powzięli smutne przekonanie, że męczennicami temi były matka i siostra Judy: sprawa zaciemniała się coraz bardziej. Gdzież one są? Co się z niemi stało?

— Mało tego było, że przyprawiono je o trąd,— powtarzał Juda raz po raz z goryczą, — mało tego było. O tak! jeszcze je wypędzono kamieniami z rodzinnego miasta! Moja matka nie żyje! Musiała się schronić w jakiej pustyni i umarła! Umarła! Tir-

zy także niema już na świecie! Ja jeden pozostałem przy życiu! I po co? Jak długo, o Panie, Boże ojców moich, pozwolisz istnieć temu Rzymowi?

Gniewny, zrozpaczony, pałający żądzą zemsty, wyszedł na podworzec gospody, gdzie zastał tłumy ludzi, przybyłych podczas nocy. Spożywając śniadanie, przysłuchiwał się ich rozmowom. W szczególności zwróciła jego uwagę jedna gromadka: byli to po większej części ludzie młodzi, rośli, rzutcy, śmiali. Z mowy ich i całego wzięcia widać było, że przybywają z dalekich stron. Niebawem dorozumiał się, że to są galilejczycy, przybyli do miasta w rozmaitych celach, ale głównie po to, żeby wziąć udział w przypadającym na ten dzień obchodzie Trąb. Odrazu zajęli go żywo, gdyż pochodzili z tych właśnie okolic, gdzie się spodziewał największego poparcia dla dzieła, które miał rozpocząć.

— Gdy się im przyglądał i rozważał, jak wielkie usługi mogłyby oddać zastępy takich zuchów, wyćwiczonych według surowej rzymskiej modły,—jakiś człowiek wpadł na dziedziniec z rozognioną twarzą.

— Co wy tu robicie? Zawołał do galilejczyków. Rabini i starszyzna idą ze Świątyni do Piłata. Chodźcie prędko, pójdziemy z nimi.

Otoczyli go w jednej chwili.

— Do Piłata? Po co!

Odkryli spisek. Nowy wodociąg Piłata ma być zapłacony z pieniędzy świątyni.

— Jakto! targnąłby się na święty skarb?

Jeden drugiemu zadawał to pytanie, sypiąc iskry z oczu.

— To *Korban*, to grosz Boski! Niechno się odważy wziąć choćby jeden szekel...!

— Chodźcie! wołał przybysz,—orszak idzie teraz przez most. Całe miasto bieży wślad za nim. Możemy tam być potrzebni. Spieszcie się!

— Zrzuciwszy z siebie zwierzchnią odzież, stanęli wszyscy z gołą głową, w spodniej tunice z krótkiemi rękawami, jak kiedy żęli zboże, wiosłowali na jeziorach, wspinali się po górach ze swą trzodą i zbierali dojrzałe wino, nie zważając na pociski słońca. Zacisnęli pasy i rzekli:

— Jesteśmy gotowi.

Wtedy Ben-Hur przemówił do nich:

— Ludzie z Galilei, jam syn Judy; przyjmiecie mię do swego grona?

— Może nam się przyjdzie bić, — odpowiedzieli.

— Cóż z tego? Nie byłbym pierwszy do ucieczki

Podobała im się ta odpowiedź.

— Zdajesz się silny... chodź z nami, — rzekł jeden z nich.

Ben-Hur zdjął także zwierzchnie ubranie.

— Więc przewidujecie bójkę? spytał spokojnie, zacieśniając pas.

— Tak.

— Z kim?

— Ze strażą.

— Z legjonistami?

— Komużby rzymianin powierzył straż?

— Macie broń?

— Spojrzeli na niego w milczeniu.

— Ha! musimy sobie jakoś radzić, — rzekł, — ale czyby nie wybrać przywódcy? Legjoniści zawsze go mają i dlatego walczą, jak jeden mąż.

— Galilejczycy spoglądali z coraz większem zaciekawieniem; widocznie było to dla nich czemś nowem.

— Trzymajmy się przynajmniej razem, — rzekł znowu Juda,—Jeśliście gotowi, to—w drogę.

Należy pamiętać, że Khan znajdował się w nowem mieście Bezetha, i że chcąc pójść do pretorjum, jak rzymianie szumnie nazywali pałac Heroda na górze Syon, młodzi galilejczycy musieli przebyć niziny na północnej i zachodniej stronie świątyni. Krętemi uliczkami pospieszyli przez dzielnicę Akra, do wieży Mariamne, zkąd było już bardzo blizko do bramy. Po drodze przyłączały się do nich gromady ludzi, zarówno jak oni rozjątrzonych wieścią o zamachu na skarb świątyni. Gdy nakoniec dotarli do wrót pretorjum, starszyzna i rabini weszli już z licznym orszakiem do wnętrza murów, a wrzeszcząca tłuszcza została za bramą,

U wejścia stał centurjon ze strażą w pełnej zbroi, pod pięknemi marmurowemi blankami. Słońce rzucało palące promienie na hełmy i tarcze żołnierzy, ale oni stali obojętni na ich żar, zarówno jak i na krzyki zgrai. Przez otwarte wrota bronzowe tłoczyło się mnóstwo ludzi do wnętrza gmachu, zkąd wychodziło znacznie mniej.

— Co się tam dzieje? Zapytał jeden z galilejczyków.

— Nic, — odpowiedziano.—Rabini stoją przed bramą pałacu i domagają się, żeby Piłat wyszedł do nich. On się wzbrania; więc wyprawili doń jednego z pomiędzy siebie z zapowiedzią, że nie ustąpią, dopóki ich nie wysłucha. Wciąż czekają.

Wejdźmy tam, — rzekł Ben-Hur ze zwykłym spokojem: Widział on to, czego towarzysze jego pewno nie zmiarkowali; mianowicie, że nietyle idzie o zatarg pomiędzy wielkorządcą a petentami, jak o to, czyja wola weźmie górę.

Weszli na dziedziniec.

Wzdłuż muru ciągnął się szereg drzew; siedli więc pod ich konarami. Ludzie, przechodzący tamtędy, pilnie unikali cienia, padającego na biały, czysto zamieciony bruk, bo chociaż się to może wydawać dziwnem, przepisy rabinów, oparte zapewnie na prawie mojżeszowem, wzbraniały roślinności w mieście Jerozolimie.

Nawet król Salomon, gdy chciał założyć ogród dla swej egipskiej oblubienicy, był zmuszony urządzić go przy protestanckiej świątyni dysydentów w dolinie, nieopodal En-rogel.

Taki tam był ścisk, że galilejczycy nie mogliby się dostać dalej, gdyby to nawet było ich zamiarem; stanęli więc na boku, żeby się przyglądać ruchowi. Dokoła portyku mogli widzieć tylko wysokie turbany rabinów, których zniecierpliwienie udzielało się nie-

kiedy tłumem. Wołano: Piłacie, jeśli chcesz być naszym wielkorządcą, to wyjdź, pokaż się!

Naraz człowiek jakiś wyszedł z ciżby ze wzburzoną twarzą i rzekł donośnym głosem: Na tej świętej ziemi jesteśmy uważani gorzej psów rzymskich.

— Czy myślisz, że nie wyjdzie!?

— Naturalnie: odmówił 3 razy?

— Cóż zrobią rabini?

— To samo, co w Cezarei; będą tu stali, dopóki ich nie wysłucha.

— On się chyba nie odważy naruszyć skarbu świątyni, prawda? zapytał jeden z galilejczyków.

— Kto to wie? Albo rzymianin nie znieważył przybytków Świętego Świętych? Czy dla rzymian jest co świętego?

Godzina upłynęła, a choć Piłat nie raczył się pokazać, rabini i pospólstwo wciąż stali. W południe spadł deszcz od zachodniej strony, ale tłum był jeszcze większy i bardziej rozjątrzony. Bez ustanku prawie rozlegały się krzyki: Wydź! wyjdź! Pozwalano sobie nawet lżyć Piłata,

Ben-Hur czuwał tymczasem nad tem, żeby się jego gromadka nie rozproszyła. Pewien był, że duma rzymianina ustąpi przed głosem rozsądku i że koniec musi być blizki.

Rzeczywiście, Piłat czekał tylko ze strony samych żydów pozoru do wystąpienia zbrojnego.

Nareszcie nastąpił koniec. Rozległy się razy, a potem krzyki bóle i wściekłości. Lud zakipiał. Rabini pobledli i z przerażeniem patrzyli dokoła.

Z tyłu wydobywano się gwałtownie naprzód, ze środka pchano się na zewnątrz. Tysiące głosów jednocześnie pytało: Co się dzieje? a gdy nikt nie miał czasu odpowiadać, zaciekawienie przemieniło się w panikę.

— Ben-Hur nie stracił przytomności ani na chwilę.

— Ty pewno nic nie widzisz? —rzekł do jednego z galilejczyków.

— Zgoła nic.

— To ja cię podniosę.

Schwycił go wpół i podniósł śmiało.

— Cóż się dzieje?

— Garstka ludzi, uzbrojonych w maczugi, bije niemi, jak cepami. Padł teraz rabin, stary człowiek. Nie oszczędzają nikogo...

Ben-Hur postawił galilejczyka na ziemi.

To jest sztuczka Piłata, — rzekł: Jeśli zechcecie mię usłuchać, to sobie poradzimy z tą zgrają.

Słowa te dodały im otuchy.

— Mów! Rozkazuj! Wołali.

— Cofnijmy się do drzew, które Herod zasadził przy bramie, chociaż nie miał do tego prawa.... Mogą nam się przydać teraz. Chodźcie!

Wszyscy wdrapali się czemprędzej na drzewa i poobrywali gałęzie, żeby ich użyć jako broni. Wracając na dawne miejsce, spotkali na rogu placu tłum, cisnący się zprzestrachem do bramy. Zewsząd rozlegały się krzyki, jęki, klątwy.

— Do muru! Zawołał Ben-Hur. — Do muru! Przepuścić tę lękliwą trzodę!

Mając mur po prawej ręce, uniknęli natłoku i zwolna posuwali się naprzód.

Nareszcie dotarli do placu.

— Trzymajcie się razem i chodźcie za mną!

Poddali się chętnie dowództwu Ben-Hura i wszyscy, jak jeden, podążyli za nim. Gdy rzymianie, rąbiąc maczugami i drwiąc z tych, co padali, zetknęli się z kompanją, rwących się do boju galilejczyków, przyszła na nich kolej zadziwić się, że są uzbrojeni a tem samem groźni. Z obu stron rozlegały się wściekłe krzyki i szybko padały zabójcze ciosy; nienawiść rasowa wzmagała zaciętość zapaśników. Nikt się tak dobrze nie wywiązywał z zadania, jak Ben-Hur: doświadczenie, nabyte na galerze, przydało mu się teraz. Umiał nietylko uderzać i zasłaniać się: dzięki długiemu ramieniu, niezwykłej sile, zwycięzko wychodził z każdej potyczki. Był zarazem szermierzem i dowódcą. Maczuga, którą rąbał, była długa i ciężka, jednem uderzeniem zabijał więc człowieka. Ale zdawał się mieć oko na każde starcie swych towarzyszów i potrafił zawsze znaleźć się tam, gdzie jego obecność była najpotrzebniejsza. Jego bojowy okrzyk był zachętą dla swoich, a postrachem dla wrogów. Zaskoczeni rzymianie, poznawszy siłę przeciwnika, cofali się zwolna, a potem zaczęli uciekać poprostu ku portykowi. Zapalczywi galilejczycy chcieli puścić się w pogoń, ale Ben-Hur powstrzymał ich zapędy.

— Nie ważcie się! zawołał, — oto centurjon

nadchodzi ze strażą. Mają miecze i tarcze, niepodobna mierzyć się z nimi. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy; a teraz wydostańmy się za bramę, dopóki przejście jest wolne.

Usłuchali go, lecz szli zwolna, gdyż często potykali się o rodaków swych, powalonych na ziemię, z których jedni wili się z bólu i jęczeli, drudzy błagali o pomoc; jeszcze inni milczeli, jak nie żywi.

Ale nie byli to sami żydzi: to jedno pocieszało naszych galilejczyków.

Gdy centurjon rzucił za odchodzącymi obelżywe słowa, Ben-Hur odpowiedział mu w jego języku: Jeśli myśmy psy izraelskie, to wyście za to szakale rzymskie. Zaczekajcie tu, my powrócimy.

Galilejczycy odeszli wśród wybuchów śmiechu.

Za bramą był taki tłum, jakiego Ben-Hur jeszcze nigdy nie widział, nawet w cyrku antjochijskim. Dachy, ulice, stoki góry były jak nabite ludźmi, którzy jęczeli lub modlili się. Ich krzyki i klątwy napełniały powietrze.

Galilejczycy przeszli bez przeszkody kolo pierwszej straży; ale za portykiem centurjon stanął przed nimi.

— Zuchwalcze! rzekł do Ben-Hura, — czyś ty rzymianin, czy żyd?

— Jestem synem Judy, urodzonym w tym kraju. Czego chcesz odemnie? powiedział Juda.

— Musimy się zmierzyć.

— We 2-ch tylko?

— Jak chcesz.

Ben-Hur roześmiał się szyderczo.

— Odważny rzymianinie! Godny synu Jowisza rzymskiego! ja nie mam broni.

— Dam ci moją, a dla siebie wezmę ją od straży.

Ludzie, którzy słyszeli tę rozmowę, umilkli; ci, co dalej stali, także milczeli, miarkując, że się zanosi na coś ważnego.

Niedawno Ben-Hur pokonał rzymianina w oczach Antjochji i dalekiego wschodu; jeśli teraz zwalczy drugiego w oczach Jerozolimy, to okryty chwałą, będzie mógł dzielniej służyć sprawie Nowego Króla.

Nie wahał się. Przystąpił do centurjona i rzekł:

— Staję do walki,—ale daj mi swój miecz i tarczę:

— A hełm i pancerz? Zapytał rzymianin.

— Zatrzymaj je... za małe dla mnie.

Chwycili za broń.

Cały ten czas żołnierze stali nieruchomo przy bramie, przysłuchując się tylko.

Gdy młodzieńcy uszykowali się do boju, wśród tłumu z ust do ust przechodziło pytanie: Co to za jeden? Ale nikt go nie znał.

Wyższość rzymianina na polu bitwy wynikała z karności wojskowej, podziału na legjony i umiejętnego trzymania krótkiego miecza. Nie ciął nim, nie uderzał przeciwnika, lecz zaczynał od pchnięcia i kończył pchnięciem, zazwyczaj godząc w twarz.

Ben-Hur, świadomy tego, przed rozpoczęciem walki, rzekł:

— Mówiłem ci, że jestem synem Judy, ale wi-

nienem cię ostrzedz jeszcze, żem uczniem *lanisty*. Broń się!

Przez chwilę zapaśnicy zatapiali w sobie nawzajem wzrok z poza tarcz damasceńskich; poczem rzymianin natarł i pchnął z dołu. Żyd roześmiał się. Zanim nastąpiło drugie pchnięcie, żyd skoczył na lewo i pod wzniesione ramię przeciwnika wsunął swą tarczę, tak, że gdy ten zamierzył się w twarz, miecz ugrzązł w powierzchni tarczy. Żyd znowu skoczył tym razem naprzód, i ciął w odsłonięty prawy bok rzymianina.

Centurjon padł z łoskotem na bruk, ciężko uderzając piersią, a Ben-Hur odniósł nowe zwycięztwo. Stojąc jedną nogą na karku pokonanego wroga, według zwyczaju gladjatorów, wzniósł tarczę do góry i salutował żołnierzy, uszeregowanych przy bramie.

Lud, dowiedziawszy się, kto jest zwycięzcą, wpadł w szaloną radość. Na dachach powiewano chustkami wśród okrzyków, które aż po Xystus roznosiły chwałę młodego bohatera. Gdyby był pozwolił na to, galilejczycy nosiliby go na ramionach. Po chwili zbliżył się jeden ze straży, stojącej przy bramie, rzekł więc doń:

— Towarzysz twój zginął śmiercią wojownika: nie zabieram mu nic, prócz miecza i tarczy, które mi się z prawa należą.

Złączył się potem z galilejczykami, do których przemówił w te słowa:

— Bracia, tęgie z was zuchy! Teraz musimy się rozdzielić, bo nas może śledzić będą, ale przyjdźcie wieczorem do Khanu w Betanji.. chciałbym z wami

rozmówić się w sprawie bardzo ważnej dla dzieci Izraela.

— Kto ty jesteś? Zapytali; a Ben-Hur odpowiedział tylko:

— Jestem synem Judy.

Tłum ciekawych otoczył nieznajomego, on zaś zwrócił się do galilejczyków i zapytał:

— Czy przyjdziecie do Betanji?

— Przyjdziemy, przyjdziemy!

— A więc przynieście z sobą tę tarczę i miecz, żebym was poznał po nich.

Po tych słowach znikł szybko wśród wzmagającego się wciąż zbiorowiska ludzi.

Z rozkazu Piłata ludność Jerozolimy uprzątnęła trupy i rannych. Pomiędzy żydami zapanował ciężki smutek, lecz łagodziło go zwycięztwo nieznanego szermierza, którego wszędzie szukano, którego chwałę wszystkie usta głosiły. Podniósł on tak dalece upadającego już ducha narodu, że na ulicach, a nawet i w świątyni, podczas obchodu Trąb, jeden drugiemu przypominał bohaterskie czyny Machabejczyków. Tysiące ludzi, potrząsając głowami, szeptało: Bracia, niedługo już czekać będziemy; Izrael odzyska to, co utracił. Ufajmy tylko i bądźmy cierpliwi.

W taki to sposób Ben-Hur zdobył wpływ nad Galileą i utorował sobie drogę do skuteczniejszego działania w sprawie Króla, Który Miał Nadejść.

## ROZDZIAŁ XXI.

Nazajutrz po umówionej schadzce w Khanie, z samego rana puścił się Ben-Hur z towarzyszami w drogę do Galilei, gdzie się rozeszła już była sława zwycięztwa jego na starym Rynku w Jerozolimie i wpływu, jaki wywarł na naród. Zanim zima minęła, uorganizował on 3 legjony na wzór rzymskich. Mógłby ich wystawić znacznie więcej, bo w ludzie tym rozbudził się upadający już duch wojowniczy; wypadało mu jednak być ostrożnym tak ze względu na rzymian, jak i na Heroda. Tymczasowo poprzestał na tych 3-ch legjonach i przyuczał je działać systematycznie. W tym celu wyprowadził dowódców na pola lawowe w Trachonitis i ćwiczył ich w używaniu broni, w szczególności włóczni i miecza; a następnie wyprawił ich w rodzinne strony, żeby uczyli innych sztuki wojennej.

Niebawem ćwiczenia te stały się ulubioną rozrywką bitnych galilejczyków.

Rozumie się, że to zadanie wymagało cierpliwości, zręczności, zapału i poświęcenia—przymiotów, które Ben-Hur posiadał w wysokim stopniu. Jakże on pracował, i z jakiem zaparciem się siebie! Jednakże, pomimo pomocy Simonidesa, który dostarczał mu broni oraz pieniędzy, i Ilderima, który czuwał nad jego bezpieczeństwem i zaopatrywał go w żywność, nie byłby osiągnął celu, gdyby nie wielka pojętność galilejczyków.

Pod tą nazwą rozumiano 4 pokolenia: Aszera, Zabulona, Issachara i Naftalego. Żyd urodzony w pobliżu Świątyni, pogardzał braćmi swymi z północy, ale sam Talmud powiada: Galilejczyk kocha sławę, a żyd pieniądz.

Nienawidząc tak gorąco Rzym, jak miłowali swą ojczyznę, w każdem powstaniu byli pierwsi na polu bitwy i ostatni z niego z chodzili. Sto pięćdziesiąt tysięcy młodzieńców galilejskich zginęło w ostatniej wojnie z Rzymem. Na dnie świąt uroczystych szli do Jerozolimy zwartym szeregiem, niby wojsko, rozkładając się po drodze obozem; obok tego byli jednak liberalni i tolerancyjni w uczuciach. Pysznili się pięknemi grodami Heroda, które były zgoła rzymskie, zwłaszcza też Seforis i Tyberjadą, i chętnie wznosili w nich gmachy. Do uświetnienia imienia hebrajczyków przyczyniali się tacy poeci, jak twórca Pieśni nad Pieśniami, tacy prorocy, jak Hozeasz.

Na lud tak wrażliwy, dumny, dzielny, skłonny, do poświęceń, obdarzony żywą wyobraźnią, taka wieść, jak o mającym nadejść królu, musiała wywrzeć bardzo silny wpływ. Już to samo, że przyjdzie, żeby zdruzgotać Rzym, pociągnęłoby ich do planu Ben-Hura, ale gdy ich jeszcze zapewnił, że król ten będzie panował nad całym światem i państwo Jego będzie potężniejsze aniżeli Cezara i wspanialsze niż Salomona, a trwać będzie wieki, nadzieja ta porwała ich i oddali Mu się duszą i ciałem. Gdy zapytali Ben-Hura, z jakich źródeł czerpie te wieści, powołał się na świadectwo proroków i opowiedział im o Baltazarze, który czeka jego nadej-

ścia w Antjochji. Słuchali go z radością, była bowiem legenda o Mesjaszu, którego imię było im prawie tak dobrze znane, jak Pana nad Pany, — z tą różnicą, że to drogie ich sercom marzenie miało się wkrótce urzeczywistnić. Król nietylko miał nadejść, ale chwili tej mogli się spodziewać niezadługo.

Miesiące zimowe zeszły na przygotowaniach. Szły one tak raźno, że na wiosnę Ben-Hur powiedział sobie: „Dobry król może już nadejść. Niechaj nam tylko powie, gdzie chce mieć swój tron, mamy dosyć mieczów, żeby go na tronie tym utrzymać.

A cały ten czas galilejczycy znali go tylko jako syna Judy.

. . . . . . . . . .

Pewnego wieczoru, na lawowych polach w Trachonitis, siedział Ben-Hur z kilku towarzyszami u wnijścia jaskini, w której urządził sobie siedzibę, — kiedy konny goniec, arab, stanąwszy przed nimi oddał list. Młodzieniec nasz złamał pieczęć i przeczytał, co następuje:

Jerozolima, IV Nisana.

Pojawił się tu prorok, którego ludzie nazywają Eljaszem. Przeżył on długie lata na pustyni i jest w naszych oczach prorokiem. Mowa jego jest także prorocza, zwiastuje bowiem większego od siebie i czeka jego nadejścia na wschodnim brzegu Jordanu. Widziałem go i słyszałem: ten, którego zapowiada, jest z pewnością onym królem, którego i ty się spodziewasz. — Przybądź i osądź sam.

Cała Jerozolima dąży do tego proroka, i wybrzeże, na którem zamieszkał, tak się roi od ludzi, jak góra Oliwna w święta Paschy.

Ben-Hurowi rozpromieniła się twarz.

— Wieść ta kładzie kres naszemu oczekiwaniu,— rzekł, — goniec nowego króla nadejście jego zwiastuje.

Przeczytał swym towarzyszom otrzymany list, którego treść napełniła ich także radością.

— Puśćcie się jutro o świcie z powrotem w rodzinne strony i powiedzcie tym, co z nami trzymają, żeby byli na pogotowiu i czekali moich poleceń. Pójdę się teraz przekonać, czy rzeczywiście król jest blizko, i prześlę wam wiadomość.

Zeszedłszy do jaskini, która mu służyła za mieszkanie, napisał jeden list do Ilderima, drugi do Simonidesa, oznajmując im radosną nowinę i zamiar udania się do Jerozolimy. — Następnie wyprawił te pisma przez żwawych gońców.

Gdy noc zapadła i gwiazdy ukazały się na niebie, pomknął konno z przewodnikiem, arabem, ku Jordanowi, chcąc się przyłączyć do jakiej karawany pomiędzy Rabbath — Ammon i Damaszkiem.

Przewodnik był pewny, Alderaban hyży, o północy zatem jeździec i rumak, przebywszy pola lawowe, pospieszyli na południe.

## ROZDZIAŁ XXII.

Ben-Hur umyślił skręcić w bok, o wschodzie słońca, i wyszukać bezpieczne miejsce, w któremby mógł spocząć. Ale brzask zaskoczył go na pustyni, pozostał więc, zwłaszcza, że przewodnik obiecywał doprowadzić go wkrótce do doliny, otoczonej wysokiemi skałami, w której znajdą źródło, kępę drzew morwowych i obfitość trawy dla koni.

Gdy jechał zadumany o niezwykłych wypadkach, które niezadługo miały wywrzeć tak ważny wpływ na losy jednostek i narodów, czujny przewodnik zwrócił jego uwagę na to, że się jacyś ludzie pojawili za nimi. Dokoła widać było fale piasku, żółknącego zwolna, w miarę, jak się światło wzmagało; zieloności nie było ani śladu; na lewo, ale w znacznem oddaleniu, ciągnęło się długie, długie—rzekłbyś bez końca, pasmo nizkich gór. W tak rozległem pustkowiu żaden ruch nie mógł ujść ich oka.

— Patrz, jeźdźcy na wielbłądzie,—odrazu rzekł przewodnik.

— Czy jest ich więcej? zapytał Ben-Hur.

— Jeden tylko. Nie... jedzie ktoś na koniu — zapewne poganiacz.

— Cokolwiek później i Ben-Hur mógł zobaczyć białego, niezwykłej wielkości wielbłąda, takiego właśnie, na jakim Baltazar i Iras przybyli do studni

w Gaju Dafne. Drugi taki wielbłąd nie może istnieć,—powiedział sobie, i popadłszy w zadumę o pięknej egipcjance, mimowoli coraz bardziej zwalniał kroku. Po niejakiej chwili mógł jednak już dojrzeć zasłoniętą firankami „hudah“, w której siedziały dwie osoby.

— A gdyby to był Baltazar z uroczą Iras..? Czy ich przywitać? Nie, to niepodobna... oniby nie jechali sami jedni przez pustynię.

Podczas tych jego rozmyślań, wielbłąd nadchodził szybko.

Ben-Hur słyszał już dźwięk dzwonków i mógł widzieć świetny rzęd, który tak zachwycał zbiorowisko ludzi u źródła kastalskiego. Ogromne zwierzę stanęło tuż przy koniu młodzieńca, który spojrzawszy w górę, z niewysłowioną radością, spostrzegł samą Iras. Z pod uchylonej zasłony spoglądała nań dużem łzawem okiem, w którem się przebijało zadziwienie.

— Oby błogosławieństwo prawdziwego Boga spoczęło na tobie! rzekł Baltazar swym drżącym głosem.

— Niechaj pokój Pana towarzyszy tobie i twoim, — odpowiedział syn Judy.

— Oczy osłabły mi z wiekiem, — rzekł Baltazar, — jednakże poznają w tobie syna Judy, którego widziałem jako gościa w namiocie czcigodnego szeika.

— A tyś Baltazar, mędrzec egipski, którego opowiadania o pewnych rzeczach świętych, mających na-

stąpić niezadługo, są w tak ścisłym związku z moją obecnością na pustyni. Cóż ty tu robisz?

— Nigdy nie jest sam, kto się tam znajduje, gdzie jest Bóg — a Bóg jest wszędzie, — poważnie odrzekł Baltazar, — Ale na pytanie twoje odpowiem że prawie tuż za nami karawana dąży do Aleksandrji; ponieważ ma przechodzić przez Jerozolimę, przyłączyłem się do niej, bo i ja także zmierzam do świętego miasta. Ale dziś rano, gdy jej wolny pochód stał się jeszcze powolniejszym przez dodanie jej kohorty rzymskiej, — wyprzedziliśmy ją trochę. Rozbójników nie lękamy się, bo mam tu sygnet szeika Iderima; a od drapieżnych zwierząt Bóg jest dostateczną obroną.

Ben-Hur skłonił głowę i rzekł:

— Sygnet czcigodnego szeika osłoni cię od złych ludzi, a co do zwierząt, któryżby lew rzucił się na tego oto króla tutejszych obszarów...?

Mówiąc te słowa, pogłaskał szyję wielbłąda.

— Jednakże, — powiedziała Iras z czarującym uśmiechem, — jednakże i on szedłby prędzej, gdyby się posilił. Królowie także znają głód i ból głowy. Jeśliś rzeczywiście tym Ben-Hurem, o którym opowiadał mi ojciec i którego ja także miałam przyjemność poznać, to chętnie wskażesz nam najkrótszą drogę do źródła, przy którem moglibyśmy się posilić na pustyni.

— Żal mi cię, piękna egipcjanko... pospieszył odpowiedzieć Ben-Hur, — ale wnet znajdę źródło i za-

ręczam ci, że wody jego będą tak słodkie i ożywcze, jak w słynnej Kastalji. Przyspieszmy tylko kroku.

— Oby ci towarzyszyło za tę uczynność błogosławieństwo spragnionych. W zamian poczęstuję cię kawałkiem chleba z świeżem masłem z wilgotnych łąk Damaszku.

— Umiem cenić twą łaskę, — odpowiedział Ben-Hur i puścił się naprzód z przewodnikiem.

Jest to jedną z niedogodnosci jazdy na wielbłądzie, że nie pozwala na grzeczną rozmowę.

Niebawem gromadka nasza, skręciwszy na prawo, wjechała w płytki strumień z łożyskiem nieco zmiękłem wskutek deszczów i dosyć spadzistem. Chwilami strumień ten rozszerzał się i płynął pośród wysokich stromych skał, poprzerzynanych wodami, co się zlewały do głębin. Ciasny wąwóz doprowadził wędrowców do uroczej i rozległej doliny, która po żółtej i ogołoconej z zieloności płaszczyźnie, wydała im się świeżo odkrytym rajem. Pomiędzy kępami trawy, otoczonej trzciną, połyskiwały kręte kanały wodne. Jaskrawe kwiaty oleandrów, wyrosłych z ziarn, które wiatr przeniósł z dalekiej doliny Jordanu, świeciły na nizinie niby gwiazdy na niebie. Samotna palma stała majestatycznie jak królowa. Stoki skał pokrywała latorośl, a pod urwiskiem, na lewo, gaj morwowy wskazywał na poblizkie źródło. Dokoła kuropatwy ćwierkały i drobniejsze, jasno upierzone ptactwo, wylatywało z kryjówek, trzepocąc głośno skrzydełkami. Tam to zaprowadził ich przewodnik.

Woda tryskała z otworu w skale, widocznie ręką ludzką rozszerzonego; a nad tym odpływem wyryty był hebrajskiemi literami wyraz: Bóg. Pielgrzym który gasił tam pragnienie i zapewne bawił kilka dni, wdzięczność swą wyraził w tej trwałej formie.

Z wykutej niszy woda wesoło spływała na płytę kamienną, gdzieniegdzie jasnym mchem porośniętą; potem kryształowo przejrzystym strumieniem wiła się pośród trawy, zasilając drzewa i nareszcie wsiąkała w piasek. Tylko przy strumieniu były wydeptane ścieżki, a nietknięta dokoła murawa wskazywała, że się tam ludzie nie pojawiają. Konie puszczono wolno, wielbłąd przykląkł, a z grzbietu jego Baltazar i Iras zsiedli przy pomocy etjopczyka. Następnie starzec, zwróciwszy się twarzą ku wschodowi, skrzyżował ręce na piersiach i począł się modlić.

— Podaj mi kubek, — rozkazała Iras z pewną niecierpliwością w głosie.

Niewolnik przyniósł z „hudy" naczynie kryształowe.

— Będę twoją służebnicą przy tem źródle, — rzekła wtedy do Ben-Hura.

Podeszli oboje razem do zdroju. Młodzieniec chciał zaczerpnąć dla niej wody, ale nie przystała na to: na klęczkach sama napełniała i zlewała czarę, i dopiero dobrawszy się do zimnej wody, podała ją z wdziękiem Judzie.

Odsunął wyciągniętą rączkę i patrząc w duże czarne oczy, nawpół przysłonięte rzęsami, rzekł:

— Pozwól, żebym ja ci raczej służył.

Ale Iras nie chciała ustąpić.

— W moim kraju, o synu Hura, — rzekła, — mamy przysłowie: Lepiej być podczaszym wybrańca losów, aniżeli dostojnikiem u boku króla.

— Wybrańca losów! powtórzył ze zdziwieniem.

— Bogowie dają nam powodzenie na znak, że się znajdują blizko nas, — dorzuciła żywo. Albożе nie odniósł zwycięztwa w cyrku?

Twarz Judy zaczynała pokrywać się rumieńcem.

— To był jeden znak. Ale jest jeszcze drugi. W walce na miecze pokonałeś rzymianina.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej, nietyle na wspomnienie odniesionych tryumfów, ile z radości, że jego losy tak dalece obchodzą tę czarującą istotę Po chwili jednak radość tę zatruła niepokojąca myśl, wiedział, że walka jego rozgłosiła się na całym wschodzie, ale o imieniu zwycięzcy wiedzieli tylko: Malluch, Simonides i Ilderim. Czyżby się który z nich zwierzył młodej egipcjance? Chociaż wdzięczny był za usłyszane słowa, opanowała go obawa. Spostrzegłszy to, podniosła się Iras, i wznosząc czarę, rzekła:

— O wy, bogowie Egiptu! Dzięki wam za to, żem odkryła bohatera! Dzięki wam, że w pałacu Ildernee nie mój król ludzi padł ofiarą. Święci bogowie, napełniam czarę i wychylam ją na waszą cześć!

Upiła trochę wody, a resztę wylała do strumienia. Odjąwszy czarę od ust, roześmiała się do niego-

O synu Ben-Hura, godziż się, żeby dzielny mąż dał się tak łatwo pokonać niewieście? Weź ten kubek i poszukaj w nim miłego słówka dla mnie.

Juda pochylił się, żeby zaczerpnąć wody.

Syn Izraela nie ma bogów, którymby mógł robić libacje,—rzekł, przelewając wodę, żeby ukryć zdziwienie, jeszcze większe niż przed chwilą.

Czy egipcjanka wie co więcej? myślał Juda, — jej może kto powiedział o stosunku moim z Simonidesem, albo o umowie z Ilderimem?

W duszy jego zrodziło się podejrzenie. Ktoś zdradził jego tajemnice, a były wielkiej wagi. Prócz tego, udawał się do Jerozolimy, właśnie do miejsca, w którem wróg, powiadomiony o tem wszystkiem, byłby niebezpiecznym dla niego, dla jego stowarzyszonych i dla całej sprawy. Ale czy Iras jest nieprzyjaciółką? Szczęściem, myśl szybko przebiega przez głowę. Po chwilce, Ben-Hur napełnił kubek zimną wodą, wyprostował się, i rzekł, z dobrze udaną obojętnością:

— Najpiękniejsza z pomiędzy pięknych, gdybym był egipcjaninem, synem Grecji, lub Rzymu, powiedziałbym — tu wzniósł czarę do góry; — O wy, bogowie! Dzięki wam za to, że obok cierpień i trosk znajdujemy na tym świecie wdzięk piękności i osłodę uczuć miłosnych! Wnoszę zdrowie Iras, najlepszej ich przedstawicielki, najurodziwszej z cór Nilu!

Dziewczę położyło zlekka rękę na jego ramieniu, mówiąc:

— Grzeszysz przeciw swemu zakonowi: bogowie, którym składałeś libacje, są fałszywymi bogami. Mogłabym cię oskarżyć przed rabinami.

— O! — odrzekł ze śmiechem, — byłoby to bardzo mało, jak na osobę, która wie tak dużo i tak ważne rzeczy...

— Nie poprzestanę na tem: pójdę także do młodej żydówki, która jest duszą domu pewnego bogatego kupca w Antjochji. Przed rabinami oskarżę cię o sprzeniewierzenie się, a przed nią o....

— A przed nią.....?

— Przed nią powtórzę to, coś mi powiedział ze wzniesioną w górę czarą, świadcząc się bogami.

Ben-Hur milczał chwilę, jakby czekając, żeby egipcjanka mówiła dalej.

Wyobrażał sobie, jak Simonides przysłuchuje się odebranym odeń listom, a chwilami sam je czyta. Przy boku jego widział stojącą córkę.

Opowiadał on starcowi w jej obecności przygodę swą w Ildernee.

Estera zna się widocznie z Iras: ta jest przebiegła, światowa, tamta prostoduszna i uczuciowa, a tem samem łatwa do opanowania.

Simonides nie zdradziłby tajemnicy, Ilderim również, bo obaj wiedzą dobrze, iż wyjawienie, jej byłoby dla nich niebezpiecznem w skutkach.

Czyby Estera wyjawiła to egipcjance?

Nie potępił jej, lecz myśl ta zrodziła w nim podejrzenie; a podejrzenia, są to, jak wiadomo, chwa-

sty duszy, które się same rozpleniają i tem szybciej rosną, im mniej potrzebne.

Zanim zdążył odpowiedzieć na wzmiankę o młodej żydówce, nadszedł Baltazar i ze zwykłą powagą rzekł:

— Dużo ci zawdzięczamy, synu Hura. Ta dolina jest bardzo piękna; wszystko tu nęci do wypoczynku: trawa, drzewa, cień. Źródło połyskuje, niby poruszane djamenty, i szmerem swym opiewa Boga miłosiernego. Przyjmij dzięki za wszystkie przyjemności, jakich tu doznajemy i zasiądź z nami do skromnego posiłku.

— Pozwól, żebym ci wpierwej usłużył.

Mówiąc te słowa, młodzieniec napełnił kubek i podał go Baltazarowi, który wzniósł oczy z wdzięcznością ku niebu.

Niewolnik podał ręczniki. — Obmywszy ręce, siedli wschodnim zwyczajem do smacznego posiłku, pod tym samym namiotem, co przed laty służył 3-m mędrcom, którzy się zjechali na pustyni.

## ROZDZIAŁ XXIII.

Namiot był rozpięty pod drzewem, nieopodal szemrzącego źródła. W górze, szerokie liście palmy

zwieszały się nieruchomo z gałęzi; w srebrzystej mgle cienkie łodygi trzciny stały proste, jak strzały; niekiedy powracająca do ula pszczoła zabrzęczała w przelocie, lub kuropatwa gasiła pragnienie u zdroju, i gwizdnąwszy na towarzysza, odlatywała. Spokój, panujący w dolinie, świeże powietrze, piękno przyrody, cisza uroczysta zdawały się oddziaływać silnie na sędziwego egipcjanina. Jego głos, ruchy, wyraz twarzy tchnęły szczególną słodyczą; ile razy zwróciły oczy w stronę Iras i Ben-Hura, rozmawiających wesoło, zawsze przebijało w nich rzewne współczucie.

— Gdyśmy cię spotkali, synu Hura, — rzekł, przy końcu biesiady, — byłeś zwrócony obliczem ku Jerozolimie, — wolnoż zapytać, czy tak daleko dążysz?

— Idę do miasta świętego.

— Siły moje już słabe, muszę je oszczędzać, czy nie mógłbyś mi wskazać krótszej drogi, aniżeli przez Rabbath — Ammon.

— Znacznie uciążliwsza lecz krótsza droga wiedzie na Gerasa i Rabbath — Ammon. Tam właśnie zamyślam pójść.

— Pilno mi znaleźć się już w świętem mieście, bo w ostatnich czasach nawiedzają mię ciągle osobliwe sny. Jakiś głos powtarza mi: Spiesz się! Ten, którego oczekujesz, nadchodzi i jest już blizko.

— Czy mówisz o nowym królu żydowskim? Zapytał Ben-Hur, z zadziwieniem spoglądając na starca.

— Tak.

— Nic nie słyszałeś o Nim?

— Nic, oprócz tych słów, co mi się śniły.

— Ja za to mam nowiny, które cię tak uradują, jak mnie uradowały, — rzekł Juda i wyjął z zanadrza tuniki list Mallucha.

Wyciągnięta po pismo ręka sędziwego egipcjanina, drżała gwałtownie.

Czytał list w głos, a w miarę czytania, potęgowało się jego wzruszenie.

Doczytawszy do końca; wzniósł załzawione oczy ku niebu. Nie pytał o nic. W duszy jego zapanowała wiara niezachwiana.

— Zawsze byłeś dla mnie dobrotliwym, o Boże! przemówił uroczystym głosem, — daj jeszcze tę łaskę, bym zobaczył Zbawiciela i złożył Mu hołd, a sługa twój będzie gotów odejść w pokoju.

Ta prosta, ufna modlitwa uczyniła na Ben-Hurze silne wrażenie; czuł niejako dotykalnie obecność Boga. Zdawało mu się, że Bóg pochyla się nad nimi, albo stoi przy ich boku; że jest to przyjaciel, którego można prosić o wszelką łaskę; ojciec, zarówno kochający wszystkie swoje dzieci — tak samo żydów, jak i pogan; ojciec wszystkich ludzi, do którego można się odnosić bez pośredników, bez rabinów, kapłanów i uczonych. Myśl, że taki Bóg mógłby zesłać ludzkości Zbawiciela zamiast Króla, ukazała mu się w świetle nietylko nowem, ale tak jasnem, że zdawało mu się niemal, iż rozumie większa

potrzebę podobnego daru i większą jego zgodność z naturą takiego Bóstwa.

— Czy i teraz jeszcze, kiedy On już przyszedł, o Baltazarze, sądzisz, że to Zbawiciel nie władca? Zapytał młody izraelita.

Sędziwy egipcjanin, rzucając nań słodkie, głębokie spojrzenie, zapytał:

— Jak mam cię rozumieć? On duch, którym była moja gwiazda przewodnia, nie ukazał mi się od czasu, kiedym cię widział w namiocie mego szeika; to znaczy, żem go nie widział już i nie słyszał w dawnej postaci ale zdaje mi się, że głos, który słyszałem we śnie, był tym samym duchem. Innego objawienia nie miałem.

— Ośmielę się przypomnieć ci różnicę, jaka zachodzi w naszych zapatrywaniach, — rzekł Ben-Hur z poszanowaniem. Tyś był zdania, że on będzie królem, ale nie takim, jak Cezar; że państwo jego będzie duchowe, nie ziemskie.

— O tak, — odpowiedział egipcjanin, — ja i dziś twierdzę to samo. Widzę różnicę w naszych przekonaniach: ty idziesz na spotkanie króla ziemskiego, a ja — Zbawiciela dusz.

Umilkł i zdawał się zatopiony w myślach zbyt podniosłych, żeby je mógł roztrząsnąć na razie, lub zbyt subtelnych, by się dały wyrazić prostemi słowy.

Po niejakiej chwili dopiero rzekł: Sprobuję, synu Hura, wyłożyć ci moje wierzenie. Gdy zrozumiesz, o ile królestwo dusz, którego się spodziewam, jest doskonalsze pod każdym względem, aniżeli na-

wet najświetniejsze imperium, to pojmiesz także, dlaczego mię tak żywo obchodzi tajemnicza istota, którą idziemy powitać.

Nie mogę powiedzieć, kiedy powstało pojęcie o duszy, przemieszkującej w ciele człowieka: prawdopodobnie pierwsi rodzice wynieśli je z raju. Że nie zaginęło nigdy w zupełności, o tem wszyscy wiemy. U niektórych narodów zacierało się ono chwilowo, ale nie u wszystkich. Niekiedy całe setki lat bywało słabe, zamglone, lub stłumione zwątpieniem, — ale Bóg, w dobroci swej, zsyłał od czasu do czasu mężów niezwykłej miary, którzy wskrzeszali wiarę i nadzieję.

Dlaczego każdy człowiek posiada duszę, synu Hura? Zastanów się choćby chwilę, do jakiego stopnia dusza jest koniecznością. Ledz i umrzeć, by nie istnieć już nigdy, nigdy, takiego końca człowiek nie pragnął w żadnej, nawet najodleglejszej epoce; zawsze sobie życzył czegoś lepszego. Pomniki, stawiane przez narody, są niejako obroną przeciw nicości pozagrobowej, zarówno jak posągi, nadpisy, a nawet i historja. Największy z królów egipskich, kazał niegdyś wykuć podobiznę swoją w kolosalnej skale. Dzień po dniu udawał się tam z licznym orszakiem, żeby śledzić postępy roboty. Nakoniec posąg był gotów—majestatyczny, trwały, podobny z rysów i wyrazu oblicza.

Król, uniesiony dumą, powiedział: Niechaj przyjdzie śmierć; dla mnie jest życie pozagrobowe! I tak się stało, posąg jego dotąd stoi.

Ale czemże jest to zagrobowe życie, jakie on sobie w ten sposób zapewnił? Tylko wspomnieniem u ludzi, chwałą tak znikomą, jak cień księżyca na czole onego wielkiego popiersia, opowieścią wykutą w kamieniu—niczem więcej. Cóż się stało tymczasem z samym królem? W grobach królewskich leży zabalsamowane ciało, które niegdyś należało do niego—podobizna mniej przyjazna dla oka, aniżeli tamta na pustyni. Ale gdzie jest, o synu Hura, gdzie jest sam król? Czy stał się nicością? Dwa tysiące lat upłynęło od czasu, kiedy był żywym, człowiekiem jak ty i ja. Czy z ostatniem tchnieniem skończyło się dlań wszystko?

Przypuszczając, że tak jest, oskarżalibyśmy Boga. Spodziewajmy się raczej, że nas czeka życie po śmierci, życie rzeczywiste,—a rozumiem przez to coś więcej aniżeli miejsce w znikomej pamięci ludzkiej —życie pełne ruchu, życie z wrażeniami, z samą świadomością, z potęgą; życie wieczne, chociaż mogą w niem zachodzić zmiany położenia.

Czemuż nie zdołam opisać cudów zagrobowego życia! Nie mów, że mi jest nieznane. Wiem, że mieć duszę, jest to być cząstką Bóstwa; że w takiej istocie nie pozostaje ani jedna skaza z przeszłości, że jest lżejszą od powietrza, przezroczystszą od światła, ona niezrównanie czystą.

Starzec umilkł, drżącą ręką poniósł kubek do ust i napił się, a Iras i Ben-Hur, odczuwając jego wzruszenie, milczeli oboje.

Juda zrozumiał w jednej chwili, że królestwo dusz może być większej wagi dla ludzi, aniżeli ziemskie państwo, i że zbawiciel jest darem godniejszym Boga, aniżeli największy król.

— Chciałbym cię zapytać teraz, — ciągnął Baltazar,—czy to życie ludzkie, tak krótkie i pełne trosk, można przekładać nad doskonałe i wieczne życie duszy. Rozważ sam — co lepsze: godzina czy rok zupełnego szczęścia? Idź o krok dalej i zapytaj siebie potem: co znaczy, choćby kilkadziesiąt lat życia ziemskiego, w porównaniu z całą wiecznością na łonie Boga?

— Każda istota żyjąca, ma władze odpowiednie do swego przeznaczenia, ciągnął dalej Baltazar, — ale tylko człowiek zdolny jest myśleć o przeszłości. Czyś się kiedy zastanawiał nad tem? Mojem zdaniem, Bóg dał nam poznać w ten sposób, iż nas stworzył do innego, lepszego życia. Ale niestety, jakże nizko upadły narody! Żyją z dnia na dzień, jak gdyby chwila obecna była wszystkiem. Pocieszają się tą myślą, że ze śmiercią wszystko się kończy; a gdyby nawet było życie zagrobowe, nic o niem nie wiedząc, nie potrzebujemy troszczyć się o nie. Dlatego też, gdy śmierć zawoła: Chodźcie! nie są przygotowane do wiekuistego a pełnego chwały żywota, nie są go godne. A jednak najwyższem szczęściem dla człowieka jest obcowanie z Bogiem. Z bólem serca muszę to przyznać, o synu Hura, że ludzie myślą tylko o życiu doczesnem, a przyszłego prawie nie biorą w rachubę Gdy rozważysz prawdę mych słów, oce-

nisz dnr duszy i wraz ze mną będziesz się radował nadzieją przyjścia Zbawiciela.

Tu umilkł, jakby znużony silnemi uczuciami.

Ben-Hurowi zdało się, iż sama Dusza przemawiała przez usta starca.

— Wybacz mi, synu Hura, — mówił dalej czcigodny mąż i pochylił przed młodzieńcem głowę z powagą, wybacz, żem cię tak długo zatrzymał swą mową. Radość rozwiązała mi usta; ale słowa są za ubogie, żeby można niemi oddać cały ogrom prawdy. Rostrząśnij sam to wszystko, a przyjdziesz do pozna nia, że ten, na kogo czekamy, nie przyjdzie jako wojownik z mieczem, ani jako władca z koroną na głowie.

Może zapytasz, po czem go poznamy, gdy nadejdzie. Jeżeli trwasz w przekonaniu, że to będzie taki król, jak Herod, to będziesz szukał człowieka w purpurze i z berłem w dłoni; ten zaś, którego ja oczekuję, będzie ubożuchny, pokorny, z pozoru taki sam, jak inni ludzie. Poznamy go po tem, że całemu rodowi ludzkiemu wskazywać będzie drogę do życia wiecznego, do pięknego i czystego życia duszy.

Wszyscy troje pogrążyli się w zadumie. Dopiero po niejakiej chwili Baltazar rzekł:

— Wyruszmy już; chciałbym jak najprędzej ujrzeć Tego, co tkwi ciągle w myślach moich. Własne słowa rozbudziły we mnie jeszcze żywszą tęsknotę...

Na dany znak, niewolnik przyniósł wino w skórzanym worku, zwinął namiot i włożył juki pod „hupę“, arab zaś sprowadził konie.

Podróżni nasi, obmywszy ręce, podążyli w stronę pustyni, chcąc się przyłączyć do karawany, jeśli ich już wyminęła.

.........................

## ROZDZIAŁ XXIV.

Karawana, ciągnąca przez pustynię, przedstawiała bardzo malowniczy widok; ale pochód jej był tak powolny, że zniecierpliwiony Baltazar odłączył się od niej ze swą gromadką.

Jeśli czytelnik jest młody, albo pamięta jeszcze zaranie swego życia, to odczuje, jak błogo było Ben-Hurowi, jadąc obok egipcjanki, rzucić ostatni raz okiem na kolumnę, co się wiła po równinie, połyskującej od słońca.

Piękna Iras miała dlań niewysłowiony wdzięk. Jeśli spojrzała na niego z wysokiej „hudy", czemprędzej dopędzał jej wielbłąda na swym wierzchowcu; gdy się odezwała do niego, serce zaczynało mu bić gwałtownie. Odgadywanie jej życzeń było wyłącznem jego zajęciem. Najpospolitsze przedmioty, spotykane po drodze, nabierały ceny, jeśli raczyła zwrócić na nie uwagę, choćby tylko na chwilę. Szybująca w powietrzu jaskółka, wskazana jej palcem, przedstawiała mu się w aureoli; jeśli kawałek kwarcu lub miki zalśnił się w żółtym piasku, pod pocałunkiem słońca,

na jedno jej słowo zbaczał z drogi, żeby jej go przynieść; a gdy przekonała się, że to tylko kamyki, rzucała go wzgardliwie, nie pomnąc na trud, jaki sobie zadał młodzieniec, zasmucony, że jej nie dogodził, zaczynał szukać innego, w nadziei, że może natrafi na rubin, albo nawet djament. Dalekie góry oblewały się żywszą purpurą, jeżeli na ich widok okrzyk zachwytu wyrwał się z jej piersi; a gdy firanki zasłoniły od czasu do czasu „budę", cały widnokrąg pogrążał się dlań nagle w ciemnościach.

Cóż mogło obronić Ben-Hura od niebezpieczeństw miłości, w tej podróży, odbywanej prawie sam na sam z powabną egipcjanką, która go czarowała coraz więcej.

Piękna Iras, widocznie świadoma tego, jak silny wpływ zdoła wywierać na Judę, z samego rana wydobyła z jakiejś skrytki siatkę ze złotych sztuk monety i włożyła ją w taki sposób, że błyszczące pieniążki spadały na czoło i lica, odbijając od fal jej włosów czarno-granatowych; wyjęła potem różne klejnoty: pierścionki, kolczyki, naramienniki, naszyjniki z pereł i szal złotem haftowany; nakoniec zarzuciła z wdziękiem na szyję i ramiona zasłonę z cienkiej koronki indyjskiej. Tak wystrojona, wabiła Ben-Hura słowem, uśmiechem i spojrzeniem, raz tęsknem, rzewnem, raz znowu palącem. Niegdyś takie pokusy zgubiły Antonjusza, ale bogini która spowodowała jego upadek, była o połowę mniej piękna od tej jego rodaczki.

Zeszło niespostrzeżenie południe i zaczęło się zmierzchać.

Słońce, skrywszy się za wzgórze Bashan, zostawiło naszych podróżnych nad przejrzystą sadzawką. Rozpięli tam namiot, zjedli wieczerzę i ułożyli się do snu.

Ben-Hur, drugi z kolei trzymał straż; z włócznią w ręku, w pobliżu drzemiącego wielbłąda, wpatrywał się czas jakiś w gwiazdy, co świeciły nad pustynią, skrytą pod oponą wzmagających się cieniów. Dokoła panowała cisza: tylko gorący powiew wiatru przerywał czasami jej jednostajność, nie odwracając jednak myśli Judy od egipcjanki.

Marzył o jej wdziękach, zastanawiał się nad tem, jakim sposobem dowiedziała się jego tajemnic, jaki użytek z nich zrobi i jak wypada zachować się względem niej.

Podczas, gdy roztrząsał to wszystko, tuż obok niego stały: miłość i silna pokusa, a za niemi—coraz słabsza rozwaga. Właśnie w chwili, kiedy uczuł, że nie zdoła panować dłużej nad swą wolą, na ramieniu jego oparła się lekko ręka, lśniąca białością nawet w tę noc bezksiężycową. Drgnął, uczuwszy dotknięcie, i obrócił głowę. Stała przy nim Iras.

— Myślałem, że śpisz,—wykrzyknął.

— Sen jest dla starców i dla dzieci, a ja wyszłam z namiotu, żeby się przyglądać moim przyjaciołkom—gwiazdom południowym, które teraz zwiastują północ nad Nilem..! Przyznaj, żeś został zaskoczony...

Ujął rączkę, co się zsunęła z jego ramienia i rzekł:

— Czy przez wroga?

— O nie! Być wrogiem, znaczy nienawidzić, a nienawiść jest chorobą, którejby Izys nie dopuściła do mnie. Trzeba ci wiedzieć, że mię pocałowała w serce, gdym była dziecięciem.

— Twoja mowa brzmi inaczej, niż ojca twego. Czy nie jesteś tej samej wiary?

— Mogłabym być tej samej wiary, gdybym widziała to, co on widział; i może będę ją wyznawała, gdy się zestarzeję, — odrzekła, śmiejąc się zcicha. W młodości jedyną religją jest poezja i filozofja: poezja, zradzająca się pod wpływem wina, wesołości i miłości; filozofja, która uniewinnia wszystkie szaleństwa, nawet przelotne. Bóg mego ojca jest zbyt surowy dla mnie. Nie znalazłam go w Gaju Dafny, nie pojawia się też w atrium rzymskiem. Ale synu Hura, ja mam jedno życzenie...

— Życzenie? Któżby mu się mógł oprzeć...

— Wystawię cię zaraz na próbę.

— Mów! Słucham z natężeniem.

— Jest to rzecz bardzo prosta.., chciałabym ci dopomagać.

Mówiąc to, przysunęła się do niego.

Młodzieniec roześmiał się i rzekł wesoło: O, egipcjanko! o małom nie powiedział: droga egipcjanko... Czy kraina twoja nie jest ojczyzną sfinksów?

— I cóż ztąd?

— Tyś jedną z jej zagadek. Miej litość nade-

mną i wytłómacz się jaśniej. W czem ja potrzebuję pomocy i w jaki sposób mogłabyś mi ją dać?

Wysunęła rączkę swą z jego dłoni i odwróciwszy się do wielbłąda, zaczęła przemawiać doń pieszczotliwie i głaskać jego potworną głowę, jakby coś pięknego.

— O ty, najszybsze zwierzę z trzody Hjoba! Czasami i tobie zdarza się potknąć, gdy droga jest kamienista a ładunek twój zbyt ciężki. Jak się to dzieje, że zawsze odgadniesz dobre chęci i z wdzięcznością przyjmujesz pomoc, chociażby nawet z rąk niewiasty. Ucałuję cię, królewskie zwierzę!—Pochyliła się i dotknęła ustami jego szerokiego czoła—ucałuję cię za to, że w twoim umyśle nie ma podejrzeń!

Ben-Hur, panując nad sobą, odrzekł spokojnie:

— Zrozumiałem twą przymówkę, o Egipcie! Wydaję ci się skrytym? Może mię do tego zmusza poczucie honoru; może milczeniem ocalam innym życie i mienie.

— Może to być!—rzekła z pośpiechem,—a nawet tak jest, wiem o tem.

Cofnął się o krok i zapytał głosem, ostrym ze zdumienia: czyżby się przed tobą nic nie ukryło?

Roześmiała się i odrzekła:

— Jak mogą mężczyzni przeczyć temu, żeśmy od nich bystrzejsze! Cały dzień przepędziłam z tobą, a ten przeciąg czasu aż nadto wystarczył, żebym zmiarkowała, że cię jakaś myśl dręczy; żeby zaś myśl tę odgadnąć, dosyć mi było przypomnieć sobie twoje rozmowy z moim ojcem, Synu Hura,— ciągnęła

przyciszając głos ze szczególną zręcznością, i przybliżyła się tak, że czuł jej ciepły oddech na swem licu.

—Synu Hura! Ten, na czyje spotkanie idziesz, będzie królem żydowskim, nieprawda?

Serce Judy zaczęło bić szybko i gwałtownie.

— Królem żydowskim, tak jak Herod, tylko większym,—dodała.

Odwrócił od niej oczy. Patrzył chwilę w dal, na gwiazdy; potem spotkał się z jej spojrzeniem i stali czas jakiś tak blizko siebie, że czuł jej oddech na swych ustach.

— Od rana mieliśmy widzenia,—mówiła dalej.— Jeśli ci powiem moje, czy mi się odwzajemnisz? Jakto! nie odpowiadasz?

Odsunąwszy jego rękę, odwróciła się i chciała odejść, ale ją zatrzymał i rzekł błagalnie:

— Zostań, zostań i mów!

Wróciła, położyła rączkę na jego ramieniu i przytuliła się do niego. Juda objąwszy jej kibić, przysunął ją do siebie blizko, bardzo blizko, a w pieszczocie tej zawierała się obietnica, której pragnęła.

— Mów... opowiedz mi swoje widzenia, o Egipcie, drogi Egipcie! Żaden z proroków, ani nawet nasz prawodawca nie zdołałby oprzeć się twej proźbie. Gotów jestem na twe rozkazy... Miłosierdzia, miłosierdzia! Błagam cię.

Zdawało się, że nie słyszy jego zaklęć. Wpatrzyła się weń, przytuliła się do jego piersi i zaczęła mówić zwolna:

— Miałam widzenie wspaniałej wojny—wojny

na morzu i lądzie, ze szczękiem broni i zgiełkiem wojsk, jak gdyby odżyli: Cezar, Pompejusz, Oktawjan i Antonjusz. Chmura pyłu i popiołu wzbiła się, pokryła ziemię i pochłonęła Rzym. Wschód zapanował nad światem. Z chmury onej wyłoniła się nowa rasa bohaterów i były do zdobycia tak wielkie satrapje i świetne korony, jakich przedtem nie widziano. Synu Hura, gdy widzenie to ustało, zapytałam siebie w głębi ducha: co czeka tego, który najwpierw i najlepiej służył onemu królowi?

Ben-Hura ogarnęło zdumienie. Zapytała go o to właśnie, nad czem on sam przez cały dzień rozmyślał.

Zdawało mu się w tej chwili, że rozwiązał dręczącą go zagadkę.

— Rozumiem cię... — rzekł. — Chciałabyś mi pomódz w zdobywaniu tych satrapij i koron. Rozumiem, rozumiem! Tybyś wtedy była królową,—tak rozumną, piękną i majestatyczną królową, jakiej jeszcze nie było. Ale niestety,—drogi Egipcie, korony te zdobyć można tylko z orężem w ręku, a tyś jeno słaba niewiasta, chociaż Izys pocałowała cię w serce. Korony, to niedostępne dary; w takim tylko razie mogłabyś mi dopomódz w ich uzyskaniu, droga egipcjanko, jeśli znasz bezpieczniejszą drogę, aniżeli droga miecza; wskaż, a pójdę po niej—choćby tylko dla ciebie.

Wyrwała się z jego objęć i rzekła: rozłóż swój płaszcz na piasku, ot tak, żebym się mogła oprzeć

o wielbłąda. Usiądź i opowiem ci bajkę, która przypłynęła Nilem do Aleksandrji.

Spełnił jej życzenie, zatknąwszy pierwej włócznię w ziemię, tuż obok niej.

— A ja co mam z sobą zrobić? — zapytał pokornie, gdy usiadła.—Czy w Aleksandrji jest w zwyczaju słuchać stojący czy siedzący?

Wsparta wygodnie o starego wielbłąda, odpowiedziała z lubym uśmiechem:

— To zależy zupełnie od woli słuchacza.

Juda, korzystając z zachęty, legł na piasku i otoczył szyję jej ramieniem.

Iras zaczęła opowieść:

**Jak Piękno zeszło na ziemię.**

— Trzeba ci wiedzieć przedewszystkiem, że Izys była i może jest dotąd, najpiękniejszą z bogiń Małżonek jej, Ozyrys, chociaż mądry i potężny, bywał czasami zazdrosny o nią, gdyż bogowie tylko w miłości są podobni do zwykłych śmiertelników.

Bogini miała pałac ze srebra, wzniesiony na najwyższej górze księżyca, lecz udawała się często w odwiedziny do małżonka swego, Ozyrysa, który w samem sercu słońca zamieszkiwał pałac z tak błyszczącego złota, że ludzie nie mogli znosić jego widoku.

Pewnego razu, siedząc z Ozyrysem na dachu złotego pałacu, spojrzała przypadkiem przed siebie, i na samym, krańcu wszechświata ukazał jej się Indra, przechodzący z pocztem swym który siedział na skrzydłach orłów w locie. On, Przyjaciel Rzeczy

Żyjących, jak tam w górze nazywano pochlebnie, Indrę,—powracał ze zwycięzkiej wyprawy na szpetnych raszkatów. W orszaku jego znajdowali się: bohater Rama i oblubienica jego, Sita, najpiękniejsza bogini po Izydzie. Izys podniosła się, zdjęła z siebie przepaskę z gwiazd i skinęła nią na Sitę—uważasz, skinęła na Sitę, nie na Indrę, na znak uprzejmego powitania. W tejże chwili, pomiędzy przybliżającem się gronem a parą, siedzącą na złotym dachu, zapadło coś nakształt ciemności i zasłoniło widnokrąg, ale nie była to noc, tylko zmarszczenie się brwi Ozyrysa.

W tej chwili właśnie mówił on o tak ważnych sprawach, jakiemi tylko bogowie mogą się zajmować; powstał więc i rzekł z majestatycznym gniewem: Odejdź, sam dokonam tej pracy. Nie potrzebuję twojej pomocy, żeby stworzyć zupełnie szczęśliwą istotę.

Izyda podniosła się, uśmiechnęła, spojrzała okiem, od którego bił łagodniejszy blask, niż księżyca, otulonego mgłą jesienną i rzekła: żegnam cię, o panie; wiem, że mię przywołasz niezadługo. Nie zdołałbyś stworzyć bez mojej pomocy istoty zupełnie szczęśliwej i—tu roześmiała się, tak była pewna prawdy słów swych,—i sam nie mógłbyś być zupełnie szczęśliwym bezemnie.

— Zobaczymy,—odpowiedział bóg.

Zabrawszy z sobą druty i krzesło, Izys poszła na dach srebrnego pałacu, żeby naprzemian rozkoszować się wspaniałym widokiem i zajmować robotą.

Wola Ozyrysa pracowała w jego potężnej piersi z takim hukiem, jak gdyby się obracały jednocześnie wszystkie młyny innych bogów. Od huku tego poblizkie gwiazdy trzeszczały, niby ziarna w uschłym strąku. Niektóre z nich spadły i znikły. Bogini nie przerwała jednak roboty ani na chwilę.

Niebawem, w górnych przestworach, nieopodal słońca, pojawiła się plama, i póty rosła, póki się nie stała wielka jak księżyc. Izyda poznała, że nowy świat powstaje. Gdy plamka rosła a rosła, tak, że w końcu zasłoniła całą planetę, prócz punkciku, oświetlonego jej obecnością, było to dla niej znakiem, że bozki małżonek jest bardzo gniewny; ale pracowała dalej, pewną będąc takiego końca, jaki przepowiedziała.

W taki sposób powstała ziemia.

Zrazu była to zimna, szara bryła, wisząca martwo w przestworzu; potem zaczęła przybierać różne kształty: tu rozciągała się płaszczyzna, tam rosła góra, dalej wyłaniało się morze, ale nigdzie nie było iskry życia. Nagle na brzegu wód, coś się poruszyło. Izydzie opadły ręce z podziwu. Owa istota podniosła się i wyciągnęła ręce ku słońcu, jako swojej ojczyznie. Był to pierwszy Człowiek. Otaczały go inne twory natury: trawa, drzewa, ptaki, zwierzęta, nawet owady i płazy.

Przez pewien czas Człowiek był szczęśliwy w tem życiu; widać to było, że jest szczęśliwy.

Gdy ucichła pracująca wola Ozyrysa, małżonka

jego usłyszała wzgardliwy śmiech, a potem słowa, co wypadły ze słońca:

— Zbyteczna pomoc twoja. Przyjrzyj się: oto istota zupełnie szczęśliwa!

Izys wzięła się znowu do roboty,—o ile bowiem Ozyrys był potężnym, o tyle ona—cierpliwą, Jak on miał pracować, tak ona—czekać. I czekała, wiedząc, że samo tylko życie nie zdoła uszczęśliwić człowieka.

Tak się też stało: niezadługo boska małżonka ujrzała zmianę w Człowieku: sposępniał, siedział nad rzeką nieruchomo, i jeśli czasem podniósł głowę, odbijało się na obliczu jego znudzenie. Nic go już nie zajmowało. Gdy zobaczyła to właśnie w chwili, kiedy mówiła sobie: „temu stworzeniu przykrzy się życie,“ ozwał się znowu ogłuszający huk pracy tworzenia i w mgnieniu oka, ziemia, która przedtem była tylko bryłą zimną i szarą, zajaśniała różnemi barwami. Góry kąpały się w purpurze, równiny pokryła trawa, drzewa przystroiły się zielenią, morze błękitem, a obłoki mieniły się, niby tęcze. Człowiek podskoczył w górę, klasnął w ręce, gdyż był uleczony i znowu szczęśliwy.

A Izyda uśmiechnęła się i pomyślała: dobry to pomysł i wystarczy na jakiś czas; ale sama piękność świata nie zadowolni takiej istoty. Mój małżonek musi jeszcze sprobować czegoś innego.

Właśnie, gdy domawiała te słowa, od grzmotu pracującej woli wstrząsnął się księżyc. Izys, ujrzawszy to, klasnęła w ręce, gdyż dotąd wszystko, prócz

Człowieka, było przytwierdzone do ziemi, a teraz wszystko żyło, wszystko otrzymało dar Ruchu. Ptaki radośnie zatrzepotały skrzydłami, zwierzęta wielkie i małe zaczęły biegać; drzewa potrząsały gałęźmi zielonemi, skłaniając wierzchołki ku powiewom rozkochanego w nich wiatru; rzeki popłynęły ku morzom, morza przewracały się w swych łożyskach, toczyły wzburzone fale i bijąc niemi, pianą zaznaczały brzegi. W górze obłoki płynęły, niby okręty, posuwające się bez steru.

Człowiek zerwał się, ucieszony jak dziecię, a Ozyrys wykrzyknął z radością: widzisz, jak sobie dobrze radzę bez ciebie!

Kochająca małżonka wzięła się znów do roboty i odpowiedziała spokojnie: to dobry pomysł, panie mój,—dobry pomysł i wystarczy na jakiś czas.

Jak przedtem, tak i teraz Człowiek oswoił się prędko z widokiem rzeczy w Ruchu. Ptaki w locie, rzeki bieżące, falujące morza przestały go bawić. Popadł w większą jeszcze tęsknotę.

Bogini czekała, co dalej nastąpi, mówiąc sobie w duchu: biedne stworzenie! jeszcze nieszczęśliwsze jest niż przedtem.

Ozyrys, jak gdyby podsłuchał jej myśli, natężył znów wolę i grzmotem swej pracy wstrząsnął wszechświatem; jedno tylko słońce pozostało nieruchome.

Izys spojrzała z wysokości, lecz nie dostrzegła żadnej zmiany. Gdy uśmiechnęła się, pewna będąc, że się nowa próba nie udała jej małżonkowi, nagle Czło-

wiek zerwał się i zdawał nadsłuchiwać; rozpromieniła mu się twarz i klasnął w ręce z radości, gdyż dźwięki rozległy się po raz pierwszy na ziemi—dźwięki ostre i dźwięki harmonijne. Wiatr szumiał pośród liści; ptaki zaczęły śpiewać, każdy gatunek po swojemu; strumyki, płynąc ku rzekom, przemieniały się w harfy o srebrnych strunach i dźwięczały wszystkie razem; rzeki, co biegły ku morzom, zlewały się w jeden akord uroczysty, a morza uderzały o brzegi z łoskotem piorunów.

Była to muzyka.

Człowiek musiał być odtąd szczęśliwym.

Wtedy Izys zadumała się nad tem, jak małżonek jej dobrze sobie radzi; lecz po chwili potrząsnęła znowu głową: zatruła jej radość ta myśl, że Barwa, Dźwięk, Kształt, Ruch i Światło... to już wszystkie pierwiastki piękna. Ozyrys dokonał więc swego dzieła. Jeśli Człowiek popadnie jeszcze w smutek, to jej pomoc stanie się niezbędną.

Paluszki bogini obracały coraz szybciej drutami.

Człowiek był długo szczęśliwy, dłużej niż kiedykolwiek poprzednio. Zdawało się, że nudy nie ogarną go już nigdy. Ale Izys, wiedząc że to musi nastąpić, czekała, czekała, pomimo drwiącego uśmiechu, co ją dochodził ze słońca,—czekała, czekała, aż nareszcie dostrzegła znaki zbliżającego się końca. Człowiek oswoił się z dźwiękami; począwszy od ćwirkania świerszczy podróżami aż do szumu fal morskich i ryku burzy, wszystkie były mu już znane. Zaczął się

znowu nudzić, odszukał owo miejsce nad rzeką, gdzie zwykł był oddawać się smutkowi, i padł tam, jak martwy.

Wtedy Izys, zdjęta litością, odezwała się:

— Panie mój, to stworzenie umiera.

Ozyrys widział to, lecz nie zdołał już nic więcej zrobić.

— Czy mogę go ratować?—zapytała.

Ozyrys był zbyt dumny, żeby odpowiedzieć.

Izys skończyła wtedy robotę, zwinęła w świetlany krąg i cisnęła ją tak, że upadła u stóp Człowieka. Usłyszawszy łoskot, podniósł oczy i ujrzał Kobietę — pierwszą Kobietę! Pochyliła się i wyciągnęła doń rękę. On zerwał się, opanowany radością, i odtąd nie bywał już smutny, lecz był zawsze szczęśliwy.

— Oto jak opowiadają nad Nilem powstawanie Piękna, o synu Hura!

Umilkła.

— To piękna i ciekawa baśń, aleś jej uie dokończyła. Cóż potem uczynił Ozyrys?

— Przywołał boską małżonkę z powrotem na słońce i żyli z sobą w miłości i zgodzie, dopomagając jedno drugiemu.

— Czy ja nie mógłbym tak postąpić, jak pierwszy człowiek?

Poniósł do ust rączkę, co obejmowała jego szyję i rzekł: w miłości—w miłości!

Głowa jego zwolna opadła na jej kolana.

— Ty odnajdziesz Króla,—powiedziała, pieszczotliwie kładąc drugą rękę na jego głowie.—Pójdziesz na spotkanie, odnajdziesz go i będziesz mu służył. Mieczem swym zdobędziesz najwspanialsze jego dary; a najwaleczniejszy żołnierz Króla będzie moim bohaterem.

Obrócił twarz i ujrzał jej oblicze tuż nad swojem, Na całym firmamencie nie błyszczała tak żadna gwiazda, jak jej oczy, chociaż przysłonięte były rzęsami. Usiadł, wziął ją w objęcia i całował namiętnie, mówiąc: O Egipcie, Egipcie! Jeśli król będzie miał korony do rozdawania, to jedna musi należeć do mnie. Przyniosę ją i złożę na tem miejscu, które usta moje zaznaczyły. Będziesz królową—moją królową, najpiękniejszą ze wszystkich! I będziemy zawsze, zawsze tacy szczęśliwi!

— I będziesz mi wszystko mówił i pozwolisz, żebym ci pomagała we wszystkiem? — zapytała, odwzajemniając się pocałunkami.

To odezwanie się ostudziło jego zapał.

— Czy ci to nie wystarcza, że cię kocham? — rzekł z wyrzutem.

— Szczera miłość znaczy to samo, co zupełna wiara,—odpowiedziała.—Ale mniejsza o to— poznasz mię kiedyś lepiej.

Wysunęła rączkę z jego dłoni i podniosła się.

— Jesteś okrutna,—rzekł.

Iras odeszła, stanęła przy wielbłądzie i ustami dotknęła jego łba, mówiąc:

— O ty, najszlachetniejsze ze zwierząt, w twojej miłości nie ma podejrzeń...

Za chwilę znikła z oczu młodzieńca.

---

## ROZDZIAŁ XXV.

---

Trzeciego dnia podróży, wędrowcy nasi zatrzymali się w południe przy rzece Jabbok, gdzie popasała jaka setka ludzi, przeważnie z Perei. Zaledwie zsiedli z wielbłąda, jakiś człowiek stanął przed nimi z dzbanem i kubkiem, chcąc ich uraczyć wodą. Gdy chętnie przyjęli tę jego usługę, przyglądając się wielbłądowi, rzekł:

— Powracam z nad Jordanu, gdzie jest tłum ludzi z przeróżnych stron; podróżują tak samo, jak wy, na wielbłądach, ale żaden nie równał się waszemu zwierzęciu. Wolnoż zapytać z jakiej rasy pochodzi?

Baltazar, objaśniwszy go, ułożył się do spoczynku; ale młodzieniec, zaciekawiony wzmianką o zbiorowisku nad Jordanem, zapytał:

— W którem miejscu rzeki są ci ludzie?

— W Bethabara.

— Zazwyczaj mało kto korzysta z tego brodu, odezwał się znowu Ben-Hur, — nie rozumiem, co ściąga teraz do niego.

— Widać, że także przybywasz z obcego kraju kiedyś nie słyszał o radosnej nowinie.

— O jakiejże to nowinie?

— Jakiś świątobliwy mąż przybył z puszczy i opowiada osobliwe rzeczy, które wszystkich w zdumienie wprawiają. Mieni się Janem Nazareńczykiem, zwiastunem mesjasza.

Nawet Iras wsłuchiwała się bacznie, gdy ciągnął dalej:

— Powiadają, że ten Jan pędził życie od dzieciństwa w jaskini, poniżej En-Gedi, modląc się i żyjąc jeszcze wstrzemięźliwiej od eseńczyków. Ludzie tłumnie chodzą słuchać jego nauk, i ja tam byłem, tak jak ini.

— Czy ci towarzysze twoi byli także nad Jordanem?

— Większość idzie dopiero, a inni już powracają ztamtąd.

— Cóż on głosi?

— Zupełnie nową naukę, którą nazywa Pokutą i Chrztem. Rabini nie wiedzą, co o nim myśleć. Jedni pytali go, czy jest Chrystusem, inni—czy Eljaszem. On wszystkim odpowiadał: *Ja jestem głosem wołającego na puszczy. Prostujcie drogi dla Pana.*"

W tej chwili towarzysze odwołali nieznajomego; gdy odchodził, Baltazar rzekł drżącym głosem:

— Dobry człowieku, powiedz nam, czy zastaniemy onego proroka w tem miejscu, gdzieś go zostawił.

— Jest jeszcze w Bethabara.

— Któż może być tym Nazareńczykiem, jeśli nie zwiastun naszego Króla,—rzecze Ben-Hur do Iras. W tak krótkim czasie nauczył się on mówić do córki o tajemniczej Istocie, nie do starca. Ale Baltazar, z płomieniem w zapadłem oku, podniósł się do połowy i rzekł:

— Spieszmy się... już nie czuję zmęczenia.

Poszli wszyscy troje dopomódz niewolnikowi w przygotowaniach do drogi.

— Jutro musimy wstać bardzo wcześnie, synu Hura,—Zbawiciel może nadejść, a nas tam nie będzie, —powiedział starzec.

— Król nie może być daleko od swego posłannika,—szepnęła Iras, wsiadając na wielbłąda.

— Przekonamy się jutro, — odpowiedział Ben-Hur i ucałował jej ręce.

Nazajutrz około 3-ciej godziny, wyszedłszy z wąwozu, wzdłuż którego posuwali się od samego Ramoth, u stóp góry Gileath, wydostali się na rozległą nagą równinę, co się ciągnie na wschód od świętej rzeki. Naprzeciw siebie ujrzeli górną granicę Jerycho, starej krainy palm, ciągnącej się aż do górzystych okolic Judei. W żyłach Ben-Hura krew zaczęła żywiej krążyć, wiedział bowiem, że się zbliżają do brodu.

— Ciesz się, czcigodny Baltazarze, jesteśmy już prawie na miejscu,—powiedział.

Poganiacz przyspieszył kroku wielbłąda.

Niebawem ujrzeli szopy, namioty i uwiązane zwierzęta pociągowe, a potem rzekę i tłum, zebrany

na obu jej brzegach. Miarkując, że prorok głosi swą naukę, jeszcze spieszniej podążyli, lecz nagle powstał ruch wśród ciżby, i zaczęła się rozpraszać.

Spóźnili się!

— Stańmy tu,—rzekł Ben-Hur do załamującego ręce Baltazara,—Nazareńczyk może przechodzić tą drogą.

Ludzie byli nadto przejęci tem, co usłyszeli żeby zauważyć nowoprzybyłych. Gdy już przeszło kilkaset osób i nasi podróżni stracili nadzieję ujrzenia Nazareńczyka, spostrzegli nadchodzącego ku nim człowieka od strony rzeki. Wyglądał on tak osobliwie, że na jego widok zapomniano zgoła o wszystkiem. Powierzchowność jego była jakaś niezwykła, dzika, prawie wstrętna; poplątane zwoje włosów, przepalonych od słońca, spadały na ramiona, do połowy pleców i na twarz wychudłą, zczerniałą, jak wyschły pargamin. Oczy błyszczały mu ogniem gorączkowym. Cały prawy bok miał obnażony, tak ogorzały i tak chudy, jak oblicze. Tunika z najgrubszego włosia wielbłądziego, tak grubego, jak płótno używane przez beduinów na namioty, ściągnięta pasem ze skóry niewyprawnej, pokrywała resztę jego ciała. Nogi miał nagie. U pasa wisiała mu torba z surowej skóry a w ręku trzymał kij sękaty. Ruchy jego były żywe i ostre. Co chwila strząsał włosy, spadające mu na oczy, badawczo rozglądając się dokoła, jak gdyby szukał kogoś.

Piękna egipcjanka przyglądała się synowi puszczy ze zdumieniem, nawet z pewną odrazą.

Rozsunąwszy firanki u „hudy“, odezwała się do Ben-Hura, siedzącego na koniu tuż obok niej:

— Czy to posłannik Króla?

— To Nazareńczyk, — odpowiedział, nie podnosząc oczu.

Należy przyznać, że on sam doznał wielkiego zawodu. Widując często pustelników z En-Gedi, wiedział, jak są zaniedbani, obojętni na sądy ludzkie, wytrwali w zadawaniu sobie rozlicznych umartwień ciała,—jak się różnią we wszystkiem od ogółu ludzi; wiedział też, że Nazareńczyk ten mieni się tylko „Głosem wołającego na Puszczy”, ale zdawało mu się, że majestat tego króla, który ma nadejść, powinien się odbijać i na jego posłanniku. Patrząc na dziką postać, którą miał przed sobą, mimowoli zestawiał ją z szeregami dworzan, co się tłoczyli w korytarzach termów i pałaców cesarskich w Rzymie. Zrażony, zawstydzony, zmieszany, zdołał tylko odpowiedzieć:

— To Nazareńczyk.

Baltazar nie tak sądził. Wiedział on, że Bóg chodzi innemi drogami, aniżeli ludzie. Widział Zbawiciela, jako Dziecię w żłobku i wierzył, że pojawieniu się Boga może towarzyszyć Ubóstwo i Prostota. Siedział więc w miejscu z rękami skrzyżowanemi na piersiach, modląc się pocichu, On nie oczekiwał króla.

W tej chwili, tak ciekawej dla gromadki naszych wędrowców, którzy doznawali tak różnorodnych wrażeń, mąż jakiś siedział sam jeden na kamieniu nad

rzeką, prawdopodobnie rozmyślając jeszcze o tylko co posłyszanej nauce. Po niejakim czasie wstał on i oddalił się zwolna od wybrzeża, zmierzając w tę stronę, z której Nazareńczyk nadchodził.

Gdy już byli o jakie 20 kroków od siebie, prorok stanął wtedy, odrzucił włosy z przed oczu, spojrzał na nadchodzącą postać i dał znak obu rękami, żeby otaczająca go rzesza zatrzymała się. Stanęli wszyscy, natężając słuch. Gdy zaległa zupełna cisza, Nazareńczyk wskazał na przybysza kijem, który trzymał w prawej ręce.

Wszystkie oczy zwróciły się w te stronę.

W jednej chwili, idąc za jednym popędem, Baltazar i Ben-Hur wpatrzyli się w niego bacznie i obaj doznali jednakiego wrażenia, tylko w odmiennym stopniu.

Nadchodził zwolna ku nim.

Była to postać więcej niż średniego wzrostu i szczupła, nawet wątła. Ruchy jej były spokojne i poważne, jak zwykle u ludzi, rozmyślających często o sprawach wielkiej wagi. Odzież, licująca z tą powagą, składała się ze spodniej płóciennej szaty z rękawami, spadającej do kostek, i zwierzchniej, zwanej tolith. Na lewem ramieniu niósł chustkę, z czerwoną opaską do zasłonięcia głowy. Prócz tej przepaski i wązkiego błękitnego oblamowania tolithu, cały ubiór zrobiony był z płótna białego, które się zasmoliło w drodze i zżółkło od pyłu. Obuty był w sandały najprostszej roboty; torby, pasa i kija nie miał wcale.

Nasi pątnicy pobieżnie tylko przyjrzeli się tym szczegółom, głównie zwracając uwagę na głowę i twarz, gdyż ta ostatnia zwłaszcza wywarła na nich magnetyczny wpływ, zarówno jak i na wszystkich, co tam stali, wpatrując się w niego.

Długie, zlekka falujące kasztanowate włosy z czerwono złotawym odbłyskiem, były przedzielone na środku głowy. Pod szerokiem czołem i kształtnemi łukami czarnych brwi błyszczały duże szafirowe oczy, którym rzęsy, długie jak u dziecka, nadawały wyraz dziwnej słodyczy. Inne rysy, mianowicie delikatny zarys nosa i ust, wskazywały raczej na typ grecki, aniżeli żydowski. Miękka broda spływała mu na piersi. Cała postać była pociągająca: czarowała tak rysami jak i wyrazem twarzy.

Na jej widok żołnierz nie uśmiechnąłby się urągliwie; kobieta musiała uczuć nieograniczone zaufanie; dziecię, wiedzione instynktem, wyciągnęłoby śmiało rączęta.

Przybliżał on się zwolna.

Ben-Hur, na swym wspaniałym rumaku, z dzidą w ręku, powinien był najwpierw zwrócić jego uwagę, ale wzrok nadchodzącej Postaci nie spoczął na nim, ani na słynnej z piękności egipcjance, tylko na zgrzybiałym, niedołężnym Baltazarze.

Zaległa cisza głęboka.

Nazareńczyk, wciąż wskazujący kijem, zawołał donośnym głosem.

— *Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata!*

Słowa te, dziwne i niezrozumiałe dla wszystkich, wywarły silne wrażenie na starcu. Przybył on, żeby zobaczyć raz jeszcze Zbawiciela rodu ludzkiego. Ideał jego wiary, którego widział Dzieciątkiem w żłobie, stał przed nim. Poznał Go odrazu z oblicza, wieku i stroju.

Właśnie w tej chwili, jakby dla utwierdzenia drżącego egipcjanina w wierze, iż ma przed sobą Mesjasza, Nazareńczyk powtórnie zawołał:

— *Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata*!

Baltazar padł na kolana. On zrozumiał te słowa.

Nazareńczyk, jak gdyby to odgadł, zwrócił się do tych, co stali blizko, wpatrując się w niego z podziwem, i mówił dalej:

— *Ten ci jest, o którymem powiedział, że idzie za mną Mąż, który mnie uprzedził. bo pierwej był, niż ja. A jam go nie znał; ale, aby był objawiony Izraelowi, dlategom ja przyszedł, chrzcząc wodą. A jam go nie znał, ale który mię posłał chrzcić wodą, ten mi rzekł: Nad którym ujrzysz Ducha zstępującego i pozostającego na nim, tenci jest, który chrzci Duchem świętym. A jam widział i świadczę*... (tu umilkł, wskazując swym kijem na postać w białych szatach, i jakby dla spotęgowania swych słów, dodał: „*Świadczę, że ten jest Syn Boży*!

— To On! to On!—zawołał egipcjanin, wznosząc ku niebu załzawione oczy i padł zemdlony.

Przypomnimy tu czytelnikowi, że Ben-Hur wpatrywał się w oblicze nadchodzącego męża z zupełnie odmiennem wrażeniem, aniżeli Baltazar. I on

także żywo odczuł czystość, tkliwość, pokorę, świętość, bijącą od tego oblicza; ale w owej chwili zdolny był do tej jednej myśli: kto jest ten człowiek? Czy to Mesjasz czy król? Postać ta nie miała w sobie nic monarszego. Na widok jej słodkiej, dobrotliwej twarzy, sama myśl o wojnie i zaborach, o żądzy panowania, wydawała mu się zniewagą. Powiedział sobie: Baltazar musi mieć słuszność, a Simonides jest w błędzie. Mąż ten nie przyszedł po to, żeby odbudować tron Salomona; on nie ma ani natury Heroda, ani jego ducha; może być królem, ale nie innego, nie większego państwa, jak rzymskie.

Nie było to wnioskowaniem, lecz poprostu wrażeniem. Podczas kiedy się kształtowało, podczas kiedy młodzieniec wpatrywał się w nadchodzącego człowieka, pamięć jego wysilała się, pracowała.

— Widziałem już tę twarz,—mówił sobie,—ale gdzie i kiedy?

Coraz pewniejszym był tego, że to spojrzenie tak spokojne, tak miłosierne, tak słodkie, spoczęło kiedyś na nim, tak jak teraz na Baltazarze. Zrazu mglisto i niewyraźnie, potem jaśniej, nareszcie—jakby słońcem oblana, stanęła mu na oczach scena przy studni w Nazarecie, kiedy go żołnierze wlekli do galery. Odżywione wspomnienie wstrząsnęło nim do głębi duszy. — Te ręce ratowały go, gdy omdlał ze znużenia, tę twarz nosił wyrytą w sercu od onej pamiętnej chwili.

Miotały nim tak gwałtowne uczucia, że niezdolny słuchać nauki głoszonej przez Nazareńczyka, zau-

ważył tylko ostatnie jego słowa,—słowa tak wielkie, że do dziś dnia rozbrzmiewa od nich świat:

— *Oto jest Syn Boży!*

Ben-Hur zeskoczył z konia, żeby złożyć hołd swemu dobroczyńcy; ale w tej chwili Iras rozpaczliwie zawołała:

— Ratuj, synu Hura! Ojciec mój umiera!

Pobiegł z kubkiem do rzeki po wodę, a skoro powrócił, nie było już nieznajomego.

Gdy się nakoniec docucono Baltazara, wyciągnąwszy ręce, słabym głosem przemówił:

— Gdzie On jest?

— Kto?—zapytała Iras.

— On—Odkupiciel—Syn Boży, którego oczy moje znowu ujrzały.

— Czy i ty masz tę wiarę?—szepnęła Iras do Ben-Hura.

— Nastąpiły czasy pełne cudów,—czekajmy,—odpowiedział młodzieniec.

Następnego dnia, gdy ci troje słuchali nauki Nazareńczyka, przerwał on mowę i wyrzekł ze czcią: *Oto jest Baranek Boży!*

Spojrzawszy we wskazaną stronę, spostrzegli znowu *Jego.*

Gdy Ben-Hur zobaczył tę postać wysmukłą i to piękne święte oblicze, które niedola ludzka napiętnowała taką boleścią, nowa myśl zrodziła się w jego głowie.

— Baltazar ma słuszność i Simonides także,—powiedział sobie,—alboż Odkupiciel nie może być królem?

— Co to za człowiek?—zapytał swego sąsiada.

— To syn cieśli z Nazaretu, — odrzekł tenże z urągliwym śmiechem.

---

## ROZDZIAŁ XXVI.

— Estero, Estero! każ mi przynieść na górę kubek wody.

— Czy nie lepiej, żebyś się napił wina, ojcze?

— Proszę o jedno i drugie.

Słowa te zamienili z sobą na dachu starego pałacu Hurów, w Jerozolimie. Estera, wychyliła się za balustradę i zawołała na sługę, stojącego na dziedzińcu. W tejże chwili wszedł drugi, oddał nizki pokłon i wręczył Simonidesowi list opieczętowany i owinięty w płótno!

Objaśnimy czytelnika, że działo się to dwudziestego pierwszego dnia miesiąca marca, w trzy lata blizko po zwiastowaniu Chrystusa w Bothabara.

W tym przeciągu czasu, Malluch, na rozkaz Ben-Hura, który nie mógł dłużej znosić opustoszenia rodzicielskiego domu, kupił go od Pontusa Piłata. W pałacu odnowiono wszystko: bramy, dziedzińce, schody, tarasy, pokoje i dach, tak że nietylko nie było w nim śladu tragicznych okoliczności, które zgu-

biły książęcą rodzinę, ale został urządzony z większym jeszcze przepychem. Każdy szczegół świadczył, jak dalece kilkoletni pobyt w willi pod Mizenum i w stolicy imperjum rzymskiego, wykształcił smak młodego właściciela rzeczonego gmachu.

Juda nie objął go jeszcze jawnie w posiadanie odkładając to do sposobniejszej chwili. Nie nosił także własnego nazwiska. Zajęty przygotowaniami do wielkiego dzieła, czekał cierpliwie, by Nazareńczyk rozpoczął swą działalność.

Cuda Jego, na jakie Juda często patrzył, utrzymywały go w gorączkowej niepewności co do natury i posłannictwa tego tajemniczego człowieka.

Od czasu do czasu bywał w Mieście Świętem i zatrzymywał się w domu rodzinnym, ale tylko jako gość.

Celem tych odwiedzin nie był sam wypoczynek po pracy. Baltazar i Iras mieszkali w jego pałacu: córka wywierała nań wciąż jednaki urok, ojciec zaś, chociaż słabszy ciałem, przykuwał go do siebie dziwnie silnem dowodzeniem boskości cudotwórcy, którego wszyscy wyczekiwali.

Co się tyczy Simonidesa i Estery, to przybyli oni do Antjochji dopiero przed paru dniami.

Była to bardzo ciężka podróż dla kupca; odbywali ją w palankinie zawieszonym pomiędzy dwoma wielbłądami, których kroki nie zawsze zgadzały się z sobą. Ale teraz, kiedy przybył na miejsce, nie mógł się napatrzeć swego rodzinnego kraju. Szczególnie lubił przesiadywać na dachu, gdzie też spędzał znacz-

ną część dnia na takim samym fotelu, jaki miał w swej komnacie nad Orontesem. W tej letniej siedzibie mógł oddychać ożywczem powietrzem, co nadpływało ze znanych mu poblizkich gór; mógł też lepiej widzieć wschód słońca, śledzić jego bieg i zachód, jak to zwykł był czynić przed laty. Mając, przy boku Esterę, tam wysoko, bliżej niebios, rozmyślał o tamtej drugiej Esterze, ukochanej małżonce, której wspomnienie było mu coraz droższe. Jednak pamiętał także i o sprawach handlowych. Codzień wysłannik Sanballata przywoził mu drobiazgowe sprawozdanie o biegu interesów w Antjochji i codzień goniec zawoził Sanballatowi wskazówki tak dokładne, że wszystko działo się według jego woli i wszystko było przezeń przewidziane, oprócz wypadków, których Wszechmocny nie pozwala odgadywać nawet najprzezorniejszym głowom.

Estera powróciła na dach.

Była ona maleńka i kształtna; świeża, tchnąca zdrowiem twarz jej wyrażała rozum i dobroć.

Taka istota musi być kochana, bo i ona ogarnia wszystkich miłością.

Spostrzegłszy list, stanęła i przyjrzała mu się; rumieniec wystąpił na jej lica, była to bowiem pieczęć Ben-Hura.—Żywo podbiegła bliżej.

Simonides także oglądał tę pieczęć przez niejaką chwilę. Gdy ją rozłamał i wydobył z płótna papyrus, oddał go córce i rzekł.

— Przeczytaj.

Mówiąc to, spojrzał na Esterę i zmieszał się bardzo.

— Widzę, że już wiesz od kogo to pismo.

— Wiem—od—naszego pana.

— Ty go kochasz, Estero, — powiedział spokojnie.

— Tak.

— Czyś się zastanowiła nad tem, co robisz?

— Starałam się widzieć w nim tylko pana, do którego należę z prawa jako niewolnica, ale było to nad moje siły.

— Dobra, dobra z ciebie istota,—i matka twoja taką była,—rzekł, zamyślając się głęboko.

Szelest rozwijanego pargaminu wyrwał go z zadumy.

— Oby mi Bóg wybaczył,—przemówił ze smutkiem,—ale nie mogę myśleć o tem bez żalu, że miłość twoja byłaby odwzajemnioną, gdybym nie był zwrócił całego mienia, co się znajdowało w mem ręku. Pieniądz jest wielką potęgą!

— Byłoby gorzej dla mnie, gdybyś tak był postąpił, ojcze — bo wtedy nie byłabym godna jego spojrzenia i tobą nie mogłabym się chlubić.—Czy mam przeczytać teraz list?

— Zaczekaj chwilę. Dla twego dobra, drogie dziecię, muszę ci powiedzieć, jak się rzeczy mają: Może gdy się dowiesz odemnie prawdy, będzie mniej gorzką... Estero, on oddał już swe serce innej.

—Wiem o tem,—odpowiedziała spokojnie.

Egipcjanka usidliła go, — mówił dalej,—a ma

przebiegłość swej rasy i dar piękności. O tak! bardzo jest przebiegła i bardzo piękna,—ale posiada także i inną jeszcze właściwość narodu egipskiego — brak jej serca. Córka, która nie szanuje swego ojca, nie wnosi szczęścia w dom małżonka.

— Czy ona się tego dopuszcza?

— Baltazar, chociaż poganin, jest mędrcem i ma wzniosłą wiarę, godzien więc jest wielkiej czci tymczasem Iras drwi z niego. Słyszałem wczoraj, jak doń powiedziała: w młodym wieku szaleństwa są do wybaczenia, ale starość licuje tylko z mądrością. Gdy ją stary postrada, czas mu umierać. Tak okrutnych słów możnaby się spodziewać tylko po rzymianinie. Pomyślałem o sobie,—bardzo niedługo zniedołężnieję, tak samo, jak jej ojciec... Ale ty nie powiesz nigdy: „byłoby lepiej, gdyby już umarł." Nie, ty nie powiesz tego... Twoja matka była żydówką.

Estera ucałowała go ze łzami i rzekła: jestem nieodrodną córką mojej matki.

— I mojem dziecięciem, które jest mi tak drogie, jak świątynia była drogą Salomonowi.

Po chwili milczenia, położył rękę na jej ramieniu i mówił dalej:

— Skoro on pojmie egipcjankę za żonę, z utęsknieniem i żalem będzie myślał o tobie, gdyż w końcu pozna, że był tylko narzędziem jej samolubnej ambicji. Celem jej dążeń jest Rzym. Dla niej Juda jest synem Arrjusza duumwira, nie synem Hura, księcia Jerozolimy.

Estera nie usiłowała wcale skryć swego przerażenia.

— Ratuj go, ojcze! Jeszcze czas!—błagała.

Starzec odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

— Tonącego można uratować, ale zakochanego —nigdy!

— Masz wielki wpływ nad nim, ojcze, On sam jeden... Ostrzeż go o niebezpieczeństwie. Powiedz mu jaka to kobieta.

— Toby go mogło ocalić od Iras, ale czyby się zwrócił ku tobie? Nie.—Ja jestem niewolnikiem, tak jak przodkowie moi, od wielu pokoleń,—a jednak nie mógłbym mu powiedzieć: spojrzyj, panie, na mą córkę! Ona piękniejsza od egipcjanki i kocha cię czulej. Za długo na to żyłem na swobodzie. Takie słowa nie przeszłyby mi przez usta. Spaliłbym się chyba ze wstydu. Nie, na patrjarchów, wolałbym raczej, żebyśmy oboje legli w grobie przy matce twojej, i jak ona, spali snem wiecznym!

Ciemny rumieniec pokrył twarz Estery.

— Ojcze, jam nie miała zamiaru prosić cię, żebyś mu to powiedział! Szło mi tylko o niego, o jego szczęście, nie o moje... Dlatego właśnie, żem się ośmieliła go pokochać, będę się starała zasługiwać na jego szacunek. Pod tym jednym warunkiem mogę sobie wybaczyć to szaleństwo... Ale przeczytam ci już jego list,—rzekła.

— Dobrze, słucham.

Pilno jej było skończyć tę przykrą rozmowę, przystąpiła więc zaraz do odczytania pisma.

8-go Nizan.

Na drodze z Galilei do Jerozolimy.

„Nazareńczyk jest także w drodze. Wraz z nim, chociaż bez jego wiedzy, idzie legjon moich ludzi. Drugi legjon postępuje w pewnem oddaleniu. Z powodu zbliżającego się święta Paschy, zbiegowisko to nie zadziwi nikogo. Udając się w drogę, święty mąż powiedział: „*Muszę iść do Jeruzalem, aby spełniło się wszystko, co o mnie powiedzieli prorocy.*"

Zbliża się koniec naszego oczekiwania.

Pokój z tobą, Simonidesie.

„Ben-Hur".

Estera oddała list ojcu, ze łzami w oczach. Nie wspominał o niej wcale, nie przesłał jej nawet pozdrowienia; a tak łatwo było napisać: „pokój tobie— i twoim". Poraz pierwszy w życiu uczuła piekące żądło zazdrości.

— Ósmy dzień,—rzekł Simonides,—ósmy dzień... a dziś który, Estero?

— Dziewiąty,—odpowiedziała.

— A więc mogą być już w Betanji.

— Prawdopodobnie zobaczymy go dziś wieczór —dodała Estera, rozradowana tą nadzieją.

— Może być, może być! Jutro mamy święto Przasnego Chleba, może zechce je obchodzić. Może przybędzie także Nazareńczyk, więc go zobaczymy. Może nawet przyjdą obaj.

W tej chwili przyniósł sługa wino i wodę.

Podczas kiedy dziewczę przyspasabiało napój dla ojca, Iras pojawiła się na dachu.

Esterze nigdy jeszcze Egipcjanka nie wydała się tak przedziwnie piękną. Powiewna szata obejmowała jej postać, niby mgła. Czoło, szyja, ramiona— lśniły się od ciężkich klejnotów, w których naród egipski ma takie upodobanie.

Szła prędko, pewna siebie, swobodna, z twarzą rozpromienioną.

Estera zobaczywszy ją zadrżała i przybliżyła się do ojca.

— Pokój z tobą, Simonidesie i z tobą także pokój, piękna Estero, — odezwała się Iras, oddając uprzejmy ukłon tej ostatniej.

— Przypominasz mi, czcigodny starcze, kapłanów perskich, którzy wychodzą na szczyty świątyń, żeby o zachodzie słońca zasyłać modły do nieba; jeśli ten sposób oddawania czci jest ci nieznany, to przywołam ojca mego, żeby cię objaśnił: on pochodzi od magów.

— Piękna egipcjanko, — odpowiedział kupiec, z grzecznem a poważnem skinieniem głowy,—twój ojciec jest zacnym mężem, więc go to nie obrazi, gdy ci powiem, że ta znajomość obrządków perskich jest najmniejszą cząstką jego mądrości.

Iras wykrzywiła usta do wzgardliwego uśmiechu i odparła:

— Idąc za twoim przykładem, odpowiem językiem filozofów: gdzie jest najmniejsza cząstka, tam musi być i większa. Pozwól mi zapytać, co nazywasz

większą cząstką tego cennego przymiotu, jaki mu przypisujesz?

Oblicze Simonidesa przybrało surowy wyraz.

— Prawdziwa mądrość, — rzekł, — zwraca się zawsze ku Bogu; prawdziwa mądrosć jest znajomością Boga; a któż ją posiada w wyższym stopniu, i kto ją lepiej objawia słowem i czynem, aniżeli czcigodny Baltazar?.

Chcąc położyć koniec tej rozmowie, wziął do rąk kubek i napił się.

Wtedy egipcjanka, nieco urażona jego słowy, zwracając się do Estery, powiedziała:

— Człowiek, który ma miljony i całe floty okrętów na morzach, nie może zrozumieć tego, w czem my, kobiety, znajdujemy przyjemność. Zostawmy go tu samego; tam w rogu muru porozmawiamy swobodniej.

Stanęły przy balustradzie, w tem miejscu, z którego przed laty spadła cegła na głowę Gratusa.

— Czy byłaś kiedy w Rzymie?—zapytała Iras, bawiąc się bransoletką.

— Nie,—odpowiedziała krótko Estera.

— I nie jesteś ciekawa tej świetnej stolicy?

— Nie.

— Ach, jakżeś ty mało jeszcze używała życia!

Westchnienie egipcjanki po tym wykrzyku wyrażało taką litość, jak gdyby je własna strata wyrwała z jej piersi. Lecz zaraz potem, śmiejąc się w głos, rzekła: ach, moje śliczne niewiniątko, ptaszę-

ta nawpół opierzone wiedzą tyleż prawie o świecie, co ty.

Widząc, że się Estera zmieszała, rzekła Iras, zmieniając ton mowy:

— Nie powinnaś się obrażać, bom ja tylko żartowała. Ucałuję cię na zgodę i powiem coś takiego, z czem nie zwierzyłabym się nikomu, nawet za najpiękniejszy kwiat lotusu.

Znowu roześmiała się, pokrywając tem zręcznie bystre spojrzenie rzucone na żydówkę i rzekła: Król nadchodzi.

W niewinnych oczach Estery odbiło się zadziwienie.

— Nazareńczyk, o którym ojcowie nasi tak często rozmawiali, któremu Ben-Hur służy od tak dawna i z takiem poświęceniem,—tu zniżyła głos.— Nazareńczyk przybędzie tu jutro, a Ben-Hur dziś wieczór.

Odgłos szybkich kroków na ulicy przerwał rozmowę. Iras wychyliła się za balustradę, żeby zobaczyć, kto idzie. W tejże chwili cofnęła się, klasnęła w ręce i zawołała: Błogosławioną niechaj będzie Izyda! To on! to sam Ben-Hur! Że też właśnie w tej chwili pojawia się, kiedym tak myślała o nim! Chybaby bogów nie było, jeśli to nie jest dobrą wróżbą! Uściskaj mnie, ucałuj, Estero!

Żydówka podniosła głowę. Policzki miała rozpalone, oczy ciskały błyskawice takiego gniewu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznała. Tego już nie mogła znieść, pomimo łagodnego usposobienia. Nie-

dosyć, że wolno jej tylko śnić o człowieku, którego kocha, ale chełpliwa rywalka opowiada jej o swem szczęściu, o świetnych obietnicach, jakie jej uczynił. O niej, niewolnicy i córce niewolników nie wspomniał nawet, a tamta może się popisywać jego listem i daje do zrozumienia, jak drogie słowa w nim wyczytała.

Zapytała więc:

— Czy ty jego tak bardzo kochasz, czy tylko Rzym?

Egipcjanka cofnęła się o krok, potem pochyliwszy dumną głowę nad Esterą, zapytała:

— Czem on jest dla ciebie, córko Simonidesa?

Estera, drżąc cała, zaczęła:

— On jest moim...

Nie dokończyła jednak; wstyd jej było przyznać, że jest jego służebnicą... Zbladła, zadrżała i dopiero ochłonąwszy, wyjąkała:

— On jest przyjacielem mego ojca.

— Tylko przyjacielem twego ojca! — zawołała Iras ze wzgardliwszym jeszcze śmiechem.—Ach na bogów miłości Egiptu! Możesz zachować swe pocałunki... Zachowaj je... O wiele milsze i cenniejsze czekają mię tu, w Judei i...—odwróciła się i spoglądając przez ramię, rzekła jeszcze: — I idę po nie. Pokój z tobą.

Gdy zeszła ze wschodów, Estera, zasłoniwszy twarz rozpłakała się; a źródłem łez, co spływały przez jej palce, było upokorzenie i tłumiona namiętność. Żal jej wzmógł się jeszcze, gdy jej stanę-

ły na myśli słowa ojca; „Miłość twoja byłaby odwzajemnioną, gdybym nie był zwrócił całego mienia, co było w mem ręku.

Wszystkie gwiazdy świeciły już nad miastem i ciemnym łańcuchem gór, kiedy Estera, uspokojona trochę, poszła na dach, gdzie w milczeniu zajęła zwykłe miejsce przy boku ojca, pokornie oddając się na jego usługi.

Obowiązkowi temu miała poświęcić jeśli nie życie całe, to przynajmniej młodość.

---

## ROZDZIAŁ XXVII

W jaką godzinę po rozmowie 2-ch dziewcząt na dachu, Baltazar i Simonides, któremu towarzyszyła córka, siedzieli w sali pałacowej, gdzie po niejakiej chwili wszedł także Ben-Hur wraz z Iras.

Młody żyd, krocząc przed swą towarzyszką, przystąpił najwpierw do Baltazara i zamienił z nim pozdrowienie, potem zwrócił się do Simonidesa; lecz ujrzawszy Esterę, stanął jak wryty.

Zdumiał, widząc że się już rozwinęła na uroczo piękną kobietę; a wpatrzonemu w nią, cichy głos przypomniał złamane śluby i obowiązki, których nie spełnił.

Otrząsnął się dopiero po niejakiej chwili z wrażenia. Przystępując do dziewczęcia, rzekł:

— Pokój tobie, słodka Estero, i tobie cny Simonidesie.

Spojrzał na kupca i dodał:

— Pokój Pana niech będzie z tobą, chociażby tylko dlatego, żeś był dobrym ojcem dla sieroty.

Estera słuchała go ze spuszczoną głową; a starzec odpowiedział:

— Witam cię wraz z zacnym Baltazarem, Synu Hura,—bądź pozdrowicn w domu twych ojców. Usiądź i opowiadaj nam o swych podróżach, swych pracach, o cudownym Nazareńczyku; powiedz, kto on jest. Któżby tu był swobodnym, jeśli nie ty! Proszę, usiądź tu, pomiędzy nami, żebyśmy cię wszyscy słyszeli.

Estera pospieszyła podać mu stołek.

Podziękował jej ze słodkim uśmiechem, usiadł i przemówił w te słowa:

— Przychodzę opowiedzieć wam o Nazareńczyku.

Baltazar i Simonides natężyli słuch.

— Przez wiele dni śledziłem wszystkie jego kroki. Widziałem go w różnych okolicznościach, świadczących o człowieku i chociaż pewien jestem, że to taki człowiek jak ja, mam obok tego przekonanie, że jest czemś więcej.

— Czemże?

— Powiem wam.

Czyjeś wejście przerwało mu opowiadanie; obró-

cił głowę i zerwał się z wyciągniętemi rękami, wołając:

— Amra! Moja droga stara Amra!

Stara sługa zbliżyła się do niego z tak rozpromienioną twarzą, że wszyscy zapomnieli o jej ciemnej cerze i zmarszczkach. Uklękła u jego nóg, objęła mu kolana i okrywała jego ręce pocałunkami.

Gdy zdołał wydobyć się z jej uścisku, odgarnął jej rzadkie siwe włosy z twarzy i ucałował ją, mówiąc:

— Dobra Amro, czy nic o nich nie wiesz—zgoła nic, ani jednego słowa? nie miałaś żadnego znaku?

Staruszka rozpłakała się w głos, a jej łkania więcej mówiły, niż jakiekolwiek słowa.

— Wola Boża spełniła się,—rzekł uroczystym głosem, z którego wszyscy obecni poznali, że stracił już nadzieję odnalezienia drogich sercu istot. Oczy zaszły mu łzami, ale jako mężczyzna, nie pozwolił im spłynąć po licu.

Gdy zapanował nad swem wzruszeniem, usiadł znowu i rzekł: chodź usiąść tu przy mnie, Amro, tu. Nie chcesz? No to u moich nóg, bo mam dużo do powiedzenia tym zacnym przyjaciołom moim o pewnym cudownym mężu, który pojawił się na świecie.

Ale ona odsunęła się, ukucnęła, wsparta plecami o ścianę, rękami objęła sobie kolana, a twarz jej promieniała z radości, że go widzi.

Ben-Hur skłonił głowę przed starcami i ciągnął dalej:

— Nie śmiem odpowiedzieć na pytanie, kim

jest on Nazareńczyk, dopóki wam nie opowiem o cudach, jakich dokonywał w móich oczach; chcę wam to opowiedzieć dlatego, że przybędzie on jutro do miasta i uda się do świątyni, którą nazywa domem swego ojca i tam objawi. Jutro zatem my i Izrael dowiemy się, czy ty, Baltazarze, masz słuszność, czy też Simonides.

Baltazar zatarł drżące ręce i zapytał:

— Gdzież mam pójść, żeby go zobaczyć?

— Wszędzie będą się tłoczyć ludzie, dlatego będzie najlepiej, gdy wszyscy pójdziecie na dach portyku Salomona.

— Czy i ty pójdziesz z nami?

— Nie,—odrzekł Ben-Hur, — moi ludzie mogą mnie potrzebować podczas pochodu.

— Podczas pochodu!—wykrzyknął Simonides,— czy z tak licznym orszakiem przybywa?

Ben-Hur zrozumiał jego myśl.

— Ma tylko 12 ludzi z sobą, a są to rybacy, robotnicy i jeden publikanin,—wszyscy z najniższej klasy; podróżują boso, nie zważając na wiatr północny, zimno, deszcz i słońce... Gdy się zatrzymują u schyłku dnia przy drodze, żeby się posilić, albo pokrzepić snem, rzekłbyś raczej, że to gromada pasterzy, co powracają do swych trzód, aniżeli grono dostojników, albo królów. Tylko gdy Nazareńczyk podniesie róg chustki, którą nosi na głowie, żeby na kogo spojrzeć, albo obetrzeć sobie pot z czoła, znać że jest zarazem ich mistrzem i towarzyszem, ich panem i przyjacielem. Cóżbyście więc powiedzieli o czło-

wieku, który mógłby się zbogacić, przemieniając przydrożne kamienie w złoto, — pozostał jednak ubogim z własnej woli.

— Grecy nazywaliby go filozofem, — odezwała się Iras.

— Nie, córko droga,—rzekł Baltazar,—filozofowie nie mieli nigdy mocy czynienia takich rzeczy.

— Zkądże wiesz, że ją ma ten człowiek?

— Widziałem, jak przemienił wodę w wino,— odparł żywo Ben-Hur.

— To szczególne,—powiedział Simonides,—ale bardziej jeszcze zadziwia mię to, że woli żyć w ubóstwie, kiedyby mógł opływać w bogactwach. Czy on rzeczywiście jest tak ubogi?

— Nie ma nic i nikomu nie zazdrości majątku; lituje się nawet nad bogaczami, Ale cobyście na to powiedzieli, gdyby ktoś w oczach waszych tak rozmnożył 7 bochenków chleba i 2 ryby, żeby posiliło się 5000 ludzi i jeszcze zostały pełne kosze okruchów. Nazareńczyk dokonał tego w mojej obecności.

— Widziałeś to!—zawołał Simonides.

— Nietylko, żem widział, ale jadłem ten chleb i te ryby.

— Cóż powiecie na to, mówił dalej Ben Hur,— iż ten człowiek ma taką moc uzdrawiania, że dosyć, by chory dotknął się kraju szaty jego, albo zawołał nań błagalnie, aby w tejże chwili został uleczony. I to także widziałem na własne oczy. Gdyśmy wychodzili z Jerycho, dwaj ślepi, siedzący przy drodze, przywoływało rozpaczliwie Nazareńczyka—On dotknął

ich oczu i przejrzeli. Pewnego razu przyniesiono powietrzem rażonego, Nazareńczyk rzekł tylko; Wstań i chodź, a człowiek ten wstał uzdrowiony i poszedł o własnej sile do swego domu. Cóż powiecie na to? Simonides nie zdobył się na żadną odpowiedź.

— Może myślicie, tak jak wielu innych, że to wszystko było tylko złudzeniem zmysłów? Mogę wam opowiedzieć większe jeszcze cuda, na które patrzyłem. Przypomnijcie sobie to przekleństwo boże, na które ratunkiem śmierć, to przekleństwo zwane—trądem.

Usłyszawszy to, Amra podniosła się do połowy i pochyliła naprzód, żeby nie uronić ani jednego słowa Judy.

— Cobyście powiedzieli,—ciągnął Ben-Hur z większą jeszcze niż dotychczas powagą,—gdybyście patrzyli na to, co wam teraz powiem. Trędowaty przyszedł do Nazareńczyka, kiedym był z nim w Galilei i rzekł: Panie, jeśli chcesz, możesz mię oczyścić. A Nazareńczyk dotknął go ręką i powiedział: *Chcę, bądź oczyszczony.* W tejże chwili człowiek ten przyszedł do siebie i zdrów był, jak my wszyscy, cośmy na to patrzyli, a były tam całe tłumy.

Amra podniosła się, opanowana takiem wzruszeniem, że trudno jej było rozumieć słowa, dochodzące jej uszu.

— Innym razem—ciągnął Ben-Hur,—10-ciu trędowatych przyszło do niego, i padłszy mu do nóg, zaczęli wołać: Panie, Panie, zmiłuj się nad nami! On im odpowiedział: „*Idźcie ukażcie się kapłanowi, jak nakazuje prawo, a nim dojdziecie, będziecie uzdrowieni:*“

— I stało się tak?

— W drodze ciało ich oczyściło się i tylko łachmany na nich świadczyły, że przebyli tę straszną chorobę,

— Jak świat światem nie słyszano jeszcze nic podobnego w Izraelu, szepnął do siebie Simonides.

Podczas gdy to mówił, Amra wymknęła się niespostrzeżenie z sali.

— Łatwo sobie wyobrazicie, jakie myśli wzbudzały we mnie te wszystkie cuda; ale moje zdumienie miało się jeszcze spotęgować. Galilejczycy są, jak wiecie, porędliwi, porywczy; po długich latach wyczekiwania, miecze paliły im ręce, rwali się do czynu. Ja także zniecierpliwiłem się. Jeśli ma być królem, czemużby nim nie został teraz? myślałem. - Legiony mam gotowe, więc kiedy pewnego razu nauczał nad jeziorem, chcieliśmy go obwołać królem, ale znikł nam z oczu i dopiero później ujrzeliśmy, że odbija od brzegu okrętem, wraz z uczniami swymi. Czcigodny Simonidesie, to co innych podnieca, za czem się inni ubiegają—bogactwa, władza, nawet korona ofiarowana z wielkiej miłości przez wielki naród —jego nie nęci wcale,—cóż powiesz na to?

Kupiec podniósł głowę, co mu zwisła na piersi i odparł uroczyście: Pan żyje i słowa Jego proroków żyją. - Jeszcze czasy się nie wypełniły. Może jutrzejszy dzień rzuci światło na tę tajemnicę.

— Czekajmy,—odparł Baltazar z uśmiechem.

— Nie skończyłem jeszcze. Od tych rzeczy wielkich wprawdzie, które jednak mogą budzić nie-

ufność w tych, co nie patrzyli na nie własnemi oczami, przejdźmy do stokroć większych, które odkąd świat istnieje, uważano jako przechodzące moc ludzką. Powiedzcie mi, czy kto zdołał śmierci wydrzeć jej łup? Czy przywrócił kto życie zmarłemu? Któż może uczynić to prócz..

— Boga!—powiedział Baltazar z głęboką czcią.

Ben-Hur skłonił głowę.

— O mądry egipcjaninie i ty Simonidesie, co byście powiedzieli, gdyby w waszych oczach mąż ten, kilku słowy, bez wysiłku, jak matka budzi dziecię,— zmarłego powołał do życia. Było to w Nain. Mieliśmy właśnie przejść bramy miasta, kiedy nadeszła gromadka ludzi, niosących mary. Nazareńczyk zatrzymał się, żeby przepuścić orszak pogrzebowy. Wśród tego grona była jedna niewiasta, która zanosiła się od płaczu. Na obliczu Nazareńczyka odbiło się politowanie, przemówił do niej, zbliżył się do mar i zawołał: *Młodzieńcze, ja tobie mówię, wstań*! I w tejże chwili podniósł się nieboszczyk.

— Taką moc może mieć tylko Bóg!—wykrzyknął Baltazar.

— Zauważcie, — ciągnął Ben-Hur,—że mówię wam tylko o tych rzeczach, których byłem świadkiem pośród całej rzeszy ludzi. Dążąc tutaj, widziałem jeszcze stokroć większy cud. W Betanji mieszkał człowiek imieniem Łazarz, który umarł i został pochowany; gdy już leżał od 4-ch dni w grobie, przywalony kamieniem, zaprowadzono tam Nazareńczyka. Skoro kamień został odwalony, ujrzeliśmy spowite

zwłoki, które ulegały już zgniliźnie. Tłum ludu stał dokoła i wszyscyśmy słyszeliśmy słowa męża z Nazarei: Łazarzu, wynijdź! Nie zdołałbym nigdy opisać wam uczuć, jakie mię opanowały, kiedy zmarły, w odpowiedzi niejako, podniósł się i wyszedł w chustach. Rozwińcie go, rozwińcie, niechaj idzie do swego domu,—powiedział znowu Nazareńczyk.

Gdy zdjęto chustę z twarzy wskrzeszonego, krew zaczęła krążyć po jego wyschłem ciele i powrócił do takiego stanu, w jakim był przed śmiercią; Żyje on dotąd; można go w każdej chwili widzieć; można z nim rozmawiać. Możecie pójść zobaczyć go jutro. A teraz kiedym już wszystko opowiedział, zapytam was, jak mnie przedtem zapytał Simonides: Czy ten Nazareńczyk, jest tylko człowiekiem?

Słowa te wypowiedział uroczystym głosem.

Długo po północy roztrząsali we trzech te wszystkie cuda. Simonides obstawał wciąż przy swojem tłómaczeniu słów proroków, a Ben-Hur skłonny był wierzyć, że Nazareńczyk jest Odkupicielem, jak twierdził Baltazar, i zarazem przyszłym królem, jak utrzymywał Simonides.

— Dowiemy się jutro, kto ma słuszność.—Pokój wam wszystkim—rzekł i podążył do Betanji.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Gdy otwarto Bramę Owiec nazajutrz rano, pierwszą osobą, co wyszła nią z miasta, była Amra, z koszykiem na ręku. Straże nie zadawały jej pytań, gdyż nawet zorza poranna nie pojawiała się akuratniej, niż stara egipcjanka. Wiedziały, że jest czyjąś wierną sługą, i to im wystarczało.

Z Bramy Owiec puściła się ku wschodniej dolinie. Ciemnozielony stok góry Oliwnej pokryty był białemi namiotami, które ustawiono dla przybywających na święta Paschy.

Było jeszcze tak wcześnie, że nie spotkała nikogo. Minęła Gethsemane; minęła groby przy krzyżujących się drogach do Betanji, minęła grobową ulicę w Siloam. Chwilami chwiały się jej stare nogi; raz jeden usiadła, żeby odpocząć, ale zerwała się prędko i szła dalej przyspieszonym krokiem. Gdyby wysokie skały, sterczące z obu stron, miały uszy, słyszałyby, że mówiła coś do siebie; gdyby miały oczy, widziałyby, jak często spogląda poza górę, niespokojna, że się tak prędko rozwidnia; gdyby miały dar mowy, pewnoby powiedziały: przyjaciołka nasza spieszy się dziś; usta, które idzie nakarmić, muszą być bardzo głodne.

Kiedy nakoniec doszła do ogrodów Królewskich, zwolniła kroku, gdyż straszne miasto trędowatych

ukazywało się już w dali na południowym krańcu doliny Hinnom.

Czytelnik musiał już odgadnąć, że szła do swej pani, której grób, jak wiemy, wychodził na studnię En-Rogel.

Pomimo tak wczesnej godziny, nieszczęśliwa niewiasta siedziała już przed wschodem do jaskini, w której Tirza jeszcze spała. Choroba jej w ciągu tych 3-ch lat zrobiła szybkie i straszne postępy. Wiedząc, jak wstrętnie wygląda, ukazywała się ludziom cała owinięta zasłoną. Nawet Tirzie rzadko kiedy zdarzało się ją zobaczyć.

Owego ranka wyjątkowo siedziała na świeżem powietrzu z odkrytą głową, wiedząc, że w nikim nie zbudzi odrazy. Jutrzenka rzucała blade jeszcze światło, a jednak widoczną już była wstrętna postać wdowy Hury. Włosy jej, białe jak śnieg i poplątane, spadały na plecy i ramiona, niby srebrne druty; powieki, wargi, nos, policzki, albo wygniły, albo przemieniły się w smrodliwą ranę. Szyję pokrywały szare strupy. Jedna ręka leżała sztywno na kolanach; paznokcie u niej wyżarła choroba, stawy u palców były obnażone aż do kości, lub obrzmiały i oblały się czerwoną ropą. Z głowy, twarzy, szyi i ręki można było wnosić o stanie całego ciała.

Ujrzawszy tę piękną niegdyś wdowę po księciu Hurze, niktby się nie zadziwił, że tak długie lata ukryła swe istnienie.

Wiedziała, że gdy słońce ozłoci wierzchołek góry Oliwnej i góry Obrazy światłem jaskrawszem

w tej starej krainie, aniżeli na zachodzie, — to Amra przyjdzie, najwpierw do studni, a potem do kamienia, co leżał nawpół drogi do tejże studni, u stóp góry, w której obrała sobie siedzibę, i że wierna ta sługa złoży tam pożywienie przyniesione w koszyku, i na cały dzień, napełni dzban świeżą wodą. Z dawnej pełni szczęścia zostały niebodze jeno te krótkie odwiedziny. Mogła wtedy zapytywać o syna i słuchać o jego powodzeniu. Zazwyczaj były to skąpe wieści, ale pocieszające; czasami usłyszała, że Juda jest w ich starym książęcym pałacu; wychodziła wtenczas do swej strasznej celi o brzasku dnia i siedziała do południa, a od południa do zachodu słońca. Ta postać w białej zasłonie wpatrywała się nieruchomo, jak posąg, w jeden punkcik ponad świątynią, pod kopułą niebios, gdzie stało domostwo, zawsze drogie jej sercu, a tem droższe, gdy się w niem jej ukochany syn znajdował. To jedno jej pozostało; Tirzę uważała już za zmarłą; co do siebie, to oczekiwała jeno końca, wiedząc, że każda godzina życia jest godziną konania; na szczęście wolnego od cierpień.

Przyroda, dokoła góry, przedstawiała mało powabów: zwierzęta i ptaki unikały tego miejsca, jak gdyby im była znaną jego przeszłość i obecne przeznaczenie. Zieleń pokrywała je tylko w początkach wiosny; wiatr szumiał po krzakach i lichej trawie, wysuszając to, czego nie zdołał wyrwać z korzeniami. Gdziekolwiek spojrzała, wzrok jej na groby tylko natrafiał — nad nią były groby, pod nią groby, naprzeciwko jej własnego grobu, także groby — a wszystkie

bielone świeżo dla ostrzegania pątników, przybywających na obchód Paschy. Zdawałoby się, że niebo jasne, piękne, pociągające, zdoła ukoić udręczenia jej duszy, ale niestety! słońce, które zdobiło wszystkie przedmioty, względem niej okazywało się wrogiem, odsłaniając jej rany. Gdyby nie słońce, nie wzbudzałaby wstrętu, nie dręczyłaby się tak bardzo stanem Tirzy. Dar widzenia może być niekiedy straszną klątwą.

Może kto zapyta, dlaczego nie położyła kresu cierpieniom swoim?

*Zakon jej to wzbraniał!*

Poganin może się uśmiechnąć z tej odpowiedzi, ale syn Izraela—nie.

Gdy tak siedziała, zaludniając posępną samotność niemniej smutnemi myślami, nagle niewiasta jakaś zaczęła wspinać się na górę, niepewnym krokiem, widocznie bardzo znużona.

Wdowa zerwała się żywo, i zasłoniwszy głowę, zawoła nienaturalnie ostrym głosem: Nieczysta, nieczysta!

Niezważając na jej wołanie, staruszka w jednej chwili znalazła się u jej nóg. Tłumione oddawna uczucie wybuchło gwałtownie w sercu tej kochającej istoty. Ze łzami i namiętnemi słowy tuliła się do szaty swej pani.

Ta, widząc, że się nie zdoła wyrwać z jej objęć, czekała, aż się nieco uspokoi.

— Coś ty uczyniła, Amro!—zawołała.—Czy tem

nieposłuszeństwem chcesz dowieść swego przywiązania do nas? Niegodziwa! Zgubiłaś się i nie możesz już powrócić do niego—do swego pana.

Amra łkała, tarzając się po ziemi.

— Prawo ciąży teraz i nad tobą! Nie możesz już wejść do Jerozolimy. Co się z nami stanie? Kto nam będzie przynosił chleb? O niedobra, niedobra Amro! Wszyscy jesteśmy zgubieni przez ciebie!

— Litości, litości! — wołała Amra, wciąż leżąc u nóg wdowy.

Ty sama powinnaś była mieć litość nad sobą, a tem samem i nad nami. Gdzież możemy uciec teraz? Nie będzie komu o nas pamiętać. O! niewierna sługo! Gniew Boży już i bez tego dosyć ciężył nad nami.

Tirza, rozbudzona jej głośną mową, ukazała się w otworze grobu. Była to straszna postać: nawpółnaga, okryta strupami i ranami, prawie ślepa, z opuchniętemi kończynami. Nawet najbardziej kochająca osoba nie mogłaby w niej poznać dawnej istoty, któr miała tyle wdzięku dziecięcego.

— Czy to Amra, matko?

Niewolnica chciała przyczołgać się i do niej.

— Stój, Amro!—zawołała surowo wdowa.—Zakazuję ci dotknąć się jej. Wstań i odejdź ztąd, dopóki cię kto nie zobaczy przy studni. Ale nie — zapomniałam—już zapóźno! Musisz zostać i dzielić teraz nasz los. Podnieś się, mówię.

Amra powstała z klęczek i załamawszy ręce, rzekła zdławionym głosem: O, dobra moja pani!

Ja nie jestem złą, nie jestem niewierną sługą. Przynoszę ci pomyślne wieści.

— O Judzie?—zapytała wdowa, odchylając do połowy zasłonę na głowie.

— Pojawił się jakiś cudowny mąż, który może was uleczyć,—ciągnęła egipcjanka.—Jednem słowem uzdrawia chorych; nawet umarłym powraca życie. Przyszłam tu, żeby was do niego zaprowadzić.

— Biedna Amra!—odezwała się Tirza z politowaniem.

Stara egipcjanka zmiarkowała, że nie budzi wiary.

— Klnę się na Boga,—zawołała, na Pana Izraela, który jest moim zarówno, jak i waszym Bogiem, że to, com powiedziała, jest prawdą. Chodźcie ze mną, zaklinam was, nie traćcie czasu! Dziś rano ten osobliwy człowiek będzie szedł tędy do miasta. Patrzcie, dzień już blizki. Spieszmy! Posilcie się prędko i biegnijmy!

Matka wsłuchiwała się chciwie.

Prawdopodobnie doszły ją wieści o tym cudownym mężu, bo sława jego brzmiała już po całym kraju.

— Co to za jeden?—spytała.

— Nazareńczyk.

— Któż ci mówił o nim?

— Juda.

— Więc Juda jest w domu?

— Przybył wczoraj wieczorem.

Wdowa stała w milczeniu, z bijącem sercem.

Po chwili zapytała znowu:

— Czy to syn mój przysłał cię z tą wiadomością?

— Nie, on myśli, że już nie żyjecie...

— Przypominam sobie, że przed laty jakiś prorok uleczył trędowatego, ale on miał tę moc od Boga,—powiedziała matka.

— Zkąd Juda wie, że ten człowiek posiada dar uzdrawiania? - spytała po chwili.

— Sam widział, jak trędowaci przywoływali go i odchodzili uzdrowieni. Najwpierw przyszedł jeden człowiek, potem dziesięciu, a skończyło się na tłumach.

Wdowa Hura słuchała w milczeniu.

Ręce tego szkieletu trzęsły się.

Wierzyła w to, co usłyszała, bo syn jej był świadkiem tych cudów, ale wysiliła umysł, ażeby zrozumieć moc człowieka, który ich dokonywa.

— To musi być Mesjasz!—rzekła po chwili do Tirzy. Pamiętam czasy, kiedy Jerozolima i cała Judea rozbrzmiewały wieścią, że on się narodził. Musi już być teraz dojrzałym mężem. — Tak, to on! to on! Pójdziemy z tobą—dobra, kochana Amro. Przynieś dzban wody, który znajdziesz w grobowcu i rozłóż jedzenie; posilimy się naprędce.

Śniadanie spożyte w tak gorączkowem usposobieniu niewiele czasu zabrało.

Wyruszyły potem w drogę z otuchą w sercu; dręczyła je tylko jedna jedyna obawa. Stara egipcjanka powiedziała, że mąż ów ma przybyć z Be-

tanji, z miasta zaś tego wiodły do Jerozolimy 3 drogi, a raczej ścieżki. jedna przez wierzchołek góry: oliwnej, druga u jej stóp, trzecia koło wzgórza Obrazy. Rozdzielała je wprawdzie niewielka przestrzeń. ale dosyć znaczna, żeby ominęły Nazareńczyka, jeśli obierze inną drogę.

Wdowa Hura zmiarkowała z kilku słów, że stara niewolnica nie zna okolicy po drugiej stronie Cedronu, i że nie wie, którędy nadejdzie cudowny mąż; wiedziała i to, że tak Amra, jak i Tirza—jedna przez nawyknienie do służebnictwa, druga przez wrodzoną uległość, liczą na to, że je poprowadzi.

Przyjęła więc na siebie ten obowiązek i rzekła:

— Pójdziemy najwpierw do Betfage; jeśli nam Bóg pobłogosławi, to się tam może dowiemy, w którą stronę należy pójść.

Zeszły ze wzgórza do Tophet i do ogrodów królewskich. Dostawszy się do gościńca, co przerzyna owe ogrody, matka rzekła:

— Boję się iść tędy; trzymajmy się lepiej skał i drzew. Przy dzisiejszem święcie roje ludzi będą przechodziły tą drogą, a idąc przez wzgórze Obrazy, możemy ich uniknąć.

Tirza stawiała kroki z wielką trudnością z powodu ran na nogach; zalękniona, rzekła więc:

— Ta góra taka stroma, droga matko, nie będę mogła wspiąć się na nią.

— Pamiętaj, że idziemy po zdrowie i życie. Patrz, drogie dziecko, rozwidnia się coraz bardziej; kobiety zaczynają już dążyć tędy do studni. Jeśli tu

zostaniemy dłużej, gotowe nas ukamienować. Chodź, zdobądź się na odwagę!

Tak-to matka, znosząc sama piekielne męki, starała się dodać Tirzie otuchy. Amra przychodziła jej także w pomoc.—Dotąd nie dotknęła się ani razu swych ukochanych pań, ale w tej chwili, zapominając o niebezpieczeństwie i o zakazie, wierna ta istota podeszła do Tirzy i położywszy rękę na jej ramieniu, szepnęła: Oprzej się na mnie; jam silna jeszcze, chociaż mię wiek przygniata i droga też przed nami niedaleka. Tak... idźmy teraz.

Góra, na którą wchodziły mozolnie, była pełna rozpadlin, grobowców i zwalisk. Gdy się nakoniec dostały na wierzchołek i stanąwszy dla odetchnienia, rzuciły okiem na krajobraz, co się roztaczał w północno-zachodniej stronie, na świątynię, jej dziedzińce i tarasy, na Syonu wielkie białe wieżyce, strzelające wysoko, pokrzepiło matkę odradzające się w jej sercu przywiązanie do życia, dla samego życia.

— Przyjrzyj się, Tirzo, złotym blachom na Bramie Pięknej. Jak one odbijają blaski słońca! Przypominasz sobie, żeśmy po nich niegdyś chodziły? Wszakże chciałabyś tam wejść teraz? Pomyśl, że nasz dom jest niedaleko ztamtąd. Widzę go prawie poprzez dach świątyni—a tam powita nas Juda!

Ze stoku środkowego szczytu, uwieńczonego zielenią mirtów i oliwek, widziały w stronie książęcego pałacu Hurów przezroczyste słupy dymu, lekko i prosto, wzbijające się w górę; było-to ostrzeżeniem

dla trzech pielgrzymek, że godziny upływają bezlitośnie i że należy się spieszyć.

Chociaż stara niewolnica, nie szczędząc siebie, podtrzymywała Tirzę, żeby jej było lżej schodzić, jęczała ona za każdym krokiem, niekiedy nawet krzyknęła z bólu. Gdy się dostały na drogę, na tę, co się ciągnie pomiędzy wzgórzem Obrazy i środkiem drugiego szczytu góry Oliwnej, biedna dziewczyna padła bez sił.

— Matko, idź dalej z Amrą, a mnie zostaw tu, —rzekła słabym głosem.

— Dziecię moje, cóżby mi przyszło ze zdrowia, gdybyś i ty nie została uleczoną? Cobym powiedziała Judzie, gdy zapyta o ciebie?

— Powiedz mu, żem go kochała.

Nieszczęśliwa matka podniosła się z klęczek i rzuciła okiem dokoła z zamierającą nadzieją w duszy. Radosna myśl o odzyskaniu zdrowia była dla niej nieodłączną od Tirzy, dosyć młodej jeszcze, żeby w szczęściu i zdrowiu mogła zapomnieć lata cierpień ciała i duszy.

Właśnie kiedy ta mężna niewiasta postanowiła zaniechać próby i polecić swe losy Bogu, ujrzała człowieka nadchodzącego szybkim krokiem drogą od wschodu.

— Odwagi, Tirzo, odwagi! Patrz, ktoś nadchodzi. Jestem pewna, że nam powie co o Nazareńczyku.

Amra pomogła nieszczęśliwej dziewczynie usiąść i podtrzymywała ją, podczas kiedy człowiek ów zbliżał się.

— Zapominasz, kochana matko, kto my jesteśmy. Ten człowiek rzuci nam klątwę lub kamień i pójdzie dalej.

— Zobaczymy.

Nie mogła odpowiedzieć inaczej, wiedząc aż nadto dobrze, jakiego obejścia doznawali trędowaci ze strony jej ziomków.

Droga, na skraju której stały trzy niewiasty, była, jakeśmy już wspomnieli, raczej ścieżyną, wijącą się pomiędzy wapiennemi pagórkami. Jeśliby wędrowiec szedł tamtędy, musiałby je zobaczyć.

Tak się też stało; gdy już było dosyć blizko, żeby usłyszeć wołanie, wdowa, stosując się do prawa, odsłoniła głowę i krzyknęła:

— Nieczyste! Nieczyste!

Ku jej zdziwieniu, nieznajomy nadchodził mimo to pewnym krokiem.

— Czego chcecie?—zapytał, stając o kilka kroków, naprzeciwko nich.

— Jak widzisz, jesteśmy trędowate,—oddal się, —rzekła matka z godnością.

— Niewiasto, jam zwiastunem Tego, który jednem słowem uzdrawia takich, jak wy. Nie lękam się was.

— Czy mówisz o Nazareńczyku?

— O Mesjaszu.

— Prawdaż to, że nadejdzie dziś do miasta świętegö?

— Jest teraz w Betfage.

— Którą drogą przejdzie, panie?

— Tą ścieżką właśnie.

Złożyła ręce i spojrzała z wdzięcznością ku niebu.

— Za kogo ty go uważasz? — zapytał z politowaniem.

— Za Syna Bożego.

— Pozostańcież tu—albo nie—za nim idą rzerze ludzi—stańcie lepiej tam na skale, na tej białej, pod drzewami. Gdy będzie przechodził, nie omieszkaj zachować, wołaj bez obawy. Jeśli masz silną wiarę, to cię usłyszy, chociażby nawet wszystkie grzmoty padały z nieba. Ja idę oznajmić izraelitom w mieście i w okolicy, że Mesjasz zbliża się, żeby gotowi byli na Jego przyjęcie. Pokój tobie i twoim, niewiasto.

Rzekłszy te słowa, nieznajomy oddalił się.

— Słyszałaś, Tirzo? Słyszałaś? Nazareńczyk nadchodzi tą właśnie ścieżką i usłyszy nas. Już niedaleka droga, dziecię moje, kilka kroków — ot tam do tej skały.

Tak zachęcona, uchwyciła się Tirza ręki Amry i wstała z ziemi, ale gdy już miały wyruszyć, stara sługa rzekła:

— Zaczekajmy, nieznajomy powraca.

I czekały jego nadejścia.

— Kobieto,—przemówił, zbliżając się, — zanim Nazareńczyk nadejdzie, słońce wzbije się wysoko; jeśli się zechcę ochłodzić, dostanę wody nieopodal w mieście, więc przyszło mi na myśl, że ta woda potrzebniejsza jest wam, aniżeli mnie. Weź ją i bądź dobrej myśli. Przywołaj Go, gdy będzie przechodził.

Mówiąc te słowa, wyjął z zapasa bukłak, z jakim piesi wędrowcy puszczali się niekiedy w góry, i zamiast postawić ten dar na ziemi, żeby go wzięła, gdy on sam już będzie w bezpiecznem oddaleniu, podał jej go do rąk.

— Czyś ty żyd?—zapytała zadziwiona.

— Jestem żydem i czemś lepszem jeszcze, bo uczniem Chrystusa, który słowem i przykładem codziennie naucza tego, com ja uczynił dla ciebie. Świat oddawna już znał słowo: miłość bliźniego, nie rozumiejąc jego znaczenia! Raz jeszcze powiem tobie i twoim: Pokój wam. Bądźcie dobrej myśli.

Nieznajomy oddalił się, one zaś zaczęły zmierzać wolnym krokiem ku skale, którą im wskazał. Znajdowała się tylko o jakie 30 łokci od drogi, każdy przechodzień musiał je przeto widzieć i słyszeć ich wołanie, gdyby chciały zwrócić na siebie czyją uwagę. Usiadły tam w cieniu skały i orzeźwiły się wodą z bukłaku.

Tirza usnęła niebawem; bojąc się ją obudzić, obie niewiasty milczały.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Przed skałą, na której umieściły się trędowate, już o 3 ciej godzinie coraz więcej gromadek dążyło drogą do Betfage i Betanji; po 4-tej zaś ukazały

się wielkie tłumy ludzi na szczycie góry Oliwnej, a każdy niósł w ręku świeżo ściętą gałązkę palmową.

Podczas kiedy nasze trzy niewiasty przypatrywały się temu z zadziwieniem, od wschodu pojawił się nowy a hałaśliwy tłum, który zwrócił ich oczy w tę stronę.

Matka obudziła Tirzę.

— Co to wszystko znaczy?—zapytała ta ostatnia.

— *On* nadchodzi,—odrzekła matka.—Ten tłum, który widzimy, nadpływa z miasta, na Jego spotkanie; a tamten, którego gwar dochodzi naszych uszu od wschodu, towarzyszy Mu w drodze. Kto wie, czy się nie spotkają tutaj.

— W takim razie, gotów nie usłyszeć naszego wołania.

Matce przyszła ta sama myśl do głowy.

— Amro,—zapytała,—jak przywoływali trędowaci Nazareńczyka? Juda musiał to opowiadać.

Mówili: Panie, ulituj się nad nami! albo: Mistrzu, miej litość nad nami!

— Nic więcej?

— Tyle tylko słyszałam.

— A jednak to wystarczyło,—dodała matka do siebie.

— Tak,—rzekła Amra,—Juda mówił, że w jego oczach odeszli uzdrowieni.

Tłum nadciągał tymczasem od wschodu.

Kiedy się zbliżył nakoniec, trędowate zobaczyły człowieka jadącego, o ile się zdawało, pośród

patrycjuszów, którzy śpiewali i tańczyli z wielkiej radości. Mąż ten miał odkrytą głowę i przyodziany był w białą szatę. Gdy nadjechał jeszcze bliżej, zobaczyły, że ma oliwkową twarz, okoloną długim kasztanowatym włosem, przepalonym nieco od słońca i przedzielonym na środku głowy. Nie spoglądał on ani w prawo ani w lewo. Krzykliwe objawy radości towarzyszącego Mu orszaku, widocznie żadnego wrażenia na Nim nie sprawiały; był On pogrążony w smutnych myślach. Promienie słoneczne padając na tył Jego głowy i oświetlając falujące włosy, tworzyły niejako złotą aureolę. Za Nim fale ludu płynęły bezładnie wśród śpiewów i okrzyków. Nikt nie powiedział trędowatym niewiastom, że to cudotwórca—odgadły jednak — Nazareńczyka!

— Tirzo, to On, to On!—rzekła matka.—Chodź, drogie dziecię.

Mówiąc to, wysunęła się przed białą skałę i padła na kolana.

Córka i stara egipcjanka uklękły obok niej. Zobaczywszy korowód, co się zbliżał od zachodniej strony, tłumy nadchodzące z miasta zatrzymały się i zaczęły powiewać zielonemi gałęziami, krzycząc a raczej śpiewając jednym głosem:

— *Hosanna, Synowi Dawidowemu! Hosanna Synowi Izraelskiemu, który idzie w imię Pana*!

Cała rzesza, idąca z onym mężem—ci, co byli bliżej, i ci co dalej—powtarzali tę pieśń, tak że powietrze drgało, jak od wichru gwałtownego, na całym stoku góry.

Pośród tego hałasu, wołanie trędowatych nikło, niby świegot olśnionych wróbli.

Nadeszła chwila spotkania się dwóch korowodów, a wraz z nią, i sposobność wyczekiwana przez 3 niewiasty. Gdyby z niej nie skorzystały, przepadłaby nadzieja i one same byłyby zgubione na zawsze.

— Bliżej, dziecię moje,—przysuńmy się bliżej. Tu nie mógłby nas usłyszeć,—rzekła matka.

Potem wstała z ziemi, postąpiła naprzód chwiejnym krokiem i wyciągnąwszy przed siebie trupie ręce, krzyknęła przeraźliwie. Ludzie zobaczyli ją—zobaczyli jej wstrętną twarz i cofnęli się przestraszeni, Najwyższa niedola ludzka, uwidomiona, jak w tym razie, jest taką potęgą, jak majestat przyodziany purpurą i złotem. Tirza, która pozostawała o parę kroków za nią, z osłabienia i przestrachu nie mogła już iść dalej.

— Trędowate! Trędowate!

— Ukamienować je!

— Przeklęte od Boga! zabijcie je, zabijcie!

Te i tym podobne wrzaski mieszały się z pieśnią: *Hosanna Synowi Dawidowemu!* brzmiąca wciąż pośród tą częścią tłumu, która będąc bardziej oddalona, niewiedziała z jakiej przyczyny nastąpiła przerwa.

Jednakże, w tłumie tym byli też ludzie, którzy przez dłuższe obcowanie z cudownym mężem, przejęli nieco Jego boskiego miłosierdzia. W milczeniu śledzili oni mistrza swego, gdy zmierzał do wdowy Hura.

Ona także wpatrzyła się w Jego oblicze spo-

kojne, słodkie i cudnie piękne, w jego wielkie· oczy z takim tkliwym wyrazem.

— O mistrzu, mistrzu! — zawołała matka.—Ty widzisz naszą niedolę; Ty możesz uczynić nas czystemi. Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się!

— *Wierzysz-li, że mocen jestem to uczynić?*—zapytał.

— Ty jesteś Ten, którego prorocy zapowiadali, Tyś Mesjasz!—odrzekła.

— *Niewiasto! wielką jest wiara twoja. Stanie się wedle twego życzenia.*

Zapomniawszy widocznie o otaczającej go rzeszy, stał jeszcze chwilę—jedną chwilę, poczem odjechał.

— Chwała Panu, na wysokościach! Błogosławiony po trzykroć Syn, którego On nam zesłał!

Jakże słodko musiały dźwięczyć te słowa w Jego boskiem a tak po ludzku czującem sercu, które przez miłość dla ludzi szło świadomie ku najhaniebniejszej i najokropniejszej śmierci, jaką sami wymyślili— które było tak łaknące i spragnione i ich miłości i wiary, jak w początkach swego świętego posłannictwa.

W tej chwili oba korowody: ten, co nadchodził z miasta i ten drugi dążący z Betfage, otoczyły go z objawami radości, śpiewając Hosanna i powiewając palmami.

W taki to sposób znikł On na zawsze z przed oczu trędowatych.

Matka, zasłoniwszy głowę, pospieszyła do Tirzy i wzięła ją w objęcia, wołając:

— Córko, raduj się! Otrzymałam Jego obietnicę! On jest Mesjaszem! Jesteśmy uleczone, uleczone!

Obie klęczały, dopóki procesja, zwolna postępująca, nie znikła za górą. Gdy już dochodziło tylko słabe echo śpiewów, zaczął się cud.

Trędowate uczuły w sercu nową krew, która obiegała ich oddawna schorzałe członki coraz żywiej i mocniej, napełniając je błogiem uczuciem zabliźniania się ran. Strupy odpadały, siły wzmagały się.

W jednej chwili były uleczone. Jakby dla zupełnego oczyszczenia, nowe życie przeszło z ciała do duszy, wzniecając w nim zapał, podniesiony do ekstazy. Moc, która wywołała tę zmianę, wydawała im się jakimś kordjałem, szybko i skutecznie działającym,— kordjałem cudownym, nie zwykłym, gdyż działanie jego nie było powolne i stopniowe, lecz nagłe, całkowite.

Na uleczenie to a raczej przeistoczenie patrzyła nie jedna tylko Amra.

Czytelnik zapewne pamięta, że Ben- Hur towarzyszył Nazareńczykowi we wszystkich jego wędrówkach; gdy sobie jeszcze przypomni rozmowę z poprzedniego wieczoru, to się nie zadziwi, że młody izraelita był obecny, gdy trędowata niewiasta pojawiła się pątnikom. Słyszał jej błagalne wołania, widział odrażającą twarz; doszła też jego uszu odpowiedź Mistrza i cuda, jakkolwiek nieraz już był ich świadkiem, sprawiały wciąż na nim wstrząsające wrażenie.

Pragnął on zbadać naturę posłannictwa tajemniczego człowieka, a ciekawość jego była tem żywsza, że tego dnia właśnie, przed zachodem słońca, cudotwórca miał wyjawić w świątyni, kim jest.

Odłączył się od korowodu i siadł na kamieniu, żeby przeczekać, aż tenże przejdzie.

Z miejsca tego pozdrawiał skinieniem głowy wielu sprzymierzonych z nim galilejczyków, którzy pod długą zwierzchnią szatą mieli krótki miecz. Niebawem pojawił się mały arab o smagłej cerze, prowadzący 2 konie. Ben-Hur przywołał go do siebie znakiem. Gdy przeszli wszyscy pielgrzymi, młody mistrz powiedział:

— Zostań tu, chciałbym dostać się wcześnie do miasta, więc Alderaban musi mi służyć.

Pogłaskał po głowie konia w pełni sił i urody, poczem przeszedł na drugą stronę drogi, zmierzając ku dwom niewiastom.

Pamiętajmy, że były mu zupełnie obce i interesowały go tylko jako przedmioty nadludzkiego doświadczenia, którego wynik mógł wyjaśnić tajemnicę, dręczącą go od tak dawna. Idąc ku nim, spojrzał przypadkiem na maleńką postać kobiecą, która stała przy białej skale, z twarzą w rękach ukrytą.

— Na Boga żywego! Wszakże to Amra! — pomyślał.

— Przyspieszył kroku, przeszedł koło matki i córki, nie poznając ich, i stanął przed niewolnicą.

— Amro, — rzekł do niej, — Amro, co ty tu robisz?

Przybiegła, padła mu do nóg, nic nie widząc przez łzy, nie mogąc przemówić z radości, pomieszanej z obawą.

— O panie, panie! Jakże jest dobry twój i mój Bóg!

Niewytłomaczone przeczucie powiedziało mu, że obecność Amry zostaje w związku z onemi niewiastami. Odwrócił się ku nim. Właśnie podniosły się z kolan. Serce przestało mu bić, stanął jak wryty, niemy, osłupiały.

Kobieta, którą widział błagającą Nazareńczyka, stała nieopodal niego ze złożonemi rękami i ze wzrokiem zwróconym ku niebu. Sama przemiana, jaka w niej zaszła, mogła wzbudzić podziw, ale przyczyna jego wrażenia była o wiele ważniejszą. Czyżby się mylił? Nigdy w życiu nie widział osoby tak podobnej do jego matki; tak samo właśnie wyglądała owego dnia, kiedy ją rzymianin oderwał od niego. Jedna tylko różnica mogła wprowadzić w błąd: włosy tej osoby były przypruszone siwizną, ale nie dziw: moc, która dokonała cudu, wzięła w rachubę naturalne następstwa ubiegłych lat. A któż to stoi przy jej boku? Nie jest-że to Tirza? Miła, piękna, dojrzała, ale zresztą taka sama, jak onego ranka, kiedy się zdarzył nieszczęśliwy wypadek z Gratusem.

Juda miał je za umarłe. Zwolna oswoił on się z tą stratą; nie przestał je opłakiwać, ale nieznacznie znikły z jego planów i marzeń o przyszłości.

Niedowierzając swym oczom, położył rękę na głowie starej sługi i drżącym głosem zapytał:

— Amro, Amro! Jestże to matka moja! Tirza! Powiedz mi, czy się nie mylę.

— Przemów do nich, panie, przemów! — odpowiedziała.

Nie czekał dłużej, lecz biegł z wyciągniętemi rękami, wołając: Matko, matko! Tirzo!

Usłyszały jego wołanie i z okrzykiem szalonej radości chciały się rzucić w jego objęcia. Matka zatrzymała się jednak nagle, cofnęła i zawołała zwykłe ostrzeżenie:

— Stój, Judo, synu mój! Nie zbliżaj się! Nieczyste, nieczyste!

Nie z nawyknienia lecz z obawy wydała ten okrzyk; a obawa ta była tylko odmienną postacią czułej miłości macierzyńskiej. Chociaż osoby ich były uleczone, ubranie mogło udzielić mu zarazy.

Ben-Hurowi nie przyszło to nawet na myśl.

Miał je przed sobą! zawołał, a one mu odpowiedziały! Jakaż siła zdołałaby je teraz oderwać od niego! Za chwilę, ci troje, tak długo rozłączeni, padli sobie ze łzami w objęcia.

Gdy ochłonęli po wzruszeniu, matka rzekła:

— Dzieci drogie, przedewszystkiem podziękujmy Bogu za to szczęście, co nam zesłał. Zacznijmy nowe życie od złożenia Mu czci.

Wszyscy troje, a wraz z nimi i Amra, padli na kolana i wdowa Hura poczęła odmawiać psalm.

Tirza powtarzała za nią słowo po słowie; po-

wtarzał też i Ben-Hur, ale z mniej żywą wiarą, niż one, bo gdy się podniesli z klęczek, zapytał:

— W Nazaret, gdzie się ten człowiek urodził, nazywają go synem cieśli; za kogo ty go uważasz, matko?

Wpatrzyła się w niego tkliwie i odpowiedziała to samo, co przedtem usłyszał z jej ust sam Nazareńczyk:

— On jest Mesjaszem.

— A zkąd pochodzi jego moc?

— Można to poznać po użytku, jaki z niej robi. Czy się kiedy dopuścił złego czynu?

— Nie.

— A więc, moc jego pochodzi od Boga.

Trudno jest zrzec się w jednej chwili nadziei, którą żywiliśmy tak długo, że się stała niejako cząstką nas samych.

Chociaż Ben-Hur mówił sobie, że dla Mesjasza próżności tego świata nie mogą mieć znaczenia, nie mógł się jednak zrzec swych ambitnych celów. Sądził on Chrystusa według siebie, a o ileż byłoby lepiej stosować do siebie miarę Chrystusa.

Matka pomyślała pierwsza o troskach życiowych.

— Cóż poczniemy teraz, drogi mój synu? Dokąd się udamy?

Ben-Hur, wyrwany jej zapytaniem z zadumy, przypomniał sobie obowiązki względem rodziny.

Spojrzał on na drogie sercu istoty i zauważył, że niema na nich nawet śladu choroby; obie

powróciły do dawnego stanu i miały ciało tak delikatne, jak nowonarodzone dzieci.

Zdjąwszy z siebie płaszcz, zarzucił go Tirzie na ramiona i z uśmiechem rzekł:

— Weź go; przedtem odstręczałaś od siebie ludzi, nie chciałbym, żebyś teraz za to ściągała ich oczy.

Zdjęciem płaszcza odsłonił miecz, który miał u boku.

— Czy jest czas wojenny? — zapytała matka, przejęta nagłą trwogą.

— Nie.

— A więc dlaczego nosisz broń?

— Może mi się przydać do obrony Nazareńczyka,—odpowiedział Ben-Hur wymijająco.

— Czy ma nieprzyjaciół? I któż oni są?

— Niestety, nie sami tylko rzymianie, matko droga.

— Alboż on nie jest izraelitą i mężem pokoju?

— Więcej niż ktokolwiek bądź, ale nauczyciele i rab'ni twierdzą, że się dopuścił wielkiej zbrodni.

— Jakiej zbrodni?

W jego oczach poganin nie jest gorszym od prawowiernego żyda. Głosi on nową naukę o miłosierdziu względem wszystkich ludzi bez wyjątku.

Matka wysłuchała jego słów w milczeniu i wszyscy troje poszli się schronić pod drzewo nieopodal skały.

Jakkolwiek pilno było Judzie zobaczyć ukochaną matkę i siostrę w rodzinnym domu, przekonał je

że się muszą poddać prawu, obowiązującemu trędowatych. Wyprawił araba z końmi do bramy świętego miasta, z poleceniem, żeby tam czekał na niego, poczem puścili się do wzgórza Obrazy. Jakaż zmiana zaszła w tych dwóch niewiastach od chwili, kiedy przebywały tę samą drogę pierwszy raz, chociaż było to tak niedawno. Szybkim i swobodnym krokiem doszły do nowego grobowca Absalomu, nieopodal głębin Cedronu. Ponieważ był pusty, zajęły go tymczasowo; Juda zaś pośpieszył przygotować im lepsze siedlisko.

---

## ROZDZIAŁ XXIX.

Ben-Hur rozpiął dwa namioty nad górnym Cedronem, niedaleko od grobów królewskich i urządził je, o ile się dało, najdogodniej; poczem, nietracąc czasu, osadził w nich matkę i siostrę.

Musiały tam pozostawać do chwili, kiedy kapłan wyda im świadectwo, że są zupełnie czyste.

Wskutek spełnienia tego obowiązku, młodzieniec nie mógł już wziąć udziału w obrządkach zbliżającego się wielkiego święta. Nie wolno mu było wejść nawet na najmniej święty z dziedzińców, otaczających świątynię; z konieczności przeto został w namiotach ze swemi ukochanemi. Pod wpływem

tych przykrych wrażeń, różne plany przechodziły mu przez głowę: chciał wywołać powstanie w Galilei, albo z legjonami swemi napadać podróżnych na rozstajnych drogach; nawet morze, na wspomnienie którego przejmowało go drżenie, ukazywało jego wyobraźni rzymskich kupców, którychby mógł rabować. Ale rozwaga brała górę nad pokusami. Po każdym z tych szalonych zamysłów przychodził do przekonania, że tylko połączonemi siłami całego Izraela możnaby zwalczyć rzymian—i wszystkie jego nadzieje skupiały się na Nazareńczyku i jego posłannictwie.

Chwilami zdawało się zgorączkowanemu marzycielowi, że słyszy cudownego męża, przemawiającego do narodu w ten sposób: „Jam jest król wasz, obiecany od Boga, zapowiadany przez proroków. Otrząśnijcie się z pęt niewoli, imajcie się oręża. Ja jeden mocen jestem zapewnić wam panowanie nad światem." Jeśli Nazareńczyk zechce przemówić w te słowa, jakież wrażenie wywoła! Jakież tysiące ust, niby trąby, rozpowszechniać je będą, żeby powiększać szeregi jego wojsk!

Czy on je powie?

Ben-Hur opanowany gorączkową chęcią rozpoczęcia już dzieła, zapomniał o podwójnej naturze niezwykłego męża i o tej możliwości, żeby natura boska miała w nim przewagę nad ludzką. Cud, dokonany na matce jego i Tirzie, dał mu poznać potęgę, która zdołałaby zbudować tron żydowski na zwaliskach państwa rzymskiego, przeistoczyć świat i z całej ludzkości utworzyć jedną szczęśliwą rodzinę.

A gdy to dzieło zostało spełnione, któżby mógł powiedzieć, że posłannictwo to nie jest godne Syna Bożego?

Któżby zaprzeczył, że Chrystus jest Odkupicielem?

Pomijając wzgląd na następstwa polityczne, jakąż chwałą okryłoby go to jako człowieka!

Zwykły śmiertelnik nie zdołałby się zrzec takiej przyszłości.

Tymczasem, wzdłuż Cedronu okolica Bezethee a w szczególności drogi, wiodące do Bramy Damaszku, zapełniały się szybko wszelkiego rodzaju przytułkami dla pielgrzymów, którzy nadciągali na święto Paschy.

Ben-Hur odwiedzał przybyszów i rozmawiał z nimi; a ile razy udał się do namiotów, zawsze go zadziwiała wzmagająca się ich liczba.

Gdy się dowiedział, że byli tam ludzie ze wszystkich stron świata: z miast, co leżą nad obydwoma brzegami morza Śródziemnego i nad rzekami na krańcach Indyj, z prowincyj europejskich, najbardziej wysuniętych na północ,— gdy rozważył, że chociaż pozdrawiają go często w językach, nie mających ani jednej zgłoski ze starej hebrajszczyzny swych ojców, wszyscy ci przedstawiciele mają jeden cel uczczenia wielkiego święta, zaświtała mu w głowie myśl, zabarwiona zabobonną obawą. Może nie zrozumiał Nazareńczyka? Może on pokrywa tajne przygotowania cierpliwem wyczekiwaniem i tem właśnie dowodzi, że będzie umiał spełnić swe szczytne zadanie.

O ileż to lepsza była sposobność do wywołania ruchu, aniżeli wówczas, kiedy nad jeziorem Genezaret galilejczycy chcieli go zmusić do przyjęcia korony! W tedy mógł liczyć na poparcie kilku tysięcy ludzi, a dziś miljony stawią się na jego głos.

Idąc za tym biegiem myśli, doszedł Ben-Hur do wniosku, że smętny Nazareńczyk, pod maską pokory i zupełnego zaparcia się siebie, ukrywa przebiegłość polityka i ducha wojaka.

Od czasu do czasu przychodzili do namiotu jacyś ludzie krępi, barczyści, brodaci, z gołemi głowami, i zapytywali o Ben-Hura, a ten prowadził z nimi tajne rozmowy.

Pytany przez matkę, co to za jedni, odpowiadał tylko:

— To są moi przyjaciele z Galilei.

Przynosili mu oni wiadomości o Nazareńczyku i o zamiarach jego wrogów,—zarówno rabinów, jak i rzymian.

Wiedział wprawdzie, że życiu niezwykłego męża grozi z ich strony niebezpieczeństwo, lecz nie przypuszczał, żeby się odważyli na zamach w czasie tak ważnych świąt. Przychylność miejscowej ludności i tak tłumne zgromadzenie się obcej, były dlań rękojmią, że się spiski nie powiodą, ale większą jeszcze nadzieję pokładał w cudotwórczej sile Chrystusa. Biorąc te rzeczy z punktu widzenia czysto ludzkiego, sądził, że On, który włada życiem i śmiercią, i tyle razy użył tej władzy dla dobra innych, skorzysta z niej i dla siebie.

Działo się to wszystko pomiędzy 21 a 25 marca, według dzisiejszego kalendarza. Wieczorem ostatniego dnia, Ben-Hur, dręczony niecierpliwością, pojechał do miasta, obiecując powrócić w nocy.

Koń był rześki, pędził więc szybko, jak strzała. W drodze tylko oczy winnej macicy przyglądały się przez sztachety ogrodów rumakowi i jeźdźcowi; nie było nikogo — ani mężczyzny, ani kobiety, ani dziecięcia. Domy, które mijał, były zupełnie puste, ogniska przed namiotami powygasały. na drodze nie pojawiała się żywa dusza. Wszyscy, jako w przeddzień Paschy, cisnęli się do dziedzińców, otaczających świątynię, bo o zmroku zarzynają tam baranki, których krwią stojący rzędem kapłani polewają zaraz ołtarze. Panował tam wielki ruch i pośpiech, gdyż po ukazaniu się pierwszej gwiazdy na niebie, dawano hasło, że wolno jest piec baranki, spożywać je i śpiewać, ale wszelkie przygotowania ustać muszą.

Ben-Hur wjechał wielką północną bramą do Jerozolimy, podówczas jeszcze tak świetnej i pełnej chwały.

---

## ROZDZIAŁ XXIX.

---

Juda zsiadł z Alderabana przed bramą „Khanu", w którym trzej mędrcy, przed 30 przeszło laty, przenocowali w drodze do Betleem. Pozostawił

tam konia arabowi, który mu towarzyszył, a po niedługiej chwili stanął przed bramą pałacu swych ojców i spiesznie podążył do wielkiej sali. Przedewszystkiem zapytał o Mallucha, ale był on nieobecny; przesłał więc pozdrowienie swym przyjaciołom—kupcowi i egipcjaninowi: lecz obaj udali się byli do miasta Świętego na obchód Paschy. O Baltazarze powiedziano mu, że jest bardzo bezsilny i zgnębiony.

Młodzież ówczesna, o której przypuszczamy, że nie umiała czytać w swem sercu, tak samo, jak dzisiejsza, uciekała się do polityki w pewnych razach. Tak się też miała rzecz i z Ben-Hurem: gdy zapytał o czcigodnego Baltazara i grzecznie a poważnie poprosił o pozwolenie zobaczenia się z nim, głównie miał na celu to, żeby córce jego oznajmić swe przybycie.

Podczas kiedy go służalec objaśniał, że Baltazar, będąc słabym, nie może prosić gościa do siebie, zasłona u drzwi odchyliła się, i młoda egipcjanka, owinięta obłokiem białej lekkiej tkaniny, weszła a raczej wpłynęła do komnaty i zatrzymała się na środku, w najsilniejszym blasku lamp u siedmio-ramiennego świecznika, stojącego na posadzce.

Nie lękała się światła dla swej urody.

Sługa zostawił ich sam na sam.

W ciągu kilku ostatnich dni, tak obfitujących w wypadki i wrażenia, młodzieniec nasz mało myślał o pięknej egipcjance, lecz w tej chwili uległ znowu jej wpływowi. Pobiegł ku niej żywo, ale naraz sta-

nął i wpatrzył się w nią ze zdumieniem. Jakaż w niej zaszła zmiana!

Dotąd wszelkiemi sposobami starała się go usidlić: każde jej spojrzenie, każde słowo było wyznaniem miłości. Gdy byli razem, okazywała mu podziw, pochlebiała mu; gdy się od niej oddalał, zostawało mu tak słodkie wspomnienie, że spieszył z powrotem w nadziei rozkosznych wrażeń. Dla niego malowała sobie powieki, co spadały na błyszczące podłużne oczy; dla niego były jej opowieści i pieśni miłosne; dla niego wybuchy sympatji i uśmiechy i uściski ręki i pieśni z nad Nilu; dla niego stroiła się w klejnoty, w zasłony, szale koronkowe i jedwabie indyjskie.

Taką-to była egipcjanka dla Ben-Hura od owej nocy, spędzonej na jeziorze w Gaju Palmowym. Ale teraz!

Nie mogłaby przyjąć zimniej nawet całkiem obcego człowieka; jednakże zdawała się spokojna, beznamiętna, jak posąg; tylko główkę podniosła nieco wyżej, delikatne nozdrza rozdęła i niższą wargę wysunęła bardziej, niż zazwyczaj.

Pierwsza przemówiła.

— W porę przybyłeś, synu Hura—rzekła ostrym dobitnym głosem,—Pragnęłam podziękować ci za gościnność, gdyż pojutrze nie miałabym sposobności do tego.

Ben-Hur skłonił lekko głowę, nie odrywając od niej wzroku.

— Słyszałam,—mówiła,--że gracze w kości ma-

ją zwyczaj, po skończonej grze przeglądać swe tabliczki i obrachowywać się; a następnie składają libacje bogom i wieńczą zwycięzcę. Myśmy także prowadzili grę, która trwala wiele dni i nocy. Teraz, kiedy juz skończona, czemużbyśmy się nie mieli przekonać, komu się należy wieniec.

Ben-Hur odrzekł ostrożnie:

— Mężczyzna zawsze bywa zwyciężonym, gdy się odważy na grę z kobietą.

— Powiedz mi,—mówiła, schylając główkę i z wyraźniejszem jeszcze szyderstwem—powiedz mi, o książe jerozolimski, gdzie jest on, ten syn cieśli z Nazaretu, a zarazem Syn Boga, po którym spodziewałeś się niedawno tak wielkich rzeczy.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Czy zniweczył już Rzym?

Ben-Hur zdradził jeszcze większe zniecierpliwienie.

Gdzie jego stolica? Czy nie mogłabym zobaczyć jego tronu i lwów bronzowych? A jego zamek? Wszakże umarłych wskrzeszał, więc czemże jest w porównaniu wznieść złoty pałac? Gdyby tylko tupnął nogą i wyrzekł jedno słowo, stanąłby gmach na filarach, jak Barnak, tylko stokroć wspanialszy.

Zapytania jej były ubliżające a ton urągliwy; Juda pomiarkował, że to nie żarty,—odrzekł więc, lekko:

— O Egipcie! musimy czekać jeszcze nie jeden dzień, nie jeden tydzień na Niego, na lwy i na pałac.

Nie zważając na przycinek, mówiła dalej:

— Jakim to sposobem widzę cię w tym stroju? Wielkorządcy i wice-królowie Indyj noszą inne szaty. Widziałam raz satrapę Teheranu: miał on na sobie turban jedwabny i płaszcz z materji złocistej; rękojeść i pochwa jego miecza olśniły mię blaskiem drogich kamieni. Zdawało mi się, że chyba Ozyrys udzielił mu promieni słonecznych. Lękam się, żeś nie pozyskał jeszcze owego tronu, na którym miałam zasiąść wraz z tobą.

— Córka goszczącego u mnie mędrca jest lepszą, niż mniema; ona mi wskazuje, że w pięknem ciele może się znajdować rozgoryczone serce.

Ben-Hur mówił z lodowatą grzecznością.

Iras odparła, igrając z naszyjnikiem:

— Jak na żyda, jest syn Hura bardzo zręcznym. Widziałam, jak bohater twych snów wjeżdżał do Jerozolimy. Mówiłeś, że onego dnia ze stopni ołtarza objawi on, że jest królem żydowskim.

Widziałam jego orszak, zstępujący z góry, słyszałam śpiewanie, okrzyki Hosanna, powiewanie palmami. Wielka radość tłumu wytężyła moję ciekawość. Oczy moje szukały postaci monarszej, jeźdźca w purpurze królewskiej, złotego rydwanu; szukały wspaniałej postaci wojownika ze świecącą tarczą wśród otaczającej go zbrojnej kohorty. Daremnie! Sądziłam, że ujrzę na jego czele jerozolimskiego księcia!“

I wybuchając śmiechem szyderczym, rzuciła mu spojrzenie pogardy.

— Zamiast tryumfującego Sezostrysa — dodała podrażniona,—lub Cezara w zbroi połyskującej, ujrza-

łam, hahaha! człowieka z twarzą niewieścią, długim włosem, który siedział na oślicy. Oto—król! Zbawiciel! Syn Boży! Hahaha!

Naprożno Ben Hur usiłował zapanować nad wrażeniem, jakie na nim wywarły te słowa. Rumieniec wstydu twarz mu palił. Ona mówiła dalej:

— A mimo to, Synu Hura, nie uciekłam z mego miejsca, nie parsknęłam śmiechem, mówiąc w duchu: Zaczekaj, w świątyni roztoczy on blask, jak przystało na bohatera, przyszłego zdobywcę świata. Tłumy zalegały przedsionki, wschody, krużganki; tłumy, wstrzymując oddech, śród wielkiej ciszy czekały na słowo objawienia. Już mniemałam, że na tle tej ciszy rozlegnie się trzask zapadającego się tronu rzymskiego. Wtedy, hahaha! on, oblekłszy się zwierzchnią szatą, poszedł bez jednego słowa. Więc—jeszcze stoi w swych posadach rzymskie państwo!

Wszystkie ogrody Baltazara, wszystkie cuda Nazareńczyka, dokonane przed jego oczami, utraciły swą moc wobec potęgi wrażenia, przygniatającego kamieniem duszę Hura. Zdawało mu się, że Iras swem opowiadaniem zdjęła mu bielmo z oczu. Nie! przyjście Nazareńczyka nie było posłannictwem politycznem; zwyczajny człowiek nie byłby się oparł urokowi złożenia mu hołdu.

— Córo Baltazara—odparł on z godnością,—jeżeli to jest owa gra przez ciebie wspomniana, to weź koronę, ona jest twoją! Ale teraz pozwól, ażebyśmy się wzajemnie zrozumieć mogli. Twoje oczy sięgają do celu dalekiego, to jest mojem niezachwianem

przekonaniem. Bądź otwartą. Nie będę ci skąpił odpowiedzi; mów, słucham, lecz bądź ostrożną w doborze wyrażeń!

Zmierzyła go badawczem spojrzeniem, jak gdyby usiłowała wyczytać z jego oczu, co czynić wypada, lub—o ile zachwiała się w nim jego wola. Po chwili rzekła chłodno:

— Wolno ci oddalić się. Idź!

— Pokój z tobą! — odparł on i postąpił ku drzwiom. Ale zaledwie stanął na progu, ona zawołała:

— Słowo jeszcze!

On się zatrzymał i odwrócił.

— Zastanów się. Wiem o tobie wiele...

— Cóż tedy wiesz o mnie, piękna egipcjanko?

Wlepiła w niego oczy i rzekła:

— Synu Hura! Tyś jest więcej rzymianinem, niż ktorykolwiek z twej braci plemiennej.

— Czy zatem tak dalece różnię się od niej?

— Wszyscy bohaterowie są rzymianami!

— Czy to wszystko, co wiesz o mnie?

— Niechaj ci wystarczy to ostrzeżenie.

Słowa te wymówiła cicho i ze spokojem, tylko jej zgrabna stopa, niecierpliwie poruszająca się na dywanie, wskazywała mu stan duszy.

— Był pewien żyd, zbiegły galernik, który zabił człowieka w pałacu Idernee,—rzekła, zwolna cedząc słowa.

Ben-Hur zmieszał się mimowoli.

— Ten sam żyd zabił żołnierza rzymskiego przed pretorjum, tu w Jerozolimie. Ten sam żyd ma

trzy wyćwiczone legjony galilejczyków i chce ich użyć do porwania wielkorządcy rzymskiego dzisiejszej nocy. Porobił on przygotowania do walki z Rzymem. Szeik Ilderim jest jednym z jego sprzymierzeńców.

Przysunąwszy się doń bliżej, szepnęła prawie:

— Mieszkałeś w Rzymie... Gdyby też to wszystko, com ci powiedziała, doszło tam wiadomych ci uszu.. Aa, bledniesz!

Odsunął się od niej, jak człowiek, który myśląc że igra z kotką, poznałby, że ma przed sobą tygrysicę.

— Wszak znasz potężnego Sejanusa? Przypuśćmy, że ktoś powiedziałby mu to wszystko, z dowodami w ręku lub bez dowodów; że dodałby, iż ten sam żyd jest najbogatszym człowiekiem na wschodzie—a raczej w całem imperjum... Ryby w Tybrze otrzymałyby niezadługo smaczne kąski, nieprawda? A jakie wspaniałe igrzyska nastąpiłyby potem w cyrku! Bawić lud rzymski to wielka sztuka, ale wynajdywać pieniądze na rozrywki dla niego, to większa jeszcze sztuka, a któż ją posiada w tak wysokim stopniu, jak potężny Sejanus?

Ben Hur odpowiedział, o ile mógł najspokojniej:

— Przyznaję ci, córo Egiptu, żeś bardzo przebiegła i że jestem na twojej łasce. Zapewne usłyszysz z przyjemnością, iż nie liczę na to, byś się nademną zmiłowała. Mógłbym cię zabić, ale jesteś tylko kobietą... Pustynia stoi przedemną otworem, i jakkolwiek rzymianie umieją łowić ludzi, musieliby

szukać długo i daleko, zanim mię znajdą, bo w sercu tych obszarów są nieprzebyte puszcze piasku, zarówno jak i nieprzebyte lasy włóczni. Nie lękam się twych pogróżek... Ale o jedno cię poproszę: powiedz mi, zkąd cię doszły te wiadomości o mnie. Na wygnaniu czy w niewoli, a nawet w chwili śmierci, byłoby dla mnie osłodą rzucić klątwę na zdrajcę. Kto cię wtajemniczył w te wszystkie szczegóły mego życia?

Wyraz twarzy egipcjanki złagodniał. Byłoż-to szczere czy udane?

— Synu Hura, — rzekła, — w moim kraju są artyści, którzy po burzy zbierają na brzegach morskich różnobarwne muszle, kroją je, i z pospajanych kawałków układają prześliczne obrazy mozaikowe. Rozumiesz tą przenośnię? — Jam zbierała tu i owdzie wiadomości po garstce, a potem połączyłam je z sobą i byłam tak szczęśliwa, jak kobieta może nią być, gdy rozporządza losami i życiem człowieka, z którym...—umilkła, biła drobną nóżką w posadzkę i odwróciła głowę, jakby dla ukrycia wzruszenia, co ją nagle opanowało. Dopiero po chwili, z widocznym wysiłkiem zdobyła się na odpowiedź: z którym... nie wiem, co zrobić.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego,— rzekł Ben Hur, obojętny na odegraną przez nią komedję. — Jutro postanowisz, co uczynić ze mną. Gotów jestem nawet na śmierć. Teraz jednak czekam odpowiedzi.

— A więc słyszałam rozmowę Szeika Ilderima z moim ojcem w gaju, tam na pustyni. Noc była cicha, bardzo cicha, a ściany namiotu tak cienkie, że słabą były przeszkodą dla ciekawego ucha... ptasząt i pszczół, krążących w powietrzu.

Uśmiechnęła się, zadowolona ze swego dowcipu, i rzekła znowu.

— Inne szczegóły... kawałki muszli do mozaiki... zdobyłam od...

— Od kogo?

— Od samego syna Hura.

— Czy od nikogo więcej?

— Nie.

Hur odetchnął swobodniej i rzekł wesoło:

— Dziękuję ci. Ale byłoby z mej strony niegrzecznie skazywać Sejanusa na dłuższe czekanie. Pustynia jest mniej drażliwa. A więc, Egipcie, powiem ci raz jeszcze: pokój z tobą!

Do tej chwili stał z odkrytą głową; teraz zdjął chustkę z ramienia, obwiązał nią sobie głowę, i chciał odejść. Ale Iras zatrzymała go i wyciągnęła doń nawet rękę, mówiąc błagalnie:

— Zostań!

Obejrzał się, ale nie ujął jej ręki, chociaż tak błyszczała klejnotami, że musiał ją zobaczyć.

Było to widoczne, że młoda egipcjanka dopiero teraz zdradzi cel rozmowy, która go tak zaskoczyła.

— Zostań! rzekła; uwierz, że wiem, o synu Hura, dlaczego szlachetny Arrjusz przybrał cię za sy-

na. Na Izydę, na wszystkich bogów egipskich przysięgam, że drżę na myśl, iż ty, coś spędził część młodości w wielkiej stolicy, chcesz się przerzucić na pustynię. Jakaż to nagła zmiana w twem życiu! Żal mi cię, bardzo mi cię żal! Ale jeśli zechcesz uledz mej prośbie, to cię ocalę. Przysięgam na waszą świętą Izydę!

Nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną jak w tej chwili.

— Prawie... prawie... wierzę ci, — rzekł z wahaniem i przytłumionym głosem, gdyż silna nieufność, taka nieufność, jaka niejednemu ocaliła życie i mienie, walczyła w nim z dawną słabością do uroczej Iras.

— Dla kobiety miłość jest najwyższem szczęściem, dla mężczyzny — zwycięztwo odniesione nad samym sobą—i o to właśnie mam cię prosić, o książę!

Mówiła prędko i z ożywieniem, które dziwnie podnosiło jej urodę.

— Miałeś niegdyś przyjaciela, — ciągnęła, ale gdy zaszła pomiędzy wami sprzeczka, staliście się sobie wrogami. On cię skrzywdził srodze. Po wielu latach spotkałeś go w cyrku antjochijskim.

— Messala!

— Tak, to był Messala. Jesteś jego wierzycielem. Daruj mu przeszłość, przywróć przyjaźń swoją! Oddaj fortunę, którą przegrał do ciebie w szalonym zakładzie! Podźwignij go... Sześć talentów jest niczem dla ciebie; one tyle znaczą, co jeden pączek na drzewie, pokrytem kwieciem. O ileż jego poło-

żenie jest inne! On jest tak połamany, że może tylko pełzać; gdziekolwiek by cię spotkał, musi oderwać oczy od ziemi, żeby na ciebie spojrzeć. O Ben-Hurze, szlachetny książe! Dla rzymianina tak wysokiego rodu, żyć z jałmużny, równa się najhaniebniejszej śmierci. Ratuj go, żeby nie potrzebował żebrać!

Jeśli zalewając go tym potokiem słów, chciała powstrzymać Judę od myślenia, to chyba nie wiedziała lub też wyszło jej z pamięci, że pewne przekonania nie rodzą się z myśli, lecz wkradają się niespostrzeżenie.

Gdy umilkła nakoniec, czekając jego odpowiedzi, zdawało mu się, że Messala spogląda nań przez jej ramię; a wyraz twarzy rzymianina nie był ani żebraka, ani przyjaciela. Byłto zawsze ten sam szyderczy patrycjusz z drażniąco dumnem wejrzeniem.

— Messala nie otrzyma nic—odezwał się Ben-Hur. — Jest to moje nieodwołalne postanowienie. Występuję tu jako rzymianin przeciw rzymianinowi... Ale powiedz mi, czy to on, czy to Messala, przysłał cię z tą proźbą, o Egipcie?

— On ma szlachetną naturę i sądził cię po sobie.

Młodzieniec ujął rączkę wspartą na jego ramieniu.

— Kiedy go znasz tak dobrze, piękna egipcjanko, powiedz mi, czy on uczyniłby to dla mnie, o co mię prosi—gdybyśmy byli w odwrotnym stosunku? Odpowiedz, na Izydę! Odpowiedz, przez miłość prawdy

Nalegał uściskiem ręki i spojrzeniem.

— On... — Zaczęła,—on jest....

— Rzymianinem, — chciałaś powiedzieć, — to znaczy, że ja, żyd, nie mogę sądzić jego powinności względem mnie taką miarą, jak swoje względem niego; to znaczy, że ja, żyd, powinienem darować mu zakład dlatego, że jest rzymianinem. Jeśli masz co do powiedzenia jeszcze, córko Baltazara, to mów prędko, prędko,—bo na Boga, Pana Izraela, gdy moja gorąca krew zawre, gotówem zapomnieć, żeś kobietą, i piękną kobietą,—a będę w tobie widział tylko szpiega, wysłanego przez rzymianina. Mów prędko!

Wyrwała mu swą rękę i cofnąwszy się, stanęła w pełni światła.

— Jak mogłeś myśleć, że kocham ciebie, znając Messalę! zawołała, zdradzając głosem i spojrzeniem ujemne strony swej natury.—Ty mógłbyś się urodzić tylko na jego sługę. On poprzestałby na 6 talentach, ale teraz ja ci mówię, że do tych 6 musisz dodać dwadzieścia! Słyszysz, dwadzieścia! Zapłacisz za pocałunki składane na moim małym paluszku, bo chociaż ci ich nie broniłam, jemu je wykradałeś! Zapłacisz i za to, żem udawała miłość dla ciebie,—za to, żem cię tak długo znosiła cierpliwie, chociaż czyniłam to wszystko dla niego. Simonides, tutejszy kupiec rozporządza twoim majątkiem; jeśli jutro do południa nie wydasz mu rozkazu, żeby wypłacił Messali 20 talentów, — to się Sejanus obrachuje z tobą! Zastanów się nad tem, com powiedziała..! Żegnam cię.

Piękna Iras zwróciła się ku drzwiom, ale Juda zaszedł jej drogę.

— Stary Egipt żyje w tobie, rzekł. — Kiedykolwiek zobaczysz Messalę — jutro, czy pojutrze — tu, czy w Rzymie, powiedz mu odemnie, żem odzyskał wszystko, z czego mię ograbił. Powiedz, że chociaż mię zesłał do galer, przeżyłem je, i w pełni sił i zdrowia cieszę się z jego ubóstwa i upadku. Powiedz mu, że kalectwo, które mi zawdzięcza, jest karą, gorszą od śmierci, karą od Boga, Pana Izraela — za zbrodnie, jakich się dopuścił względem bezbronnych. Powiedz mu, że matka moja i siostra, które wtrącił do celi w fortecy Antonia, żeby zmarły w niej na trąd, żyją i są uleczone przez Nazareńczyka, z którego się tak naigrawasz. Powiedz mu, że na domiar szczęścia, odnalazłem je i odtąd żyć będę dla ich miłości, a miłość ta pocieszy mię po nieczystych żądzach, które odemnie jemu teraz niesiesz. Powiedz jemu, i sama wiedz o tem, ty—wcielenie chciwości— że, gdy potężny Sejanus przyjdzie po to, żeby mię ogołocić, nie znajdzie nic, bo spadek mój po duumwirze—nie wyłączając willi w Mizenum—już spieniężony i wysłany za granice imperjum. Ten dom, okręty, karawany, przy pomocy których Simonides prowadzi handel i osiąga takie olbrzymie zyski, wszystko wziął w opiekę Cezar: mądra głowa potrafiła uzyskać tę jego łaskę. Sejanus będzie chyba wolał mniejszą korzyść w postaci darów, aniżeli wielką, ale czerpaną z błota i krwi. Powiedz mu, że gdybym ię nawet omylił w tym względzie, to zawsze będę

mógł złożyć całe mienie w ofierze Cezarowi i zawieść rachuby Sejanusa. Oto, czegom się nauczył w atrjach wielkiej stolicy, piękna egipcjanko. Powiedz mu nakoniec, że nie przesyłam mu klątwy w słowach, ale za to w uosobieniu wszystkich przekleństw, razem wziętych. Gdy spojrzy na ciebie, córko Baltazara, powtarzającą moje słowa, to przy swym rzymskim sprycie, odgadnie, o kim mówię. Odejdź teraz. Ja także wychodzę.

Odprowadził ją do drzwi z wykwintną grzecznością i trzymał zasłonę, dopóki nie przestąpiła progu,

Gdy znikła mu z oczu, zawołał: Pokój z tobą!

---

## ROZDZIAŁ XXXI.

Ben-Hur opuścił wielką salę pałacową mniej ożywiony i swobodny, aniżeli do niej wszedł; kroki jego były powolne i głowa opadła mu na piersi. Odkrył on, że nawet człowiek z przełamanym krzyżem może mieć jeszcze zdrowy mózg i rozmyślał nad tem odkryciem.

Jego miłość własna cierpiała na tem, że nie odgadł, iż egipcjanka działała w interesie Messali i lata całe zaślepiony, zostawał na jej łasce i niełasce. Przypominam sobie teraz,—myślał,—że przy źródle

Kastalskiem nie oburzyła się postępkiem zdradzieckiego rzymianina! Pamiętam, że się nad nim unosiła, nawet, gdyśmy pływali czółnem po jeziorze w Gaju Palmowym! Ach!...—zawołał nagle.—Rozumiem teraz ową tajemniczą schadzkę w pałacu Ildernee!

Ciężką była rana, zadana jego miłości własnej; na szczęście jednak z ran takich człowiek rzadko kiedy umiera lub nawet choruje dłuższy czas.

Po chwili Ben-Hur zawołał też głośno: Bogu niech będą dzięki, że ta kobieta nie trzymała mię dłużej w swych szponach! Widzę teraz, żem jej nigdy nie kochał.

Gdy ochłonął nieco z przykrych wrażeń, kroki jego stały się lżejsze. Doszedłszy do miejsca, gdzie z tarasu jednemi schodami można było zejść na dziedziniec, a drugiemi dostać się na dach, puścił się po tych ostatnich i stanął na najwyższym szczeblu.

— Możeż to być, żeby Baltazar odgrywał z nią wspólnie tę długą komedję?—pomyślał. — Nie, nie!.. Obłuda rzadko chodzi w parze ze zgrzybiałą starością. Baltazar jest zacnym człowiekiem.

Uspokojony tą myślą, wszedł na dach. Na niebie świecił księżyc w pełni, ale blask jego bladł przy czerwonawem świetle ogni, rozpalonych na ulicach i placach miasta,

Dochodzące z dali harmonijne pienia tysięcy głosów przykuwały Judę do miejsca. Zdawało mu się, że słyszy słowa: „Niech się jeno ukaże Gedeon, Dawid lub Machabeusz, a wszyscy staniemy do boju.

W tej chwili stanął mu na oczach Nazareńczyk.

Słodka, smętna twarz Chrystusa towarzyszyła mu, gdy szedł po dachu do balustrady, co go otaczała nad ulicą z północnej strony domu; a na obliczu Jego nic nie zapowiadało wojny; nasuwało ono na myśl raczej niebo w cichy wieczór letni.

Ben-Hur zapytał siebie znowu: Jestże on człowiekiem?

Rzucił jedno tylko spojrzenie na ulicę, poczem niejako bezwiednie odwrócił się i zmierzał do namiotu.

— Niech się dzieje, co chce,—powiedział sobie, idąc powoli—ja rzymianinowi nie wybaczę, nie podzielę się z nim majątkiem, nie ucieknę dla niego z grodu ojców moich. Raczej galilejczyków powołam do boju i stoczymy tu walkę; a męztwo nasze pociągnie wszystkie pokolenia.

Namiot, do którego wszedł Juda pogrążony w głębokiej zadumie, był słabo oświetlony. Najsłabsze promienie światła słały się po podłodze wzdłuż filarów od północy i zachodu. Zajrzawszy do wnętrza, zobaczył że krzesło, służące zwykle Simonidesowi, zwrócone było w stronę, z której otwierał się najlepszy widok na miasto święte.

— Czcigodny mąż powrócił; chciałbym z nim pomówić, jeśli nie śpi.

Wszedł i cichym krokiem zbliżał się do krzesła. Rzuciwszy okiem poprzez grzbiet, spostrzegł Esterę, która spała pod kołdrą ojca, przytulona do kącika. Rozwiane włosy opadały jej na twarzyczkę; od-

dech miała nierówny. Raz zdawało mu się, że słyszy długie westchnienie, które się skończyło łkaniem. Może to westchnienie, lub samotność, w jakiej ją zastał, nasunęło mu myśl, że ją zmorzyły łzy. Natura udziela dzieciom takiej ulgi, a zwykł był widzieć w Esterze niemal dziecko jeszcze.

Oparł się na grzbiecie krzesła i dumał.

— Nie obudzę jej. Nie mam nic do powiedzenia... nic, chyba... chyba to, że ją kocham? Ona jest córką Judy i piękną, i tak odmienną od egipcjanki. Tamta tchnie obłudą, ta jest uosobieniem prawdy; tamtą powoduje pycha, w tej góruje poczucie obowiązku; tamta samolubna, ta żyje dla innych.—Czy też ona mię kocha? Dawniej była mi przyjaciołką. Onej nocy, kiedyśmy rozmawiali w Antjochji, na tarasie, z jakimże dziecięcym wdziękiem prosiła, żebym sobie nie robił wroga z Rzymu i wypytywała, jak wygląda moja willa pod Mizenum, jakie życie w niej wiodłem. Pocałowałem ją wtedy. Czy też pamięta ten pocałunek? Jam go nie zapomniał! Ja cię kocham...

Jeszcze tu nie wiedzą, żem odnalazł matkę i Tirzę. Egipcjance nie chciałem tego powiedzieć, ale ta maleńka ucieszy się i przyjmie je całem sercem. Dla matki mojej będzie drugą córką, z Tirzą będą się kochały, jak siostry. Obudzę ją i opowiem wszystko, prócz znajomości z tą egipcjanką. O tem szaleństwie w żaden sposób nie mógłbym mówić. Pójdę i zaczekam innej, lepszej sposobności. Zaczekam. Piękna Estero, dobre dziecię, córko Judy!

Oddalił się tak cicho, jak wszedł.

---

## ROZDZIAŁ XXXI.

Na ulicach było pełno ludzi: krążyli po mieście, albo gromadkami siedzieli w koło ognisk, ucztując wesoło. Powietrze było ciężkie od woni piekącego się mięsa, drzewa cedrowego i dymu. Ponieważ w ten uroczysty dzień wszyscy izraelici, uważając się za braci, nawzajem się ugaszczali, Ben-Hur co krok był zapraszany do uczty. — Zostań, — mówiono, — zasiądź z nami do biesiady. — Jesteśmy braćmi w miłości dla Pana. — Ale on dziękował tylko i spieszył do „khanu", zkąd chciał konno powrócić do namiotów nad Cedronem.

Ażeby się tam dostać, musiał przejść w poprzek wielki plac, który niebawem miał się upamiętnić dla całego świata chrześcjańskiego.

I tam także odbywały się uczty przy wesołych rozmowach.

Ben-Hur, spojrzawszy w głąb ulicy, spostrzegł płomienie pochodni, powiewające, niby chorągwie. Następnie zauważył, że gdzie się te pochodnie pojawiały, tam cichły zaraz śpiewy. Zdziwienie jego wzrosło, gdy zobaczył, że pośród migocących promieni i dymu połyskują dzidy—a więc to żołnierze rzymscy! Co robią legjoniści rzymscy na uroczystości żydowskiej?

Była to rzecz zupełnie nowa. Ben-Hur został, żeby się dowiedzieć, co to znaczy.

Księżyc jaśniał na niebie, ale jak gdyby księżyc, pochodnie, ogniska na ulicach, blaski bijące z okien i drzwi za mało oświetlały drogę, niektórzy nieśli i latarnie. Ben-Hur wszedł na ulicę, żeby się módz przyjrzeć zbliska wszystkim, co należeli do procesji i w ten sposób zrozumieć ich cel. Pochodnie i latarnie nieśli pachołkowie uzbrojeni w pałki, albo ostro zakończone kije. Zdawało się, że w tej chwili jedynem ich zadaniem jest torować drogę pomiędzy skałami i na ulicach, pewnym dostojnikom, kapłanom i nauczycielom z Synagogi. Dokąd mogą dążyć? Nie do świątyni z pewnością, bo droga do świętego przybytku Syońskiego, z którego zdawali się nadchodzić, ciągnęła się koło Xystusa. A ci żołnierze co tu robią, jeśli ich sprawa jest pokojową?

Gdy precesja mijała Ben-Hura, uwagę jego zwróciło 3-ch mężów, idących obok siebie. Kroczyli oni na samym przodzie i pachołkowie, niosący latarnie, zdawali się im najgorliwiej służyć. Z lewej strony Ben-Hur poznał w tej gromadce głównego dozorcę świątyni; na prawo szedł kapłan, w środku zaś postępował ktoś ciężko wsparty na ramionach tamtych dwóch i tak zwiesił głowę na piersi, że nie było widać twarzy. Wyglądał on jak więzień, który jeszcze nie ochłonął z pierwszego przestrachu po pojmaniu, lub prowadzony jest na co strasznego— na tortury albo śmierć. Podtrzymujący go z prawej i lewej strony dostojnicy, okazywali mu wielkie względy;

znów było, że jeśli nie prowadzi tego pochodu, to przynajmniej musi być z nim w jaki sposób związany—jako świadek, albo też jako przewodnik.

— Gdybym się mógł tylko dowiedzieć, kto jest ten człowiek,—myślał Ben-Hur, — odgadłbym zaraz przyczynę tej procesji.

Młodzieniec śmiało stanął z prawej strony kapłana i szedł obok niego. Gdybyż on chciał podnieść głowę!

Podniósł ją nakoniec: światło latarni padło na jego oblicze blade, strwożone, z oczyma wpadłemi i pełnemi rozpaczy.

Towarzysząc często w wędrówkach Nazareńczykowi, Ben-Hur znał nietylko mistrza, ale też jego uczniów. Ujrzawszy tą strawioną twarz, wykrzyknął:

— Iskarjota!

Człowiek ten obrócił zwolna głowę i nakoniec wzrok jego spoczął na Ben-Hurze: poruszył ustami, jak gdyby chciał przemówić, ale kapłan nie dopuścił do tego.

— Ktoś ty? Odejdź ztąd! zawołał, odpychając Ben-Hura.

Młodzieniec zniósł to cierpliwie i przy pierwszej sposobności wcisnął się znowu pomiędzy tłum, który przeniósł go przez ulicę, przez niziny, pomiędzy wzgórzem Bezetha i twierdzą Antonia, koło sadzawki Bethesda, do Bramy Owiec. Wszędzie byli ludzie i wszędzie oddawali się uroczystości religijnej.

Z powodu święta, brama stała otworem, a strażnicy także ucztowali.

Przez bramę tę procesja weszła do wąwozu Cedronu, z którego widać było Górę Oliwną, a na niej drzewa cedrowe i oliwne, których gałęzie rysowały się ciemno na niebie, jasnem od blasku księżyca.

Od bramy rozchodziły się dwie drogi: jedna ku północy, druga w kierunku Betanji.

Zanim Ben-Hur rozmyślił się czy pójść dalej, a jeśli pójdzie, to którą drogę ma obrać, został wciągnięty do wąwozu.

Do tej chwili, ta nocna wyprawa była dlań zagadką.

Z wąwozu skręcili na lewo, w kierunku gaju oliwnego, który był odgrodzony od drogi murem kamiennym. Ben-Hur wiedział, że tam są tylko stare drzewa pokoszlawione, murawa i koryto wykute w skale, do wytłaczania oliwy, podług miejscowego zwyczaju.

Właśnie kiedy się zastanawiał nad tem, co może prowadzić tych ludzi do onego pustkowia i o tej godzinie, nagle zatrzymał się pochód. W pierwszych szeregach rozległy się jakieś głosy, wszystkich opanowała trwoga, zaczęto się cofać. Tylko żołnierze stali w porządku.

Ben-Hur w mgnieniu oka wyszedł z pośród tłumu i wysunął się naprzód. Zobaczywszy otwarte wejście do gaju, stanął, zaciekawiony, co się tam dzieje.

U wrót stał mąż w białej szacie, z rękami skrzyżowanemi na piersiach. Postać ta szczupła, wy-

soka, o długich włosach i smętnej twarzy, wyrażała cierpliwe poddanie się i wyczekiwanie.

Był to Nazareńczyk.

Za Nim, bliżej wrót, znajdowała się gromadka Jego uczniów. O ile oni byli przestraszeni i wzburzeni, o tyle mistrz tchnął spokojem. Przy świetle pochodni, włosy Jego zdawały się czerwieńsze niż w naturze, ale oblicze było tak słodkie i pogodne, jak zwykle.

Naprzeciw tego Męża, uosabiającego spokój, stała ciżba ludzi wylękłych, milczących, gotowych do ucieczki na jeden znak Jego gniewu. Gdy Ben-Hur rzucił spojrzenie na mistrza i na motłoch, śród którego skrył się Judasz, zrozumiał on cel napaści. Tu był zdrajca, tam zdradzony; a ci ludzie z pałkami i kijami oraz legjoniści przyszli po to, żeby Go pojmać.

Człowiek niezawsze wie, jak postąpi w danym razie. Była to okoliczność, do której przygotowywał się lata całe. Mąż, dla którego poświęcił się i na życiu którego budował tak wiele, znajdował się w osobistem niebezpieczeństwie, a on stał nieruchomo. Takie sprzeczności zdarzają się w naturze ludzkiej. Prawdę mówiąc, Juda miał jeszcze na oczach obraz Chrystusa przy Bramie Pięknej, jakim Go egipcjanka opisała. Prócz tego sam spokój, z jakim tajemnicza Postać spoglądała na stojącą przed Nią zgraję, zradzała wiarę w moc, przewyższającą niebezpieczeństwo. Pokój, miłość i poddanie się stanowiły główną

treść nauki Nazareńczyka. Jaki użytek zrobi teraz ze swojej władzy? Czy będzie się bronił? I w jaki sposób? Jedno słowo—jedno westchnienie—sama myśl nawet byłaby dostateczna.

Ben-Hur wierzył w to, że ujrzy jakiś znak cudownej, naturalnej siły, i tą wiarą przejęty, czekał. A w tem wszystkiem mierzył Nazareńczyka wedle siebie—wedle ludzkiej miary.

— *Kogo szukacie?* — zapytał Chrystus słodkim głosem.

—Jezusa Nazareńskiego,—odpowiedział kapłan.

— *Jam jest.*

Na te proste słowa, powiedziane bez gniewu i przestrachu, napastnicy cofnęli się o kilka kroków, a lękliwi padli na ziemię. Daliby Mu odejść w pokoju i sami oddaliliby się, gdyby nie to, że Judasz przystąpił do Niego i rzekł:

— Bądź pozdrowion, Mistrzu!

Po tem przyjaznem powitaniu pocałował Go.

— *Judaszu,*—rzekł łagodnie Nazareńczyk,—*Także to pocałunkiem zdradzasz Syna człowieczego? Na coś tu przyszedł?*

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Mistrz przemówił znowu do tłumu:

— *Kogo szukacie?*

— Jezusa Nazareńskiego.

— *Powiedziałem wam, żem ja jest. Jeśli tedy mnie szukacie, dopuścież tym odejść.*

Po tej prożbie Chrystusa rabini obstąpili Go, a kilku uczniów, odgadując ich zamiary, przysunęło

się bliżej. Jeden z nich obciął ucho słudze arcykapłana, ale nie zdołał obronić tem Mistrza.

A Ben-Hur stał w miejscu.

Podczas kiedy żołnierze przygotowywali sznury, żeby Go związać, Nazareńczyk dał największy dowód Swego miłosierdzia.... dokonywał On większych cudów, ale ten był najbardziej zdumiewający, gdyż lepiej niż inne uwydatnił Jego nadludzkie zaparcie się siebie. Dotknął zranionego człowieka i uleczył go tem dotknięciem.

Tak przyjaciół jak i wrogów wprowadził tem wzdumienie — jednych, że mógł to uczynić, drugich że chciał — w podobnych okolicznościach.

— Z pewnością nie pozwoli im się skrępować,— pomyślał Ben-Hur.

— *Obróć kord twój na miejsce jego: albowiem wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą. Izali nie mam pić kielicha tego, który mi dał ojciec,*—rzekł Nazareńczyk do ucznia Swego, a potem, zwróciwszy się do napastników, powiedział,

— *Wyszliście, jako na zbójcę, z mieczmi i kijmi pojmać mię. Siedziałem codziennie między wami, ucząc w Świątyni, a nie pojmaliście mnie. Ale toć jest godzina wasza i moc ciemności.*

Motłoch nabrał odwagi i zbliżył się do Niego. Gdy się Ben-Hur obejrzał za garstką wiernych, już ich nie było: ani jeden nie pozostał.

Zgraja, otaczająca osamotnionego męża, puściła w ruch języki, ręce i nogi. Poprzez ich głowy,

w świetle pochodni, lub pośród dymu, chwilami mógł Ben-Hur dostrzedz więźnia. Szedł taki biedny, taki cichy, opuszczony przez wszystkich.

Jednak ten człowiek, gdyby chciał mógł się obronić, mógł wrogów swych rozproszyć jednem tchnieniem, — myślał młodzieniec. Co znaczył kielich, który mu dał Ojciec? I któż to jest ten Ojciec, którego woli tak ulega?

Coraz więcej tajemnic dręczyło umysł Judy.

Motłoch zwrócił się zaraz ku miastu, z żołnierstwem na czele,

Ben-Hur zaniepokoił się i był niezadowolony z siebie. Gdy pochodnie zajaśniały pośrodku tłuszczy, wiedział, że Nazareńczyk tam się znajduje. Nagle powiedział sobie, że musi Go jeszcze zobaczyć i zadać mu jedno pytanie.

Zdjął długą zwierzchnią szatę i chustkę z głowy, cisnął to za mur, opasujący gaj Oliwny, i pospieszył za gromadą, prowadzącą więźnia.

Niezadługo dostał się do człowieka, niosącego koniec, sznura którym więzień był związany.

Nazareńczyk szedł wolno, z głową spuszczoną, z rękami skrępowanemi z tyłu; włosy spadały mu na twarz, i pochylony był więcej niż zwykle. Zdawało się, że zapomniał o tych wszystkich, co go otaczają. Na kilka kroków przed nimi szli kapłani i starszyzna, rozmawiając i oglądając się często poza siebie.

Kiedy nakoniec byli już blizko mostu w wąwozie, Ben-Hur wziął sznur z rąk sługi i wyminął go.

— Mistrzu, mistrzu! szepnął spiesznie do ucha Nazareńczykowi. — Słyszysz, mistrzu? Jedno słowo — tylko jedno słowo. Powiedz mi....

Pachołek zażądał, żeby mu zwrócił sznur.

— Powiedz mi, — mówił dalej Ben-Hur,— czy ty idziesz z własnej woli za nimi?

Siepacze, zauważywszy zbliżenie się jego do mesjasza, zaczęli wołać gniewnie: Coś ty za jeden?

— O mistrzu, — szepnął znów Juda, — jam twój wyznawca.. Odpowiedz błagam cię! Jeśli sprowadzę pomoc zbrojną, czy ją przyjmiesz?

Nazareńczyk nie spojrzał, nie okazał niczem, że go poznaje, ale zbolała jego twarz zdawała się mówić: Zostaw mię mojemu przeznaczeniu. Jestem opuszczony, sam jeden; świat zaparł się mnie; pożegnałem się już na zawsze z ludźmi. Nie wiem dokąd idę i jest mi to obojętne. Zostaw mię mojemu przeznaczeniu.

Ben-Hur był zmuszony to uczynić. Kilkanaście rąk wyciągnęło się do niego i ze wszystkich stron wołano:

— To jeden z nich! Przytrzymać go! Związać zabić!

Opanowany namiętnością, ze zdwojoną siłą przeciskał się Ben-Hur przez tłum, Zgraja, usiłując go schwytać, rozszarpała na nim odzienie, biegł więc! nagi, aż do wąwozu, w którym gęste ciemności zapewniły mu schronienie.

Zabrawszy chustkę i zwierzchnie szaty z poza muru, opasującego gaj, wrócił do bramy miasta; na-

stępnie udał się do khanu i na hyżym Alderabanie pojechał do namiotów rozpiętych przy Grobach Królewskich.

Jadąc, obiecywał sobie, ża nazajutrz zobaczy się z Nazareńczykiem: nie wiedział, że zaprzedany przez wszystkich mąż, tejże nocy odprowadzony został do domu Annasza, gdzie miano go sądzić.

Gdy się młodzieniec ułożył do spoczynku, serce biło mu tak gwałtownie, że nie mógł usnąć ani na chwilę.

Prześladowała go myśl, że wskrzeszenie królestwa judzkiego było tylko mrzonką. Przykra to rzecz, gdy widzimy, że napowietrzne zamki naszej fantazji zapadają się jeden po drugiem, z przerwami w których możemy otrząsnąć się z doznanego wrażenia, albo przynajmniej zaczekać, żeby przebrzmiało echo ich upadku; ale gdy runą wszystkie razem— jak okręty zatapiają się w morzu, jak się domy zapadają podczas trzęsienia ziemi, to stokroć więcej jeszcze boli! Tylko twarde natury mogą cios taki przyjąć ze spokojem, a Ben-Hur był wrażliwy.

Dlatego po niedługiej chwili, wyobraźni jego zaczęły się nasuwać nowe obrazy. Zamiast majestatycznego pałacu w Syonie, widział spokojne, piękne życie Mizenum z maleńką Esterą, którąby biegała po ogrodzie, lub ożywiała atrium swoją obecnością. Nad głowami mieliby niebo neapolitańskie, a u stóp najsłoneczniejszy ze wszystkich krajów południowych i najbłękitniejszą z zatok.

Nazajutrz czekał go przełom w życiu.

## ROZDZIAŁ XXXII.

Następnego dnia, około 2-giej godziny, dwóch ludzi czwałowało przed namiot Ben-Hura. Zsiadłszy z koni, zapytali czy mogą się z nim zobaczyć. Juda odpoczywał jeszcze po bezsennej nocy, ale kazał ich wprowadzić.

— Pokój wam, bracia, — rzekł,—byli-to bowiem galilejczycy. Usiądziecie?

— Gdybyśmy siedli i wypoczywali, Nazareńczyk poszedłby na śmierć. Wstań synu Judy i spiesz z nami. Osądzono go. Drzewo na krzyż jest już w Golgocie.

Ben-Hur wpatrzył się w nich osłupiałym wzrokiem.

— Krzyż!

Nic więcej nie zdołał powiedzieć w tej chwili.

— Pojmano go o świcie i zaprowadzili do Piłata. — Dwa razy rzymianin uznał go niewinnym, dwa razy odmówił wydania. Nareszcie umył ręce i rzekł:

— Nie winienem ja krwi tego Sprawiedliwego niech spada na was! Oni zaś odpowiedzieli...

— Kto? wykrzyknął Juda.

— Oni—kapłani i lud, — wszyscy wołali: Krew jego na nas i na syny nasze!

— Święty ojcze Abrahamie! — zawołał Ben-Hur, — rzymianin litościwszy dla izraelity, niż jego rodacy! Jeśli — jeśli on jest prawdziwym Synem Bożym, cóż zdoła zmazać krew z ich dzieci? Niedopuścimy do tego! Do broni!

Rozjaśniła mu się twarz pod wpływem tego postanowienia.

Klasnął w dłonie.

— Koni! Jaknajprędzej! rzekł do araba, który wszedł na dany znak: Poproś Amrę, żeby mi przysłała świeże odzienie i przynieś miecz! Czas umrzeć za Izrael, przyjaciele moi. Zaczekajcie na mnie przed namiotem.

Posilił się naprędce i pokrzepił winem, a po chwili byli już w drodze.

— Od czego zaczniesz?

— Zwołam legjony.

— Niestety! rzekł żałośnie jeden z galilejczyków.

— Co to znaczy?

— Mistrzu,—odrzekł galilejczyk ze wstydem,— tylko ja i ten towarzysz mój zostaliśmy wierni. Reszta przeszła na stronę kapłanów.

— Czegoż oni chcą?

— Jego śmierci.

— Czyżby Nazareńczyka...!

— Odgadłeś.

Ben-Hur wodził przerażonem okiem po tych 2-ch ludziach. Zabrzmiało mu w uszach nsłyszane wczoraj zapytanie: Izali nie mam pić kielicha tego,

który mi dał ojciec? Przypomniała mu się też odpowiedź własna: jeżeli ci przywiodę zbrojną pomoc czy zechcesz ją przyjąć?

— Nie obronimy Go od tej sromotnej śmierci,— myślał Juda, — szedł ku niej z zupełną świadomością począwszy od pierwszego dnia swego posłannictwa. Przeznaczyła mu ją wyższa wola. Czyjaż jeśli nie Pana nad Pany? Jeśli on sam poddaje się tej śmierci, jeśli idzie na nią z własnej woli, któż może go od niej zasłonić.

Jakże bolał Ben-Hur nad zawodem ze strony galilejczyków! Ich odstępstwo odjęło mu wszelką nadzieję odbudowania królestwa i dziwnym trafem, wypadło w tym dniu właśnie.

Ogarnęła go trwoga. Może jego zamysły, jego trudy i roztrwonienie skarbów byłyby tylko bluźnierczym buntem przeciw Bogu?

Zebrał cugle i zawołał.

— W drogę, bracia! Na Golgotę!

Jechali pośród zgorączkowanej ciżby, która tak samo, jak oni, dążyła na południe.

Cała północna okolica miasta zdawała się w poruszeniu.

Posłyszawszy, że osądzony więzień, prowadzon będzie koło wielkich wież Heroda, trzej przyjaciele dążyli w tamtą stronę, drogą, co się ciągnęła na południo-wschód Akry. W dolinie, poniżej sadzawki Ezechjasza, nie mogąc się przedostać przez tłum, musieli zsiąść z koni i przeczekiwać za węgłem jednego z domów.

Mogło im się zdawać, że nad brzegiem rzeki przyglądają się powodzi, takie fale ludzi płynęły bez końca.

Upłynęło pół godziny, upłynęła godzina, a tłum wciąż się przesuwał przed Ben-Hurem i jego towarzyszami.

Gdy minął nareszcie, Juda mógł był powiedzieć sobie, widział przedstawicieli wszystkich. Kast Jerozolimy, wszystkich sekt Judei, wszystkich pokoleń izraela i wszystkich narodowości ziemi.

Byli tam żydzi libijscy i żydzi egipscy, i żydzi z nad Renu; słowem, ze wszystkich krain wschodnich i zachodnich ze wszystkich wysp morskich. Jedni szli pieszo, inni jechali konno, na wielbłądach, na wozach, lub niesieni byli w lektykach. Strój nosili rozmaity, ale twarze ich były tak podobne, jak są i dziś jeszcze nawet u tych izraelitów, którzy żyją w odmiennym klimacie i odmiennych warunkach; mówili między sobą wszystkiemi językami, jakie znano podówczas.

Wszyscy śpieszyli — ciekawi, zaniepokojeni, — żeby zobaczyć, jak umierać biedny Nazareńczyk będzie jako złoczyńca pomiędzy dwoma złoczyńcami.

Dużo ich tam było, ale nie wszyscy. Ben-Hur wnosił, że ci ludzie przybyli do Jerozolimy na święto Paschy, i nie należeli do sądu nad Nazareńczykiem i mogli być nawet jego stronnikami.

Nakoniec, od strony wielkich wież, Ben-Hur

usłyszał zrazu słabe głosy z oddalenia, a potem krzyki mnóstwa ludzi.

— Słyszysz... to oni! rzekł jeden z jego towarzyszy.

Ludzie stawali na ulicy, natężając słuch; ponieważ ta wrzawa zbliżała się, zaczęli spoglądać jeden na drugiego i drżąc z przerażenia, biegli przed siebie w milczeniu.

Krzyki rozlegały się coraz bliżej; powietrze było niemi napełnione i drżało od nich.

W tłumie tym znajdowały się też tysiące nie żydów, którzy ich nienawidzili i pogardzali nimi: grecy, rzymianie, arabowie, syryjczycy, afrykanie, egipcjanie.

Przyglądając się temu zbiorowisku, zdawało się, iż cały świat ma tam przedstawicieli, że cały świat będzie przeto świadkiem ukrzyżowania.

Pochód on był dziwnie cichy; kiedy niekiedy tylko słychać było kopyta końskie, uderzające o skałę, turkot kół, lub czyjeś wołanie. Ale z twarzy wszystkich tych ludzi można było wyczytać, że śpieszą przypatrzyć się okropnemu widowisku — jakiejś strasznej klęsce, niespodzianemu nieszczęściu, albo wojnie. Naraz Ben-Hur spostrzegł Simonidesa, w krześle i Esterę idącą obok ojca; za nimi pachołkowie nieśli na barkach zasłoniętą lektykę.

— Pokój tobie, Simonidesie—i tobie Estero, — przemówił Ben Hur, spiesząc na ich spotkanie.—Jeśli dążycie do Golgoty, to zaczekajcie, aż przejdzie

ten tłum. Pójdę potem razem z wami. Jest tu dosyć miejsca dla nas wszystkich.

Kupiec podniósł dużą głowę, która mu ciężko zwisła na piersi, i rzekł:

— Rozmów się z Baltazarem, uczynię tak samo, jak on. Niosą go w tej oto lektyce.

Spiesznie rozsunąwszy firankę, zobaczył Juda egipcjanina, który leżał, podobniejszy do trupa niż do żywego człowieka. Na zapytanie czy zechce wypocząć w stojącem nieopodal domostwie, odrzekł:

— Czy będziemy Go mogli zobaczyć?

— Nazareńczyka? Zobaczymy Go, musi przejść o kilka kroków od nas.

— Panie, Boże!—zawołał z zapałem.—Raz tylko jeden raz! O straszny-to dzień dla świata!

Schronieni pod dach, rzadko odzywali się do siebie; zapewne lękając się zdradzać swe uczucia. Baltazar siedział w lektyce, podtrzymywany przez pachołka. a Estera i Ben-Hur stanęli przy Simonidesie.

Tymczasem fala ludzi nietylko że nie przestała płynąć, ale nawet wzmagała się jeszcze, krzyki przeraźliwe, dzikie, zbliżały się coraz bardziej.

Nakoniec pojawiła się ta wrzaskliwa tłuszcza.

— Patrzcie!—powiedział z goryczą Ben-Hur,— to co nadchodzi, to—Jerozolima!

Zbiorowisko ono poprzedzała hurma chłopaków, którzy wśród skoków krzyczeli: Oto król żydowski! Miejsce, miejsce dla króla żydowskiego!

Simonides przyglądał się im, gdy wirowali i krążyli, niby chmara owadów letnich, i rzekł uroczyście:

— Gdy ci, o synu Hura, obejmą dziedzictwo swoje, biada miastu Salomonowemu.

Dalej kroczył oddział butnych legjonistów w pełnej zbroi.

Za żołnierstwem szedł—Nazareńczyk!

Był już nawpół nieżywy; za każdym krokiem chwiał się, jak gdyby miał upaść. Powalana i obdarta zwierzchnia szata spadała mu z ramion na spodnią tunikę, także obszarpaną. Bose jego nogi zostawiały ślady krwi na kamieniach. Na szyi miał uwiązaną tabliczkę z napisem, wieniec cierniowy wciśnięty mocno na głowę, zadawał mu straszne rany, z których strumienie krwi, teraz już zaschłej i zczerniałej spłynęły na twarz i szyję; w długich poplątanych włosach tkwiło pełno cierni. Skóra, gdzie niegdzie widzialna, była trupio blada. Ręce miał związane na przodzie. Według ówczesnego zwyczaju, skazaniec niósł sam poprzecznicę krzyża na miejsce tracenia; ponieważ Nazareńczyk upadł pod tym ciężarem, teraz dźwigał go jeden z izraelitów.

Czterech żołnierzy otaczało Chrystusa, żeby niedopuszczać doń rozwścieczonej zgrai. Mimo to, zuchwalsi rzucali się na Niego z kijami i plwali mu na twarz. Jednakże ani się poskarżył, ani jęknął. Nie patrzył wcale na swych dręczycieli. Dopiero przechodząc koło domu w którym się schronił Ben-Hur z gromadką przyjaciół, podniósł oczy i napotkał ich litościwe spojrzenia.

Estera tuliła się do ojca, który drżał cały pomimo tak silnej, tak wyprobowanej torturami woli,

Baltazar usunął się, nie mogąc przemówić słowa. Nawet Ben-Hur wykrzyknął: O mój Boże! Mój Boże! Wtedy Nazareńczyk, jak gdyby odgadywał ich uczucia, lub usłyszał wykrzyk, zwrócił swą wynędzniałą twarz ku nim, spojrzał na każdego z osobna, a spojrzenie to wryło się w ich pamięć na całe życie. Widzieli to wyraźnie, że myśli o nich, nie o sobie. Te oczy, które się miały za chwilę zamknąć na zawsze, dawały im błogosławieństwo.

— Gdzież są twoi legjoniści, synu Hura? — zapytał Simonides głosem, w którym dźwięczało rozdrażnienie.

— Annasz może ci lepiej na to odpowiedzieć aniżeli ja.

— Jakto, zdradzili?

— Wszyscy, prócz tych dwóch.

— A więc wszystko stracone, i ten sprawiedliwy mąż musi umrzeć!

Twarz kupca wykrzywiła się konwulsyjnie, i głowa opadła mu na piersi. On brał udział w pracach Ben-Hura i dzielił jego nadzieje, teraz całkiem zniweczone!

Za Nazareńczykiem dwóch ludzi niosło poprzecznice krzyżów.

— Co to za jedni? — zapytał Ben-Hur galilejczyków.

— To są złoczyńcy, którzy mają umrzeć razem z Nazareńczykiem, — odpowiedzieli.

Za tymi dwoma pachołkami o wstrętnych twarzach, postępował wielki kapłan w szatach złocistych, otoczony strażnikami świątyni. Za nim kroczył San-

hedrim i szereg lewitów w długich białych szatach i jaskrawych fałdzistych *abnetach*.

— Oto zięć Annasza,—szepnął Ben-Hur.

— Kaifasz!—Widziałem go,—rzekł Simonides,— wpatrzył się z zadumą w pysznego dostojnika i po niejakiej chwili dodał:

— Teraz jestem przekonany; teraz jest to dla mnie oczywiste, że Mąż, który naprzód idzie z tablicą na szyi, jest, jak napis powiadamia, *królem żydowskim*.

Zwykły człowiek, szalbierz, oszust nie miał nigdy takiego orszaku. Patrzcie... Tu są narody—Jerozolima, Izrael. Oto efod, szata kapłana, błękitna z frendzlami, granaty szkarłatne i złote dzwoneczki. Nie widziano takiego przepychu od dnia, kiedy Jaddua wyszedł na spotkanie macedończyka. Zaprawdę, Nazareńczyk jest królem! O czemuż nie mogę podążyć za nim!

Ben-Hur słuchał go ze zdumieniem.

— Naradź się i spieszmy dalej, bo nadchodzą męty Jerozolimy.

— Co to za niewiasty, co tak płaczą? — zapytała nagle Estera.

Nadchodziły cztery kobiety, zalewające się łzami. Jedna z nich była wsparta na ramieniu młodzieńca, który przypominał wyglądem Nazareńczyka.

Ben-Hur odrzekł:

— Człowiek ten, to ukochany uczeń Męża z Nazarei; wsparta na nim niewiasta to Jego Matka; a tamte dwie, są to galilejki, jego wyznawczynie.

Estera śledziła je ze łzami, dopóki jej nie znikły z oczu.

Może czytelnik wyobraża sobie, że te urywane słowa były mówione po cichu; tymczasem żeby zagłuszyć wrzaski tłuszczy, trzeba było tak podnosić głos, jak nad brzegiem morza, kiedy fale huczą po burzy.

Takież same wściekłe krzyki powtórzyły się w niecałe 30 lat później, kiedy stronnictwa rozszarpały Miasto Swięte w kawały; zbiorowisko było wtedy równie liczne, sfanatyzowane i żądne krwi, tak samo wrzało i kipiało; składały się na nie te same żywioły: słudzy, poganiacze wielbłądów, przekupnie, strażnicy, ogrodnicy, handlujący winem i owocami prozelici i cudzoziemcy nie będący prozelitami, służba ze świątyni, złodzieje, rabusie i tysiące tych ludzi, któży nie należą do żadnej klasy, lecz w podobnych okolicznościach pojawiają się nie wiadomo zkąd, głodni, cuchnący pieczarami i staremi grobami, z gołą głową, obnażonemi rękami i nogami, z rozczochranym włosem i brodą, nędznie, brudno przyodziani, istne bestje z wielką paszczą, ryczące jak lwy, co się nawołują w puszczy. Niektórzy mieli kordy, ale większość poprzestała na włóczniach i pociskach. Inni trzymali kije, maczugi i proce, do których kamienie nieśli w workach zrobionych naprędce z brudnej tuniki. Pośród tej hołoty, gdzie niegdzie znajdowali się dostojnicy; pisarze publiczni, starszyzna, rabini, faryzeusze w szatach z szeroką frendzlą, Saduceusze w pięknych płaszczach, — którzy w tej chwili speł-

niali role doradców i kierowników. Jeśli czyje gardło znużyło się jednym okrzykiem, to podsuwali nowy.

Ta wrzawa, chociaż głośna i przeciągła, ograniczała się jednak do tej garstki wyrazów: Król żydowski! Miejsce dla króla żydowskiego! Burzyciel świątyni! Bluźnierca! Ukrzyżować go! Ukrzyżować! Ze wszystkich okrzyków ostatni był najgłośniejszy, gdyż musiał najdobitniej wyrażać pragnienie tłuszczy i jej nienawiść dla Nazareńczyka.

— Chodźmy,—nalegał Simonides, gdy Baltazar gotów był do drogi,—chodźmy, chodźmy prędko!

Ben-Hur nie usłyszał tego wołania. Wściekłość, zajadłość tego motłochu przywodziły mu na pamięć miłosierdzie Nazareńczyka, jakiej czynił dla cierpiącej ludzkości. Nagle przypomniał sobie, własny tak wielki dług wdzięczności, przypomniał sobie chwilę, kiedy on sam był w rękach straży rzymskiej, prowadzony na śmierć tak pewną i prawie tak okropną jak ukrzyżowanie; ożywczy napój, który mu podał Chrystus u studni pod Nazaret i w cud dokonany Niedzielę Palmową na jego matce i siostrze.

— Czym się odpłacił za otrzymany ratunek?— zapytał siebie i zaczął sobie wyrzucać, że nie uczynił wszystkiego, co należało, że powinien był czuwać nad galilejczykami, żeby zostali wierni i byli gotowi na zawołanie. Nastąpiła chwila działania. Umiejętnie uskutecznioną napaścią rozproszyłby rotę, a temsamem uwolniłby Nazareńczyka. Byłoby to dla Izraela hasłem które przyspieszyłoby do tak dawna upra-

gnioną wojnę za wolność. Chwile są drogie! Należy spieszyć, bo się sposobność zmarnuje! Boże Abrahama, czy już niema ratunku?

W tejże chwili spostrzegł gromadkę galilejczyków.

Przecisnąwszy się do nich przez tłum, rzekł:

— Za mną!

Gdy weszli pod dach, przemówił do nich w te słowa:

— Jestescie z tych, co wzięli odemnie kordy, żeby walczyć za wolność i za tego króla, co nadchodzi. Macie kordy u boku. Nadeszła chwila działania. Odszukajcie towarzyszy i zbierzcie się wszyscy pod drzewo krzyża dla Nazareńczyka. Spieszcie! Nazareńczyk jest królem i wolność umiera wraz z nim

Patrzyli na niego z poszanowaniem, nie ruszając się jednak z miejsca.

— Słyszycie?—zapytał.

Jeden z nich odezwał się wtedy:

— Synu Judy,—znali go pod tem tylko imieniem,—synu Judy,—tyś w błędzie, nie my i towarzysze nasi, którzy wzięli kordy od ciebie. Nazareńczyk nie jest królem. Byliśmy w orszaku jego, gdy wchodził do Jerozolimy, widzieliśmy go w świątyni. Zawiódł siebie, zawiódł nas i Izrael. U Bramy Pięknej odwrócił się od Boga i nie przyjął tronu Dawida. On nie jest królem i Galilea nie trzyma z nim. Musi umrzeć. Ale słuchaj, synu Judy; mamy twoje kordy, gotowiśmy walczyć za wolność! Zastaniesz nas przy drzewie krzyża.

Była to krytyczna chwila życia dla Ben-Hura. Gdyby mógł był przyjąć ofiarę tych ludzi i dać im hasło, dzieje świata byłyby inne, aniżeli są; ale w takim razie byłybyto dzieje kierowane przez ludzi, nie przez Boga, a dzieje takie nigdy nie istniały i istnieć nie będą. Zmieszał się, sam nie wiedział czemu; później jednak przypisał to wrażenie Nazareńczykowi, gdyż zrozumiał, że Jego śmierć była potrzebna dla utwierdzenia wiary w zmartwychwstanie, bez której chrześcjanizm nie miałby żadnej podstawy.

Tak był pomieszany, że nie zdołał nic przedsięwziąć. Stał, nie wiedząc co robić, nie mogąc przemówić. Zasłonił twarz ręką i drżał cały od wewnętrznej walki pomiędzy swą wolą a wyższą potęgą.

— Chodź, czekamy na ciebie,—rzekł Simonides po raz czwarty.

Szedł bezwiednie za krzesłem starca i za lektyką, a Estera postępowała obok niego.

Jak przed trzydziestu laty nadnaturalna siła prowadziła 3-ch mędrców przez pustynię do nowonarodzonego Dzieciątka, tak i teraz wiodła Ben-Hura.

## ROZDZIAŁ XXXII.

Gdy gromadka złożona z Baltazara, Simonidesa, Ben-Hura, Estery i 2-ch wiernych galilejczyków do-

tarła do miejsca, gdzie się miało odbyć ukrzyżowanie, Ben-Hur wysunął się naprzód, żeby torować drogę. Jakim sposobem przebił się przez ten wzburzony tłum, którędy i jak długo szli, zgoła nie wiedział. Szedł machinalnie, ani słysząc, ani widząc, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje dokoła niego i w jakim celu tłoczy się.

Tak był niemocen zapobiedz strasznej zbrodni, której miał być świadkiem, jak niedołężne dziecię.

Ben-Hur stanął, gromadka idąca za nim zatrzymała się także. W jednej chwili w głowie jego powstała jasność; zrozumiał, co się dzieje dokoła.

Na wierzchołku nizkiego wzgórza, okrągłym jak czaszka, była przestrzeń sucha, kamienista, pełna pyłu, na której nie było wcale roślinności, prócz kilku krzaków lichego izopu.

Przestrzeń tę otaczał żywy wał z ludzi, którzy się tłoczyli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Szereg żołnierzy rzymskich trzymał w karbach to zbiorowisko; nad żołnierstwem zaś czuwał centurjon.

Juda przecisnął się naprzód i stanął z twarzą zwróconą ku północo zachodowi. Gdziekolwiek spojrzał, nie było ani kawałka ziemi, ani skały ani zieloności, tylko miljony oczu o dzikiem, srogiem spojrzeniu. Serca onych miljonów lgnęły do tego, co się odbywało na wzgórzu. Dwaj łotrzy byli im obojętni. Tylko Nazareńczyk zwracał ku sobie wszystkie oczy, tylko Nazareńczyk budził w jednych nienawiść, w drugich przerażenie, w innych ciekawość, — On, który

kochał ich wszystkich i za nich wszystkich miał umrzeć.

Wielkie zbiorowisko ludzi tak odurza i pochłania całe jestestwo nasze, jak widok morza wzburzonego. Jednak Ben-Hur rzucił na nie pobieżne spojrzenie, bo jedno tylko przykuwało do siebie jego uwagę.

Na wzgórzu, ponad żyjącym wałem, ponad głowami orszaku dostojników, wielki kapłan, ściągał oczy mitrą, szatą złocistą i dumną postawą. Jeszcze wyżej, przy samym okrągłym wierzchołku, tak że był widzialny zblizka i zdaleka, stał Nazareńczyk, pochylony, zbolały, ale milczący.

Jeden z żołnierzy, naigrawając się, dla dopełnienia korony, którą miał na głowie, dał Mu do trzymania trzcinę, jako berło. Wrzaski, śmiechy, klątwy, złorzeczenia — to pojedyńczo, to razem, srożyły się wkoło niego. Człowiek, *tylko* człowiek w tej burzy namiętności zatraciłby resztki miłości dla ludzi.

Wszystkie oczy były zatopione w Nazareńczyku. Czy to pod wpływem litości, czy z innej przyczyny, w uczuciach Ben-Hura, nastąpił przewrot; zaczęło mu świtać w głowie coraz wyraźniej. Pojęcie o czemś lepszem od najszczęśliwszego nawet życia, o czemś tak dobrem, że słabemu człowiekowi dodawałoby sił do znoszenia mąk, tak duchowych jak i fizycznych, o czemś takiem, co czyni śmierć pożądaną, jako przejście do lepszego życia, może do życia duszy, w które Baltazar tak silnie wierzył. Rozumiał coraz lepiej, że posłannictwem Nazareńczyka

było, tych co Go ukochają, wieść z królestwa ziemskiego do królestwa dusz. Zdało mu się, iż słyszy słowa Nazareńczyka:

— JAM JEST ZMARTWYCHWSTANIE I ŻYCIE.

Brzmiały mu one wciąż w uszach i coraz lepiej, coraz jaśniej pojmował ich znaczenie. Jak ludzie powtarzać zwykli pytanie, żeby uchwycić jego znaczenie, tak on, wpatrywał się w postać, co stała na wzgórzu, chwiejąc się pod cierniową koroną i zapytywał: Kto jest zmartwychwstaniem? Kto jest życiem?

JAM JEST.

zdawała się mówić ta Postać, i to dla niego, bo w tejże chwili uczuł taki spokój, jakiego jeszcze nigdy nie zaznał. Był to spokój. przed którym pierzcha wszelka wątpliwość i tajemnica,—spokój, który jest początkiem wiary, miłości i jasnego rozumienia.

Odgłos młotów obudził Judę z tej zadumy. Teraz dopiero spostrzegł że na szczycie pagórka żołnierze i robotnicy robią przygotowania. Doły do wbicia krzyżów były wykopane, a teraz przybijano poprzecznice.

— Każ im się spieszyć,—rzekł wielki kapłan do centurjona. Ten,—dodał wskazując na Nazareńczyka, — musi umrzeć i być pochowanym przed zachodem słońca, żeby się ziemia nie skalała. Zakon tego wymaga.

Jeden z żołnierzy, snać litościwszy od innych, przystąpił do Nazareńczyka i podał mu coś do picia

ale on odmówił. Potem zbliżył się inny, zdjął z szyi jego tablicę z napisem i przybił ją do drzewa krzyża.

— Krzyże są gotowe,—rzekł centurjon do wielkiego kapłana, który odpowiedział:

— Pierwszy pójdzie na śmierć bluźnierca. Jako Syn Boży, powinien się wybawić. Zobaczymy.

Lud, w oczach którego odbywały się przygotowania, głośnemi krzykami objawiał dotąd niecierpliwość. Teraz umilkł. Zapanowała zupełna cisza.

Najstraszniejsza chwila nadeszła.

Miano przybijać skazańców do krzyży.

Gdy żołnierze wyciągnęli ręce, żeby zacząć od Nazareńczyka, nawet najokrutniejszych przeszedł dreszcz.

Później mówili oni, że się powietrze nagle oziębiło i dlatego zadrżeli,

— Jaka dziwna cisza! — odezwała się Estera i objęła ojca za szyję.

Starzec, przypomniawszy sobie przebyte katusze, zwiesił głowę na piersi i siedział drżący.

— Odwróć oczy, odwróć oczy Estero!—rzekł.— Mnie się zdaje, że wszyscy, co patrzeć będą na to, tak winni, jak niewinni — zostaną wyklęci za tę chwilę.

Baltazar padł na kolana.

— Synu Hura, synu Hura, — mówił z wzrastającem uniesieniem,—jeśli Jehowa nie wyciągnie prawicy a prędko — to Izrael zgubiony i myśmy zgubienieni.

Ben-Hur odpowiedział spokojnie:

Jam śnił, Simonidesie, i słyszałem w tym śnie, że to wszystko musi się stać, i dlaczego stać się musi. To jest wolą Nazareńczyka — to jest wolą Boga. Uczyńmy tak, jak egipcjanin — zachowajmy się spokojnie i módlmy się.

Gdy spojrzał znów na wzgórze, doszły go w onej złowrogiej ciszy te słowa:

JAM JEST ZMARTWYCHWSTANIE I ŻYCIE.

Skłonił ze czcią głowę, jak przed osobą mówiącą.

Tymczasem na wierzchołku wzgórza robota szła dalej. Jeden z żołnierzy zdjął szaty z Nazareńczyka; stanął więc nagi przed temi miljonami ludzi. Na plecach miał on jeszcze krwawe ślady biczowania, które przecierpiał owego ranka. Niolitościwie ciśnięto go na krzyż, leżący na ziemi, i rozłożono najwpierw ręce na poprzecznicy. Gwoździe były ostre — kilka uderzeń młotem wystarczyło, żeby przeszyły nawskroś wątłe dłonie. Potem wyciągnęli kolana tak, żeby podeszwy dotykały się drzewa i jednym gwoździem przybito je obie.

Tłum stojących bliżej słyszał głuchy stuk młota, a inni mogli widzieć, jak opadał i podnosil się i drżeli z przestrachu.

Jednakże Nazareńczyk nie krzyknął, nie jęknął, nie wyrzekł ani słowa. Z ust jego nie wyszło nic, z czegoby wróg mógł się naigrawać, nad czem czciciel mógłby boleć.

— W którą stronę mamy go zwrócić?—zapytał jeden z żołnierzy wielkiego kapłana.

— Twarzą ku świątyni — odparł dostojnik kościoła.—Niechaj patrzy, umierając, na święty przybytek, który nic nie ucierpiał od jego bluźnierstw.

Robotnicy wzięli w ręcekrzyż wraz z ciężarem żeby go ponieść na miejsce egzekucji. Na jedno słowo, wpuścili go w dół, a ciało Nazareńczyka zawisło na krwawiących się rękach. Jednak i teraz nie wydał krzyku. Straszny ból wywołał tylko słowa tak szczytne, jakich przedtem ucho ludzkie nie słyszało:

— *Ojcze, przebacz im, albowiem nie wiedzą co czynią!*

Krzyż ten, który górował nad wszystkiem i odbijał się na niebie, został powitany okrzykami radości. Kto tylko mógł widzieć i czytać napis na tablicy przybitej nad głową Nazareńczyka urągliwie, powtarzał go w głos:

— Król żydowski! Witaj, królu żydowski!

Annasz, który lepiej rozumiał znaczenie onego napisu, przemawiał do tłumu, ale daremnie.

Tak więc On, szyderczo nazywany królem, umierając, musiał spoglądać z Golgoty na miasto swych ojców, leżące u Jego stóp, które tak haniebnie wyrzuciło go ze swego łona.

Słońce podnosiło się szybko do zenitu. Bliższe góry podawały mu swe ciemne piersi; dalsze okrywały się purpurą.

W mieście —świątynie, pałace, wieże odbijały

jego blask, jakby dla pochwalenia się przed tymi, co ku nim spoglądali od czasu do czasu.

Nagle ciemności zaczęły zalegać niebo i ziemię. Zrazu był to tylko lekki przedwczesny zmrok, ale stopniowo cienie stawały się coraz gęstsze tak, że to zwróciło ogólną uwagę. Wrzawa ucichła; ludzie, nie dowierzając swym zmysłom, spoglądali ze zdziwieniem jeden na drugiego; potem zwrócili oczy ku słońcu, następnie ku dalekim górom, ku niebu; objęli okiem bliższy widnokrąg pogrążony w ciemnościach i wzgórze, gdzie się rozgrywała tragedja. Potem znowu patrzyli na siebie i bledli i stali w milczeniu.

To tylko mgła albo przelotna chmura,—rzekł Simonides, uspokajając zalęknioną Esterę. Zaraz się rozjaśni.

Ben-Hur inaczej o tem sądził.

Ani mgła, ani chmura, — rzekł. To duchy, które żyją w powietrzu, to prorocy i święci — przysłaniają słońce, żeby nie patrzeć na ten rozdzierający widok. Powiadam ci, Simonidesie, jak prawda, że Bóg żyje, Ten, którego ukrzyżowano, jest synem Bożym.

Odszedł od starca, zdumionego temi słowy, ukląkł przy Baltazarze, i położywszy rękę na jego ramieniu, powiedział:

— Słuchaj, o mądry egipcjaninie! Ty jeden miałeś słuszność—Nazareńczyk jest Synem Bożym.

Egipcjanin przyciągnął go do siebie i odrzekł słabym głosem:

— Widziałem Go dziecięciem w żłobku, nie dziw

żem Go poznał prędzej, aniżeli ty... Ale czemużem dożył tego dnia! Obym był umarł, jak Melechjor i Gaspar.

— Pociesz się! — rzekł Ben-Hur, — oni także z pewnością są tutaj.

Zmrok wzmagał się stopniowo i zapanowały gęste cienie, ale oprawcy nie przerywali, mimo to, swej krwawej roboty. Dwaj łotrzy zostali wzniesieni na krzyżach i krzyże wkopano w ziemię. Straż usunęła się, a rzesza ludu zalała wzgórze, jak rwący się potok. Zaledwie ktoś zdążył spojrzeć, już go inny spychał i zajmował jego miejsce, żeby z kolei być zepchniętym—a każdy naigrawał się, każdy lżył Nazareńczyka.

— Ha, ha! Kiedyś królem żydowskim, to wybawże siebie!—zawołał jeden z żołnierzy.

— Jeśli znijdzie do nas w tej chwili, to weń uwierzymy,—odezwał się kapłan.

Inni kręcili głowami, mówiąc: Zapowiedział, że w 3 dni zburzy świątynię i w 3 dni ją odbuduje, ale siebie nie może ratować.

Jeszcze inni wołali: Nazywał się Synem Bożym, zobaczymy, czy Bóg zechce go przyjąć.

Dlaczego tak się pastwiono nad Nazareńczykiem, była-to rzecz po wszystkie czasy niewytłómaczoną. Mąż z Nazarei nie wyrządził nikomu krzywdy, większa część zebranego tam ludu widziała Go poraz pierwszy w tej Jego ostatniej godzinie; jednakże Jego zarzucano klątwami, a dwaj łotrzy wzbudzali współczucie.

Nienaturalne ciemności, co spadły z nieba, przerażały tysiące odważniejszych i silniejszych, tembardziej więc i Esterę.

— Idźmy do domu, — prosiła ojca raz, drugi i trzeci. To jest gniew Boży, ojcze. Kto wie, czy się nie stanie jeszcze coś okropnego. Ja się boję.

Simonides nie słuchał. Odzywał się rzadko, ale widocznie był jeszcze pod wpływem silnego wzruszenia.

Zauważywszy ku końcowi pierwszej godziny, że się tłum trochę przerzedza na wzgórzu, gromadka miłośników męczennika zapragnęła zbliżyć się do krzyży. Ben-Hur prowadził Baltazara, jednakże egipcjanin z wielką trudnością wchodził pod górę.

Teraz nie mogli już tak wyraźnie widzieć Nazareńczyka: byłato już dla nich tylko ciemna, wisząca postać. Ale mogli Go słyszeć — słyszeć westchnienia, które świadczyły o większej Jego cierpliwości, albo wyczerpania sił, gdyż ukrzyżowani po Jego prawicy i lewicy łotrowie, w każdej przerwie pomiędzy wrzaskami ciżby, napełniali powietrze jękami.

Druga godzina po ukrzyżowaniu upłynęła, tak jak pierwsza. Dla Nazareńczyka były to godziny zniewag, obelg powolnego konania. Raz jeden odezwał się.

Pod Jego krzyżem uklękła gromadka, pośród której poznał matkę, a obok niej ukochanego ucznia swego.

— *Niewiasto,*— rzekł, o ile mógł najgłośniej,— *Oto twój Syn,* — a do ucznia: *oto Matka twoja.*

Nadeszła 3-cia godzina, a tłumy wciąż krążyły dokoła Golgoty, jakby jakąś niewidzialną siłą przytrzymywane. Niewątpliwie, ciemności, co nastały w samo południe, wielce przyczyniały się do tego. Zachowywano się daleko spokojniej, niż przez 2 pierwsze godziny. Tylko od czasu do czasu było słychać nawoływanie się wzajemne tłumów. Byłoto także uderzające, że dochodząc do Nazareńczyka ludzie przyglądali Mu się w zupełnem milczeniu i w milczeniu odchodzili.

Taka sama zmiana zaszła i w żołnierzach, którzy niedawno rozlosowali między sobą szaty ukrzyżowanych. Stali oni z oficerami nieopodal, przypatrując się więcej Nazareńczykowi, aniżeli płynącym tłumom. Ile razy westchnął ciężko, albo poruszył zbolałą głową, natychmiast natężali uwagę. Ale najdziwniejszy był nowy zwrot w wielkim kapłanie i jego orszaku. Gdy słońce zaczęło blednąć, oni zaczęli tracić pewność siebie. Wielu znało się na astronomji i nieobce mu były te zjawiska, które tak przerażały podówczas masy.

Gdy się słońce skryło,—otoczywszy wielkiego kapłana, rozprawiali o niezwykłem zdarzeniu i ogarniała ich tem większa trwoga, że fenomen trwał długo. Z miejsca swego, poza żołnierzami, wsłuchiwali się chciwie w każde westchnienie Nazareńczyka i szeptali pomiędzy sobą.

— Mógł to być Mesjasz, a w takim razie...

Postanowili czekać.

Ben-Hura ani razu nie napastowały dawne wątpliwości. Doznawał on zupełnego spokoju. Modlił się tylko o to, żeby jaknajprędzej nastąpił koniec.

Z zachowania się Simonidesa, miarkował, że jest blizkim wiary. Na jego wymownej fizjonomji znać było głębokie rozmyślanie; zauważył też, że badawczo spogląda na słońce i zastanawia się nad przyczyną wzrastających cieniów. Nie uszło też i to jego uwagi, z jaką troskliwością Estera tuliła się do ojca, ukrywając swą trwogę ze względu na niego.

— Nie lękaj się.—mówił starzec,—stój tu i przyglądaj się. Możesz żyć dwa razy dłużej odemnie, a nie zobaczysz wypadku, któryby miał dla ludzi tak wielką doniosłość... Mogą być także i nowe objawienia. Zostańmy do końca.

Gdy już 3-cia godzina do połowy upłynęła, kilku ludzi z najniższej klasy—nędzarze z grobów podmiejskich — przyszło i stanęło przed krzyżem środkowym.

— To on, nowy król żydowski, — rzekł jeden.

Inni zawołali ze śmiechem: Witaj, witaj królu żydowski!

— Jeżeli jesteś królem żydowskim, albo Synem Bożym, to znijdź,—rzekli podniesionym głosem.

W tej chwili jeden z łotrów, przestając jęczeć, zawołał do Nazareńczyka:

— Tak, jeśliś Chrystus, to wybaw siebie i nas!

Lud śmiał się i przyklaskiwał.

Gdy nadsłuchiwano odpowiedzi, drugi złoczyńca powiedział do pierwszego:

— Czy i ty nie boisz się Boga? Myśmy słusznie ukarani za występki, ale ten człowiek jest niewinny.

Wszyscy obecni zdumieli.

Wśród ogólnej ciszy drugi łotr odezwał się znowu, ale tym razem do Nazareńczyka:

— Panie, pamiętaj o mnie, gdy wnijdziesz do królestwa swego.

Simonides drgnął.

Gdy wnijdziesz do Królestwa Swego.

O tem królestwie właśnie myślał on wciąż z powątpiewaniem i wśród częstej rozprawy z Baltazarem.

— Słyszałeś? — rzekł doń Ben-Hur. — To królestwo nie może być z tego świata. Ten oto świadek mówi, że król wnijdzie do swego królestwa i ja to samo słyszałem we śnie.

— Cicho! — rzekł Simonides, tak nakazującym tonem, jakiego nigdy nie używał, mówiąc do Ben-Hura.—Cicho. Może Nazareńczyk odpowie.

I odpowiedział Nazareńczyk donośnym głosem:

— *Zaprawdę, powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze mną w Raju.*

Simonides natężył słuch, w nadziei, że powie co więcej. Złożył potem ręce i rzekł:

— Dosyć, o Panie, dosyć! Ciemności rozproszyły się. Patrzę teraz innemi oczami—takiemi, jak Baltazar—oczami wiary.

Wierny sługa otrzymał nakoniec zasłużoną nagrodę.

Jego połamane ciało nie naprostuje się; wspomnienie przebytych cierpień i ciężkich lat, jakie przeżył z powodu tych katuszy,— nie zatrze się w jego pamięci, lecz nagle ukazało mu się nowe życie a nazywało się ono—Rajem. Tam znajdzie owe królestwo, o którem marzył, i ujrzy w niem wspaniałego króla.

Do duszy jego zstąpił zupełny spokój.

Na wzgórzu, przed krzyżem, wielkie zdziwienie i pomieszanie powstało pomiędzy rabinami. Rozgłaszając po kraju, że Nazareńczyk jest mesjaszem, skazali go na ukrzyżowanie. Tymczasem na krzyżu właśnie z większą niż kiedykolwiek wiarą obiecał łotrowi, że będzie w Raju. Strwożyli się swym czynem, zaląkł się nawet wielki kapłan. Zkąd ten człowiek czerpie taką pewność, jeśli nie z prawdy? A czemże jest prawda, jeśli nie Bogiem? Mało brakowało w tej chwili, żeby nie pouciekali wszyscy.

Oddech Nazareńczyka był cięższy, zaczęło się konanie. Tylko 4 godziny wisiał na krzyżu, a śmierć się zbliżała, Wieść ta rozeszła się lotem błyskawicy od męża do męża, tak, że każdy był o niej świadom.

Stała się cisza. Wiatr był coraz słabszy, potem ucichł zupełnie. Dusząca mgła ciężyła w powietrzu Do ciemności przybył żar nie do zniesienia. Trzymiljonowy tłum zachowywał się tak cicho, że ktoby nie wiedział o jego obecności, nie odgadłby go wcale.

W tem, śród cieniów, ponad głowami rzeszy zgromadzonej na wzgórzu, ozwał się głos rozpaczy, jeśli nie skargi:

— Boże mój! Boże mój! czemuś mię opuścił!

Okrzyk ten napełnił wszystkich trwogą. Jednemu z obecnych pękło od niego serce.

Żołnierze przynieśli z sobą naczynie pełne wina pomieszanego z wodą, bo wolno im było na żądanie męczenników gąbką umaczaną w tym płynie zwilżyć im spieczony język. Gdy postawiono to naczynie w pobliżu Judy przypomniał sobie, że Ukrzyżowany orzeźwił go wodą przy studni w Nazarecie; schwycił więc gąbkę, umaczał ją, osadził na trzcinie i pospieszył do krzyża.

— Daj pokój,—wołano gniewnie,—daj pokój!

Młodzieniec, nie zważając na krzyki tłuszczy, zbliżył się do Ukrzyżowanego i przytknął Mu gąbkę do ust.

— Za późno! za późno!

Oblicze, które Juda zobaczył teraz wyraźnie, chociaż było okryte krwią i kurzem, rozjaśniło się nagle; oczy szeroko otwarte, wpatrzyły się w niebo.

— *Spełniło się! Spełniło się!*—zawołał Nazareńczyk wielkim głosem, w którym brzmiała radość z odniesionego zwycięztwa.

Oczy Jego zaćmiły się, głowa cierniem uwieńczona zwolna opadła na dyszącą ciężko pierś. Ben-Hur, myślał że walka skończona, ale ulatająca dusza zatrzymała się jeszcze i stojące bliżej rzesze usłyszały ostatnie słowa, wyrzeczone szeptem:

— *Ojcze, w ręce twoje oddaję ducha!*

Dreszcz wstrząsnął zbolałem ciałem i rozległ się wielki krzyk. Skończyło się posłannictwo i życie ziemskie Męża z Nazarei. Pękło to serce tak peł-

ne miłości. Nazareńczyk poniósł śmierć dlatego, że miłował ludzi.

Ben-Hur powrócił do swych przyjaciół i rzekł tyle tylko:

— Skończyło się! Umarł.

Wieść ta ze zdumiewającą szybkością obiegła kilkomiljonowy tłum. Nikt nie powtórzył jej głośno, jeno cichy szmer rozchodził się ze wzgórza w różnych kierunkach. Jeden drugiemu szeptał: Umarł! Umarł!

Spełniła się wola rzesz.

Nazareńczyk przestał żyć.

Jednakże ludzie spoglądali na siebie z trwogą. Jego krew spadła na nich. I gdy stali, patrząc jeden na drugiego, ziemia zaczęła drżeć. Każdy schwycił się sąsiada, żeby nie upaść. W jednej chwili ciemności zniknęły, słońce ukazało się na niebie i ujrzano trzy krzyże na wzgórzu które chwiały się od silnego wstrząśnienia ziemi. Widzialne były wszystkie trzy, ale tylko środkowy przykuwał oczy. Zdawał się odrywać od ziemi wraz ze swem brzemieniem i wznosić je coraz, coraz wyżej, ku błękitom niebios. A każdy, kto urągał Nazareńczykowi; każdy, kto Go chłostał; każdy, kto wołał: ukrzyżować go! Każdy, kto należał do pochodu z miasta: każdy, kto w głębi serca pragnął jego śmierci, a było takich 10-ciu na jednego,—każdemu zdawało się, że na nim ciężą winy całego tłumu i że jeśli chce pozostać przy życiu, to musi oddalić się jaknajprędzej. Zaczęli uciekać co sił, jedni konno, drudzy na wielbłądach, inni wozem,

a niektórzy i pieszo. Ale ziemia, jak gdyby się chciała zemścić za niewinnego męczennika, wciąż drżała pod ich stopami, tak że padali jedni na drugich, i przerażała hukiem pękających i walących się wielkich skał. Bili się w piersi i wydawali krzyki trwogi. Jeg krew spadła na nich!

Krajowcy i cudzoziemcy, kapłani i laicy, żebracy, saducejczycy, faryzeusze, — wszyscy potrącali się, wyprzedzali jeden drugiego. Na wołania ich do Pana, oburzona ziemia odpowiadała wszyst kim z jednaką wście kłością. Wielkiego kapłana nie oszczędzała, tak samo jak najgorszych złoczyńców obaliła, powalała mu złocistą szatę obszytą frendzlami, zasypała złote dzwonk piaskiem, a usta pyłem.

Krew Nazareńczyka spadła na nich wszystkich

Gdy blaski słoneczne znowu ozłociły wzgórze, była tam już tylko matka Nazareńczyka, Jego uczeń, pobożne niewiasty z Galilei, centurjon z żołnierzami i Ben-Hur ze swoją gromadką.

— Siądź tu,—rzekł Ben-Hur do Estery, robiąc jej miejsce u nóg ojca. Zasłoń sobie teraz oczy i nie patrz na górę; ale zaufaj Bogu i duchowi tego sprawiedliwego Męża, któremu zadali tak hańbiącą śmierć.

— Odtąd będziemy Go nazywali Chrystusem,— rzekł Simonides ze czcią.

W tej chwili zatrzęsła się ziemia pod Golgotą,

Łotrzy wydawali straszne ryki na chwiejących się krzyżach. Juda zmieszał się tak że; miał jednak dosyć przytomności, żeby spojrzeć na Baltazara. Spo-


Dodatek do Nr 8 „Wędrowca,“

strzegłszy, że padł i leży nieruchomo, podbiegł i zawołał nań, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Czcigodny mąż już nie żył.

Młodzieńcowi przypomniało się, że ktoś krzyknął, jakby w odpowiedzi na ostatni krzyk Nazareńczyka,— ale nie obejrzał się. Teraz był pewien, że dusza egipcjanina uleciała razem z duszą Mistrza do Raju; a przekonanie to opierał nietylko na onym krzyku, ale i na tem, że Baltazar był wart takiego odznaczenia. Jak Gaspar zasługiwał na nagrodę za wiarę, Melchjor za miłość, tak Baltazar — za połączenie 3-ch cnót: Wiary, Miłości i Dobrych Uczynków.

Gdy ustało trzęsienie ziem, dwaj wierni galilejczycy zanieśli jego zwłoki w lektyce do miasta.

Smutny był orszak, który o zachodzie słońca wszedł południową bramą do pałacu Hurów O tejże samej godzinie ciało Chrystusa zostało zdjęte z krzyża

Zwłoki Baltazara zaniesiono do wielkiej sali. Wszyscy domownicy zbiegli się z płaczem. Spojrzawszy na jego uśmiechnięte oblicze, obtarli jednak łzy, mówiąc: Dobrze się stało. Szczęśliwszy jest wieczorem, niż był rano, kiedy ztąd wychodził.

Ben-Hur, chcąc sam zawiadomić Iras o jej nieszczęściu i przyprowadzić do zwłok ojca, udał się do niej. Odtąd miała być sama jedna na świecie: gotów był więc wybaczyć jej i objawić współczucie. Zawstydzony, że nie zaważył nawet iż jej nie było na Golgocie, pragnął wynagrodzić swe winy, tem więcej, że miał jej zadać tak wielki ból.

W 9 dni po cudownem uzdrowieniu, matka Judy i Tirza powróciły, na mocy prawa, pod rodzinny dach.

Odtąd w domu ich czczono:
Boga Ojca i Chrystusa, Jego Syna.

---

W 5 lat po ukrzyżowaniu, Estera, żona Ben-Hura, siedziała w swym pokoju, w pięknej willi Mizenum.

Była to południowa godzina, ciepłe włoskie słońce stwarzało lato dla róż i szczepów winnych. W komnacie tej wszystko było rzymskie, tylko Estera miała na sobie strój matrony judzkiej. Tirza i dwoje dzieci, bawiących się u jej nóg na lwiej skórze, dotrzymywały jej towarzystwa. Z troskliwych spojrzeń, jakie Estera rzucała raz po raz na maleństwa, łatwo było poznać, że jest ich matką.

Czas obszedł się z nią bardzo łaskawie: była piękniejsza niż kiedykolwiek. Gdy się stała panią tej willi, jako żona Judy, spełniło się jedno z najgorętszych życzeń jej serca.

— Jakaś kobieta chciałaby się zobaczyć z panią naszą; czeka w atrium, — rzekł sługa, stojąc w progu.

— Niech wejdzie, przyjmę ją tutaj.

Ujrzawszy obcą niewiastę, żydówka powstała i chciała przemówić, lecz zawahała się, zbladła, w końcu cofnęła się i rzekła:

— Ja cię znam, dobra kobieto; tyś jest...

— Byłam Iras, córką Baltazara.

Estera zapanowała nad swem zdziwieniem i poleciła słudze podać krzesło egipcjance.

— Niepotrzebne—odezwała się chłodno Iras.— Zaraz odchodzę.

Spojrzały na siebie. Jak wiemy, Estera była to piękna kobieta, szczęśliwa żona i matka; względem jej byłej rywalki losy okazały się mniej łaskawe. Z dawnych powabów został jej tylko wyniosły wzrost i pewien wdzięk w układzie; ale życie, jakie prowadziła, odbiło się na powierzchowności. Płeć zgrubiała, duże oczy były okrążone czerwonemi obwódkami i zmarszczkami, rumieńce znikły, na ustach osiadł wyraz goryczy i szyderstwa.

Iras przerwała przykre milczenie, pytając;

— Czy to wasze dzieci?

— Tak, — odrzekła Estera, spoglądając na nie z uśmiechem,—możebyś się chciała zapoznać z niemi?

— Przestraszyłabym je,—odpowiedziała Iras.

Zbliżyła się do Estery, a widząc, że się ta usuwa, rzekła.

— Nie lękaj się. Chciałam tylko powiedzieć twemu mężowi, że wróg jego już nie żyje, i że za nieszczęścia, jakie ściągnął na mnie, zabiłam go.

— Jego wróg?

— Messala. Powiedz mu, że za krzywdy, jakie usiłowałam mu wyrządzić, zostałam tak ciężko ukarana, że nawet on ulitowałby się nademną.

Oczy Estery zaszły łzami; miała odpowiedzieć, ale Iras odezwała się znowu:

— Nie chcę ani łez, ani litości. Powiedz mu jeszcze, żem się przekonała, iż każdy rzymianin, to—potwór. Żegnam cię.

Chciała odejść, ale ją Estera zatrzymała.

— Zostań jeszcze—mówiła słodko,—zobacz się z moim mężem. On nie ma żalu do ciebie. Szukał cię wszędzie. Ja ci także sprzyjam......

Iras nie dała się zmiękczyć.

— Jam z własnej woli przyszła do tego stanu... Niedługo będzie temu koniec.

— Ale...—zaczęła Estera i zawahała się — czy nie masz żadnych życzeń... czy...

Twarz egipcjanki złagodniała, coś nakształt uśmiechu osiadło na jej ustach, i spojrzała na dzieci.

— Owszem, mam jedno życzenie.

Estera, zrozumiawszy jej spojrzenie, powiedziała:

— Możesz je zadowolnić.

Wtedy egipcjanka zbliżyła się do dzieci, uklękła na lwiej skórze i ucałowała oboje. Potem zwróciła się ku drzwiom i wyszła bez pożegnania. Szła szybko, i zanim Estera rozmyśliła się, co zrobić, znikła jej z oczu.

Gdy Ben-Hur usłyszał o pojawieniu się Iras, utwierdziło go to w przekonaniu, że opuściła ojca w dzień ukrzyżowania, żeby się udać do Messali. Mimo to, zaczął ją natychmiast poszukiwać, lecz daremnie: znikła bez wieści. Błękitna zatoka, śmiejąca się tak wesoło pod słońcem, ma swe smutne tajemnice. Gdyby mogła mówić, dowiedzielibyśmy się o losach egipcjanki.

Simonides dożył bardzo późnej starości. W 10-tym roku panowania Nerona, usunął się od spraw handlowych, które prowadził w Antjochji.

Do końca życia zachował jasny umysł i dobre serce; do końca też służyło mu szczęście.

Pewnego wieczoru, onego roku, siedział w krześle swojem, na tarasie, z córką, zięciem i trojgiem wnucząt

Ostatni z jego okrętów kołysał się u brzegu, inne zaś były już sprzedane.

Od ukrzyżowania aż od owego dnia, raz tylko dotknęło Ben-Hura nieszczęście: umarła mu matka,— ale wiara chrześcjańska złagodziła ten cios.

Okręt ten, który przypłynął dopiero poprzedniego dnia, przywiózł wiadomości o rozpoczętych w Rzymie prześladowaniach chrześcjan przez Nerona. Drużyna, siedząca na dachu starożytnego pałacu Hurów, rozmawiała właśnie o nich, kiedy wszedł stary wierny Malluch i podał Ben-Burowi zwój papyrusu.

— Kto to przyniósł?

— Arab jakiś.

— Gdzież on jest?

— Odjechał natychmiast.

— Posłuchaj,—powiedział Juda do Simonidesa,— i przeczytał list następujący:

„Ja, Ilderim, syn Ilderima Szlachetnego i szeik plemienia Ilderima, do Judy, syna Hura.

Wiedz, o przyjacielu mego ojca, jak byłeś miły ojcu memu. Jego wola jest moją wolą,—to więc, co on ci przeznaczył, jest twojem.

Wszystko, co partowie zabrali w onej wielkiej

bitwie, kiedy ojciec jego zginął, jam wyrwał im pomiędzy innemi załączone tu pismo i całe potomstwo Miry, która w owym czasie była matką tylu gwiazd.

Ten głos z pustyni jest głosem

Ilderima *szeika.*

Ben-Hur, rozłożywszy zwój papyrusu, żółtego jak zeschły liść morwowy, przeczytał, co następuje:

„Ilderim, zwany Szlachetnym, szeik plemienia Ilderima, do Syna, spadkobiercy swego.

Wszystko, co posiadam, o synu, będzie kiedyś twojem, oprócz posiadłości znanej w Antjochji pod nazwą Gaju Palmowego. Oddasz ją synowi Hura, który nas okrył taką chwałą w cyrku, — oddasz ją jemu—na wieczystą własność.

Spełnij wolę ojca.

Ilderim Szlachetny, szeik."

— Cóż ty na to?—zapytał Ben-Hur Simonidesa.

Simonides wciąż milczał, z okiem utkwionem w okręcie. Nakoniec rzekł z powagą:

— Synu Hura, Pan obsypuje cię hojnie w ostatnich latach. Czas już, żebyś postanowił, jaki użytek zrobisz ze skarbów, które rosną w twych rękach.

— Oddawna już wiem, że bogactwa moje powinny powrócić do ich Dawcy, — nie cząstka jakaś, ale wszystko. Idzie tylko o to, w jaki sposób najpożyteczniej mogę niemi rozporządzić na chwałę Pana nad Pany. Bądź mi doradcą, Simonidesie.

Starzec odrzekł:

— Wiem, jak znaczne sumy złożyłeś w darze kościołowi w Antjochji: teraz, kiedy jednocześnie prawie z darem od Szlachetnego Szeika, przyszły

wiadomości o prześladowaniu braci naszych w Rzymie, masz otwarte nowe pole do działania. Swiatło wiary nie powinno zagasnąć w stolicy.

— Powiedz mi, w jaki sposób je podtrzymać?

— Słuchaj: rzymianie—nawet i sam Neron—szanuje, o ile wiem, nadewszystko dwie rzeczy: popioły zmarłych i cmentarzyska. Ponieważ nie możesz budować na ziemi świątyń ku czci Pana Zastępów, to buduj pod ziemią, żeby w nich zabezpieczać od zniewag zwłoki tych, co pomarli w wierze chrześcjańskiej.

Ben-Hur zerwał się gorączkowo i zawołał:

— To wielka myśl! Natychmiast przystąpię do dzieła. Okręt, który przywiózł wieści o cierpieniach naszych braci, powiezie mię do Rzymu. Odpłynę jutro. Niechaj statek będzie gotowy; i ty uczyń przygotowania do podróży,—rzekł, zwracając się do Mallucha.

— Stanie się według twej woli, o panie.

— A ty, Estero, co mówisz na to?—zapytał Juda.

Przystąpiła doń i położywszy rękę na jego ramieniu, odrzekła:

— W taki sposób będziesz najlepiej służył Bogu. O, mężu mój, nie zostawiaj mię, weź z sobą, żebym ci była pomocną.

. . . . . . . . .

Jeśli który z czytelników moich, zwiedzając Rzym, zrobi wycieczkę do katakumb San Calixto, to się przekona, jaki użytek Ben-Hur zrobił ze swego mienia i wdzięczen mu będzie.

Z tych rozległych grobów wyszło chrześcjaństwo i upadek pogańskiego Rzymu.

K O N I E C.